



Campbell
Armstrong

RZEZNIK

C&T

Armstrong Campbell

Lou Perlman

Rzeźnik

Lou Perlman, sierżant policji w Glasgow, przebywa na urlopie zdrowotnym. Jak sam wyznaje: „Co należy rozumieć, że chcą mnie wykopać. Przecież już od dawna słynę z tego, że... mówię to, co myślę”. I dodaje: „Nie wolno mi przekroczyć progu komendy, nawet gdybym był w pobliżu i strasznie zachciałoby mi się sikać...” A wszystko to akurat gdy sporo się dzieje w światku przestępczym Glasgow. Bo Reuben Chuck to nowy człowiek, który zdobywa władzę i wspina się na sam szczyt mafijnej hierarchii. A Perlman od dawna chciał go przymknąć... I teraz na własną rękę spróbuje zdobyć przeciw niemu mocne dowody. Zwłaszcza gdy makabryczne odkrycie w postaci torebki z obciętą dłonią w domu Lou zaskakująco powiąże go z podobnymi wypadkami w ostatnim czasie. Do tego jeszcze Lou nie może pozbiierać się po wyjeździe Miriam, z którą łączyło go wiele – ale chyba tylko w jego wyobraźni, sądząc po kartkach, jakie otrzymuje z różnych zakątków świata... A gdy dojdzie sprawa zniknięcia syna Betty McLatchie – sprzątaczkę w jego wyjątkowo zapuszczonym domu – na barki Perlmana spadnie naprawdę dużo kłopotów.



Najwyższy już czas. Widział, jak szefowie przeżywają swoje wzloty i upadki, a na ich miejsce przychodzą inni. Obserwował, jak tworzą się kruche więzi, które potem pękają na falach zdrady i przemocy. Miał czterdzieści pięć lat i był gotowy na awans; czekał na tę chwilę już od wielu lat.

Na końcu Hill Street wysiadł ze swojego jaguara. W ten chłodny, październikowy wieczór miał na sobie długi, kaszmirowy płaszcz koloru wielbłądziego beżu. Przyklaskując dłońmi w rękawicach, obrzucił wzrokiem rozciągające się przed nim miasto — wyrafinowany przepych St George's Mansions, willi oświetlonych czerwonymi reflektorami, wieże Trinity, jaskrawe skupiska Maryhill i ciemną kałużę, czyli Kelvingrove Park. Dalej ciągnęły się Partick, Broomhill i Hyndland. Słyszał ryk samochodów, pędzących autostradą do przystani promowej, i ciężarówek do Anderston i do portu Broomielaw, a potem, przecinając wąską wstęgę rzeki Clyde, do Kingston i Kinning Park, do Govan i Pollok, i jeszcze dalej.

Cały ten zgiełk, tyle światła, wszystkie te strefy mroku.

To miasto jest moje.

Reuben Chuck wyjął z kieszeni komórkę, wystukał numer. — No, ruszajcie — rzucił.

Jimmy „Bram” Stoker siedział jak zwykle w swojej prywatnej sali jadalnej w klubo-restauracji Corinthian w bogato zdobionym, wiktoriańskim budynku, gdzie niegdyś mieścił się sąd okręgowy w Glasgow. Dokuczał mu wrzód: małe, wredne draństwo tkwiące w jelitach. Właśnie zjadł leszcza w curry, którego smak ciągle mu się przypominał. Nie należy ufać leszczom. A zwłaszcza tym w curry.

Dopił brandy, wstał od stolika i popatrzył na swoich gości: Teksańczyka nazwiskiem Rick Tosh i miejscową dziewczynę, Patsie, którą przyprowadzono Amerykaninowi dla rozrywki.

— No, to zostawiam was samych — oznajmił Stoker. — Miłej zabawy. — Zrobił szeroki gest, sugerując, że stawia im nie tylko najsmaczniejsze posiłki i najlepsze wino, ale i wszystkie inne przyjemności tego wieczoru.

— Zaraz, przecież to dopiero dziesiąta, nie? — zaprotestował łagodnie Rick Tosh, twardoskóry mężczyzna o szyi tak sękatej, że żyły na niej przypominały brązowe, napięte liny. Pokryte plamami wątrobowymi łapsko trzymał pod stołem na kolanie grzeczniutkiej Patsie z zamiarem przesunięcia się na wewnętrzną stronę uda, gdy tylko Stoker się oddali.

— O interesach pogadamy rano — orzekł Stoker. — Dzisiejszy wieczór to czas na rozrywkę.

— W takim miejscu i przy takiej dziewczynie trzeba chyba być pieprzonym baptystą, żeby nie ulec pokusie. — Rick Tosh zaśmiał się cicho. Głowa chodziła mu w górę i w dół, jakby ktoś celował w niego jabłkami, a on robił uniki; usta miał otwarte i ramiona mu drgały, ale z jego gardła nie wydobywał się żaden dźwięk. Jimmy Stoker pochylił się nad dziewczyną i szepnął jej do ucha: — Bądź dla niego miła, laleczko. — Jej perfumy pachniały tak silnie, że miał wrażenie, że po dłuższym ich wdychaniu wysiądą mu płuca. Wziął Tosha za lewą dłoń, wiedząc, że prawa jest już zajęta. — O dziesiątej rano przyślę kogoś, żeby odebrał pana z hotelu. — W takim razie będę czekał — odparł Teksańczyk. — Adios.

— No właśnie, adios. — Jimmy Stoker odszedł od stolika. W tej samej chwili dwóch młodych mężczyzn, którzy przez cały wieczór stali przy barze, ruszyło za nim do szatni, zostawiając niedopite drinki. Jeden z nich odebrał płaszcz i kapelusz Stokera i pomógł mu się ubrać. Kapelusz trzyma! w ręce na wypadek fatalnej pogody, bo tylko wtedy Stoker, aczkolwiek niechętnie, zgadzał się przykryć swoje białe, gęste, wymodelowane włosy, które były jego dumą.

— Miło spędził pan wieczór, panie Stoker? Stoker beknął. — Wszyscy Teksańczycy to pieprzone gaduły. Nic, tylko ropa i ropa, a jak nie ropa, to bydło, i że niby w głowie się nie mieści, ile to tysięcy pogłowia i hektarów. Ten twierdzi, że na jego ziemi można by wybudować miasto, i to pięciokrotnie większe niż Glasgow. Taki z niego chwalipięta. Niech tylko człowiek pozwoli Amerykanom położyć łapska na swoich interesach, a zachowują się jak pijawki. Wystarczy dać im palec.

Młody mężczyzna wyjrzał na ulicę głównymi drzwiami. — Wszędzie czysto, panie Stoker — oznajmił.

— Czyli wszystko gra — rzucił Stoker.

Ktoś przytrzymał mu drzwi. Dwóch młodych mężczyzn otoczyło go z obu stron po drodze wzdłuż Ingram Street do zaparkowanego daimlera Stokera. Jeden z nich otworzył tylne drzwi.

Stoker wsiadł. — No, to prowadź do domu, wiejska droga — rzucił.

Młody człowiek, który otworzył drzwi, usadowił się na siedzeniu pasażera, a jego towarzysz usiadł za kierownicą. Samochód minął Italian Centre i ruszył wzdłuż Glassford Street w kierunku Argyle Street. Glassford była słabo oświetlona; po obu stronach ciemne budynki, stare magazyny przerobione na sklepy, a nad nimi mieszkania.

Jimmy'emu Stokerowi znów przypomniał się smak leszcza. To tak, jakby ryba wróciła do życia i podpływała mu przelykiem w bańce wodnistych gazów. Kilka razy beknął dosadnie. — Na Boga, nigdy nie próbujcie leszcza w curry, chłopaki — powiedział. Odpiął guziki swojego szarego, jednorzędowego garnituru i poluźnił pasek. Rozpiął też dwa guziki spodni.

Młody mężczyzna na siedzeniu pasażera obejrzał się do tyłu. Wciąż trzymając kapelusz Stokera, podał mu go. — Ma pan tu swój kapelusz na to curry.

Stoker pochylił się naprzód. — Już ja ci pokażę, Jack. Nie potrzebuję twoich kiepskich dowcipów. Sprawdź lepiej, czy zostało jeszcze trochę Rolajdsa.

Jack otworzył schowek, w którym zapaliła się mała lampka. Poszperał w środku. — Ani kropelki, panie Stoker.

Nadjeżdżający z przeciwka samochód skręcił gwałtownie, blokując drogę daimlerowi. Kierowca Stokera zahamował, chcąc uniknąć zderzenia. — Pieprzony wariat — rzucił.

Tamten samochód zatrzymał się, śmignęły otwierane drzwi i trzech mężczyzn wyskoczyło prosto w oślepiający blask reflektorów daimlera.

— Co jest, do cholery? — krzyknął Stoker.

Jack właśnie sięgał po spluwę, którą trzymał pod siedzeniem pasażera, kiedy przednia szyba pękła i roztrzaskała się na kawałki. Jack przewrócił się na bok. Oderwany fragment skóry z jego głowy wylądował na tylnym siedzeniu i krew trysnęła Stokerowi w oczy. Kierowca skurczył się w fotelu, próbując wyrwać spluwę z martwej dłoni Jacka, ale drugi strzał rozerwał mu szczękę i mężczyzna osunął się na oparcie. Stoker otworzył tylne drzwi i wygramolił się z samochodu, czując, jak rozpięte spodnie zsuwają mu się z bioder. Potknął się na chodniku. Zamrugał oczami, za-

ślepiący krwią Jacka. Usiłował wstać: obym tylko zdołał pobiec, żeby starczyło mi sił.

— Nawet o tym nie myśl — odezwał się ktoś.

Stoker jednak zdążył już się ruszyć — nie zamierzał się poddawać jak jakiś zasmarkany mięczak. Chwytał górną część opadających spodni i podniósł się, chcąc czmychnąć na ślepo w ciemną boczną ulicę, ale znowu się potknął. Jasna dupa.

Chilli, imbir, kardamon i kawałki ryby utkwili mu głęboko w gardle.

Jezusmariajózefieświęty.

„Posuń się, kochanie” — powiedziała Eve Curdy. — To mój ulubiony.

— Nie, lepszy jest „Telefon towarzyski”.

— Jakby się tak bliżej przyjrzeć, Gordy, to czym się właściwie różnią?

— Bliżej? — Gordy uśmiechnął się szeroko. — Co masz na myśli?

— Och, ty! Przecież dobrze wiesz.

— „Telefon towarzyski” ma w sobie coś magicznego — orzekł Gordy Curdy.

Siedzieli na leżakach w pokoju, nazywanym przez Gordy'ego Curdy Kon-Tiki Room, przerobionym z dawnej piwnicy jego domu w Newton Mearns. Oboje państwo Curdy mieli na sobie identyczne szorty koloru khaki, czerwono-żółte hawajskie koszule i opaleniznę po solarium. Ktoś kiedyś powiedział o nich Bliźnięta z Trader Vic's, tej sieci egzotycznych restauracji.

Wystrój imitował hawajskie klimaty: plastikowe palmy, koktajlbar z pojemnikiem na lód w kształcie ananasa i pałeczki do mieszania koktajli z brązową tancerką hawajską, które idealnie wpasowywały się między kciuk a palec wskazujący. Było to ciepłe, przytulne miejsce, gdzie Gordy uwielbiał zapraszać klientów i znajomych i pokazywać im z wielką dumą, jak przy odrobinie wyobraźni da się przerobić zwyczajną piwnicę na egzotyczny zakątek w stylu wysp Morza Południowego.

Na ekranie pięćdziesięciodwucalowego telewizora plazmowego Tony Randall właśnie przechodził załamanie nerwowe. Wielki Rock Hudson próbował go pocieszyć. Curdy wołał sceny z Wielkim Rockiem i Doris. Doris miała w sobie tę wyjątkową iskierkę.

— Rock był niezłym aktorem — zauważył. — Pedzio grający faceta hetero. Musiał być twardy.

Pani Curdy popatrzyła na męża. — Twardy?

— I to bardzo.

— To znaczy?

— No, twardyjak skała. Rock, jakiego imię.

Eve Curdy wysunęła stopy z puszystych pantofli. Jej paznokcie u nóg były pomalowane na jasnoczerwono. Poruszyła palcami. — A słyszałeś o tej skałe niedaleko Dumbarton?

Gordy skinął głową. — Podobno to jakiś stary wulkan. Wygasły. Chociaż właściwie z wulkanami to nigdy nie wiadomo.

— A ty co sądzisz o wulkanach?

— No, mówię przecież. Są nieprzewidywalne. Mogą wybuchnąć w każdej chwili.

— Wybuchnąć, hmm. — Eve Curdy przymrużyła oczy. — Podobno stoi tam jakaś latarnia?

— Pewnie masz na myśli tę w Edynburgu, na Bass Rock. Wielka, potężna, góruje wysoko nad morzem.

— O tak, pamiętam, bardzo wysoko — zauważyła Eve.

Gordy patrzył na Doris na ekranie. Rozmawiała przez telefon z Wielkim Rockiem, który bajerował ją jak zawsze. — Doris to się nigdy nie połapie, co?

— W końcu chyba jednak tak — odparła Eve.

— No mam nadzieję, do cholery.

— O tak, ja też. Prędzej czy później, Gordy.

— Założyłbym się, że prędzej.

Dopiła drinka, spojrzała na męża, przechylając głowę. Znał ten wyraz twarzy: postawiłam na właściwego konia.

— Należysz mi jeszcze tego samego, Gordy?

Gordy Curdy wstał z miejsca i zabrał pustą szklankę żony do baru. Zrobił jej drinka, tak jak lubiła, tyle że dołał trochę więcej rumu niż zwykle. No i te dziwaczne kostki lodu. Reszta była tylko dla koloru.

Otworzył sobie Miller's Light. Puszka strzeliła, zasyczała, bryzgnęła pianą.

— Lubię ten dźwięk, Gordy — powiedziała Eve.

— A tak, puszki z gazem. Coś mi to przypomina.

— Naprawdę?

— Niech no wytężę pamięć...

— Wytęż, kochasiu.

Zadzwiećzał domofon.

Eve Curdy była poirytowana. — O rany, kogo to niesie o tak późnej porze? Zdaje się, że trzeba by sprawdzić, Gordy.

Domofon odezwał się ponownie. — Dobra, załatwię to w mig, do cholery. — Gordy wcisnęła przełącznik.

— Ktoś do pana — odezwał się w głośniku Mathieson, jakby z klamerką na nosie.

— A niby kto?

— Tylko Soutar.

— To niech wejdzie. — Gordy raz jeszcze wcisnęła przełącznik.

— Soutar, ten utrapieniec — zauważyła pani Curdy.

— Wpadnie tylko na chwilę. — Gordy Curdy zauważył, że Doris płacze. Wielki Rock dopiekl jej do żywego. — Dzięki Soutarowi idą mi interesy.

— Szczerze mówiąc, Gordy, nie podoba mi się, jak tak zerka spod przymrużonych powiek. No i po co właściwie ciągle potrzebny nam ten Mathieson?

— Do ochrony domu — odparł.

— Siedzi tu przez cały czas, a jeśli nie on sam, to ktoś jego pokroju.

— To atrybut statusu społecznego, kochanie. Całodobowa ochrona na miejscu. A może wolałabyś wstrętne, ogromne wilczury? Albo jakiś pioruńsko brzydki płot?

— Tak na serio, Gordy, skarbie, myślę, że powinniśmy zrobić coś cholernie nietypowego. Na przykład, postawić przed domem latarnie, żeby rzucały romantyczny blask. Mogłabym patrzeć na nie przez okno i cieszyć się ich widokiem.

— Świetnie — odparł Gordy. — Zachowaj to w pamięci, kochanie.

— Tak jak całe mnóstwo innych rzeczy — zauważyła.

Drzwi się otworzyły i wszedł Soutar. Miał na sobie czarną marynarkę i szare spodnie, w ręce trzymał czarną, skórzaną teczkę. Niski, łysy mężczyzna, któremu jedno oko wcale się nie otwierało. Gordy'emu Curdy nigdy nie przyszło do głowy, że Soutar je mruży. Miał po prostu martwą powiekę. Jak wielu ludzi zresztą.

— Soutar, cóż cię sprowadza?

— Przepraszam, że przeszkadzam. Przyniosłem tylko papiery do podpisu.

— Jasne, w porządku. Zaraz rzucę okiem.

— Witam, pani Curdy — dodał wtedy Soutar. Eve skinęła chłodno głową. — Witaj, Soutar.

Otworzył teczkę. Pani Curdy patrzyła na Doris Day, rozmyślając o latarniach, kamieniach, śliwach, które można by zasadzić za domem i co roku cieszyć się obfitymi zbiorami śliwek. A Gordy Curdy rozmyślał o forsie, o tym, jaką zarobić i mieć jej całe stosy, ogromne jak pieprzone wulkany.

Tymczasem Soutar wyjął z teczki spluwę.

Gordy Curdy uśmiechnął się, zdziwiony, ale gdy spojrział Soutarowi w oczy, jego uśmiech znikł. Nie spodobało mu się to, co zobaczył. Martwa powieka pulsowała jakoś dziwnie, a oczy były złowieszczo poważne.

To nie żart, Soutarowi daleko do dowcipnisia.

Spanikowany Curdy wyciągnął rękę w obronnym geście.

Pani Curdy odwróciła się od plazmowego ekranu dopiero na dźwięk strzału. Zobaczyła, że jej mąż upada, a na jego hawajską koszulę tryska krew.

Soutar strzelił jej w głowę.

Kula zwała ją z leżaka z taką siłą, że głową rozbiła plazmowy ekran i sprężony gaz buchnął na cały pokój wraz z kawałkami stłuczonego szkła. Głowa utknęła w roztrzaskanej obudowie telewizora.

— Jestem wrażliwym mężczyzną — odezwał się głos Rocka Hud-sona.

Po chwili fonia zniknęła.

Do pokoju wszedł Mathieson z ogoloną głową jak typowy młody marines.

— Gotowe — rzucił Soutar.

— W porządku. Spieprzajmy stąd.

— Nawet jej do twarzy w tym pudle.

— Prawdziwa gwiazda telewizji — zauważył Mathieson. I obaj wyszli, zamykając za sobą drzwi.

— Lepiej przekręcę do tego gościa — powiedział Mathieson, kiedy opuszczali dom.

Reuben Chuck stał pośrodku salonu w swoim luksusowym apartamencie nad rzeką i jadł łyżką ekologiczną mieszankę krojonych bananów, muesli i koziego jogurtu. Patrzył w dół, na rzekę Clyde, na krzepnący na wodzie blask latarni. Był spokojny i pewny siebie. Zadzwoił telefon, ale on wcale nie śpieszył się, by go odebrać.

A gdy już to zrobił, usłyszał głos Mathiesona: — Gotowe, już załatwieni.

Reuben Chuck bez słowa odłożył słuchawkę. Załatwieni. Odprawieni. Tak burzy się stary porządek. W nocy będzie jeszcze kilka innych telefonów. A o świcie on jeden będzie miał decydujące zdanie i zgarnie całą forszę.

2

Moje serce zostało w Woodstock — wyznała Betty McLatchie.

Lou Perlman zastanawiał się, po co właściwie poruszyła ten temat. Może przez roztargnienie umknął mu jakiś szczegół. Zjawiała się punktualnie o dziesiątej rano, z mopem, wiadrem i różnymi detergentami, a on sam raczej nie wspominał nic o muzyce czy festiwalach. Była drobna, na oko krótko przed pięćdziesiątką, miała jasne, turkusowe oczy i uśmiech, od którego każdemu cnotliwemu mężczyźnie dreszcz przebiegał po karku. Perlman uznał, że kobieta jest żywym cieniem swojej młodości.

Żółtosiwe włosy miała zaczesane do góry i upięte spinkami w misterną fryzurę. Jej wytarte, niebieskie dzinsy, ozdobione małymi, cudacznymi naszywkami ze znakami zodiaku, podtrzymywał na biodrach gruby pasek z fikuśną klamrą z brązu. Jej ubranie mówiło samo za siebie: zapalona hipiska.

— To dopiero był ubaw, Lou. Wszyscy byliśmy wtedy cholernie młodzi i wolni. Dawaliśmy niezłego czadu.

— Ja też wspominam swoją młodość — odparł Lou. Rzeczywiście, pamiętał ją jakby przez zamierzchną mgłę miasta Glasgow.

— Tak mi wstyd, jak sobie pomyślę, co ja wtedy wyprawiałam — przyznała Betty i zaśmiała się na wspomnienie swoich dawnych szaleństw. — Miałam romans z Country Joe. I jeszcze z dwoma facetami z Fish.

Perlmana uderzyła jej szczerłość. — A ja myślałem, że w Fish było ich jeszcze trzech. Czyżby jeden ci umknął?

— Zrozum, starałam się, jak mogłam. Och, żebyś tylko wiedział, jak bardzo.

— A Boba Dylana widziałaś?

— On nie wystąpił na Woodstock. Ludzie ciągle robią ten błąd.

Dylan, a tak naprawdę Zimmerman. Perlman był ciekaw, czy jemu samemu też nie przydałaby się zmiana nazwiska. Powiedzmy, że Lou Perlman nazywa się teraz Hamish McKay. Takie nazwisko kojarzy się z twee-dowym ubraniem, porządnymi półbutami, może nawet z małym terierem. — No, a jak ten dom...

— To prawdziwy chlew, Lou. Wybacz, że to mówię. Po prostu jestem szczerą. Twoja ciotka Hilda uprzedzała mnie, żebym przygotowała się na najgorsze.

Jego ciotka Hilda znana była ze swej skłonności do przesady, ale tym razem nie przesadziła. — No, bo mieszkam sam... — zaczął, jakby to miało wszystko wyjaśnić.

— I od czego tu zacząć? To potrwa chyba ładnych parę tygodni.

Perlman wzruszył ramionami. — Rób po swojemu, Betty.

Rozejrzał się po pokoju dziennym. Prawdziwy chlew... Z każdym rokiem coraz bardziej zaniedbywał ten dom i oprócz sporadycznych, powierzchownych prób starcia kurzu czy zdjęcia pajęczyny, zasadniczo miał to wszystko głęboko gdzieś.

A teraz zjawiała się Betty McLatchie, aby odmienić ten dom na życzenie ciotek Perlmana z Southside, które troszczyły się o jego dobro. Życzliwe kobiety z tych jego ciotek, ale ich troskliwość niekiedy zakrawała na wścibstwo.

Popatrzył na kolekcję medali z drugiej wojny światowej, które kupił na wyprzedaży rzeczy używanych, bo żał mu było jakiegoś dawno nieżyjącego już biedaka, który doznał tyłu cholernych krzywd pod ostrzałem wroga, żeby sobie na nie zasłużyć; na duże, szklane słoiki pełne monet sprzed wprowadzenia systemu dziesiętnego, na te wielkie, brązowe pen-sówki i zaśniedziałe dwuszylingówki, które trzymał od dzieciństwa; na winylowe albumy, już dawno bez okładek, i na srebrne stopy płyt kompaktowych na podłodze, tuż obok miniwieży.

Przerażała go myśl, że to wszystko pójdzie na zmarnowanie — ale nadszedł najwyższy czas, żeby coś tu zmienić. Czas — tego akurat miał teraz całą masę.

— No, to biorę się do roboty — oznajmiła Betty McLatchie. Wyjęła pojemnik z odświeżaczem powietrza i energicznie spryskała pokój.

Zaskoczony Perlman próbował zrobić unik przed pachnącą mgiełką, ale zdążył już poczuć na twarzy kilka wilgotnych kropel.

— Wiem, to tylko tak z grubsza, ale ja zawsze mówię: odśwież powietrze, zanim weźmiesz się do roboty.

— Tak? — Perlman poczuł na ustach smak substancji. — A co to za zapach?

— Powiew oceanu.

— Oceanu? Żaden znany człowiekowi ocean nie ma takiego zapachu — powiedział Perlman, po czym dopadł go kródu atak kaszlu. — No, to ja już nie przeszkadzam.

Wszedł do kuchni i otworzył drzwi prowadzące na podwórze za domem. Był tam splątany gąszcz ogromnych paproci, starych łodyg rabarbaru i paru niesfornych krzewów głogu, nienadających się już do przycię-

cia. Zapalił papierosa i przedarł się przez tę dżunglę do miejsca, gdzie — z tego, co pamiętał — zachowały się pozostałości po drewnianej ławce. Odgarnął kępy sztywnej trawy, usiadł i popatrzył na tył domu. Czarny kamień od wieków zabrudzony wydzielinami miasta. Futryny okien wymagały odmalowania. Rynna była obluzowana i zardzewiała. Gnieździły się w niej szpaki.

Poczuł ciężar skutków licznych zaniedbań i niedopatrzeń. Rzadko tu bywam. Przyjeżdżam tu tylko przenocować i się przebrać. Oto jego wymówki. Wypalił papierosa do filtra. Wsluchiwał się w wiatr w drzewach, jak szeleścił w paprociach i trawie: oto kolejne nieprzewidziane popołudnie w Glasgow, kiedy pogoda robi, co chce. Niebo było złowrogie i szare jak popiół.

Pomyślał o Miriam, co zdarzało mu się często: jak regularnie nawiedzający go duch. Ostatnią pocztówkę dostał cztery tygodnie temu z Kopenhagi: taka tam lakoniczna wiadomość, z której nie wynikało, że wraca do domu, aby kontynuować to, co między nimi zaszło, cokolwiek to było. Pocałunek, delikatna pieśczość jej piersi, niejasne plany ewentualnej wspólnej przyszłości. Chyba że opacznie zrozumiał całą tę sytuację, zanadto się w nią wgłębiając. Niczego nie był tak pewien jak swoich uczuć do niej, ale czasem i jemu zdarzały się chwile zwątpienia.

Napisała: miasto piękne, ciepłe pozdrowienia.

Cztery słowa, a dalej tylko M.

Ciepłe. Rany, co to, do cholery, ma znaczyć? Tak się mówi o pogodzie albo o zupie. I te cztery tygodnie. Czyżby zapomniała o romantycznej kolacji w La Fiorentina, o tym, jak leżeli obok siebie na sofie w jej pracowni na poddaszu i zastanawiali się, czy przez na wpół zapamiętaną piosenkę nareszcie przebiję się miłość?

Powiedziała mu, że potrzebuje trochę czasu. A on, oczywiście, ją rozumiał: miłość to poważne zobowiązanie, sprawa sercowa, a serce to organ tak samo nieprzewidywalny jak pogoda w tym mieście. Wobec Miriam zawsze był cholernie uległy i wyjądkowo cierpliwy.

W swoim życiu nigdy nie kierowałem się pieprzoną zasadą *carpe diem*.

Daj sobie spokój, pomyślał. Miriam, neshumela. Kochał ją po cichu przez tyle lat, że teraz mógł na powrót zamknąć się w swoim milczeniu. Jakoś sobie poradzi. Nic mu nie będzie, jest przecież twardy. A jednak.

Z wnętrza domu dobiegło go wycie odkurzacza. Wstał z ławki i przez chwilę przechadzał się wśród zarośli jak jakiś melancholijny poeta w poszukiwaniu natchnienia. Lou Keats. Po pierwszej kropli deszczu wszedł

do domu, gdzie muzyka zagłuszała buczenie starego hoovera. Betty Mc-Latchie posłała mu uśmiech i wskazała kciukiem do góry.

— Przy muzyce lepiej mi się pracuje — zawołała.

To był kawałek „Hotel California”. The Eagles.

Perlman zdjął z oparcia krzesła płaszcz przeciwdeszczowy. — Zostawiam cię samą z tym bałaganem, Betty — rzucił. Poszperał w kieszeni, dobył kluczy, zdjął jeden z kółka i podał jej. — Proszę. Lepiej, żebyś go miała. Jak nie zdążę wrócić, to pamiętaj, żeby wychodząc zamknąć frontowe drzwi.

Wzięła klucz. — W porządku.

Ruszył po przedpokoju, zatrzymał się przed lustrem, zastanawiając się, czy nie przeczesać włosów, ale bywały takie dni, kiedy żadne czesanie nie zdołało choćby w najmniejszym stopniu poprawić mu wyglądu. Jak to mówiła o nim Miriam? Wyglądasz, jakbyś dopiero co wstał z łóżka. Spojrzał gniewnie na swoje odbicie, pogładził zarost na podbródku i wyszedł z domu.

Na zewnątrz, nie widząc ani śladu po swoim starym fordzie mondeo, przez krótką paniczną chwilę uznał, że rąbnął go jakiś złodziejasek — i wtedy przypomniało mu się, że parę dni temu zamienił go na używany ka — mały, pękaty pojazd, do którego kupna namówił go diler. To bardzo popularne autko, Lou. Mało pije, a do tego zrywne. Wiedza Perlmana o samochodach równała się zeru. Dla niego dobre auto to takie, które miało odtwarzacz i pojemną popielniczkę. Ruszył wzdłuż Dalness Street do Tollcross Road.

I oto Żyd wieje z Egipt, fajcząc szluga jak szalony.

3

Szedł przez Buchanan Street Galleries. Nowe, oświetlone Glasgow, całe mnóstwo sklepów w jaskrawej mgle. Mango, Next, Habitat. Zajrzał przez szybę do Ottakar's. Kusiło go, żeby wejść i powęszyć trochę wśród regałów. Uwielbiał zapach książek. Czasem otwierał którąś, by powciągnąć nosem woń okładki i papieru. Dziś jednak miał lunch z Sandym Scullionem — najważniejsze wydarzenie tygodnia czy nawet miesiąca.

Przed zejściem do stacji metra przy Buchanan Street jakiś kobziarz w kilcie grał „Amazing Grace”. Perlman zatrzymał się na rogu Bath Street. Instynkt podpowiadał mu, by skrócić w prawo i pójść tam, którędy chadzał już chyba z tysiąc razy, pod górę do głównej komendy policji na

Pitt Street. Magnetyzm dawnych przyzwyczajęń. Ale nie dziś, nie jutro. Właściwie to nawet nie bardzo wiedział, kiedy tam wróci. To tak, jakby wylecieć z klubu, do którego należało się od przeszło dwudziestu pięciu lat.

Minął stare Ateneum, czyli dawną szkołę teatralną, piękną budowlę z czerwonego piaskowca, którą teraz zajmowała firma o nazwie Townhouse Interiors. Zerknął na Kościół Szkocji na rogu Nelson Mandela Place i ruszył wzdłuż Buchanan Street w najgorszej mżawce, padającej we wszystkich kierunkach, rozwiewanej lekkim wiatrem. Wokół niego tłoczyli się piesi. Miejscowi ludzie, o zdeterminowanych, zatwardziałych, fa-talistycznych wyrazach twarzy, wyglądali jak potomkowie odlewników, stoczniovców i ciężko harujących robotników.

Uwielbiał te twarze Glasgow.

Przeszedł przez ulicę. Sandy powiedział: punkt pierwsza. A Perlman był punktualny. Nie miał powodu, żeby nie być. Jego życie, niegdyś tak aktywne i skomplikowane, stało się teraz bez smaku jak całodniowa lura.

Princes Square było kultowym miejscem pełnym butików i kawiarenek pod szklanym dachem w stylu Art Nouveau. Dostrzegł Sculliona przy stoliku przed Café Gerardo.

Usiadł i uściśnął Sandy'emu dłoń.

— Miło cię widzieć, Lou.

— Czyżbyś zapuszczał sobie mały wąsik, Sandy?

Scullion przesunął palcem po wargach. — Tak na próbę. Madeleine się podoba.

— Żony nie są obiektywne. — Perlman wziął kartę dań. — Policzyłem kiedyś sobie, ile razy w życiu się goliłem. Wyszło mi coś około czternastu tysięcy. To od groma żyletek i całe mnóstwo zacięć. No i pomyślałem sobie: trochę szczecinki chyba nie zaszkodzi?

— Liczenie, ile razy się goliłeś, jest oznaką... — Scullion nie dokończył zdania.

— Już to słyszałem. — Perlman popatrzył w kartę dań. — Czemu teraz kucharze dodają do każdego dania kielki sojowe i bok choi? I tak z porządnego omletu robi się jakiś orientalny jajeczny szajs.

— A wolałbyś pójść do baru, gdzie serwują batony Mars smażone w głębokim tłuszczu?

— To się kończy śmiercią z otłuszczenia. — Perlman odłożył kartę dań i popatrzył na inspektora. Jego przerzedzone, rudawozłote włosy, które kiedyś zaczesywał z przedziałkiem po boku, były teraz ścięte aż do samej skóry. Sprawiał wrażenie twardszego, silniejszego i jeszcze bar-

dziej wyglądał na policjanta. Jego zaróżowiona skóra świadczyła o dobrym zdrowiu i obyczajach. Był szczęśliwie żonaty, z dwojgiem dzieci. Scullion miał spełnione życie. Wieczorami, kiedy wracał do domu, mógł całkowicie się wyłączyć. Jaka znowu fala przestępstw? Za to Perlman nigdy nie umiał zapomnieć o pracy. Nawet teraz, na „zwolnieniu chorobowym”.

— A jak tam twój bark, Lou?

— Są dni, że jak ręką odjął. A kiedy indziej łykam środki przeciwbólowe. — Nie bardzo chciał rozmawiać o tej kuli, która przeszła mu bark. Czasem śniło mu się, że do niego strzelano, ale w jego snach kula zawsze trafiała do wybranego celu, czyli serca. Wtedy umierał i widział swój własny pogrzeb. Wśród oplakujących go osób nie było Miriam; tylko jego ciotki zawodziły w tle jak kiepski grecki chór.

Raz jeszcze przejrzał kartę dań: wędzony lupacz i ratatouille en crouste.

— Mów lepiej, Sandy, czy ktoś o mnie pytał?

— Nadinspektor Gibson, jak zawsze zresztą.

— Kochana kobieta. Jakiś czas temu nawet do mnie dzwoniła. Kelnerka o czarnych, farbowanych włosach i z drobnym, srebrnym

kółeczkiem w nosie zatrzymała się przy ich stoliku.

— Proszę makaron z pomidorami i bazylią — wyrecytował Scullion.

— A ty co chcesz, Lou?

— Burgera z frytkami — rzucił Perlman. Popatrzył na kelnerkę. — I żebym nie widział na talerzu żadnych kielków sojowych ani musztardy.

Kelnerka uśmiechnęła się. — Burger z frytkami to burger z frytkami.

— A ja poproszę jeszcze piwo — dodał Scullion. Perlman zamówił wodę gazowaną.

— Już podaję. — I kelnerka odeszła od stolika.

Scullion oparł łokcie o stół. — Z niewyjaśnionych powodów Mary Gibson zawsze miała do ciebie dziwną słabość. Za to Tay... on jest jak kot, który dostał darmowe zapasy mleka na całe życie. Szaleje z radości, że twoja... hm, niewygodna osoba nie kręci się już na Pitt Street.

Komendant główny, nadinspektor William Tay, sztywny ponurak, o którym krążyła plotka, że uśmiecha się średnio raz na dziesięć lat, kisił się przez całe swoje życie w smętnym prezbiterianizmie. Był chrześcijańskim żołnierzem w rozumieniu czasopisma Onward, zwalczając w Glasgow siły ciemności w imię Boga.

— To antysemita — orzekł Perlman i wydał z siebie głośnie uff.

— Przesada.

— Przypomina mi Goebbelsa. Zawsze mam wrażenie, że zaraz zrobi mi wykład o rasie panów... Wiesz, Sandy, właściwie to mógłbym wrócić do pracy już jutro. Chryste Panie, przecież czuję się całkiem dobrze. Mówię serio.

— Nie ma mowy, Lou. Ludzie ze środowiska lekarskiego zatańczą tak, jak im zagra Tay. Tyłków sobie nie podetrą bez jego zgody. Nie przejdiesz pomyślnie następnych badań. Nawet na to nie licz. Tay nigdy za tobą nie przepadał. A tym bardziej od procesu Miriam.

— Przecież to ostracyzm — zauważył Perlman. Nie miał ochoty znowu przerabiać procesu Miriam. Wszystko, co się z nią wiązało, było jak rozcięta żyła. — No i co ja, do jasnej cholery, mam ze sobą począć?

Kelnerka wróciła i podała napoje.

Perlman spojrział na nią przepraszająco. — Proszę wybaczyć moje słownictwo.

— Udam, że jestem głucha jak pień i nic nie słyszałam. Zaraz podam dania, proszę panów.

Perlman odprowadził ją wzrokiem. — Podoba mi się. Zostaw jej spory napiwek, Sandy.

— A przez telefon mówiłeś, że ty stawiasz.

— Żyd i Szkot sprzecząją się, kto ma zapłacić rachunek? To mi brzmi jak kiepski dowcip.

Scullion uniósł szldankę. — No to zdrowko, Lou. A tak na pocieszenie: chciałbym, żebyś wrócił.

— Doceniam to, Sandy. No a co z moim pytaniem?

— Znajdź sobie jakieś hobby. Zaczynaj chodzić na mecze piłki nożnej. Kiedyś często to robiłeś.

— Bo wtedy grali prawdziwi mężczyźni. A teraz to modne lalusie z pedalsko ufarbowanymi włosami i w kurtkach od Bossa, co to biorą udział w niesmacznych incydentach w klubach nocnych.

— W takim razie wyjedź z miasta. Kiedy ty ostatnio wyjeżdżałeś z Glasgow, Lou?

Poza granicami miasta Perlman zawsze czuł się jakoś niepewnie. — A wyobrażasz sobie mnie na szczycie wieży Eiffla, śmiejącego się jak przyglup? Proszę cię tylko o radę i co słyszę? Jakieś bzdety.

Scullion zajrzał do szklanki z piwem. — No, to sam już nie wiem, Lou.

Nad głowę Perlmana złowieszczo nadciągnęły chmury. Chociaż nie zwykł miewać dołów, nawet kiedy miał do czynienia z najpodlejszymi występkami innych ludzi — ale teraz zbyt łatwo, w nietypowy dla siebie

sposób, ulegał przygnębieniu. — Jestem po prostu trochę zagubiony, chłopie — orzekł.

Scullion zmarszczył brwi. — No to wpadnij kiedyś na kolację, Lou. Madeleine ciągle suszy mi głowę, żebym cię zaprosił.

— Na zapiekankę rybną?

— Obiecuję ci, że nie.

Żarty na temat zapiekanki rybnej przyrządzanej przez Madeleine stały się między nimi rutyną. Perlman nie pamiętał nawet, od jak dawna. Coraz bardziej się zamykał, a beczynny umysł łatwo zapomina.

Kelnerka podała dania. Perlman przyjrzał się swojemu burgerowi z frytkami, a Scullion zaczął nawijać nitki makaronu na widelec.

— Wiesz, Lou, właśnie zauważyłem, że nie nosisz już okularów.

— Świetnie, Sandy. Kiedyś będzie z ciebie dobry glina. Dałem sobie spokój z tymi okularami a la Buddy Holly. Od soczewek czasem szczypią oczy, ale przynajmniej mój nochal nie straszy odciskami od tych starych, ciężkich oprawek. — Perlman włożył frydkę do ust. — No, mów, co tam słyhać. Strasznie jestem spragniony nowych wieści.

— Nastoletnia matka-ćpunka wsadziła dziecko do wirówki. Na brzegu jeziora Hogganfield Loch znaleziono faceta bez głowy, ubranego w kostium klauna. Mamy też dwie potencjalne ofiary łowców organów, jedna w Barlanark, a druga w Possil — wyliczał Scullion między kęsami, jakby czytając nagłówki jakiegoś brukowca. — A do tego kilka morderstw wśród gangów.

— I co z tego, że sprzątnęli paru drani. Nieważne, kto zajął ich miejsce, i tak prędzej czy później znowu zjawi się jakiś gangster z gnatem. A zresztą kto by tam tęsknił za takimi podłymi łajdakami jak Jimmy Stoker i Gordy Curdy? Bandziory, dziwkarze i mordercy. — Włożył do ust jeszcze jedną frytkę, czując, że zaraz zacznie bluzgać, więc zmienił temat. — A o tym klaunie bez głowy czytałem.

— Dziwna sprawa.

— Ciekawe, po co był mu ten strój? I kto mu odciął głowę? — Perlman połał burgera jakimś brązowym sosem. Rozpierała go chęć działania, a tymczasem to, co dla niego najważniejsze, wymykało mu się z rąk. Spodobała mu się ta historia z bezgłowym klaunem. Wziął burgera i ugryzł go. Poczul mdły smak przemysłowej wołowiny. — Pewnie wybierał się na bal przebierańców. Czy raczej powiedział sobie: żegnaj, okrutny cyrku, odchodzę w świat.

— Na razie jeszcze go nie zidentyfikowano. Głowa też się nie znalazła.

— To było czyste cięcie czy rąbanka na oślep?

Scullion otarł serwetką usta. — Słuchaj, nic ci to nie da. To naprawdę niezdrowa sprawa.

— I co z tego? Przecież całe życie babrałem się w tym, co niezdrowe.

Scullionowi zadzwoniła komórka. — Przepraszam — rzucił i wyjął telefon z kieszeni. Perlman rozejrzał się po Princes Square. Jego uwagę przykuł pewien mężczyzna w podeszłym wieku, siedzący przy stoliku przed inną knajpką. Mówił sam do siebie. A może do urojonego przyjaciela, do zmarłej żony albo po prostu modlił się, żeby ktoś podszedł i wyrwał go z tego samotnego monologu.

Scullion schował telefon. — Niech to szlag. Muszę lecieć.

— Mam nadzieję, że to coś miłego.

Scullion podniósł się z miejsca. — Rutynowe sprawy. Nie pamiętasz, Lou? Zdaje się, że zapomniałeś już, co to cholerna monotonia szarej codzienności. Ta robota to nie tylko klauni bez głów, morderstwa wśród gangów i tajemnicze przypadki.

— Po mojemu tak.

— No, to zadzwonię w sprawie kolacji.

— W takim razie będę tkwił przy telefonie jak paralytyk.

Po wyjściu Sculliona Perlman posiedział jeszcze parę minut. Kiedy poprosił kelnerkę o rachunek, powiedziała mu, że za lunch już zapłacono.

— A dostała pani spory napiwek?

— Bardzo wysoki.

Perlman wstał. Rzucił na stół trzy jednofuntowe monety.

— Nie trzeba — zaprotestowała kelnerka. — Nie zjadł pan nawet swojego burgera.

— Jakoś nie mam apetytu, skarbie.

Ruszył po Buchanan Street, gdzie popołudnie powoli zanurzało się w zmrok. Postawił kołnierz płaszcz a i poszedł w stronę Galleries: jak martwy klaun w deszczowym mieście.

Nie wrócił jednak do Egypt, tylko przejechał na drugą stronę rzeki Clyde i udał się na południe, do Ibrox, mijając monolityczną konstrukcję stadionu z czerwonej cegły, gdzie Glasgow Rangers grali w futbol. Jakies ćwierć mili za stadionem zaparkował przy barze na ulicy zabudowanej kamienicami z piaskowca i przez chwilę siedział w samochodzie, paląc papierosa. Następnie wyrzucił niedopałek przez okno i wystukał w komórce jakiś numer.

— Przyjeżdżaj. Stoję przed wejściem do Jaycee.

— Będę za pięć minut.

Perlman rozłączył się. Zobaczył, jak z Jaycee Bar wychodzą dwie tęgie dziewczyny o twarzach rumianych po ciężkiej, południowej sesji, wyraźnie skłócone. Uznał, że to bliźniaczki jednojajowe; każda miała na sobie czerwono-biało-niebieski szalik kibica Rangersów.

— Brian Laudrup jest najlepszy ze wszystkich, i tyle — orzekła jedna z nich.

— Gówno prawda, najlepszy jest Davie Cooper. Coop, tak trzymać, maleńki.

— Każdy ma własne zdanie.

I doskoczyły do siebie, unosząc pięści, ale szybko opamiętały się i weszły z powrotem do baru na kolejnego drinka.

Perlman zauważył Picklera idącego drugą stroną ulicy. Nacisnął lekko klakson, a wtedy Pickler skierował się w stronę auta i zajął przez szybę. Perlman sięgnął do drzwi i otworzył je, a Pickler wślizgnął się na siedzenie pasażera.

Czuć było od niego porażający odór kulek na mole.

— Nowe autko, co, panie Perlman? Bardzo ładne. Ile pali?

— A skąd mam wiedzieć?

Pickler obejrzał tablicę przyrządów, dotknął deski rozdzielczej, otworzył schowek i wyjął instrukcję obsługi. — A pojemność silnika? Tysiąc trzysta?

— Jeszcze nie czytałem — odparł Perlman, znudzony tematem.

— A szkoda, panie Perlman. Bo mnie to kręci. Spalanie. Moc silnika. Po mojemu będzie z siedemdziesiąt koni... Widzę, że ma też wbudowane radio. I pewnie czterocylindrówka?

— Daj mi spokój — rzucił Perlman.

— Może zajrzę pod maskę? — Pickler już wysiadał z samochodu. Perlman wciągnął go z powrotem. — Najważniejsze, że jeździ. Mnie

to wystarczy.

Pickler opadł na fotel. — Szczerze mówiąc, to ten kolor trochę nieciekawym. Fiolet jest... za delikatny.

— To cynober — sprostował Perlman.

— Cynober, he? — Pickler poruszył gałką zmiany biegów. — No i co tam słyhać?

— Lepiej ty mi powiedz.

Przez chwilę obserwował Picklera, który z wielką pasją przesuwał palcami po przyciskach na desce rozdzielczej. Był przysadzistym mężczyzną z kilkoma obwisłymi podbródkami, miał na sobie stary, brązowy, niedopasowany garnitur i niemodną koszulę bez kołnierzyka — ubrania, które nawet do niego nie należały, a które dostał w spadku, pożyczył lub po prostu zwinął z sieci Goodwill.

— Słyszałem, że póki co nie wraca pan do roboty — zauważył Pickler.

Taki to ma swoje źródła, pomyślał Perlman. — Na razie nie — odparł.

— Krąży się tylko na zwiadach, he? No, to całkiem tak jak ja — zachichotał Pickler.

Perlman nie miał ochoty rozwodzić się nad tym, że został odsunięty od pracy ani nad tym, co on i jego wtyczka mają ze sobą wspólnego. — Słuchaj, ten klaun bez głowy — zaczął.

— A tak, czytałem o nim.

Perlman wyjął portfel i dał Picklerowi dwudziestaka. — Jakby mnie to intryguje.

— W porządku. Powęszę trochę i zobaczę, co się da wyszperać.

Perlman widział, jak banknot znika w głębokiej kieszeni Picklera. Łykasz powietrze, Lou, zdychasz z braku pieprzonego celu i próbujesz wkupić się w świat, bo coś tam, a właściwie wszystko, cię w nim intryguje.

— Powiem panu szczerze. Łatwo nie będzie, panie Perlman. Miejsce, gdzie go znaleźli, wykracza grubo poza mój rewir.

— To tylko niecałe dwadzieścia minut autobusem — zauważył Perlman.

Pickler zaśmiał się. — A kiedy pan ostatnio jechał autobusem, panie Perlman?

Dołożył Picklerowi jeszcze dziesiątaka. — Zadzwoń za parę dni.

— Jasne.

Pickler zbierał się do wyjścia. — Nie moja sprawa, ale skoro jest pan na zwolnieniu, to po kiego pyta pan o tego klauna?

— Trzymam rękę na pulsie — odparł Perlman. — Mam nadzieję, że chodzisz jeszcze na terapię?

— O tak, jak tylko jestem na tyle trzeźwy, żeby o tym pamiętać. — Pickler znów się zaśmiał; to był chrapliwy, dobroduszny chichot. Należał do tych, co to znają swoje słabości i próbują się z nimi pogodzić. Jeszcze raz rzucił okiem na samochód. — Mówił pan, że cynober?

— Właśnie.

— A dla mnie bardziej fiolet.

Perlman ruszył. We wstecznym lusterku widział, jak Pielder drecze chodnikiem. Co za desperacja, żeby ślęczeć nad trupem klauna — pomyślał, dusząc się stężonym kamforowym powietrzem.

4

Betty McLatchie odkurzyła dywany i półki, po czym wypolerowała wielki, szklany słój z monetami. Pamiętała tamte dawne pieniądze. Ileż to można było kupić za jednego pensa, kiedy była dzieckiem: kubek sorbetu albo ciagutkę. Za dwa miało się już szluga, a za dwuszylingówkę całą paczkę fajek.

Poukładała wszystkie płyty kompaktowe i natknęła się na okładki jednej trzeciej albumów winylowych. Perlman miał kolekcję różnej muzyki. Jazz, rock z lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, klasyka. Wsunęła do odtwarzacza CD płytę Sinatry. „Fly Me to the Moon”. Poleć ze mną na księżyc...

Polecę mną, Frank. Tanecznym krokiem przeszła do kuchni. Brudne ścierki do naczyń, popielniczka tak pełna, że prawie się z niej sypało, kawałek twardej grzanki z wygryzionym półksiężycem i rozlane jajko, zastygłe w kleistą masę. A kafelkowej podłodze przyda się porządne mycie mopem. Trzeba doprowadzić do porządku całe to pobjowisko.

Najwyraźniej Perlman nie przywiązywał szczególnej wagi do utrzymania tego domu w takim stanie, co znaczyło, że nie miewał zbyt wielu gości — a już na pewno nie kręciły się tu żadne kobiety, którym chciał zaimponować. Raz czy dwa słyszała, jak jego ciotki z dezaprobatą opowiadały o jakiejś kobiecie, podobno ukochanej Perlmana, Miriam. Ona nie jest dla ciebie, Lou, mawiała Hilda. A Marlenę jej przytakiwała. Jeśli się kocha mężczyznę, to nie wyjeżdża się w siną dal, zostawiając go zagubionego jak dzieciaka we mgle. A teraz Lou rozczuła się nad sobą i bardzo łatwo wpada w depresję. Dzielnica, w której mieszka, też nie jest dla niego. Egipt — czemu nie Shawlands czy Giffnock? Regularnie rozprawiły nad losem Lou, pośród westchnień, kręcenia głowami, bo przecież taki mężczyzna zasługuje na coś lepszego niż życie w samotności.

Betty przypomniawszy sobie o rozmowie telefonicznej, z którą zwlekała. Przygryzła paznokcie i spojrzała na telefon na kredensie. Wzięła słuchawkę, ale znów miała ochotę ją odłożyć. Tym razem jednak wystukała numer.

Smętna Debbie odebrała po drugim sygnale.

— Tu numer dwieście trzydzieści jeden...

— Cześć, Debbie — odezwała się Betty. — Zastałam syna?

— Cholera, ani śladu tego zasańca. Już trzy dni i nawet nie raczył się odezwać.

Berty wysunęła dolną wargę. — Zaczynam się martwić.

— Nie szkoda ci czasu? Przecież to nie pierwszy raz — ciągnęła Debbie chłodnym, urażonym tonem żony, która przywykła już do tego, że bywa opuszczona i lekceważona. Przypominała gadający soplel.

— Czy ty nic nie kapujesz? — ciągnęła Berty.

— Och, jasne, że kapuję. Mam ochotę się wynieść i go zostawić.

— O, tylko nie to. Chcę, żebyś dała mu szansę.

— Przecież już ją miał, do cholery. A ty przez całe życie go rozpieszczałaś.

— Jestem jego madcą, kocham swojego syna.

— To zwyczajny gnojek, i to twoja zasługa. Patrzysz w niego jak w zaszary obrazek.

Tylko ze mną nie zaczynaj, pomyślała Betty, bo zaraz ci wygarnę, co naprawdę o tobie myślę, panienko Debbie McLatchie, z domu Grierson. Kirk postawił na kiepskiego konia, żeniąc się z tobą. Przy jedzeniu sior-biesz zupeł, twój rżący śmiech działa wszystkim na nerwy, a od twojego wrednego spojrzenia nawet mleko by zsiadło...

— Słuchaj, Deb, pracuję teraz u jednego gliny. Mogę z nim pogadać.

— Glina nie będzie sobie zawracać tym głowy.

— Ten jest w porządku. To miły gość.

— Jasne, tobie zawsze się wydaje, że wszyscy są mili. Ty chyba śnisz, Betty McLatchie. Nie wierzę w te twoje historie o Woodstock ani w to, że rżnął się z muzykami. Nie wierzę nawet w to, że w ogóle byłaś w Woodstock...

— Możesz sobie wierzyć, w co chcesz. Nie jestem w nastroju do kłótni.

Trzask. Debbie rzuciła słuchawkę.

— Bezczelne krówsko — mruknęła Betty. Cierpiała na klimakteryjne uderzenia ciepła, jej organizm zamieniał się w saunę. Poczula na twarzy gorącą falę.

Debbie była szorstka jak drucianka do garów. Rozmowy z nią zawsze wywoływały w Betty napięcie. Z tylnej kieszeni spodni wyjęła paczkę po papierosach i otworzyła ją. W środku było pół skręta. Podpaliła zielsko swoją małą, czerwoną zapalniczką Bic i zaciągnęła się parę razy. Kirk nie powinien był pozwolić Annie odejść ze swego życia. To cholerny, wielki błąd. Śliczna, wesoła Annie — co się w ogóle z nią dzieje?

Zaczekała, aż skręt zgaśnie, i schowała go z powrotem do paczki. Już od samego dymu rozluźniały się mięśnie. Pragnęła tego uczucia, tego przyjemnego zamroczenia, łagodzącego surowość rzeczywistości.

Słyszając, jak Perlman otwiera lduczem drzwi, szybko spryskała kuchnię „powiewem oceanu” i pomknęła z powrotem do pokoju dziennego, by go przywitać. Płaszcz miał zmoczony deszczem, a jego gęste, szpakowate włosy, rozwiane na wszystkie strony, połyskiwały w świetle.

Rozejrzał się, zdziwiony i ucieszony. — Przepraszam, chyba pomyliłem domy. Myślałem, że tu mieszka niejaki Perlman.

Roześmiała się. — Miałam pełne ręce roboty.

Opuszkami palca przesunął po wypolerowanej półce. — Prawdziwy cud. Mogę się w niej przejrzeć.

I uśmiechnął się, co nadało jego twarzy całkiem inny wyraz. Unoszący się nad nim ponury obłok rozwiął się nagle i Perlman wyglądał jak mały chłopiec, który obudził się w dzień swoich urodzin, pełen oczekiwania.

Betty czuła, jak odprężająca moc trawki uderza jej do głowy. — Czy mogę prosić cię o radę?

— Nie krępuj się — odparł.

5

Dorcus wyjrzał przez okno na rozświetlone o zmierzchu wieżowce. Osmalone tu i ówdzie od pożaru, naszpikowane antenami satelitarnymi, stały oddalone od murów jego domu o zaledwie pięćset jardów. Szybkim ruchem zaciągnął zasłony, wzbijając wokół kłęby starego kurzu. Nie musiał już patrzeć.

I tak wciąż słyszał nieustanny jazgot ich mieszkańców, Betonowców. Dudniąca muzyka rockowa, tłuczenie szkła, warkot motorów, płacz dzieci, ujadanie psów, rzyganie pijaków i klótnie męsko-damskie.

U szczytu schodów siostra Payne zawołała nieco nagłym głosem. Czyli wszystko gotowe, można zaczynać.

Popędził na górę, mijając zimną strefę, która zawsze przyprawiała go o dreszcze, i wszedł do swego gabinetu. Białe lamele żaluzji były spuszczone, lampy zapalone. Z odtwarzacza płynęły Kindertotenlieder Mahle-ra. Słodko-melancholijne pieśni.

Wtedy przypomniało mu się to, co kiedyś powiedział jego świętej pamięci ojciec, sędzia Dysart. Żyjęjak po śmierci, Dorcus, i to jest mój dramat. I, jak na nieszczęście, twój też.

Nie myśl o tym, skup się lepiej na pracy.

Starannie wyszorował dłonie dettolem. Naciągnął rękawice chirurgiczne i z podziwem popatrzył na swoje ukryte pod nimi ręce, białe i sterylne. Już na samą myśl o zarazkach po głowie zaczynały mu krążyć wyolbrzymione wizje skupisk gronkowców czy też różowe jak flamingi pałeczki E-coli. Tego typu obce ciała we krwi były jego wrogami i dlatego musiał zawsze zachować czujność.

Raz jeszcze umył ręce i dopiero po tym naciągnął na twarz maskę. Lubił czuć swój oddech na bawełnianym płótnie. Trzy razy dziennie szorował zęby, a rano i wieczorem płukał usta corsadylem.

Stał przy stole. Zwiotczałe oblicze, które na nim ujrzał, było pozbawione wieku. Taka tam zwyczajna twarz. Gdyby ktoś zobaczył ją na jakimś starym, szkolnym zdjęciu, to nie przyglądałby się jej ani chwili dłużej, przekonany, że taka osoba ma przed sobą jedynie szarą, anonimową przeszłość. Dorcus wyciągnął rękę i delikatnie dotknął tej twarzy, nie mogąc się nadziwić sprężystości i roli skóry: zapobiegała wydostaniu się organów na zewnątrz i chroniła je przed deszczem. A przy tym była tak delikatna i bardzo łatwo ją przebić; wystarczy kawałek szkła czy drzazga, a nawet krawędź kartki papieru może wywołać krwawienie. Biedactwo, pomyślał Dorcus, pewnie życie cię nie rozpieszczało, co?

Skalpel, siostrze Payne.

Skalpel, doktorze Dysart.

Ubóstwiał siostrę Payne. Biorąc od niej skalpel, popatrzył jej w oczy. Trudno było przerwać ten moment. Pogrążył się w jej ciemnych oczach. Ona wiedziała, co czuł. Była jedynym pewnym źródłem emocji w jego pełnym ryzyka świecie.

A teraz czekała go praca. Na tym ciele.

Stalowe ostrze starannie rozkroiło skórę od pępka do mostka i po chwili z nacięcia wysączyła się równiutka strużka krwi.

6

Kiedy ostatnio widziałaś Kirka? — dociekał Perlman.

Betty McLatchie zmarszczyła czoło. — Trzy dni temu zajrzał do mnie do mieszkania i wypiliśmy herbatę.

— A mówił, że wyjeżdża?

— Nie.

Perlman zdjął wreszcie płaszcz i przerzucił przez oparcie krzesła. Berty McLatchie wzięła go i zaniósła na wieszak w przedpokoju. Próbował wyobrazić sobie, że robi to Miriam: wieszka mu płaszcz czy też pilnuje, żeby nie nosił podziurawionych skarpet. Ale bez skutku. Czasem myślał sobie: jestem chyba meshugane, żebyją tak kochać. Kiedy indziej potępniał ją za to, że jest bezwzględna suką, bo wyjechała sobie jakby nigdy nic, bez słowa pożegnania. Dręczyła go myśl, że znalazła sobie kogoś innego, i wtedy czuł się tak, jakby serce się w nim przewracało.

— Czy Kirk zagląda do kieliszka?

— Od czasu do czasu.

— A może ma kogoś na boku?

— Lou, on raczej nie jest z tych, co to różną się, z kim popadnie. Nigdy nie był kobieciarzem.

Perlman poczuł, jak w głowie kiełkuje mu ziarnko ciekawości; już słyszał to odwieczne, miarowe tempo pytań i odpowiedzi. Zaniepokojona matka poszukuje syna. No dobrze, może to nie jakaś pieprzona sensacja tak jak przemoc wśród gangów i nie ma w sobie tego dziwnego magnetyzmu co historia o bezgłowym klaunie, ale niekiedy tajemnica otwiera się jak nocny kwiat. A może jednak nic z tego i facet zjawi się nagle w jednym bucie, z podbitym limem, i zacznie plątać się w swoich wymówkach.

— A jego znajomi?

— Z całej paczki tylko on się ożenił. Przypuszczam, że imprezuje z kilkoma z nich. A wtedy jedno prowadzi do drugiego i człowiek budzi się w jakimś obcym pokoju w innym mieście, skacowany, i myśli sobie, no cóż, skoro i tak mam już przechlapane, to przynajmniej jeszcze trochę tu zabawię.

— Czyli TMR. Typowa męska reakcja. Problem: wpakowałem się w łajno. Wyjście: a mam to gdzieś, czemu nie wpakować się jeszcze głębiej? Tak są skonstruowani mężczyźni, Betty.

— I ty też?

Popatrzył na nią. Miała szczere spojrzenie, które wydało mu się prowokujące. Spodziewała się jasnej odpowiedzi na jasno postawione pytanie. Niebieskie oczy bez mrugnienia utkwily wzrok w jego twarzy. — Są dni, kiedy wydaje mi się, że tam, w środku, nic nie ma — odparł, stukając się w czaszkę. — A kiedy indziej odnoszę wrażenie, że cały mechanizm sfiksował.

Zapalił papierosa i podsunął paczkę Betty, ale odmówiła ruchem głowy. Przeszedł przez pokój, lśniący, połyskujący, odświeżony.

— Dobrze szukasz — zauważyła Betty. — O, tam — wskazała na drewniany kredens, gdzie stała błyszcząca popielniczka.

Perlman ruszył posłusznie w jej stronę, zaklinając się ostentacyjnie, że sprawi sobie palarnię.

Przytaknęła mu. — Miałam dziwne przeczucie, że da się ciebie wyszkolić.

Nieźla z niej uwodzicielka. Perlman założył ręce, spojrzał na stos nieskazitelnie czystych płyt. Wychodzę z rupieciarni, wracam, a tu laboratorium. — No a ojciec Kirka?

Betty skrzywiła się jak ktoś, kto kruszy zębami mrożony sorbet z cytryny. — Kirk nawet go nie zna. To był przelotny numerek. Dwoje wstawionych ludzi w sidłach nieodpartej żądy.

— W takim razie podaj mi adres Kirka.

— Duntarvie Avenue... trzydzieści trzy. Easterhouse.

— Zadzwoń do biura. Niech sprawdzą zgłoszenia o wypadkach, szpitale, areszty... — Perlman dostrzegł jej rozczarowanie. I to wszystko, sierzancie? Tylko na tyle cię stać? — Słuchaj, Betty, pojechałbym na Pitt Street osobiście, ale jestem na zwolnieniu lekarskim. — Zupełnie jakby dopadła go jakaś zaraza. Uwaga, idzie kurewsko zadzumiony Lou, szybko, zaryglujcie drzwi i okna, weźcie antybiotyki i niech ktoś wezwie księdza z wiadrem święconej wody.

— Jakoś nie wyglądasz na chorego — zauważyła Betty.

— Nie daj się zwieść mojej rumianej gębie mieszkańca East Endu — odparł Perlman. To coś siedzi w środku, Betty McLatchie, tego nie widać gołym okiem. Nie miał jednak ochoty zwierzać się jej z obecnego stanu umysłu ani wciągać jej w całą tę historię o tym, że pewien stuknięty bandzior wypalił do niego ze spluwy, i to właśnie tu, w tym pokoju, ani o tym, jak podle traktuje go ten nazista Tay. — A gdyby jednak nie odezwali się z komendy... — Tu się zawahał. Już miał obiecać pomoc, a przecież wcale nie był pewien, czy dotrzyma słowa. — Wtedy sam trochę powęszę i zobaczę, co się da zrobić.

— Naprawdę?

— To na pewno nic poważnego. Głowę daję, że z chłopakiem wszystko w porządku.

— Mam nadzieję. Dzięki, że poświęciłeś mi czas. — Pchnęła odkurzacz po pokoju. — Pomyślałam sobie, że kuchnię to zostawię już na jutro, bo to robota na cały dzień. Skoczę jeszcze tylko na górę i ogarnę trochę twoją sypialnię. Nie masz nic przeciwko?

— Jak sobie chcesz. To chodź, pomogę ci wnieść odkurzacz. A potem zadzwonię na komendę. — Chwila szarmancji. Sapiąc, Perlman wta-szczył ciężki sprzęt wąsłdmi schodami na piętro.

— A wiesz, że w dzisiejszych czasach produkują już lżejsze? — Betty, która szła przodem, spojrzała na niego z góry.

— Jakoś nie słyszałem.

Betty otworzyła drzwi sypialni i Perlman wszedł za nią.

Nie przeszkadzały mu zdjęcia na ścianie — stara, czarno-biała fotografia Celtic Lisbon Lions czy też oprawiony w ramkę program meczu Szkocja--Anglia z 1967 roku, chociaż trąciły nieco szczeniactwem i nie pasowały do sypialni dorosłego mężczyzny — ale najbardziej było mu wstyd za ten cały bałagan; wszystko pięło się w górę, jakby zarzucając mu całe wiel niedbalstwa: stos porzuconych skarpet, koszul, spodni, sterta starych, pożółkłych gazet, niepościelone łóżko, a na stoliku nocnym szklanka z nagromadzonymi, rozmiękłymi niedopalkami w starej, dawno temu nalanej wodzie, która nabrała odcienia moczu chorego człowieka.

Ogarnęło go przerażenie. Spojrzał na ten pokój oczami Betty McLat-chie, co zażenowało go jeszcze bardziej. Odstawił odkurzacz i stęknął.

— Może najpierw wynieśmy te gazety — zaproponowała. Tym razem nie skrytykowała go ani słowem. Poczciwa kobieta.

Otworzył okno wychodzące na podwórze za domem. Byle wywietrzyć, przewietrzyć. Pokój wypełniło mroczne powietrze, niosąc wilgotny zapach zieleni. Z rynny śmignął szpak.

— W przyszłości chcę urządzić wszystko w stylu Zen — mówił. — Żadnych komód, szaf ani łóżek. Wystarczy zwykły japoński materac, trochę kadzideł, i tyle... — zagadywał, byleby tylko ukryć skrzypowanie. Bałagan w kuchni czy koszmarny nieład w pokoju dziennym jakoś nie raziły tak bardzo jak doprowadzona do ruiny sypialnia, najbardziej intymne pomieszczenie w każdym domu. Pozwolił, by jego własna zamieniła się w wyzuty z uczuć chlew. Miewał wprawdzie od czasu do czasu jakiś boleśnie krótki romans, ale jakoś nigdy w swoim własnym łóżku. Pamiętał, że raz tylko spała w nim kobieta. Śliczna, nałogowa narkomanka o imieniu Sadie, którą uwolnił od jej szurniętego chłopaka, niejakiego Moona Rile-ya. Ale nawet wtedy, mimo jej naglących próśb, nie przespał się z nią. A pokusa była silna. Przeleżał kilka godzin na kanapie, wsłuchując się w skrzypienie łóżka na piętrze, kiedy przewracała się z boku na bok w niespokojnym śnie. Następnego dnia rano wyszła, jeszcze zanim się obudził. Już nigdy więcej jej nie zobaczył.

Betty przeglądała stosy gazet. — Herald, październik, dziewięćdziesiąty ósmy. Szkoci zaczynają się obawiać przestępczości...

— No tak, musiałem ją zachować właśnie przez ten artykuł — orzekł. I skłamał. A może jednak nie. Sam już zresztą nie pamiętał. Nagminnie przeglądał gazety, ale jakoś nigdy nie zdobył się na to, by wyrzucić je potem do śmieci.

— Evening Times, styczeń, dziewięćdziesiąty siódmy. Chryste, Lou. Od jak dawna je zbierasz?

— Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że od dzisiaj z tym kończę. — Schylił się spiesznie, chwycił stertę gazet i wyniósł na schody. Rzucił je na podłogę, po czym wrócił do sypialni. Zebrał następny stos i powtórzył czynność. Proces oczyszczania. Wstyd dodał mu energii.

Betty też zabrała się za wynoszenie gazet. Robili to rytmicznie, dopóki nie wpadli na siebie w drzwiach sypialni, ona roześmiała się, a Perl-man upuścił stertę gazet z rąk i wszystkie runęły na podłogę: spośród rozsypujących się gazet wypadł mały, plastikowy, zamykany na suwak woreczek, w którym widniało coś czarnego, zanurzonego w jakimś szarym płynie. Perlman nie przypominał sobie, żeby trzymał w domu jakieś plastikowe world, nie licząc tego z jedzeniem, który kiedyś przyniósł na górę pewnego sennego wieczoru, a potem zasnął, nawet go nie tknąwszy, i wtedy widocznie jakimś cudem przygniótł go wielki, szary ciężar Heraldów i Scotsmanów.

Schylił się, żeby mu się lepiej przyjrzeć, po czym gwałtownie się cofnął.

— Co to takiego? — spytała Betty.

— Lepiej, żebyś nie wiedziała. — Perlman wstrzymał oddech, ostrożnie ujął woreczek między kciuk i palec wskazujący i podniósł wyprostowaną ręką.

— O Chryste Panie —jęknęła Betty, zakrywając dłonią usta.

7

Dorcus stał na oświetlonym latarniami parkingu hotelu Hilton, chowając ręce w kieszeniach zielonej budrysówki z kapturem. Deszcz zmoczył mu okulary i cały świat wydawał się zamazany.

Reuben Chuck trzymał parasol tylko nad swoją głową. — Miło mi, że się dogadujemy. A przynajmniej na razie.

Dorcusowi wydał się groźny. Patrzył na ludzi tak, jakby siłą swego wzroku miał wypalić im oczodoły.

— Coś czuję, że zanosi się na dalszą współpracę — dodał Chuck.

— Ależ tttak, jasne, ooczywiście. — Dorcus od urodzenia miał trudności z mówieniem, co doprowadzało go do szału. Wypluwał słowa jak połamane herbatniki. Tak było od zawsze.

Reuben Chuck poprawił parasol nad głową. — Moi ldienci to elita, światowi ludzie. Wszyscy kochają wydawać pieniądze. — Był pięknie ubrany. W jego czarnych, mocno nażelowanych włosach odbijały się światła okien hotelu Hilton. Miał długie bokobrody, przystrzyżone w kant, oba idealnie wyrównane.

Dorcus podziwiał ich symetrię.

— A w razie potrzeby wystarczy się zwrócić do Reubena Chucka. I klient zadowolony.

Chuck miał piękne zęby, prawdopodobnie jakieś drogie implanty, ale wyglądały na prawdziwe.

— Wszyscy na tym skorzystamy, Dorco.

Dorco. Nikt nigdy go tak nie nazywał. — Wszys... nno tak, wiem, ale...

— Czyja cię krępuję, Dorco?

Dorcus uśmiechnął się. Wiedział, że kiedy się uśmiecha, wygląda jak przyglup. Nienawidził swego uśmiechu, jak zresztą całej twarzy, zwłaszcza gdy nie zakrywała jej maska chirurgiczna. — Nnnie jestem zbyt tttowarzyski.

Chuck zbył to mimochodem. — Jesteś artystą, Dorco. Artyści nie muszą być towarzyscy. Nie musisz uchylać kapelusza przed byle palantem. Zapamiętaj to sobie.

Dorcus nigdy nie myślał o sobie w ten sposób. Czuł się podbudowany. To było to samo uczucie, które ogarniało go zawsze, gdy słyszał choćby jedno miłe słowo z ust ojca, co zdarzało się bardzo rzadko. Wiecznie zajęty sędzia Dysart był bowiem oszczędny w pochwałach.

— No to jak, znajdziesz coś dla mnie na pojutrze? — spytał Chuck.

— Ależ tttak, ooczyw...

— Muszę wiedzieć, że mogę na ciebie liczyć w stu procentach. — Chuck mocno ścisnął Dorcusa za ramię.

— Jasne, może pan nna mnie llliczyć.

— Przypomnij mi no, gdzie ty studiowałeś, Dorco?

— Na... St Andrews.

— A tak, St Andrews. Tylko wyjątkowi ludzie kończą taką uczelnię. Zapamiętaj to sobie.

Dorcus, ucieszony każdym słowem jak kot na widok szurzego gniazda, zdołał nawet wyrzucić z siebie całe zdanie. — Mam fachową asystentkę, siostrę Payne. Jest cudowna...

— Porządna asystendo to ważna rzecz — przerwał mu Chuck. — Luksus zaufanej osoby. A gdzie ta siostra Payne odbywała praktykę?

— Hm, w Rroyal Infirmary.

— Miałem tam wycinane migdałki. Myślisz, że to czysty przypadek? Takie przypadki zdarzają się po to, żeby dać nam coś do zrozumienia. — Chuck puścił oko, jakby odkrywał przed Dorcusem jakiś mroczny sekret. — One nie dzieją się bez przyczyny, Dorcus. Mają głębsze znaczenie. Zapamiętaj to sobie.

Jego dłoń jeszcze mocniej ścisnęła mu ramię. Dorcus czuł, jak pod okularami wilgotnieją mu oczy. Chuck przysunął się bliżej, uśmiechnął się szeroko i Dorcusa owionął zapach marcepana w jego oddechu.

— Pewnie wyglądam ci na zatwardziałego biznesmena, ale moje przekonania idą w nieco innym kierunku... — Chuck zrobił znaczącą, tajemniczą minę, wyraźnie sugerował, że ma dostęp do jakichś tajnych źródeł. Jego wąskie jak szparki oczy zmrużyły się jeszcze bardziej. — Może kiedyś powiem ci coś więcej.

I puścił jego ramię.

Dorcus stracił wątek gdzieś przy słowie czysty przypadek. Myśli rozlażyły mu się po głowie. Bał się o swój dom, który stał pusty, jawne zaproszenie dla złodziei. Miał wprawdzie dwa dobermany, Allena i Glena, które pod jego nieobecność biegały po posesji, ale psy łatwo można zastrzelić czy otruć. W drzwiach i oknach miał zamontowany alarm, a mimo to tylko czekał, aż Betonowcy staranują czterometrowy kamienny mur, dzielący jego kawałek ziemi od ohydnych nieużytków, gdzie stały wieżowce. Założył na murze drut kolczasty, ale Betonowcy, zwłaszcza wstawieni, mają gdzieś takie zabezpieczenia i kiedyś na pewno wdrapią się na drugą stronę, wybiją szybę i, nie zważając na alarm, wleżą do domu, bo tacy to mają wszystko w nosie.

Nawet zakrwawiony drut kolczasty. Krew ma u nich wzięcie. Ich blizny są jak medale za odwagę.

— Ahoj, kolego — przerwał mu Chuck.

— Prze-przepraszam, czasem trochę ooodpływam...

Reuben Chuck poldepał go po twarzy. — Płyn dalej, Dorco. Płyn, gdzie sobie chcesz. To ci się należy.

Dorcus zdjął okulary, wytarł je w rękaw. Szklą zamazały się jeszcze bardziej. Co za idiotyczny pomysł. Kompletna głupota. Ty baranie. Zmoczone deszczem szkła wycierasz w mokrą wełnę, myśląc, że to coś da? Och, na litość boską, Dorcus. Poczul napięcie w czaszce.

Reuben Chuck znowu ścisnął mu ramię. — Coś mi się widzi, że za wiele od siebie wymagasz, Dorco. Artysta jest sobie najsurowszym krytykiem. Wiesz, na czym polega twój problem? Po prostu nie umiesz się wy-luzować.

— Nnno tak, ma pan rację, ja...

— Tak się składa, Dorco, że znam kogoś, kto mógłby ci pomóc. To piękna dziewczyna. Umie sprawić, że świat zatrzyma się w miejscu. I ani się waży otwierać portfela. To na koszt firmy.

— Ale...ja...

— Ciii — przerwał mu Chuck. — Sprawa już załatwiona. — Spojrzał na swój zegarek marki Gucci SilverTone. — No cóż, czas mnie goni. Tak to jest, jak się żyje w ciągłym pośpiechu. Przyślę do ciebie Glorianne, a przedtem ona do ciebie zadzwoni. W porządku? Przy niej poczujesz się jak nowy, inny facet... A co do następnej dostawy. Pamiętasz, gdzie ją przesłać?

— Tttak, oczywiście.

Reuben Chuck spiesznym krokiem udał się do swojego zaparkowanego auta; silnik przez cały czas był włączony. Za kierownicą siedział jakiś potężny, muskularny mężczyzna, który w oczekiwaniu przyglądał się całej tej scenie. Chuck złożył parasol, rzucił na tylne siedzenie, po czym wsiadł i skinął lekko głową, jakby na pożegnanie.

Dorcus pomachał ręką. Fajny wóz, ja-gu-ar.

Wtedy ogarnął go niepokój. Tylko nikogo mi nie przysyłaj. Proszę. Ja nie chcę. Nie potrzebuję kobiety... Mam przecież siostrę Payne.

Uniósł ramiona, sygnalizując nimi jak semafor, żeby przykuć uwagę Chucka, ale jaguar ruszył już z pomrukiem gdzieś w głąb zacienionych arterii Glasgow.

8

Nie powiedziałeś mi jeszcze tego, co chciałbym wiedzieć — zwrócił się Reuben Chuck do mężczyzny z zawiązanymi oczami w opuszczonej kręgielni.

— Spadaj, gnojku — rzucił Turpie.

— Marnujesz mój czas, Danny.

Chuck stał z rękami założonymi na plecach. Niektórzy chyba lubią być karani, pomyślał. Turpie był już bity, kopany i torturowany. Miał rozcięte wargi i z ust ciekła mu krew, podobnie jak z czoła prosto na opaskę, którą przewiązali mu oczy.

Chuck westchnął, rozglądając się po swoich ludziach, którzy stali za nim w cieniu. Byli potężni, niektórzy z ogolonymi głowami. Mieli na sobie ciemne, modnie skrojone garnitury. Chuck wiedział, że gdzieś pod ubraniem mają sploty, noże i stare ręczne golarki.

Znowu zwrócił się do Turpiego. — Podaj tylko numery, synu. Tylko numery i zaraz będziesz wolny.

— Mówiłem ci już, że obiecałem to Stokerowi.

— Stoker to już trup. Daj spokój, przecież to bez sensu.

— Nie dla mnie — odparł Danny. Mówił z trudem jak obity bokser z ustami tak spuchniętymi, że bardziej niż otwór, przez który wkłada się jedzenie, przypominały jakiś wydłużony pysk.

Próbując opanować zniecierpliwienie, Chuck rozejrzał się po zszarzałej i niszczonej kręgielni. Nabył ją w zeszłym tygodniu w wyniku puczu i jeszcze nie zdecydował, czy ją zachowa, czy przeznaczy do rozbiórki. Sala cuchnęła butami do kręgli noszonymi przez setki graczy, starą szafę grającą pokrywał kurz, a kilka torów zniekształconych było od wilgoci.

Zwrócił się do swoich ludzi. — Ten facet woli się pożegnać z życiem, chłopcy. Cóż za karmiczna lekkomyślność z jego strony.

— Pieprzysz trzy po trzy — odezwał się Danny Turpie.

— Życie ci niemiłe, Danny? — ciągnął powoli Chuck. — Oddajesz je z powodu jakiejś obietnicy, która i tak nie ma żadnej wartości. Po mojemu to zniewaga losu.

— W dupie mam los — odparł tamten.

Chuck czuł, że jego ludzie zaczynają się niecierpliwić. Najwyraźniej nie potrafili zrozumieć, po co dał Danny'emu Turpie jeszcze jedną szansę. Tylko czekali, żeby wyrwać Turpiemu głowę z szyi i przepuścić jego tułów przez maszynkę do mięsa; pal lichu całą tę bzdurną gadkę o karmie.

— Chcesz numery? To ci je, kurwa, wyśpiewam. — Tu ze zdławionego krwią gardła Danny'ego wydobyły się słowa: — Witajcie, witajcie, to my, chłopcy Billy'ego*.

* Billy Boys — nazwa dawnego gangu z Bridgetown, jednej ze wschodnich dzielnic Glasgow, pochodząca od imienia jego przywódcy.

— Patrzcie no, umie śpiewać. — Chuck spojrział po swoich ludziach. — Chłopaki, mamy tu niezłego wokalistę.

— Witajcie, witajcie, to my, chłopcy Billy'ego. Brodzimy po kolana w katolickiej kr...

Chuck szybko uciął te wyznaniowe brednie. Niektórzy nigdy nie wykraczają poza ciasne granice swojego wychowania: piłka nożna to pogańska forma religii, a stadiony stały się świątyniami zła. — Dobra, dosyć już, Turpie. Koniec tej rozgrywki. Tracisz szansę za szansą. I nie masz dla mnie ani krzty szacunku.

Sldnął głową na swój pluton w ciemnych garniturach.

Szybko otoczyli Danny'ego, pochwycili go i rzucili na tor do kręgli. Tamten wciąż podśpiewywał lekceważąco, dopóki ktoś nie trzasnął go parę razy w twarz, a mimo to udało mu się jeszcze wyjąkać kilka żalonych słów. Paru ludzi Chucka przyniosło sznur, którym zwiążali mu z tyłu ręce, po czym przymocowali do skrępowanych nóg i mocno zacisnęli. Ułożyli go twarzą do rozbiegu. Danny szamotał się wściekle ze sznurami, ale na próżno. Chuck zdjął mu przepaskę, nie patrząc w oczy. Mężczyźni, w których aż wrzało od nadmiaru adrenaliny z każdą chwilą odwlekania egzekucji, ruszyli spiesznie na początek toru i zdjęli z pólek stare, zakurzone kule.

Chuck nie raz uciekał się do przemocy, zwłaszcza za młodu, ale z czasem stracił na to apetyt, a ponadto wiązały się z tym pewne dręczące go pytania — jeśli karze się kogoś za jego bezmyślny upór, to jakie są tego konsekwencje w szerszym wymiarze? Czy, dajmy na to, można sobie w ten sposób spieprzyć życie w następnym wcieleniu?

Nie chciałbym wrócić na ziemię pod postacią jakiegoś pieprzonego jedwabnika, o nie.

Obserwował całą scenę. Nie miał innego wyjścia. Nie mógł okazać tym potężnym facetom swojej słabości. Stanowili sprytny gang o instynktach drapieżców i gdyby tylko zwęszyli u swojego Szefa choć odrobinę zawahania, to z czasem przestaliby go szanować. Jasne, że nadal byłby dla nich Szychą, ale od razu dałoby się dostrzec, że coś się zmieniło — ociągaliby się z wykonywaniem jego rozkazów albo obgadywaliby go za jego plecami, milknąc jak zakłęci na jego widok.

A w najgorszym wypadku zaczęłyby knuć przeciwko niemu jakiś spisek.

Dlatego musiał być twardy. Nie miał innego wyjścia.

Patrzył, jak czarne, grzmiące kule mkną z ogromną prędkością po torze. Pędziły jak burza prosto na Danny'ego, roztrzaskując mu twarz, głowę, krocze, kolana. Danny wydał z siebie parę wrzasków. Kilka kul sto-

czyło się do rynn i ominęło go, jakby w odruchu litości. Wtedy zaczęła się kolejna kanonada. Kule dudniły, wibrowały, mknąc jedna za drugą, dziesięć, dwadzieścia, i jeszcze więcej, niczym czarne kule armatnie. Skórzana kurtka Danny'ego przybrała szkarłatny kolor, a wokół niego pojawiła się kałuża krwi.

— No, wystarczy, chłopaki — rzucił Chuck. Podszedł do miejsca, gdzie leżał Turpie, i trącił go stopą. Tamten ani drgnął.

Chuck popatrzył na krwawą masę, która pozostała z głowy Danny'ego. Roztrzaskany nos, włosy zmierzwiłone jak czerwone dredy, oczy zamknięte, wargi rozchylone. Danny zszedł.

Chuck zerknął na swoich ludzi z wyrzutem i znów wlepił wzrok w Turpiego. Jakim cudem Stoker, który sam jest już trupem i leży w ziemi, zasłużył sobie na taką lojalność, i to z za grobu? Potęgą obietnicy złożonej przez Danny'ego Turpiego, a zwłaszcza ten jego upór, były godne podziwu. Chuck zastanawiał się, czy jego chłopaki poświęciliby się dla niego tak samo jak Turpie dla Stokera. I wcale nie był taki pewien.

— Posprzątajcie tu, chłopaki, i zamknijcie drzwi na lducz, zanim odjedziecie. — Zostawił Turpiego i kopnął z frustracji szafę grającą, która zaraz się włączyła. Na sali rozległa się stara piosenka Lonnie Donegana, „Nobody's Child”. Chuck wymierzył maszynie jeszcze jednego kopa, ale piosenka płynęła dalej.

— Co za kretyn z tego piździelca Turpiego — rzucił któryś. — Że też zawsze musi nam się trafić jakiś psychol.

Chuck wyszedł z budynku. Wieczorny deszcz ustał i powietrze pachniało czystością. Myślał o tym, jak zdobyć numery kont bankowych Brama Stokera i czy Danny Turpie zabierze je ze sobą do grobu. Być może.

Ronnie Mathieson, w przyciemnionych okularach, o gładko ogolonych policzkach, zawiózł Chucka jaguarem do centrum odnowy biologicznej Number One, które mieściło się w niewielkim centrum biurowo-przemysłowym w Crossmyloof, na południe od rzeki. Zanim Chuck wysiadł z auta, zwrócił się do Mathiesona.

— Chodzi o bank Clydesdale, Ronnie — orzekł. — Mają swój oddział na Buchanan Street. Dowiedz się, kto nim zarządza.

— Zrobi się.

Wspinając się po schodach do niebieskawozielonych drzwi, Chuck nagle zdał sobie sprawę, że ma o wiele więcej zainteresowań niż dawniej. Oprócz ekskluzywnego bistro, sieci uzdrowisk oraz wytwórni wołowiny

Aberdeen Angus, pochodzącej z nielegalnego źródła, które należały do niego jeszcze przed śmiercią Curdy'ego, Stokera i ich licznych „podwładnych”, teraz miał też na własność flotę autobusów przystosowanych do transportu niepełnosprawnych, szwadron taksówek i minicabów, kilka burdeli, kasyno, podziemny koncern farmaceutyczny nastawiony na produkcję eski, amfy i wybranych substancji narkotykopodobnych, wymagającą reorganizacji firmę odzieżową plus cztery luksusowe hotele w różnych częściach Glasgow, trzy kamienice czynszowe w Partick, dwie smażalnie ryb, sieć pralni chemicznych, ponad siedem tysięcy metrów kwadratowych najatrakcyjniejszego gruntu w centrum miasta z zezwoleniem na działalność handlową — no i, oczywiście, tę zdemolowaną kręgielnię. Jego prawnicy, Roman, Glebę & Hack, ślęczeli dwadzieścia cztery godziny na dobę nad przeróżnymi papierami jak akty własności czy umowy zamiany, których zawarcie wymagało dłubania i grzebania — i Bóg wie czego jeszcze. Dawniej po prostu brało się to, na co się tylko miało ochotę, a dziś wszystko musi być legalnie, dlatego potrzeba paru pomysłowych facetów w garniturach, którzy orientują się w sytuacji. A do tego jeszcze od groma innych facetów w garniturach, adwokatów, urzędników i całego sztabu innych ludzi, którzy pracowali dla prawników, a których związki z prawem nie były jasno określone.

Z rozmyślenia wyrwał go mdlący, palący w oczy obłok chloru. Zirytowany, odszukał Tommy'ego Lombardo, który w siłowni na parterze właśnie uczył jakąś muskularną Rumunkę podnosić ciężarki.

Tommy zachęcał ją, pokrzykując z werwą w swoim stylu. — Więcej skupienia, Slaca, więcej skupienia, zatrzymaj powietrze w płucach. Grzeczna dziewczynka. Wciągnij powietrze i zatrzymaj. Musisz wiedzieć, kiedy je wypuścić. No, dalej.

Kobieta pocila się, byleby tylko go zadowolić. — To bartso trutne, Tommy.

— Dasz sobie radę.

— Tommy — odezwał się Chuck. — Pozwól na chwilkę.

Tommy Lombardo odwrócił głowę. — O, pan Chuck, nie zauważyłem...

— Mówiłem ci, żebyś przystopował z tym chlorem. Wytłumacz mi: czemu wchodząc tu, już od samych drzwi czuję ten smród? Straszny tu syf.

— Chyba za dużo wzięłem. — Lombardo miał ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu i tak obzerał się sterydami, że zasługiwał na tytuł Największego Mięśniaka Glasgow, a oprócz tego w każdej wolnej chwili pod-

nosił ciężary. Chuck sądził, że sterydy zaburzyły mu kilka ważniejszych funkcji mózgowych, bo Tommy nie był w stanie wykonać żadnej zleconej mu pracy — oprócz zwabiania do siłowni pewnej określonej grupy klientów jak, dajmy na to, gejów, którzy chcieli wyrobić sobie piękne mięśnie mówiące „spójrz na mnie, złotko”, babochłopy aspirujące do sztangistek i grona atrakcyjnych kobiet, które nie miały nic lepszego do roboty i przychodziły tu podziwiać, a wręcz obmacywać, muskulaturę Tommy'ego. Te kobiety stanowiły grupę jego zagorzałych wielbicieli. Zwiększały liczbę członków klubu.

— Ten smród odstrasza klientów, Tommy — tłumaczył Chuck powoli jak dziecku.

— Przepraszam, panie Chuck.

— I czemu nikt nie siedzi w recepcji? Mówiłem ci, Tommy, że masz pilnować, żeby ktoś zajmował się zapisami. Już zapomniałeś?

— To wszystko przez Zondrę, panie Chuck. Zawsze wymyka się na dyma.

— W talem razie zrób coś z tym, Tommy. Powiedz jej, żeby nie paliła. Przecież mamy tu promować zdrowie.

— Jasne, powiem jej. Niech nie pali.

Chuck klepnął Tommy'ego Lombardo po bicepsie. Twardy jak skała. Całkiem jak jego mózg. — Nie mam czasu tu łązić i doglądać pracowników.

I odszedł szybkim krokiem. Jeśli ludzie nie wykonują pracy, za którą się im płaci, jeśli nie stosują się do zaleceń... Tu nadchodzi punkt krytyczny. Stres w biznesie. Trzeba ci się opanować, Rube. Wciągnął powietrze o smaku środków do wybielania. Przeszedł przez recepcję i ruszył schodami na górę, do siłowni na piętrze, gdzie pół tuzina ludzi ćwiczyło na różnych przyrządach. Jakaś otyła, siwowłosa kobieta, tupiąc, biegała na bieżni, a starszy mężczyzna, którego twarz zdradzała wyraźny strach przed zawałem, ćwiczył na rowerze.

W myślach Chuck nazywał to miejsce Strefą Szybkiej Śmierci.

Znalazł Gloriannę w prywatnym gabinecie w głębi sali. Leżała na leżaku ze słuchawkami w uszach i iPodem na płaskim brzuchu. Była ubrana w białe szorty i niebieski podkoszulek z logo Number One. Miała czarne, kręcone włosy z pasemkami blond. Jej oczy koloru kawy espresso były nieco za wielkie jak na tę drobną twarz, za to jej prosty nos wydawał się Chuckowi idealny pod każdym względem, o bardzo ładnych, symetrycznych nozdrzach. A Chuck miał słabość do nosów.

Zastukał palcem w słuchawkę, co wyraźnie ją zaskoczyło.

— Rube, o kurczę, aleś mnie wystraszył. — Czasem naśladowała intonację i styl mówienia Amerykanów, bo planowała wyemigrować do Kalifornii. Przed laty była zagorzałą fanką Słonecznego patrolu i Beverly Hills 90210. Marzyła o aktorstwie. Zaczytywała się w magazynach plotkarskich o tym, kto się z kim rozwodzi i które ze znanych gwiazd zdradzają mężów i żony. Chodziła na ćwiczenia głosu i lekcje aktorstwa, szykując się na tę chwilę, kiedy wreszcie zawita w Hollywood.

Zdjęła słuchawki i uszu Chucka dobiegł płynący z nich modern jazz.

— Ten Lombardo mnie wykończy.

— Wiem. Na parterze straszny smród, dlatego kazałam Zondrze wezwać facetów z Oxydoro. Przyjadą w ciągu godziny i pozbędą się tego chloru.

— Jesteś prawdziwą gwiazdą. — Chuck zmierzwił jej włosy.

Była szybka i bystra, nie musiał jej nic tłumaczyć. W razie potrzeby reagowała natychmiast. Dał jej kontrolę nad wszystkimi sześcioma klubami Number One nie tylko z tego powodu, że mu się podobała i mieli za sobą namiętny, erotyczny związek — ale głównie dlatego, że ufał jej bardziej niż komukolwiek ze swego wąskiego grona zażyłych przyjaciół. No i przede wszystkim pilnowała jego interesów.

— Tommy jest tak tępy, że chyba sam nie rozpoznaje się w lustrze — stwierdziła. — Powiedziałam mu: jeszcze jeden taki numer i wylatujesz na bruk.

— Ale przynajmniej przyciąga ldientów... Słuchaj, chcę cię o coś prosić.

— Notował.

— Robię interesy z jednym facetem. Jest trochę dziwny i strasznie spięty.

— Taki typ pewnie myśli, że relaks to środek na zatwardzenie.

— Właśnie. Chciałbym, żebyś do niego zadzwoniła.

— I co potem? — Glorianna wzięła tubkę kremu z kartonu, w którym stało całe mnóstwo podobnych specyfików. Otworzyła ją i zaczęła wcierać krem w uda. Chuck zachodził w głowę, po co kobietom tyle różnych kremów. Cały ten rytuał smarowania skóry emulsjami był dla niego niepojęty.

— Pomyślałem sobie, że może twój masaż dobrze mu zrobi — powiedział.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem. Nigdy dotąd nie prosił jej o takie rzeczy. — A jeśli masaż nie wystarczy? Chodzi ci o to, że mam się z nim pieprzyć, Chuck?

— Chwileczkę, skarbie. Nigdy cię o to nie prosiłem. Ale weź pod uwagę, że zależy mi na interesach z tym facetem i nie chcę wysiać mu jakiejś nieokrzesanej nastoletniej gówniary.

— Jeśli przyda mu się porządny masaż, to będzie go miał.

— Posłuchaj, nie jestem twoim alfonsem...

A jednak mnie wykorzystujesz, pomyślała. — Nie pieprzę się z obcymi facetami, Rube.

— Nie cierpię, jak przeklinasz, złotko. Robisz się wtedy taka wulgarna. — Wziął ją za rękę i pogładził po dłoni. Zgarnął jej z policzka pasmo kręconych włosów. Miała nadąsaną minę. Obrzcił ją, chociaż wcale nie miał takiego zamiaru.

— Pamiętam, jak sam przeldinałeś co drugie słowo — rzuciła.

— Ludzie się zmieniają. Baba twierdzi, że jeśli człowiek opiera się zmianom, to popada w marazm. A to oznacza śmierć duszy.

W kółko tylko Baba i Baba. Dziewięć miesięcy temu Glorianna sama zaprowadziła go do tego guru, a teraz tęskniła za tamtym niepraktykującym katolikiem, którym był kiedyś Chuck: korzystającym z życia, pijącym na umór, mięsożernym balangowiczem i niestrudzonym kochankiem. Ale tamten Chuck zatonął w filozofii Baby. Sądziła, że będzie bardziej sceptyczny względem nauk guru. Ale po tym, jak doznał zawodu w Kościele katolickim, uznała, że rozpaczliwie potrzebował jakiegoś nowego systemu przekonań — chociaż nie bardzo rozumiała, jak godził swoje metody biznesowe ze słowami guru.

— I przestałeś mnie pieprzyć, bo przeklinam, Rube?

— Ależ nie... chodzi o to, że... — motał się przez chwilę. — Szukam czegoś innego. Czegoś więcej niż to wszystko.

— Spokoju umysłu. Świata harmonii. — I takie tam sztuczne teksty. Typowa gadka Baby.

— Właśnie.

Popatrzyła na jego twarz, która niekiedy emanowała zaskakującą delikatnością. Jużja bym ci dała spokój umysłu, pomyślała. Gdyby tak móc cofnąć czas, żeby znów było tak jak przedtem. — To trudna droga, Rube.

— Wszystko, co cenne, wymaga trudu.

Jakby słyszała Babę. Bywała w towarzystwie guru na tyle często, że od razu rozpoznawała jego słowa. Jeździła z nim na duchowe rekolekcje w jego domu nad jeziorem Loch Lomond, gdzie nauczał, a jego akolici śpiewali modlitwy. Trudno było się oprzeć wpływowi guru. Czyż sama mu nie uległa? Próbowała już terapii kryształowej, medytacji, poszła na kurs masażystki. Świetnie opanowała technikę masażu punktowego. Czy-

tała wywiady z gwiazdami filmowymi, które odważnie mówiły o swoich, przekonaniach religijnych: Gere o buddyzmie, Travolta i Cruise o scjento-logii. Uznała, że gdy już dotrze do LA, to powinna zacząć wymagać od siebie czegoś więcej niż tylko urody, talentu i umiejętności masażystki — które, jak swoim przekonująco łagodnym tonem zasugerował Baba, mogłaby wykorzystać w celach uspokajająco-relaksacyjnych zamiast traktować je jako źródło kontroli seksualnej i korzyści materialnych.

Łatwo mu powiedzieć. Czasami Baba bywał dla niej zbyt idealistyczny. O co właściwie mu chodziło — żeby robiła darmowe masaże? — Ktoś mi dziś powiedział, że jestem bardzo podobna do Nicole Kidman.

— Pewnie ktoś z białą laską w ręku?

Rzuciła w niego ręcznikiem. — Zdobyłam nazwisko agenta w Hollywood. Wysłałam mu swoje zdjęcia.

— Ale najpierw chyba go sprawdziłaś?

— Myślisz, że wysłałabym mu je bez sprawdzenia?

— To do ciebie niepodobne — przyznał.

Patrzyła na niego przez chwilę. — Zdaje się, że jesteś spięty, Rube. Zdejmij marynarkę i koszulę. Zrobię ci masaż.

Rozebrał się do pasa. Położył się twarzą w dół na ręczniku, który rozłożyła na leżaku. Zaczęła ugniatać mu ciało tuż pod barkami, jak to zwykle robiła. A potem zajęła się dolną częścią kręgosłupa, niemal dotykając jego pośladków.

Chuck poczuł znajomy dreszcz. Życie w celibacie miało jednak znaczne wady.

— Wiesz, ile to już czasu, Rube? — spytała. Nic nie odpowiedział.

— Osiem miesięcy. Przystaliśmy cztery tygodnie po tym, jak po raz pierwszy byłeś u Baby.

Aż tak długo. Chuck zamknął oczy, a piosenka „Nobody's Child” rozlewała się echem w jego głowie.

O dziewiątej wieczorem ktoś zadzwonił do drzwi. Perlman zapalił światło w holu i otworzył. Ku swemu zdziwieniu, ujrzał panią nadinspektor Mary Gibson. — Co za miły widok — rzekł, ściskając jej dłoń. Miała delikatny dotyk i chłodną skórę.

Przytrzymała mu dłoń. — Słyszałam o twoim „odkryciu” i postanowiłam do ciebie zajrzeć, chociażby po to, żeby się przywitać.

— Bardzo się cieszę — przyznał, zgodnie z prawdą zresztą. Mary zawsze była dla niego wyrozumiała i sprawiedliwa, nawet wtedy, gdy dzieliły ich różnice poglądów i musiała narzucić mu własne zdanie z racji swojego stanowiska. Miała szczery, inteligentny wyraz twarzy, ciemne, przenikliwe oczy i coś, na co zawsze lubił patrzeć — odrobinę dziewczęcych piegów. Była w towarzystwie pewnego sierżanta, którego przedstawiła jako Jock Tigge: ów czarnobrody ponurak spojrział na Perlmana i mruknął coś na powitanie.

Mary Gibson weszła do środka, a za nią Jock Tigge, barczysty jak zapaśnik. Miał stanowczo za długie ramiona. Wyglądał jak goryl, pomyślał Perlman.

— Podoba mi się twój nowy wygląd, Lou — powiedziała Mary.

— Nie rozumiem.

— No, bez okularów. Jak się sprawują soczewki?

— W porządku. — Perlman przesunął palcem po drobnych odciskach po obu stronach nosa. Czasem zdawało mu się, że nosi niewidzialne okulary i miał ochotę je poprawić, a wtedy przypominał sobie, że nareszcie ma pięknie odsłonięty nochal. Zaprowadził Mary Gibson do pokoju dziennego, dziękując w duchu Betty, że lśni czystością. Ukradkiem zamknął tylko drzwi do kuchni.

— No, co tam u ciebie? — zagadnęła Mary. Perlman miał już w zanadrzu całą listę skarg. — Zaczekaj, lepiej nic nie mów — dodała, zanim zdążył się odezwać. — Już ja cię znam, Lou.

Byle nie marudzić, pomyślał Perlman. Takie zrzęczenie jest męczące i wykańcza ludzi. Zresztą dzięki temu, co Mary Gibson nazwała jego odkryciem, przestał już uważać się nad sobą i pogrążyć w pesymizmie. Bo to naprawdę było odkrycie, i chociaż samo jego dokonanie nie sprawiło mu przyjemności, to wywołało w nim znajome poruszenie, otwierając drzwi do świata niejasności i tajemnic, za którym tak tęsknił. Pal licho bezgłowego klauna; teraz znalazł coś we własnym domu.

— I mówisz, że to coś leżało w twojej sypialni — zagadnęła Mary.

— Tak, na piętrze.

— Jakoś trudno mi sobie wyobrazić, że masz własną sypialnię, Lou. Zawsze myślałam, że wolisz wałnąć się na sofę.

— Jestem pełen niespodzianek — odparł.

Mary uniosła brew, po czym przeszła przez pokój. Była doskonała: idealnie dopasowana szminka, świetna fryzura. Ubierała się w łagodne

kolory, łososiowy i jasny brąz, w prostym stylu. Była elegancka; nie przypominała policjantki ani wyglądem, ani zapachem. Roztaczała za sobą przytłumioną woń perfum, która działała na Perlmana urzekająco.

Rozejrzała się po pokoju. — Ależ tu czysto, Lou. Jestem pod wrażeniem.

Ciesz się, że nie było jej tu wcześniej, zanim Betty wzięła się do roboty. Odesłał pobladłą Betty McLatchie do domu. Wiedział, że wkrótce trzeba będzie ją przesłuchać, ale na razie powiedziała, że jest padnięta, i spytała, czy może przyjść jutro. Chryste — zupełnie zapomniał o jej zaginionym synu; przez ten znaleziony pakunek całkiem wyleciało mu to z pamięci. A może jednak Kirk wróci, skruszony i wyczerpany. Perlman miał taką nadzieję.

Mary Gibson zatrzymała się przy schodach na górę. — Idź pierwszy, Lou.

Perlman minął ją i ruszył po wąskich stopniach. — Musisz uważać na te gazety.

— A teraz niby wszędzie stoją kontenery na papier.

— Tak się tylko mówi — odparł.

Zerknęła na fotografię na ścianie. — To twoi rodzice?

Perlman przytaknął. Czarno-białe, oprawione w ramkę studyjne zdjęcie, zrobione około 1953 roku, przedstawiało Ettę i Ephraima z ich dwojgiem dzieci. Żadne z nich się nie uśmiechało. Ephraim był ubrany w prosty, czarny garnitur, w którym uczęszczał do shuli, a Etta w spódnicę i bluzkę — spódnica miała szary kolor, a bluzka czarna w białe paski. Wyglądali na imigrantów, niepewnych swego miejsca na ziemi, jedynie pozornie zasymilowani, a tak naprawdę wciąż obcy i skazani na wieczną odmienność. Sześcioletni Colin, przystojny chłopak w marynarce z serży i króddch spodniach z zakładu spółdzielczego stał obok ojca. Był już typowym glasgowianinem, znał zwyczaje panujące na ulicach dzielnicy Gor-bals. A mały Lou, w spodniach do kolan i białej koszuli, stał przy Etcie z zasepioną miną, zerkając podejrzliwie w obiektyw, i już wtedy miał ten swój dociekliwy wzrok.

— Mały zuch z ciebie, Lou. Jesteś trochę podobny do matki — zauważyła Mary. Przez chwilę oglądała portret. — Twój ojciec nie wygląda na szczęśliwego.

— Rzadko kiedy bywał w domu — odparł Perlman.

Ani słowa o Colinie. Jakby go wykasowano, jeśli nie ze zdjęcia, to na pewno z wszelkich rozmów. Był czarną owcą. Perlman przystanął na progu sypialni. — To tutaj — oznajmił. — Przepraszam za ten bałagan.

— Obiecuję, że nie będę się rozglądać — rzuciła.

W obecności Mary Gibson sypialnia wydawała się jakby mniejsza niż zwykle i bardziej zapuszczona. Jock Tigge odkaszlnął, jakby próbując powstrzymać się od uwag. Perlman wiedział, jakie pogłoski rozpuści na Pitt Street. Szkoda, żeście nie widzieli sypialni Perlmana, Chryste, to prawdziwy chlew. Prześcieradła od wieków nie zmieniane. To już zwierzaki w zoo mają czyściej.

I jednej chwili znienawidził Tiggego. Bo Tigge nie był na żadnym ma-nionym zwolnieniu lekarskim, Tigge mógł sobie jeździć na Pitt Street, kiedy tylko chciał, prowadzić dochodzenia i spisywać przestępców, i cieszyć się tymi wszystkimi uprawnieniami, których odmówiono Perlmanowi. Tak to bywa, jak złość wzbiera i pęcznieje we łbie, pomyślał Perlman. A wtedy w mózgownicy robi się zator.

— Znaleźliśmy tę torebkę w trakcie sprzątanania — wyjaśnił.

— My, to znaczy kto? — zdziwiła się Mary.

— Mam bardzo miłą pomoc domową. Tylko mi nie mów, że rychło w czas.

— Nawet przez myśl mi to nie przeszło.

Perlman wskazał na plastikową torebkę leżącą na podłodze.

Tigge wyjął z kieszeni płaszcza parę lateksowych rękawic, naciągnął je, podniósł woreczek i trzymał w powietrzu. — Ludzka dłoń, a jakże — orzekł. Miał taki dziwny, śpiewny, wiejski akcent. Pewnie z Aberdeenshi-re, pomyślał Perlman. Drażnił go ten sposób mówienia. Perlman zdał sobie sprawę, że nigdy nie polubi Tiggego. Zupełnie jakby dzieliło ich jakieś zatrute powietrze.

Mary Gibson przyjrzała się uważnie zawartości torebki.

— Zawieruszyła się między gazetami — oznajmił Perlman.

— Żadnych pierścionków — orzekł Tigge, lustrując dłoń. — Ani znaków szczególnych.

— Guzik widać w tej mazi — zauważył Perlman, zniecierpliwiony. • — Jak myślisz, skąd to się tu wzięło? — dociekała Mary.

— Pojęcia nie mam — rzucił Perlman, pochłonięty widokiem dłoni. Była szerniała i pomarszczona.

— A może miałeś jakichś nieproszonych gości? — spytała Mary.

— Nic mi o tym nie wiadomo.

— A zdarza ci się nie zamykać drzwi na klucz, Lou?

— Czyś ty oszalała? Są dookoła tacy, co okradliby człowieka we śnie nawet ze sztucznej szczęki, i to nie tylko zanurzonej na noc w szklance wody, Mary. Trzeba mieć nierówno pod sufitem.

— To może ktoś włamał się tu bez twojej wiedzy?

— Mam tylko dwoje drzwi: frontowe i tylne. Jedne i drugie zamykam w nocy od środka na zasuwę. Po tamtej strzelaninie zmieniłem zamki. Przed wyjściem też zamykam oboje drzwi, na trójfunkcyjne zamki firmy Chubb. Od razu bym zauważył, że ktoś w nich grzebał, Mary.

— No a okna? — drążyła.

— Są blokowane od środka. Trzeba by zbić szybę, żeby sięgnąć klamki i odblokować. A w domu nigdzie nie było stłuczonego szkła. No więc kto to mógł być? Houdini? Duch? A może jakaś istota o niezemskiej mocy, zdolna przenikać przez szkło czy mur?

— No cóż, nie miałeś nieproszonych gości, a twój dom przypomina twierdzę... — zaczęła Mary.

— Nie przesadzaj.

— W takim razie wciąż pozostaje nam to samo pytanie: jakim cudem ta dłoń się tu znalazła?

Tigge uśmiechnął się. — Jakiś mały karzełek wrzucił ją przez komin. Perlman zgromił go spojrzeniem. A kto cię pytał o zdanie, sierżancie--małpoludzie?

— Zanieś tę torebkę do wozu, Tigge, i zczekaj tam na mnie — nakazała Mary. — Zawieziemy ją Sidowi Linklaterowi. — Był to młody mistrz medycyny sądowej o sowej twarzy. Uczony Sid.

Tigge wyszedł, tupiąc ciężko po schodach.

— Zwiny jak kot, nie ma co — rzucił Perlman.

— Tigge jest u nas nowy, przyjechał z Elgin — wyjaśniła Mary. — Weź to pod uwagę.

— Pewnie mam go traktować ulgowo? Zaśmiała się. — I tak byś nie umiał.

Perlman lubił jej śmiech. Był niski, a po paru drinkach wręcz zmysłowy. — Wiesz, kiedyś wychodząc, mogłem zapomnieć zamknąć drzwi.

— To się zdarza...

— No tak, ale mnie to martwi.

— Wszyscy mamy takie chwile, Lou; bywamy rozkojarzeni i zapominalscy...

Przerażała go myśl o słabnącej sprawności umysłu: najpierw siada pamięć, a potem człowiek zaczyna się ślinić. W połowie schodów zapalił papierosa. — Nie chciałbym być w pobliżu, jak Sid otworzy tę torebkę — powiedział.

— Takiego młodziaka fascynują makabryczne sprawy, Lou. Dla niego odór rozkładu jest jak zapach kwitnącej wiśni. — Przeszli do pokoju dziennego i Mary zaczęła przeglądać jego kolekcję płyt. — Wiem, co sobie myślisz: że jako znalazca masz do tego prawo.

— To moja sypialnia. Znalezione, nie kradzione, Mary.

— I pewnie chciałbyś brać udział w dochodzeniu.

— Mam taką nadzieję.

— Lou. — Poklepała go po ramieniu.

— Tylko czekam, aż mi palniesz tę swoją mówkę, że życie to nie bajka.

— Tay na to nie pójdzie, Lou.

— Och, Mary, to wszystko ma gówno wspólnego z moim postrzeleniem. Już ja dobrze wiem. I ty też. Me wrócisz, dopóki ramię całkiem się nie zagoi. — Zaczął chodzić po pokoju, przedrżniając beznamietny ton Taya i kiwając palcem w powietrzu. — Co należy rozumieć, że chcą mnie wykopać. Oto ich taktyka. Przecież już od dawna słynę z tego, że... mówię to, co myślę.

— I robisz to, co chcesz.

— O rany, wielka mi rzecz: może i nastąpiłem temu czy innemu na odcisk i parę razy posunąłem się trochę za daleko.

— Trochę to za mało powiedziane. Pamiętaj, z kim rozmawiasz. Od jak dawna się znamy?

— Muszę tam wrócić, Mary. Pogadaj z Tayem.

— To wróg kobiet, umysł ma wielkości schronu przeciwlotniczego. Przyjął mnie tylko z obowiązku zatrudniania obu płci. A ty naruszyłeś zasady i jesteś persona non grata. I tak już zostanie, dopóki rządzi u nas Tay. Spróbuję z nim pogadać, ale przygotuj się na odmowę.

Perlman odprowadził ją do drzwi. Przypomniało mu się, że Mary od pół roku jest w separacji. — Ajak tam kłopoty małżeńskie?

— Larry nie chce być mężem gliny. Mówi, że stale nie ma mnie w domu. I taka jest prawda.

— A to pech — przyznał.

— Strasznie przykra sprawa... W każdym razie skontaktuję się z tobą, Lou.

Otworzył jej drzwi i patrzył, jak wsiada do zaparkowanego wozu od strony pasażera. Następnie zamknął się w domu i wrócił do pokoju dziennego.

Czuję w powietrzu pewne zmiany, pomyślał. Nie odbiorą mi tej pieprzonej dłoni.

10

Każdego dnia z samego rana Dorcus przechadzał się pod kamiennym murem, otaczającym jego posesję. W grubych, gumowych rękawicach zagrabiał śmieci, których narzucali mu ci z wieźowców. Najczęściej znajdował zużyte prezerwatywy, majtki, staniki, buty, opakowania po szminkach, dziurawe opony, koła od rowerów i zwoje zużytego papieru toaletowego. Raz natrafił nawet na sztuczną szczękę, górną i dolną. Zgarniał to wszystko szufelką do plastikowych worków na śmieci.

Pisał w tej sprawie listy do urzędu miasta, ale jak dotąd nikt nie przyjechał, by mu doradzić czy choćby zaproponować jakieś rozwiązanie. Stary dom Dorcusa stanowił przeżytek i powinno było się go wyburzyć już dawno temu, kiedy zaczęto budować osiedle. Ci Betonowcy żyli w innym świecie, gdzie prawo było obiektem żartów.

Zgarnął śmieci i wytaszczył plastikowe worki do pojemników za kuchennymi drzwiami, gdy nagle oba psy, zacielde ujadając, rzuciły się do muru. Wśród liści na wysokiej gałęzi dębu, który stał za posesją Dorcusa, wyrastając parę metrów ponad drutem kolczastym, ukazała się chłopięca twarz.

Dorcus Dysart zadarł głowę i spojrzał na dzieciaka. Miał jakieś jedenaście, dwanaście lat i papierosa w ustach. Nosił fryzurę jak większość młodych Betonowców: głowa ogolona prawie na zero, pokryta tylko drobnym meszkiem.

— Ej ty. DY-SRAT. — Dzieciak rzucił niedopałkiem w psy. — Mój tata mówi, że jesteś popapwany. Podobno pożerasz dzieci. To prawda?

Dorcus Dysart zdeptał niedopałek i spojrzał gniewnie na chłopaka. Psy, warcząc, doskakiwały do muru. — Twój oojciec... ga-gada głupoty.

— Mówi, że jesteś kurewsko stuknięty.

— On sam jest ssstuknięty — odkrzyknął mu Dorcus.

— I że jesteś mię-mięczak i ła-łajza.

Słyszając drwiny chłopaka, Dorcus zaczął skubać swoje rzadkie, żółtawe włosy, opadające mu prawie do ramion. Poczul dreszcz, wstrząsnął nim gniew.

— Zaraz poszczuję cię psami — rzucił.

— Serio? A co, może są jakieś magiczne? Umieją skakać na mur? Zastrany pedofil. Cholerny cwel.

Dorcus wiedział, że jego twarz nie potrafi przybrać groźnej miny. Za nic nie uda mu się wystraszyć dzieciaka.

— Mój tata mówi, że w tym domu straszy, że są tu duchy i inne takie.

— Twój tata to zacofany kkkretyn.

— A właśnie, że nie.

Chłopak odchrząknął i splunął. Flegma zawisała na liściu. — Widzisz, nawet śliny na ciebie szkoda, ty pieprzony świrze.

Dorcus wyobraził sobie, że chłopak leży na stole operacyjnym, a on sam sięga po skalpel z ostrzem numer dziesięć, do serca. Bardzo powoli robi nacięcia.

Chłopak tymczasem zapalił następnego papierosa, po czym zsunął się z gałęzi i zawisł na jednej ręce, naśladując odgłosy z dżungli. — Umgawa! Ja Tarzan, ty Jane. Fu fu fu.

Dobermany rzuciły się do muru w kolejnym ataku wściekłości. Skakały, śliniąc się, ale od chłopaka dzielił ich cały metr. Obyś spadł, mały gnojku, obyś spadł, powtarzał w myślach Dorcus. W jednej chwili dzieciak ześlizgnął się z gałęzi i już miał runąć na ziemię, ale wdrapał się z powrotem na konar, zwinnie omijając drut kolczasty, czmychnął w gęstwiny liści i już go nie było, tylko gałęzie trzęsły się jeszcze przez chwilę po jego zniknięciu.

Dorcus patrzył na drzewo. Później wyruszę moją białą furgonetką, pomyślał.

Wrócił do środka. Miał spocone dłonie. Wylał je o swoje spodnie koloru khaki. Wszedł do gabinetu ojca, gdzie okna przysłaniały stare, brązowe żaluzje. Sędzia kupił tę posiadłość na początku lat pięćdziesiątych, długo przed tym, jak zjawili się Betonowcy. Była to wiktoriańska budowla z piaskowca, z wieżyczkami i rzeźbionymi ornamentami w kształcie owoców nad frontowymi drzwiami. Było tam tyle pomieszczeń, że Dorcus nie zdołałby ich wszystkich wykorzystać. Do niektórych nawet nie zaglądał. Na krzesła i sofy ponaciągał zasłony, a pianino matki owinał pokrowcem. Starał się utrzymać ten dom z pieniędzy, które w spadku zostawił mu sędzia, ale usuwanie wilgoci i szkód kosztowało go zbyt wiele.

Usiadł na obrotowym krześle ojca, obitym brązową, spękaną skórą. Sędzia przesiadywał tu co noc nad książkami prawniczymi, z ogromnym wiecznym piórem w ręce i notował coś w żółtych notesach prawniczych. Nieraz, zmęczony rozważaniami nad wykładnią prawa, mruzczał coś na głos sam do siebie. Któregoś mroźnego poranka Dorcus przytaszczył do gabinetu wiadro węgla, żeby wzniecić gasnący ogień. Sędzia zdjął okulary, odłożył pióro i spytał: ile ty właściwie masz lat, Dorcus?

Dziewięć, proszę ojca. Dorcus wrzucił węgiel do paleniska. Dłonie miał całe czarne.

Zawsze zapominam o urodzinach, i to nawet własnego syna, rzekł sędzia, patrząc na niego żałośnie. Żyję jak po śmierci, Dorcus, i to jest mój dramat. I, jak na nieszczęście, twój też. Bardzo tego żałuję.

To był jedyny moment w pamięci Dorcusa, kiedy sędzia powiedział coś od serca, choć wypadło to nerwowo, w pośpiechu. Następnie założył okulary, wziął pióro i wrócił do swoich notatek, nie zważając na chłopca.

Jako ojciec, sędzia Dysart był odległy i zimny jak gwiazda polarna.

Dorcus wstał z miejsca, wyszedł z gabinetu, zamknął drzwi. Po co właściwie tu zajrzał? Czego szukał — wspomnień pełnych ciepła i czułości?

Pomyślał o tamtym chłopaku na drzewie, o jego głupiej gębie i kretyńskich docinkach. Pal go sześć. Pal sześć wszystkich Betonowców i cały ich pomiot.

Postanowił wieczorem wyjść z domu.

Opuścił gabinet i wszedł po schodach.

Mijając strefę chłodu, zwykle przyśpieszał kroku, ale tym razem zatrzymał się na dźwięk cichutkiej rozmowy i jakichś głosów w oddali. Słyszał urywane zdania. I te kroki, jak zawsze, choć nigdy nie miał pojęcia, skąd dobiegają. Poczul zapach olejku różanego matki. Usłyszał tykanie małego, złotego zegarka na jej stoliku nocnym, ledwo słyszalny odgłos, jakby stukanie paznokciem o skorupkę jajka.

Wtedy głos jego matki wyszeptał mu do ucha: Dorcus, niech cię ucałuję, mój drogi synu...

Chłód anemicznych warg, zapach śmierci w jej oddechu.

Rzucił się przed siebie, byle dalej od tego chłodu, wbiegł po schodach, obejrzał się.

Niczego nie zobaczył, jak zwykle zresztą. Zupełnie jakby przemknął przez jakiś obcy teren, miejsce, gdzie umarli gromadzą się w swych tajemnych celach. To jak skupisko niejasnych pogłosów, niespójnych słów, porwanych zdań.

Duchy.

A może to wszystko dzieje się tylko w mojej głowie. Wolał o tym nie myśleć. W obecności siostry Payne jakoś nigdy się to nie zdarzało. Ona dodawała mu otuchy. Pocieszali się nawzajem. Ona sięgnęła głęboko do jego serca, tam, gdzie nikt przedtem jeszcze nie dotarł. Czasem czuł się przy niej tak, jakby zostali na świecie tylko we dwoje, a całą resztę pochłonął jakiś kataklizm.

W sypialni zadzwonił telefon. Pośpieszył go odebrać. Może to ona. Rzucił się na wąskie łóżko i sięgnął po słuchawkę na stoliku nocnym.

— Hhalo — odezwał się.

— Dorcus? — spytał jakiś kobiecy głos. To nie była siostra Payne.

— Tak.

— Mam na imię Glorianna i przygotowałam coś dla ciebie. Może w środę wieczorem, tak około szóstej, Dorcus?

— Ch-chwileczkę...

Ale ona już się rozłączyła.

11

Perlman zasnął na sofie i obudził się cały zeszywniały od leżenia na ciasnej przestrzeni. Rozejrzał się po pokoju: jego wzrok był rozmyty jak na kacu. Nie miał soczewek; nie pamiętał nawet, gdzie je położył. W ramieniu czuł tak rwący ból, że ciężko mu było wstać. Otworzył szufladę kredensu i sięgnął po stare okulary a la Buddy Holly, a gdy je założył, czuł się jakoś dziwnie, jakby w uprzęży na twarzy. Ale teraz przynajmniej coś widział. W kraciastym, czerwono-czarnym szlafroku podszedł do drzwi. Na podłodze leżała jakaś poczta, a gdy się po nią schylił, kręgosłup zatrzeszczał mu jak maszt rozkołysanego jachtu.

Ulotki. Śmieci. Ani słowa od wędrownej Miriam.

W zamku zazgrzytał klucz i w holu pojawiła się Betty McLatchie, wyraźnie zmęczona.

— Cześć, Lou. Co, nieprzespana noc?

— Aż tak to widać?

— Może trochę. Zaraz zrobię kawę. Sama najchętniej wypiłabym kilka litrów. Fajne okulary. Może zaśpiewasz mi „Peggy Sue”?

— Ja? Swoim głosem mógłbym straszyć dzieci.

Wszedł za nią do kuchni. Postawiła torebkę na stole i potrząsnęła czajnikiem, sprawdzając, czy w środku jest woda. Włączyła gaz i potarła zapalną. Buch — strzelił żółto-niebieski płomień.

— Mam tylko rozpuszczalną — oznajmił. Otworzył szafkę, wyjął słoik Maxwell House i dwa kubki, które postawił obok kuchenki.

— Jaką pijesz? — spytała.

— Bez mleka i cukru. Czarną i gorącą.

Wsypana kawę do kubków, po czym wyjęła z torebki papierosy. — Wybacz, że wczoraj musiałam wyjść.

— A ile razy w życiu człowiek ma okazję ujrzeć odciętą dłoń?

— Raz, i to wystarczy.

Ruchem głowy wskazał na paczkę jej papierosów na stole. — Mogę?

— Proszę bardzo.

Perlman wyjął jednego Benson and Hedges i odpalił od płomienia na gazie. Betty zaparzyła kawę. Perlman usiadł, sięgnął po kubek i otoczył go dłońmi, aby je rozgrzać. Popatrzył na Betty. Sińce podkreślały jej oczy, które wyraźnie straciły swój dawny blask.

Zmęczonym ruchem oparła papierosa o popielniczkę i dmuchnęła na kawę.

— Jakież wieści od Kirka? — spytał.

— Ani słowa.

— W takim razie zajmę się tym jeszcze dziś. — Dotknął wierzchu jej dłoni w odruchu pocieszenia, jakby chciał powiedzieć: zrobię, co w mojej mocy.

Posłała mu niepewny uśmiech. — Wczoraj rozmawiałam z paroma jego kumplami. Oni też nie wiedzą, gdzie on jest.

Perlman upił kawę, pozbawiony smaku szajs. Ból w ramieniu znowu się odezwał. Trzeba będzie wziąć środek przeciwbólowy. — Zostaw to mnie. A gdybym potrzebował zdjęcia Kirka, to dasz mi jedno?

Otworzyła portfel. — Proszę.

Podawała mu je tak szybko, że zbiła go z tropu, jakby jej ręka właśnie wykonała jakąś kuglarską sztuczkę. Nie sądził, że nosi przy sobie jego zdjęcie. Wziął je i przyjrzał się twarzy Kirka. Nie był przystojny; wyglądał jak zwykły przeciętniak, za którym na ulicy nikt by się nawet nie obejrzał. O ile twarz Betty tryskała energią i otwartością, o tyle z twarzy Kirka niewiele dało się wyczytać. A więc to był ukochany syn Betty, ten młody człowiek z posępną miną, o brązowych włosach i oczach.

— Pewnie wcale nie będzie mi potrzebne — powiedział, by rozluźnić nieco napiętą atmosferę. — Ale wezmę je na wszelki wypadek. Dla własnego użytku.

— Jasne, rozumiem. Już biorę się za tę kuchnię. — Dopiła kawę, zdusiła papierosa, wypłukała kubek w zlewie.

— Na pewno jesteś dziś w nastroju do pracy?

— Żebyś wiedział. Potrzebuję tego.

Perlman podniósł się z miejsca. Miał przed sobą pracowity dzień. Perspektywa działania dodała mu energii. Wstając, z zażenowaniem uświadomił sobie, że pod szlafrokiem ma na sobie piżamę w końskie łby na ciemnozielonym tle. Co też go sldoniło, żeby kupić sobie tak kretyńską piżamę... zaraz, to przecież prezent, który parę lat temu dostał od ciotki Marlenę z okazji Chanuki. Ciotka wciąż traktowała go jak chłopca. Mały Lou. Masz tu parę groszy, idź i kup sobie trochę toffi, tylko uważaj przez jezdnię. Miała prawie dziewięćdziesiąt lat i jej myśli często błądziły po smutnych ogrodach jej pamięci.

— Lepiej pójdę się ubrać — powiedział. — Fatalnie byłoby paść trupem w takim stroju, co?

— No, ta piżama nie jest chyba w twoim stylu?

— Z całą pewnością. — Ruszył schodami na górę do sypialni, przedzierając się przez sterty gazet. Miał znieść je na dół i wyrzucić, ale wyleciało mu to z głowy. Trzeba się skupić. W szafie wyszukał koszulę w bialo-niebieską kratę i parę niebieskich spodni. Wyjął też brązowe, zdarte buty, które nie pasowały do niebieskiego. Zaczął szperać wśród krawatów, ale dał sobie spokój: a na co właściwie mi krawat?

Wszedł do łazienki; na krawędzi wanny zauważył swoje soczewki — jak to się stało, że zostawił je właśnie tutaj? Człowiek zostawia rzeczy w miejscach, o których zawsze zapomina. Ile ludzkiego życia upływa na szukaniu soczewek, okularów i innych przedmiotów codziennego użytku? Zdjął okulary, ostrożnie założył soczewki i spojrzał na swoje odbicie w lustrze. Twarz zryta bruzdami. W każdej fałdce i zmarszczce odznaczało się jego życie. Ta twarz już nie raz była bita, maltretowana i ostrzeliwana. Chlusnął na policzki gorącą wodą z mydłem i przeczesał włosy mokrymi palcami. Ogolić się czy nie? Pal licha. Spiesznie wyszorował zęby i splunął. Następnie wziął opakowanie nici dentystycznej. Gardził tym wynalazkiem. Ścisnął pudełko, jakby chciał je udusić. — Kto cię w ogóle wymyślił, co? Pewnie jakiś popapwany dentysta nie miał co robić i wpadł na pomysł, żeby stworzyć coś takiego woskowanego do wciskania między zęby? Małe, wstrętne świństwo, od którego tylko krwawią dziąsła.

Wrzucił znienawidzoną nić do kosza na śmieci.

Oto zrekonfigurowany Perlman, gotów zacząć nowy dzień.

Gdy zszedł na dół, Betty była już na etapie szorowania kuchenki gazowej. Pracowała energicznie z zakasanyimi rękawami. Skóra wokół jej łokci była błyszcząca i zryta drobnymi zmarszczkami.

W drzwiach zawahał się, przerzucając w głowie zagadkowe myśli. Kofeina wznieciła małe ogniska zapalne. Odcięta dłoń. Zaginięcie syna. Miriam. Bezgłowy klaun. Cała masa zagadek na raz. Mózg już mu się rozgrzewał. Dzień pierwszy, nowy rozdział życia, zbliżenie.

— Wróćę, jak będę mógł — oznajmił. — Jeśli się czegoś dowiem, to zadzwonię. A gdybyś zgłodniała...

— Zapamiętam sobie, żeby nie zaglądać do lodówki. Perlman uśmiechnął się. — Sam do niej dawno nie zaglądałem.

— Tak się składa, że przyniosłam sobie kanapkę.

— I to się nazywa dar przewidywania — zauważył, po czym wyszedł do holu, chwycił płaszcz i już go nie było.

W połowie drogi na Dalness Street, sunąc swym cynobrowym fordem ka, zdał sobie sprawę, że zapomniał środków przeciwbólowych.

Skręcił w Shettleston Road. Odległe słońce wisiało wysoko na niebie, między domami szalał zimny wiatr. Okolica wyglądała obskurnie, panował w niej klimat beznadziei i nędzy. Było tu parę lichych barów, jedna czy dwie piekarnie, sldęp spożywczy i warzywniak, a wszystko w ruinie.

Na Boga, dajcie tu trochę jasnych kolorów. Obudźcie w sobie osiedlowy patriotyzm, do cholery. Oto Perlman — działacz społeczny. Ale tu brakło energii na całkowitą odmianę. Apatia wzięła górę. Jakaś naćpana dziewczyna w poplamionym ubraniu leżała zamroczona w brudnym wejściu. Znużone nastoletnie matki, skazane w przyszłości na dalsze potomstwo i brak uczuć, szły chodnikiem, pchając wózki.

Minął salę bilardową, w drzwiach której stała grupka twardzieli; zgrywali odpornych na chłód, obnażając ramiona zdobione niebieskimi, krzykliwymi tatuażami. Na widok Perlmana uśmiechnęli się szyderczo. Już go namierzili swoim wrodzonym radarem: wiedzieli, że to glina.

Ramię rwało go, jakby ktoś ścisnął je wielkimi szczypcami. Przy Duke Street, łączącej East End z centrum miasta, rozejrzał się za apteką. Była to długa ulica szarobrazowych kamienic, tandetnych sklepików i rzęzących, kopcących autobusów. Jakiś smutny koń-przeżytek z kłapkami na oczach, któremu najwyraźniej przydałaby się pigułka szczęścia — Perlman od razu poczuł sympatię do tego biednego, człapiącego zwierzęcia — ciągnął wóz załadowany różnorakimi meblami, przywiązany sznurkiem na krzyż.

Oto nowe Glasgow za dagerotypem dawnego miasta.

Zaparkował na żółtej, podwójnej linii, wyskoczył z auta i pognął do apteki, gdzie wskazując na ramię, spytał, czy nie mógłby kupić petydyny bez recepty, ale aptekarka za ladą, kobieta o ściągniętych wargach, z siatką na głowie, stanowczo odrzuciła jego prośbę. Perlman zaklął pod nosem i musiał zadowolić się Solpadeine z kodeiną, której dwie tabletki

ostentacyjnie włożył sobie do ust na oczach kobiety: pieprzę te twoje recepty, babo, mam je gdzieś.

Rozważał, czy nie zatrzymać się w Coia's na porządną kawę, ale się rozmyślił. Powietrze od strony Tennant's Brewery, na południe od Necropolis, gdzie krzyże i pomniki pięły się ku niebu, było wyraźnie gorzkawe od zapachu chmielu. Przy odpowiednim wietrze można było urznąć się od samych oparów. Zaraz potem wyłonił się Great Eastern Hotel, dawniej słynna noclegownia, a teraz ciemny szkielet, wykładany płytami, przerabiany na budynek mieszkalny. Stare fabryki papierosów, opuszczone kościoły, zamknięte szkoły — wszystko przerabiano teraz na mieszkania. Mieszkania mieszkania mieszkania.

Glasgow stało się Miastem Mieszkań.

Przejechał obok szerniałego gmachu szpitala Royal Infirmary, dokąd przewieźli go zaraz po postrzale. Pamiętał, jak się obudził podłączony do kroplówki, i ten straszliwy ból, i nadąsaną pielęgniarkę, która szczydziła mu petydyny. Pielęgniarki, aptekarki — oj, chętnie popsioczyłyby na nie za to, że trzymają w zapasie tyle dobrych leków, a w razie potrzeby wydzielają tylko skromne dawki.

Wreszcie dotarł do okolicy Central Stadion i zaparkował w wolnym miejscu na Wellington Street. Wrzucił monetę do parkometru i ruszył pod wiatr przez kilka przecznic aż do stacji. Scullion czekał na niego w hali przy stoisku z bakaliami. Trzymał torebkę „mieszanki studenckiej”, co zdaniem Lou było fikuśno-frymuśną nazwą karmy dla papug. Dalej, chłopcy, wkładajcie świekowane buty, jedziemy na wycieczkę i pakujemy „mieszankę studencką” w teczkę.

Scullion wyglądał jak zdeptany kapeć. Wepchnął torebkę z bakaliami do kieszeni. — No i po kiego diabła wydzwaniasz do mnie po nocach? Madeleine zadrecza mnie pytaniami, co to za ważna sprawa, dlaczego Lou dzwoni o drugiej w nocy?

— O drugiej? Aż tak późno? Głowę daję, nie wiedziałem, która godzina, Sandy.

— Jak o drugiej w nocy dzwoni telefon, to moja żona zaraz się piekli... Cholera, żebyś wiedział, Perlman, że są takie chwile, kiedy najchętniej bym cię udusił. Ty w ogóle nie masz poczucia czasu. Znamy się od tylu lat i ani razu nie widziałem cię z zegarkiem czy jakimkolwiek innym czasomierzem. Idziesz przez życie, nie wiedząc nawet, która godzina, a zdarza się, że nie masz nawet pojęcia o dacie.

— No cóż, widocznie mój biologiczny zegar ma jakąś genetyczną wadę — odparł Perlman, próbując złagodzić niechęć w tonie głosu San-

dy'ego. Oczami wyobraźni widział poirytowaną Maddie, obudzoną dźwiękiem telefonu. Scullion wściekał się z powodu Maddie. I pewnie ich dwoje dzieci też, i cholerny kot, a wszystko przez Maddie.

— Bo ty zawsze musisz dostać to, co chcesz, i to o żądanej porze.

— Tak sądzisz?

Scullion oddalił się bez odpowiedzi. Ruszył w głąb hali parę kroków przed Perlmanem. Ludzie pędzili na pociągi do takich miejsc jak Bogston czy Williamswood. To była Sina Dal, w którą Perlman nigdy się nie zapuszczał: gdzieś poza granicami miasta. Wszędzie panował pośpiech, z peronów dochodził stukot obcasów, z głośników komunikaty. Międzyplanetarny pociąg ekspresowy na Marsa stoi na torze przy peronie czwartym...

— Mógłbym zapłacić za to głową, Lou. Nie pomyślałeś o tym, co?

— To znaczy, za kumanie się z wrogiem?

— Słuchaj, mam teraz pełne ręce roboty...

— Pełne ręce? No proszę, co za banalne wymówki. Zaraz pewnie walniesz mi, że ja dolidadam ci jeszcze do pieca. Czy w ten sposób próbujesz mnie spławić, Sandy? — Dostrzegł na twarzy Sculliona zaciekły gniew i zaraz pożałował swoich słów. Tak niespodziewanie uderzył w sarkastyczny ton — och, jak bardzo wściekał się na samego siebie, na niepoohamowane żywioły swojej natury.

— Myślisz, Lou, że mógłbym tak po prostu cię zbyć? A żebyś wiedział, że strasznie mnie kusi.

Perlman zrobił przesadny ruch ręką dla załagodzenia sporu. — Zapomnij, co ci nagadałem. To tylko nerwy. Chodź, postawię ci kawę na zgodę, a może dołożę jeszcze ciastko — zaproponował, otwierając pchnięciem drzwi kawiarni, skąd unosił się silny, nieodparty aromat espresso, ale Scullion nawet się nie zatrzymał, tylko pomaszzerował wielkimi krokami w stronę tablic z rozkładami jazdy.

Perlman wzruszył ramionami i poszedł za nim. — Czyli kawa odpada.

— Nie chce mi się siedzieć. — Scullion przystanął, oparty o tablicę. — Wiesz, dziś rano Mary Gibson spotkała się w twojej sprawie z Tayem.

— No i co?

— On nie chce cię z powrotem.

Perlman usiłował nie okazywać rozczarowania. — Wiedziałem. Jak rozdawali szare komórki, Tay stał chyba na samym końcu pieprzonej kolejki. A jak do niego doszło, zostały już tylko ptasie mózdzld. — No dobra, wiedział, że tak będzie, mógł łatwo przewidzieć reakcję Taya, a mimo to postanowił choć raz pomyśleć pozytywnie: a jednak nadzieja osłabia człowieka, w tym tkwi cały szkopuł. — Ten bydlak Tay chce mnie odsunąć od śledztwa w

sprawie tej odciętej dłoni, której odkrycia, nawiasem mówiąc, wcale nie musiałem zgłaszać. Bóg mi świadkiem, że powinienem był zachować to dla siebie.

— Jak to, dla siebie? To najgłupsza rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałem.

— A więc masz mnie za durnia? Perlman: szaleniec z Pitt Street.

— Chryste, odkąd cię widzę, stale marudzisz. — Scullion zgarbił się, udając starca o lasce.
— A ja zawsze podziwiałem cię za twój upór.

— No dobra, żyłem złudzeniami.

Scullion znów usunął się na bok, jakby potrzebował chwili samotności, by uspokoić emocje. Wszedł do apteki, a Perlman za nim. Scullion zaczął oglądać szampony. — Polecam ten — odezwał się Perlman, chcąc się na coś przydać, i wskazał na butelkę specyfiku ze smołą węglową.

Ale Scullion zignorował go, wziął butelkę Head & Shoulders, zaniósł do kasy, zapłacił i wyszedł. — Chcesz posłuchać, co mam do powiedzenia, czy nie?

— Byle tylko nie o zegarkach.

— To obiecaj, że będziesz trzymał gębę na kłódkę.

— Słowo harcerza.

— Nawet nie należałeś do harcerstwa, Perlman.

— W talem razie pokażę ci odznakę za tropienie gronostajów.

— W dupie mam twoje gronostaje. Skąd ty w ogóle masz takie pomysły?

— Chyba jakaś klątwa padła mi na mózg.

Scullion przewrócił oczami. — No więc Sid Linklater twierdzi, że rękę odcięto jakieś dwa, trzy miesiące temu. To było gładkie cięcie piłą. Profesjonalna robota.

Perlman słuchał z przejęciem niczym zaintrygowane dziecko, usiłując wyobrazić sobie, jak ktoś włamuje się do jego domu, by podrzucić torebkę. Podajmy Perlmanowi rękę: he, he, ale kiepski dowcip.

— A odciski palców?

— Na torebce nie ma. Sid twierdzi, że dłoń jest w tak poważnym rozkładzie, że nie da się nawet określić pici tego, do kogo należała.

Perlman zamyślił się. A więc płeć nieznana.

Scullion manifestacyjnie podciągnął rękaw płaszcza, odsłaniając zegarek, i sprawdził, która godzina. — Pewnie chcesz działać w pojedynkę, co? W takim razie obserwuj sierżanta Bigglesa, uważaj na jego ruchy. Za dobrze cię znam.

Perlman z kamienną twarzą tylko patrzył na Sculliona.

— Nie wolno mi tego pochwalać, Lou. Ale zapamiętaj sobie: jak już coś znajdziesz, wolałbym, żebyś się z tym nie ukrywał. I żeby nikt się nie dowiedział, że ci pomagam. Jasne?

— Nie pisnę ani słowa, choćbyś mnie przybił do drzewa i wyrywał paznokcie u nóg.

— I jeszcze jedno. Nie myśl, że nie jestem po twojej stronie. Ale to wcale nie znaczy, że wolno ci wydzwaniać do mnie po nocach.

— Kupię sobie zegarek, obiecuję. — I tak zaraz go zgubię, dodał w myślach.

— Po co, do cholery, zawsze wszystko utrudniasz?

— Ja utrudniam?

— I to przy każdej pieprzonej okazji. — Scullion odsunął się od Lou, przepuszczając grupę podróżnych, którzy spiesznie podążali do gotowego do odjazdu pociągu.

— To może jakaś kolacja w przyszłym tygodniu?

— Kolacja? Nie sądzisz chyba, że Maddie przywita cię z otwartymi ramionami?

— Ona ma krótką pamięć. Domyślasz się już, co będzie na kolację?

Perlman patrzył potem, jak Scullion opuszcza stację i udaje się w Gordon Street. Sam pozostał jeszcze przez chwilę, wsłuchując się w odgłos pociągów; jako dziecko uwielbiał pociągi, lubił patrzeć na mapy i zawsze intrygowały go nazwy odległych miejsc: ciekawe, jak tam jest? York, Pen-zance, Bristol. A mimo to od zawsze trwał tutaj, wplątany w pokretną naturę swego rodzinnego miasta.

Wyszedł na zewnątrz; było chłodno i świeciło słońce. Smagany wiatrem, wrócił do zaparkowanego auta. Działać w pojedynkę, no jasne, cokolwiek to oznacza.

W samochodzie zadzwonił z komórki do Joe Adamskiego, sierżanta z Wydziału E, któremu podlegała wschodnia część miasta.

— I jak tam twoja rana? — zagadnął Adamsld.

— Już się goi — odparł Perlman.

— To chyba ciężka sprawa dostać kulkę. Słyszałem też, że nie zostałeś „gliną miesiąca” komendy głównej policji.

— Na glinę roku też nie mam szans, stary. Ani całej dekady, niech to szlag. Oni mówią, że to urlop zdrowotny. Ale ja określiłbym to nieco inaczej.

— Odstawka.

— Żebyś wiedział. Nie wolno mi przekroczyć progu komendy, nawet gdybym był w pobliżu i strasznie zachciałoby mi się sikać. Tak więc oficjalnie jestem wykluczony.

Adamski miał chrapliwy głos, który przypominał zgrzyt strzyżarki do żywopłotu. — No, to masz przechlapane.

— Też tak myślę... Słuchaj, Joe, chciałbym cię prosić o drobną przysługę. Mam zgłoszenie o zaginięciu kogoś z twojego rewiru. To sprawa osobista. Obiecałem komuś.

— Już notuję — odparł Adamski.

Perlman wyjął z kieszeni zdjęcie Kirka McLatchie i podał Adamskiemu krótki rysopis, kolor oczu i włosów, wiek i adres.

— Słuchaj, ten adres to chyba gdzieś na odludziu — zauważył Adamski.

— Wiem. I będę ci wdzięczny, jeśli cokolwiek znajdziesz. Zapisz sobie ten numer, jasne?
— Perlman odczytał cyfry.

— Jakby co, to oddzwonię — zapewnił Adamski.

Perlman podziękował mu, a potem siedział przez chwilę, obserwując ruch uliczny na Wellington Street. Myślał o rozkładającej się dłoni: ciekawe, co się stało z resztą ciała. Może ktoś poćwiartował je na kawałki i gdzieś porzucił? Czy odcięto od niego tylko tę dłoń? W takim razie trzeba mieć oko na jednorękich ludzi.

12

Baba Ragada nosił biały turban i białą szatę do kostek. Twarz miał wychudzoną, a skórę opiętą wokół czaszki jak pergamin. Przemawiał głębokim, monotonnym głosem, który wywierał na Reubena Chucka hipnotyczny wpływ.

— Opowiedz mi o swej duchowej podróży.

Chuck, przykucnięty na parkiecie Świątyni Duchowej Mądrości, w dawnej sali Armii Zbawienia, uważał, że pozornie proste pytania Baby kryją w sobie głębię znaczenia. Kiedy o coś pytał, tak naprawdę szukał odpowiedzi na całkiem inny temat. Ten człowiek był jak studnia bez dna.

— Chodzi o moją karmę?

— Wszystko jest materią karmiczną. Powiadam ci. Gdy twój statek płynie po oceanie, horyzont zaczyna się zmieniać. Z każdym krokiem twojej długiej podróży dostrzegasz zmienność krzywizny tej wspaniałej planety. Czy sunący po niebie obłok odwraca twój wzrok od horyzontu? Czy

wystraszysz się przelatującego albatrosa? Wielki Gitavoga mówi, że wieczność można dostrzec w sercu zwykłej pokrzywy, trzeba tylko być uważnym w jej pojmowaniu. A zatem pytam cię: czy płyniesz w obranym kierunku, czy też pozwalasz zwieść się z kursu najsłabszemu powiewowi wiatru?

Reuben poczuł zapach kadzidła z olejkiem sandałowym. Lubił go, działał na niego odprężające. Rozmyślał nad słowami Baby — jak odpowiedzieć na jego pytania. W tym tkwił cały szkopuł. Wyobraź sobie, że jesteś galeonem na wzburzonym morzu. Jasne, akurat. To wcale nie takie łatwe. Wiatr dmucha ci w żagle. Odrzucił kilka możliwych odpowiedzi, bo żadna nie miała nic wspólnego z pytaniami Baby. Sprzedałem siedemnaście ton kradzionej najlepszej wołowiny Aberdeen Angus... Zleciłem zabójstwo swoich wrogów... Mam też dalsze plany natury finansowej...

Skrajnie, wręcz gigantycznie podłe, karmiczne czyny.

Czuł na sobie wyczekujący wzrok Baby Ragady. W jego oczach widniał blask tajemniczego obcowania z prawdziwą naturą rzeczy. Chodząca cierpliwość i spokój skupienia, oto cały Baba.

— Wysłałem czterdzieścioro niewidomych dzieci z ubogich dzielnic do Ayrjednym z moich autobusów. — Chuck uśmiechnął się słabo. Uznał, że taka dobroczynność z pewnością zachwyci Babę.

Ten wysłuchał go i rzekł: — Kativaka, uczeń Gitavogi, tak powiedział na łożu śmierci: przez całe życie jestem jak koliber. Przechodzę teraz proces odrodzenia, a kiedy wrócę, być może nie będę już nawet pamiętał, że miałem skrzydła. Rozumiesz mnie, Reuben?

— Hm, chciałem tylko powiedzieć, że oddałem im autobus z kierowcą.

— Powiadam ci: w czasie tej podróży twoje czyny nie zawsze wzbogacają cię duchowo czy prowadzą do odrodzenia w radości. Nikt nie ma na to gwarancji. — Baba Ragada uśmiechnął się, jakby wspomnienie o gwarancji było jakimś żartem zrozumiałym tylko dla guru. Mówił tak cicho, że Chuck musiał wytyżać słuch. — Wszystkie dobre uczynki wynikają z egoizmu.

— Jak to, z egoizmu? — Chuck czuł się zaskoczony i urażony, ale umiejętnie skrywał swoje emocje.

— Powiadam ci: Kryszna powtarza nam, że człowiek bogaty, który posiada bardzo wiele, nie zawsze wzrasta duchowo, rozdając swój majątek. Jakie to poświęcenie, skoro człowiek obciążony bogactwem materialnym rozdaje swoje ziemskie dobra, lecz w duchu wciąż pozostaje do nich przywiązany i odczuwa ból po ich utracie? Nawet jeśli człowiek ten stanie

się najbiedniejszym z żebraków, to wciąż pozostają pewne wątpliwości co do prawdziwej wartości duchowej jego uczynku, chyba że ów człowiek stworzy więź z kosmiczną prawdą. Jednak i wtedy nie ma takiej pewności.

Chuck nie czytał Kryszy, choć od jakiegoś czasu nosił się z tym zamiarem. Była to strasznie gruba księga. Tak jak Biblia, przez którą jednak jakoś przebrnął. No, może nie do końca. Ale przynajmniej przez niektóre fragmenty, takie jak, dajmy na to, Księga Rodzaju i Wyjścia, a innym razem znowu, urżnięty na amen rumem z colą, zabrał się za Objawienia — to dopiero był koszmar. — Chodzi o to, że miałem sam jechać na wycieczkę z tymi niewidomymi dziećmi?

Niecelny strzał. Zgrzyt, trzask — karmiczny kołowrót się zacina.

Baba westchnął cicho. — Nie wystarczy wyzbyć się rzeczy materialnych; trzeba także oczyścić duszę z gniewu, urazy i żądy cielesnych, aby twe serce stało się czyste jak świeży śnieg — dopiero wtedy masz pewność, że twoje uczynki płyną z bezinteresownej miłości.

Reuben Chuck zamyślił się nad tym ostatnim pojęciem. W jego świecie wszystko było interesowne. Sposób zachowania. Sposób prowadzenia działalności. A więc chodzi o to, że powinien kochać swoich wrogów i pozwalać im prosperować? Akurat. A co powiedzieliby na to inni? Pan Reuben to mięczak. Szefunio całkiem nam zdziwaczał. Cholera, nie je nawet mięsa. Chryste Panie, żywi się tylko pędami i kozim mlekiem. A do tego jeszcze przestał pić. Lepiej go zdejmijmy. Wykopmy go w cholereę. Obalić króla.

A co do majątku, to jak mógłby się pozbyć swojego apartamentu?

Spojrzał na Babę i dostrzegł drganie jego długich rzęs. Baba znowu robił ten swój okropny numer z oczami. Wywracał je do góry, tak że tęczęwki znikają mu gdzieś pod powiekami i było widać tylko lśniące, upiorne białka. Za pierwszym razem ten widok przyprawił Chucka o dreszcze, a potem jakoś mu spowszedniał.

— Zrozum — rzekł Baba. — Zabrać czterdzieścioro niewidomych dzieci nad morze, żeby pooddychały świeżym powietrzem, to nie grzech.

— A do tego kupić im tyle lodów, ile tylko zdołają zjeść. Plus darmowe atrakcje w wesołym miasteczku. I spacer po promenadzie, żeby ich małe buźki owiał świeży, morski wiaterek...

Ale Baba Ragada jakby tego nie słyszał. — Sama intencja jest dobra. Ale to czyn stanowi w powszechnym rozumieniu problem. Trzeba słuchać głosu swego serca.

A co to takiego, ten głos serca? Rozmyślając, Chuck z wolna rozejrzał się dokoła. Zawsze zdawało mu się, że każdy guru wiezie proste życie w skromnie urządzonej lokum, a tymczasem przez te parę miesięcy Baba zdążył już nagromadzić wiele różnych przedmiotów, na oko wartościowych — na ścianach wisiały wielkie, orientalne gobeliny, robione ręcznie z jedwabiu. Kunsztownie wykonane panoramy, obrazujące egzotyczne drzewa, półksiężycy i poszczególne etapy podróży Kryszny. Było tam też kilka sporej wielkości rzeźbionych w drewnie figur Buddy, z których jedna przedstawiała go w otoczeniu węży. Przy ścianie stało parę sztuk zabytkowych, tybetańskich dzwonek ręcznych. Reuben był ciekaw, ile z jego miesięcznych datków przeznaczono na zakup tych rzeczy. Wiedział, że to on opłacił ten drogi parkiet, bo to był jego pomysł, i pewnie jeszcze te grube, jedwabne, haftowane poduszki, na których siadywał Baba. Za to witraże, przedstawiające głównie pasterzy z owcami oraz Chrystusa bez oka, które niedawno ktoś wybił, musiały należeć do Sally Ann*, jeszcze zanim powstała tu Świątynia.

W rogu dostrzegł cynkowane wiadro, stojące tuż pod zaciekiem od deszczu na podwieszanym suficie. Wezwać tu dekarza, pomyślał, nabić sobie trochę punktów w tym cyklu życia i odrodzenia. Zadzwoić też po szklarza, niech naprawi Chrystusowi to oko. Jaho, strzał w dziesiątkę. Postanowił zwiększyć miesięczne datki, które obecnie wynosiły około trzech tysięcy. Czemu nie? Dawniej, jako katolik, też nie żałował forsy, szastał nią jak wariat: dawał pieniądze na nowe organy kościelne, na marmurową ambonę i na małe, sportowe autko dla księdza Skeltona.

Ten ksiądz Skelton, pedofil, to był niezły numer. Wszędzie tylko chłopcy i chłopcy, w krzakach, w toaletach, nawet w konfesjonale. A kiedy wstydliva sprawa wyszła na jaw i go zaaresztowano, zgłosiło się chyba z pięćdziesięciu molestowanych. Skelton uciekł z kraju zaraz po tym, jak zwolnili go za kaucją, i podobno pracuje teraz w Kalkucie jako misjonarz.

Czyli Rzym załatwił tę sprawę po swojemu.

Zniesmaczony Chuck odszedł od kościoła. Jego dusza potrzebowała nowej energii. Bardziej niż utrata szacunku przerażała go tylko perspektywa potępienia. Owszem, w dobie Oświecenia odrzucono istnienie piekła, a wówczas groziło mu coś innego: wcielenie w jakąś niepożądaną postać. W coś ohydneho.

* Sally Ann — pot. okreś. Salvation Army (Armia Zbawienia, wyznanie protestanckie znane z działalności charytatywnej).

Dajmy na to, w plankton. Jego życie trwa trzy sekundy. Ale był jeszcze inny problem: jeśli człowiek wraca do życia jako plankton czy inne stworzenie, to czy jest tego świadom? To chyba niemożliwe, żeby unoszący się w wodzie plankton mógł pamiętać, że kiedyś był Reubenem Chuckiem?

Podobnie jak Chuck nie pamiętał żadnego ze swoich poprzednich wcieleń. A więc to wcale nie takie proste.

Widocznie w procesie reinkarnacji dochodzi do jakiejś amnezji.

— Głos serca przemawia językiem miłości — orzekł Baba. Uniósł wychudzoną dłoń i wskazał na Chucka.

— Miłości — powtórzył Chuck.

— Uwolnij się!

Wtedy do niego dotarło. — Mam oddać ten autobus związkowi niewidomych?

Baba znowu zaczął wywracać oczami, jakby chłonał tony wiedzy z jakiegoś nieskończonego źródła mądrości. — Istnieje także ślepotą, która wykracza poza fizyczność, Reuben. To ślepotą ducha, na którą cierpi tak wielu.

W głowie Chucka wybuchła bomba. — W takim razie dam ten autobus tobie, bez żadnych zobowiązań.

Tęczówki Baby od razu wróciły na swoje miejsce. — Świątynia nie może przyjąć takiego daru.

— Ten wóz jest w świetnym stanie. Może ci się przydać, jeździsz przecież na te swoje spotkania duchowe i inne takie. Przyjmij go, Baba. Nie odmawiaj.

Baba zrobił zamyśloną minę. — Rzeczywiście brakuje nam stałego transportu, ale...

— Dorzucę też niezbędne naprawy, gruntowny przegląd i poprawki lakiernicze.

— Masz wielkie serce, Reuben — przyznał Baba Ragada.

Wyciągnął rękę i chwycił dłoń Chucka. Chuck po raz pierwszy dotknął skóry Baby. Była zimna, dało się pod nią wyczuć kości. Czy on w ogóle coś je? Dłoń miał lekką jak piórko.

— Jest tylko jedna drobna sprawa — dodał Baba. — Rozumiem, że potrzebne będą oficjalne dokumenty przeniesienia prawa własności. Czy tak?

— To drobnostka — rzucił obojętnie Chuck. — Papierami zajmą się moi prawnicy.

— Jestem wzruszony, Reubenie. Wielce wzruszony. Zaczynasz pojmować istotę cyklu.

Reuben Chuck doznał chwili euforii. Oto dostał błogosławieństwo Baby. Podskoczył nieco na kole modlitewnym. Świetnie. Kapitalnie. A to wszystko za jedyny autobus, przekazany jako darowizna, co oznacza zwolnienie od podatku. A zresztą na co mu ten autobus? To diesel, chleje ropę jak pijak wino. Miał ich przecież mnóstwo, całą flotę.

Baba Ragada powoli podniósł się z miejsca. — No cóż, nadszedł czas na moje godzinne medytacje. Niechaj twe sny pachną kwieciami.

Chuck skłonił głowę. Robił to zawsze, kiedy Baba go opuszczała. A gdy podniósł wzrok, tamten zdążył już przemknąć przez szafranową zasłonę i zniknąć za stosem poduszek, jak za sprawą jakiejś cudownej magii.

Chuck wyszedł ze Świątyni. Mathieson siedział w zaparkowanym jaguarze, pogwizdując „Wszysdde ładne dziewczyny kochają marynarza”. Otworzył tylne drzwi i Chuck wsiadł.

— Wszystko w porządku, panie Chuck?

— W dechę — odparł Reuben. — Dzwon do Williego Farla. Powiedz mu, że w Świątyni trzeba naprawić dach. Jeszcze dziś. I skontaktuj się z tym szklarzem, który przyciemniał mi szyby w apartamencie. Każ mu naprawić witraż, i to migiem. Czekaj, jak mu tam?

— Robbie Robertson. Już się za to zabieram. A przy okazji, ma pan wiadomość, panie Chuck. Od niejakiego inspektora Sculliona.

Scullion. Znał Sculliona. Uspokojony, Chuck położył dłonie na kolanach.

Scullion może poczekać.

13

Późne popołudnie w wymarłym Govan: Perlman sunął boczną uliczką, hamując nagle przed gangiem młodzików w bluzach z kapturem i spodniach od dresu. Kopali piłkę po całej jezdni i ani myśleli usunąć się z drogi. Zatrąbił klaksonem, krótko i energicznie, ale dzieciad nie zważały. Typowy dla Glasgow brak szacunku. Psiamać. Perlman zaparkował samochód i wysiadł. Odbita piłka potoczyła się prosto do niego. Zgrabnie zatrzymał ją stopą, zadziwiając siebie samego. Trzeba było zostać piłkarzem. Włączyć się po nocnych klubach z laskami uwieszonymi na moim ramieniu. Nosić garnitury od Armaniego i niczym się nie przejmować.

Dzieciaki patrzyły na niego wyczekująco. Kopnięciem oddał im piłkę, uderzając ją wewnętrzną stroną stopy, żeby ją podkręcić, ale mu się nie udało. — Uuuuu — zawyły dzieciaki i wróciły do swojej gry. Uliczny futbol, z narysowanymi kredą na murze bramkami.

Perlman zatrzymał auto przy zniszczonej pożarem kamienicy, przeznaczonej do rozbiórki. Przed wejściem do budynku wziął głęboki oddech, mijając wygiętą, metalową tablicę zakazującą wstępu, wielokrotnie zarysowaną i poobijaną, która wyglądała raczej na kiepski żart niż na oficjalne zabezpieczenie. Zabrudzony tynk schodził płatami ze ścian. Gdzieś z pękniętej rury za budynkiem unosił się smród odchodów.

Przeważał odór osmalonego drewna.

Perlman ostrożnie ruszył korytarzem, uważając na potłuczone szkło, ekskrementy i ryzyko trafienia na zużyte igły pod warstwą zgliszcz. Podszedł do schodów, zadął głowę, spojrzął w mrok. Nie docierał tu ani jeden promień słońca. Jediną oznaką życia była niebieskawa, pasożytnicza pleśń, widoczna w pęknięciach ścian niczym sieć żyłaków.

Wszedł na półpiętro. Z wysokiego sufitu, ledwie widocznego w mroku, posypały się płaty brązowego tynku. W oknie zamiast szyby była deska: żadnego przepływu powietrza, którym można by pooddychać. Wieczny, zatechły zmierzch. Lepiej byłoby zawrócić i spieprzać stąd, zanim się zatruję tym pyłem i oparami — pomyślał.

Zwłoki policjanta w upiornej kamienicy...

Wspiął się na piętro, gdzie natknął się na troje drzwi do trzech osobnych mieszkań. Dwa wejścia zawałone były stalą. Te szemrane pomieszczenia prawdopodobnie wykorzystywane były jako strzelnice albo zamieszkiwali w nich dzicy lokatorzy, ćpuny, a od czasu do czasu także bezdomni. Perlman zamachał dłonią przed nosem, by rozproszyć to odrażające powietrze: fuj. Że też muszę bywać w takich miejscach. Otoczenie tchnęło posępnością, która jednak jakoś nie udzieliła się Perlmanowi — odczuwał pobudzenie, jakby ukłuty jakimś żądłem zapалу i determinacji. Znowu był w akcji, sięgał po cały zapas swoich doświadczeń, zaryzykował, no i znalazł się tutaj.

Zapukał do drzwi, które jako jedyne nie były zawałone stalą. Nikt nie otwierał. Zastukał raz jeszcze. Żadnej odpowiedzi. Zaczekał chwilę, po czym walnął pięścią w drewnianą powierzchnię.

— Kto tam? — dobiegł go zza drzwi czyjś głos.

— Perlman. Wpuść mnie.

— Nie mam ci nic do powiedzenia.

— Otwieraj te cholerne drzwi, ćwoku — nalegał Perlman.

Przez szparę w uchylonych drzwiach ukazała się wielka broda. — Jesteś sam?

— Jaja sobie robisz? Są ze mną Kubuś Puchatek i pieprzony Tygrysek.

— No to włącz, byle szybko.

Perlman znalazł się w ciasnej kawalerce. Tartakower, mężczyzna, który otworzył mu drzwi, miał siedemdziesiąt lat, był przygarbiony, ubrany w podkoszulek i stare, czarne spodnie, za duże na niego o jakieś cztery czy pięć rozmiarów. Poczłapał do kuchni, a Perlman za nim. Tu też okna były zabite deskami. Pałaca się na stole naftowa lampa skąpym blaskiem oświetlała tanie, liche meble. W kartonie leżało skulone jakieś zwierzę — pies, kot czy może fretka; kto by zresztą rozpoznał w tym wszechobecnym mroku?

Tartakower schylił się nad stołem po sfatygowany, metalowy czajnik. — Może herbaty, Perlman?

Ten odmówił; chciał tylko zadać kilka pytań i już go tu nie ma. W potężnej brodzie Tartakowera dostrzegł kilka lśniących, siwych włosów. Znad wycięcia podkoszulki piętrzyła się cała masa włosów porastających klatkę piersiową, które zlewały się z ogromną gęstwiną jego brody. Trudno było dostrzec, gdzie kończyły się jedne, a zaczynały drugie.

— Jak to się stało, że jeszcze tu jestem? — zagadnął Tartakower. — Strażacy powinni byli czekać, aż ta rudera spali się w popiół.

— I tu cię popieram.

Tartakower drżącą ręką nalał sobie mocnej herbaty. Zwierzę w kartonie drgnęło niespokojnie. Tartakower podniósł głowę i spojrzał na Perlmana błyszczącymi oczami. — Przynajmniej to stworzenie jest mi wierne. Bo cała reszta to, oj...

O nie, pomyślał Perlman. Nie mam zamiaru wysłuchiwać dramatycznej historii życia Bena Tartakowera. Nie potrzebuję jego tsuras. Słyszał to już tyle razy. — Posłuchaj, chcę cię o coś spytać.

Tartakower, jakby tego nie słysząc, zaryczał swym niskim głosem, dobywającym się spod kępy owłosienia. — Nie mam już nawet swojej muzyki. Jakaś hiena zwinęła mi adapter i płyty. Mój Mendelssohn, mój Bach, Schumann, wszystko zniknęło. Kto jeszcze śmie twierdzić, że Żydzi to szczęściarze? Wychodzę z domu, a ktoś wyważa moje drzwi i mnie okrada. Jestem jak więzień. No i ci wszyscy untermenschen w tej kamienicy: zagrażają mojemu życiu. Noże, spluwy, kastety, a nawet szable — co tylko chcesz.

— Masz przecież rodzinę, oni ci pomogą.

— Rodzina? Dla nich jestem schnorrer. Nawet z nimi nie gadam. Perlman wiedział już, co go czeka — historia wlotów i upadków Tartakowera: niegdyś świetny chirurg, a przy tym znakomity wiolonczelista; żona, której nawet nie kochał, pieprzyła się z jakimś kochasiemgojem, okradła go z pieniędzy i odeszła; chciał popełnić samobójstwo, ale pigułka nie zadziałała — tego mógł się chyba spodziewać? Stracił prawo wykonywania zawodu jako chirurg, był tak załamany, że przestał grywać na ukochanej wiolonczeli; na drabinie życia osunął się w dół, ale zanim spadł na samo dno, pożyczył od bogatego kuzyna pieniądze — których nigdy nie oddał — i wynajął duży dom w ubogiej dzielnicy Langside, gdzie otworzył nielegalną prywatną klinikę, rzeźnię, w której zatrudniał grupę młodych asystentów chirurgii do pomocy przy zabiegach za obniżoną cenę — takich jak aborcje, usuwanie kul z ran bandziorów przy zapewnieniu całkowitej dyskrecji, a niekiedy nawet ryzykowne próby przeprowadzenia operacji plastycznych; aż któregoś dnia jakaś kobieta umiera na stole operacyjnym... i tak wielki Tartakower, chirurg i profesor, zalicza wpadkę. Dostaje cztery lata w pudle za praktykowanie medycyny bez zezwolenia. Co za ckliwa opowieść, istny melodramat.

Perlman nie zamierzał po raz kolejny wysłuchiwać całej tej gadki. Trzeba w porę temu zapobiec. — Mógłbyś się wynieść z tej dziury. Idź do opieki społecznej, pogadaj z nimi.

— Opieka społeczna! Myślisz, że tak łatwo jest zebrać o zasilek? Jasne, a niby skąd ty miałbyś wiedzieć? — Tartakower przeciął powietrze kościstą dłonią. — Masz pracę, zarobki, trudno ci współczuć. Czego ty właściwie chcesz? Najpierw nie pokazujesz się przez całe lata, a potem nagle zjawiasz się z jakimiś pytaniami. — Siorbnął herbatę i wgapił się w kubek. — Wsadziłeś mnie do paki, Perlman. Swojego rodaka, Żyda. Odsiedziałem swoje, wyszedłem, spłaciłem społeczeństwu dług, i spójrz tylko: czy to się nazywa wolność? Na tym polega życie? W takim razie wolałbym chyba umrzeć.

Perlman uniósł rękę, chcąc przerwać tyradę Tartakowera. — Być może zapomniałeś już, że po osiemnastu miesiącach w Barlinnie przenieśli cię do więzienia o złagodzonej rygorze w Noranside. No, ale twoja pamięć jest selektywna. Pozwól mi wreszcie zadać ci to pytanie i już mnie tu nie ma.

Tartakower przybrał minę typowej ofiary losu; z jego twarzy dało się wyczytać, że cierpienie i smutek sprawiają mu nawet pewną ukrytą przyjemność; lekko spuszczone głowa była jak zaproszenie dla życiowych niepowodzeń. Taki człowiek tylko czekał, aż przejedzie go autobus.

— Słuchaj, czy w tej twojej nielegalnej klinice...

— Tylko nie zapominaj, Perlman, że odwaliałem tam sporo dobrej roboty. Ludzie czekali na miejsce w zawzonym szpitalu publicznym, a ja im pomogłem; nie uwierzysz, ilu z nich...

— Razem z tą kobietą, którą wykończyłeś.

— To był wypadek. Wiesz dobrze, że to się zdarza.

— A zwłaszcza po zastosowaniu azotanu amylu czy eteru.

— Musisz wracać do tej tragedii? Miałem wtedy słaby charakter, ciągłe stresy i swoje przyzwyczajenia. No i co z tego? Teraz jestem już czysty.

— Wracając do mojego pytania — ciągnął Perlman. — Czy zatrudniałeś wtedy jakichś młodych, zdolnych studentów chirurgii?

— Miałem kilku zapaleńców, co to rwali się do praktyki, której brakowało im na uczelni. Ale po co właściwie pytasz? Po co odkopywać stare groby? Niektórzy z tych młodych ludzi są dziś znani.

— A może któryś z nich, jak by to powiedzieć, wydawał ci się jakiś dziwny? Dajmy na to, studiował medycynę dla jakichś innych celów? — Nie, to niezupełnie tak. Perlman już miał kontynuować wyjaśnienie innymi słowami, ale Tartakower go ubiegł.

— I po co w tym grzebiesz? Szukasz jakiegoś przestępcy?

— Może i tak. Albo raczej kogoś nie do końca normalnego. Kogoś, kto ma trochę nierówno pod sufitem.

— Czyli jakiegoś psychola?

— Być może.

Tartakower podrapał się po brodzie. Ze skłębionej masy posypały się kawałki zaschłego jedzenia. — Musiałbym nad tym pomyśleć, Perlman.

— Jak długo i za ile?

Tartakower wywrócił puste kieszenie. — Już nawet nie pamiętam, co to są pieniądze.

— Szukam kogoś dobrego w tym fachu. Posłuchaj, Ben, nie mówię tu o byle krojczym, jasne? To musi być ktoś naprawdę zdolny.

— I meshugane. Tald, którego myśli nie chciałbyś poznać i na którego pytania nie chciałbyś odpowiadać. Potrzebuję trochę czasu.

— Nie masz go za wiele.

— Och, mam się śpieszyć, żeby wyświadczyć przysługę Perlmanowi, facetowi, który wpakował mnie do pald? A cóż takiego zrobił ten, którego poszukujesz?

— Odciął komuś dłoń. To była czysta robota.

— I czemu przychodzisz do mnie? Przecież w tym mieście potępieńców jest wielu zdolnych rzeźników. Dajmy na to, Muzułmanie, koszerni, ci z ubojni i tacy, co tną mięso na steki z kością i kotlety jagnięce. Skąd ten pomysł, że to ktoś z moich byłych podwładnych?

— Bo znasz takich więcej niż ktokolwiek inny spośród tych, których ja znam. Czemu nie miałbym zwracać się do ciebie? A w ogóle ilu miałeś tych asystentów?

— A kto to wie? Trzydziestu, czterdziestu, a może więcej.

— Pamiętam, jak prokurator w sądzie wspomniał o co najmniej stu. Przewijały się ich u ciebie całe tłumy.

— Ten palant miał skłonność do przesady. Chciał po prostu zrobić ze mnie potwora i przeforsować wyższy wyrok, żeby jak najwięcej o nim pisali.

— Dam ci pięćdziesiąt funtów za nazwisko tego chirurga.

— Ha! Pięćdziesiąt to trochę za mało. Mam jeszcze do wykarmienia Issy, to biedne stworzenie. Ja sam, prawdę mówiąc, mam skromne potrzeby. Wystarczy mi herbata, chleb i trochę margaryny.

— No dobra, sześćdziesiąt.

— Sto.

— Chyba cię pogięło. Siedemdziesiąt pięć.

— Osiemdziesiąt.

— Zgoda.

— Plus funciak dla Issy.

— A co to w ogóle za zwierzak?

— Issy jest kimś więcej niż tylko zwierzakiem, Perlman. Nie drażył dalej. Tartakower miał słabość do zagadek.

Z tylnej kieszeni wyjął portfel. — No, to podaj mi to nazwisko.

— Moja głowa, moja biedna pamięć, czasem bywa zawodna... no i weź pod uwagę to, że niektórzy z tych chłopaków podawali fałszywe nazwiska; nie chcieli ujawniać w pracy swojej prawdziwej tożsamości. A zresztą trudno im się dziwić, nie? Miałem, dajmy na to, jednego Kaczora Donalda. I Mahatmę Gandhiego.

— Do rzeczy — wtrącił Perlman. Tartakower wzruszył ramionami.

— Strasznie mnie ciśniesz, Perlman. Pomagając ci, mógłbym wpaść w gówno po same uszy. Mam ci wyjawić ich nazwiska, chociaż tamci woleliby, żeby o nich zapomnieć...

Perlman już chciał schować portfel do kieszeni, kiedy Tartakower dodał: — Jackie Ace, on pierwszy przychodzi mi na myśl.

— To chyba jakaś ksywa?

— A jak ci się zdaje? Bystry chłopak o zgrabnych palcach, złoty chirurg. Umiał cię piłą jak marzenie. To wrodzony talent, czegoś takiego nie da się wyuczyć. A jednak coś było z nim nie tak. — Tartakower postukał się w pierś i zmarszczył brwi. — To coś od razu dawało się wyczuć.

— Ale co?

— Coś dziwnego, Perlman. Jak inaczej mam ci to wytłumaczyć? Perlman wzruszył ramionami. — Może na początek podaj jakiś przykład dziwnego zachowania.

— W sumie to każdy z tych studentów był trochę dziwny.

— To może wiesz chociaż, gdzie on mieszka?

— A wyglądam ci na książkę adresową?

— To co jeszcze pamiętasz?

— Jackie Ace łatwo nawiązywał znajomości. Grał w karty, ogrywał innych chłopaków na kupę forsy. Poker, oko, zawsze wygrywał. Czy oszukiwał? Jasne, tylko kto by mu to udowodnił? Takie ręce potrafiły wyrwać gęsi pióro i ta nawet by nie mrugnęła. Z kartami też robił sztuczki.

— A jak on wygląda?

— A co to, teleturniej jakiś?

Perlman wyłożył pieniądze na stół, licząc na to, że zielone papiery zachęcą Tartakowera, który właśnie mrużył oczy, próbując usilnie przywołać coś w pamięci. Minę miał taką, jakby cierpiał na zaparcie. — A co jeszcze chcesz wiedzieć? Że ma rude włosy i zielone oczy? Że ma dwa i pół metra wzrostu i jest garbaty? Na twoim miejscu szukałbym go tam, gdzie gra się w karty o pieniądze.

— Czyli w kasynach.

— Bystry jesteś jak woda w klozecie, Perlman.

— Albo i jeszcze szybszy — odparł Perlman. Jackie Ace, powtórzył w myślach. Od czegoś trzeba zacząć. Każde śledztwo ma jakiś punkt wyjścia, to niepewne miejsce, gdzie odczuwa się pierwszy dreszcz. Czasami to się nawet opłaca. Przeważnie jednak nie.

Tartakower wziął pieniądze, upchnął je w kieszeniach. — Wpadnij jeszcze kiedyś. Zjemy sobie bliny truskawkowe ze śmietaną, tylko daj mi wcześniej znać.

I wstał z miejsca. Perlman wyszedł z mieszkania. Nim Tartakower zdążył zaryglować za nim drzwi, zawołał jeszcze: — Jak tylko go zobaczysz, Perlman, to od razu będziesz wiedział, że to Ace.

— I co to niby ma znaczyć?

Ale tamten nie bawił się w szczegóły. Drzwi się zatrzasnęły i szcęknięły zamek.

— Ej — zawołał Perlman. Zapukał, ale z wnętrza dobiegła go tylko cisza. Tym razem Tartakower ani myślał mu otworzyć. Pewnie już siedzi przy stole i przelicza gotówkę, żeby pochować ją tu i ówdzie w swoim pokoju. Widocznie bał się, że Perlman się rozmyślił i wraca po swój szmal. Trwał w jakiejś hermetycznej paranoi; wszyscy chcieli go okraść, wszyscy się go czepiali. A do tego podstępnie odebrano mu jego własne życie — po co więc raz jeszcze otwierać drzwi człowiekowi, który już raz posłał go do piekła?

Perlman wyszedł na ulicę. Chłopaków już nie było. Ruszył do samochodu. Ukradli mu lusterka boczne. Cholerny świat. Rozwścieczony, zaczął się rzucać jak w napadzie szału, wymierzył oponom parę solidnych kopniaków, po czym uspokoił się; dotarło do niego, że i tak potraktowali go ulgowo. Mogli mu przecież ukraść koła i potłuc szyby. Albo zwinąć całe auto, wywieźć je gdzieś na podwórze i rozebrać na części.

Otworzył samochód. Kiedy dotarł do ratusza, zjechał na bok i wyjął z kieszeni komórkę. Wciąż poirytowany utratą bocznych lusterek i smrodem spalonego drewna, którym przesiąknął jego płaszcz, wystukał dawno niewybijany numer.

— Halo — odezwał się słaby, nieco piskliwy głos.

— Ciociu Hildo — rzekł.

— Louis? Ten sam Louis, mój dawny ulubiony siostrzeniec? Ten sam, który wyniósł się do Egiptu, zapomniał o całej rodzinie i dzwoni raz na ruski rok?

— No dobra, strasznie mi wstyd — przyznał. Oczami wyobraźni widział twarz Hildy, rumianą od nadeśnięcia, jej powiększone oczy zza grubych okularów. Była młodszą siostrą jego matki. W wieku dziesięciu lat, idąc za przykładem Ettie i Ephraima, opuściła Niemcy na rok przed wybuchem wojny; dzięki pomocy jakiegoś żydowskiego stowarzyszenia zostały razem z Marleną nielegalnie wywiezione do Szwajcarii. Jak udało im się dotrzeć z Genewy do Glasgow, o tym żadna z nich nigdy nie mówiła.

— To kiedy się zobaczymy?

— Obiecuję, że niedługo. — W Perlmanie odezwało się poczucie winy.

Co, do cholery, szkodziło mu wpaść do Hildy choćby na godzinę, zjeść twarde jak kamienie herbatniki domowej roboty i napić się wodnistej zielonej herbaty? Nie był tam od tak dawna, mimo że na „zwolnieniu lekarskim” godziny strasznie mu się dłużyły. A przecież do południowej dzielnicy miasta wcale nie było daleko. Zbyt długo był pochłonięty pracą,

każdego dnia i nocy musiał wyjeżdżać na miasto, by sprawdzić barometr przestępczości. Stał się meteorologiem ciemnej strony życia, usunięty z klanu, żył jak wygnaniec z wyboru.

— Chyba aż tak daleko nie mieszkam, Lou? Ciotka Marlenę też chciałaby cię zobaczyć. Pomyśl o twojej biednej matce: jak by się czuła, wiedząc, że nie odwiedzasz jej rodzonych sióstr?

Wyobraził sobie dwie starsze kobiety w ich sennym pokoju. Na ścianach gliniane gęsi, zegar dziadka, którego nieustanne tykanie ucichnie pewnie dopiero w sądny dzień, porcelanowo białe, artretyczne dłonie Marlenę, skręcone na jej kolanach.

— Czy były jakieś wieści od Miriam?

— Miriam! A więc stąd ten telefon? Wiesz, Louis, może i jestem stara, ale wcale nie taka głupia.

Poczuł rumieńce na twarzy. — Po prostu jestem ciekaw, co tam u niej.

— A do ciebie nie pisuje?

— Dostałem tylko pocztówkę z Florencji, a potem z Kopenhagi.

— A ja miałam zaszczyt dostać też jedną z Amsterdamu, nie pamiętam kiedy, ale będzie parę tygodni temu.

— Wspominała może, czy wraca do domu?

— Do domu? Przecież Miriam to światowa dama.

Perlman nawet nie chciał myśleć o tym, że Miriam mogłaby nie wrócić. —W takim razie wkrótce was odwiedzę. Obiecuję.

— Tylko mnie uprzedź, to coś upiekę. Ajak się spisuje Betty?

— Jest genialna.

— I na oko chyba całkiem niezła, co?

— Masz rację, niczego sobie.

Perlman pożegnał się i rozłączył. Hilda wciąż próbowała go wyswatać. Uważała jego kawalerski stan za pośmiewisko, no a poza tym czyżby naprawdę wierzył, że ta jego beznadziejna miłość, z którą się obnosił jak z jakimś cennym zdjęciem w portfelu, doprowadzi go do ołtarza?

Ruszył natychmiast.

Moja wędrowną Miriam, pomyślał. Florencja. Kopenhaga. I ci mężczyźni; przyciągała ich do siebie w naturalny sposób — śliczna kobieta, samotnie popijająca kawę w hotelu na tarasie z widokiem na jezioro. A wokół mewy. Mężczyźni z pewnością jej pożądamy. Wyobrażał sobie

popołudnia w pokoju hotelowym, przy zaciągniętych zasłonach: Miriam, rozkładając uda, oddaje się jakiemuś ciemnookiemu kochankowi, mężczyźnie obytemu w miłości do kobiet. Oboje rozmawiają po włosku, Miriam i ten jej gigolo piją w łóżku wino, on zlizuje rozlane krople z jej sutków, a potem dyskutują o Michale Aniele i Leonardo. I ta rażąca intymność...

Kochanek ma na imię Mario czy jakoś podobnie. Jest też mistrzem w kuchni; zna sekretne składniki, który ożywi smakputaneski, wie, jak posiekać czosnek, by wydobyć z niego maksimum smaku i przez ile czasu należy obrywać listki świeżego oregano.

Dla Lou było to nie do zniesienia; nienawidził tego sukinsyna Mario.

14

Samuel Montague podniósł głowę i spojrzał żonie w oczy. Kosmyki czarnych włosów opadały jej na czoło, a na jej twarzy malowała się euforyczna rozkosz. Był oszołomiony nią i dzikością, z jaką się kochali, i słowami, które wypowiadała: pieprz mnie, pieprz mnie mocno, jeszcze mocniej, wejdz głębiej w moją cipkę, Sammy, och. Skórę w miejscu, gdzie stykały się ich ciała, pokryła cieniutka warstwa potu. Jego kropla spłynęła z jej twarzy prosto na jego wargi i poczuł tę rozkoszną słoność.

Siedziała na nim, to wznosząc się, to opadając, oparta dłońmi o jego ramiona, a jej paznokcie wbijały mu się w ciało, jakby w tym kluczowym momencie chciała wycisnąć z niego, co się da. Jemu za każdym razem przychodziła do głowy ta sama myśl: nie ma nic bardziej podniecającego. Jego orgazm był jak wybuch ognia. Wołał jej imię, czuł jej drzenie, a ona odrzucała głowę w tył w błogim spełnieniu i krzyczała, kiedy uniósł się z podłogi, by wejść w nią tak głęboko, jak tylko zdołał. Byli zespoleni, spleceni, chłonąc siebie nawzajem.

Na moment przytuliła twarz do jego twarzy i oboje oddychali ciężko. Ich serca tętniły głośno. Przez dłuższą chwilę żadne z nich nie zdołało wypowiedzieć ani jednego składnego zdania, za to wydawali z siebie mnóstwo różnych odgłosów: wzdychali, mruzcili, szeptali intymne półsłówka, nic nie znaczące dla nikogo innego.

— Ej, chłopaki, patrzcie tylko — odezwał się męski głos.

— Scenka jak z pornosu, słowo daję.

Zdębiały Samuel Montague skierował wzrok na drzwi sypialni.

Trzej mężczyźni o zamaskowanych szalikami twarzach wpatrywali się prosto w niego. Widział tylko ich oczy. Odruchowo sięgnął po coś, czym mógłby okryć nagie ciało żony i swoje, chwycił za róg prześcieradła zwisającego z łóżka tuż nad jego głową, usiłując je ściągnąć, a wtedy jeden z mężczyzn nadepnął mu na rękę. — Zostaw, daj nam popatrzeć.

Montague jęknął z bólu.

— Jezu Chryste — krzyknęła Meg. Rzuciła się do prześcieradła, ale któryś z mężczyzn kopnął ją w ramię i upadła z dala od Sammy'ego, który usiłował się podnieść, by stanąć w obronie własnej oraz żony i domu.

— Chryste, błagam, nie róbcie jej krzywdy — wyjąkał.

— Wszystko zależy od ciebie, Sammy.

— Chcecie pieniędzy, proszę bardzo: mam w biurku kilkaset funtów, a w pokoju na końcu korytarza leży biżuteria mojej żony. Możecie też wziąć samochód, ale nas zostawcie w spokoju.

— A na cholere nam to wszystko — odparł jeden z nich. Miał białe, lateksowe rękawice. Montague dostrzegł, że pozostali też.

Ktoś przystawił mu do czoła lufę pistoletu. Po raz pierwszy w życiu czuł śmiertelny strach. Takie rzeczy pojawiają się w nagłówkach gazet, czyta się o nich w prasie, ale nikt nie wierzy, że to się może przydarzyć właśnie jemu. Małżeństwo z przedmieścia napadnięte we własnym domu.

— Dobry chłopak, tylko spokojnie — powiedział ten ze spluwą.

— Spójrzcie no na te obrazki na ścianie — rzucił inny, mały i zadziorny. — Toż to istny burdel; dacie wiarę, że tacy szanowani ludzie wyprawiają tu, w Bearsden, takie rzeczy? — Przyjrzał się grafikom kama-sutry i śmiałym litografiom, które Samuel i Meg przywieźli z podróży po Indiach.

Mężczyzna schylił się, podniósł leżące na podłodze czerwone, jedwabne figi Meg i powąchał je. — Uuuu, patrzcie, chłopaki, już mi staje. — I złapał się za krocze.

— Mówcie, czego chcecie, do cholery — rzucił Sam Montague. Mężczyzna, który wciąż trzymał w ręce majtki Meg, otworzył drzwi

szafy. — Co my tu mamy, chłopcy? Króciutki kilt, szkolna garsonka, śliczna, przykusa, skórzana spódniczka, a co to taldego, skórzane paski? Czerwone, jedwabne sznurki? Spójrzcie tylko na to...

— Błagam, niech pan przestanie — przerwała Meg.

Ale mały na nią nie zważał. — Masz, laluniu, włóż to na siebie. — Rzucił Meg przezroczystą halkę. Kobieta odwróciła się i spieszenie naciągnęła ją na ramiona.

Rosły mężczyzna ze spluwą w ręce dźgnął Montague'a w szyję. Ten poczuł tępy ból, ale tym razem nawet nie jęknął. Jego lewa dłoń była kłębkim bólu. Prawą wyciągnął do Meg. Siedziała z ramionami skrzyżowanymi na piersiach.

— Mówcie wreszcie, czego chcecie — nalegał Montague.

Trzeci z nich, który właśnie przechadzał się po pokoju, wpadł na pomysł, by kopnąć oszkloną gablotkę z kolekcją ślubnych fotografii państwa Montague. Wokół posypało się szkło, zdjęcia wypadły z roztrzaskanych ramek. — Nie cierpię pieprzonych zdjęć ślubnych — rzucił mężczyzna.

— Skoro nie chcecie pieniędzy ani innych rzeczy, to... — zaczął Montague.

— A propos innych rzeczy, to całkiem niezła kobitka z tej twojej żonki — zauważył mały, który plądrował szafę.

Na dźwięk jego sprośnego tonu w głowie Montague'a włączył się głośno tykający zegar, podłączony do bomby. A jeśli ten drań zacznie się dobierać do Meg... Przysunął się bliżej do żony, która obrzucała intruzów wyraźnie bezczelnym spojrzeniem. Nie należała do słabych kobiet: była z natury odważna. — Tacy z was bohaterowie — fuknęła. — Umiecie tylko strzelać, niszczyć i straszyć ludzi, o rany, też mi ważniacy...

— Zamknij tę pieprzoną gębę. — Ten, który roztrzaskał gablotkę, wyciągnął rękę, złapał Meg za jej długie włosy i szarpnął do tyłu, siłą wywracając jej drobną, śliczną twarz ku górze. — Nie znoszę, jak mi suka jęczy.

Mały szybko przeszedł przez pokój, rozpiął rozporek, wystawił swego krótkiego, różowego kutasa i obryzgał Meg moczem. Usiłowała się odwrócić, ale strumień uryny zdążył już paść na nią. Zaczęła głośno się krztusić. Miała przesiąkniętą halkę.

Rozwścieczony Montague zerwał się z miejsca, ale uderzony spluwą w brzuch, stracił oddech. Zamroczony, zgiał się wpół i upadł twarzą do podłogi.

— Mój koleżka nie kontroluje, kurwa, swoich potrzeb fizjologicznych. Jak mu się zachce, to zesra ci się na dywan albo prosto w gębę twojej żoneczki, jeśli najdzie go ochota.

— Wstrętny bydlak — rzuciła Meg.

Mały zapiął rozporek, parsknął i zaryczał. — Może poświntuszysz ze mną, co?

— Mówcie, czego chcecie — odezwał się błagalnie Montague. Duży schylił się nad nim i przyłożył mu lufę do twarzy. — Kochasz

swoją żoneczkę, nie?

— Tak. Jasne, że kocham.

— Śliczna z niej kobitka, panie Montague. Naprawdę śliczna.

— A żebyś wiedział, jak ona mnie kręci — dorzucił mały. — Uuuu, gdzie te majteczki? Chcę sobie jeszcze trochę niuchnąć.

— Załapałeś już, w czym rzecz, Monty?

Montague podniósł głowę, zerknął na Meg. Pod splugawioną halką było widać jej sutki. Najdroższa Meg. Zrobiłby wszystko, byleby tylko chronić ją od złego. Te bydlaki nie mają żadnych skrupułów. Parszywe męty.

— Jasne, załapałem — odparł.

— No to ekstra — odparł duży. — W takim razie dogadajmy się. — Pomógł Montague'owi wstać i poprowadził go do drzwi sypialni. Meg chciała pójść za nim, ale pozostali dwaj chwycili ją i przytrzymali.

— A moja żona? — spytał Montague, odwracając się od drzwi z przerażoną miną.

— Nic jej nie będzie — odparł duży. — Tobie i mnie przyda się odrobina prywatności.

— Nie — zaprotestowała Meg.

— Stul gębę, lalunia — rzucił mały. — I bądź grzeczna, do kurwy nędzy.

15

Perlman jechał przez południową dzielnicę miasta. Na niebie wisiały nisko szare, gęste chmury: niebawem rozszaleją się typowe dla tej pory roku gwałtowne burze. W małym aucie buczało ogrzewanie, a radio nastawione było na którąś ze stacji BBC, gdzie jakiś mężczyzna właśnie przeprowadzał wywiad z autorem opowieści o duchach. Pewnie często pytają pana: skąd pan bierze te pomysły? A pisarz na to, z silną naleciałością mieszkańca Glasgow: Po prostu mam brrrrdzo dobre układy z diabłem.

Uldady z diabłem. Tego właśnie mi trzeba, pomyślał Lou: paktu z Lucyferem, wiedzy z tajemnych źródeł, znaków wypalanych ogniem czy zionących smoków. W czyich rękach był skalpel? Kto odciął tę dłoń i porzucił? W głowie miał nawał myśli. Sunąc wzdłuż Argyle Street, wjechał pod oszklony most kolejowy, zwany Parasolem Hielanmana.

Znalazł się nieopodal Virginia Street, gdzie na poddaszu budynku, który w czasach świetności miasta służył jako magazyn tytoniu, mieściło się mieszkanie Miriam. Już nie raz myślał, żeby tam zajrzeć, ale jakoś jeszcze się na to nie zdobył... A gdyby tak sobie zerknąć, rzucić okiem. Tylko na co?

Skreślił w Virginia Street i zaparkował auto jak najbliżej budynku Miriam. Wysiadł, chuchając w dłonie, abyje rozgrzać, i stanął przy domofo-

nach obok drzwi. Zadzwoił do Miriam, dobrze wiedząc, że i tak nikogo nie zastanie.

Zaczekał chwilę, po czym nacisnął guzik dozorczyńni.

Za oszklonymi drzwiami wejściowymi pojawiła się jakaś kobieta w chustce na głowie. Wyglądała na podenerwowaną, w ręce trzymała pędzel.

Na jej twarzy i chustce widać było białe plamy. Perlman wyjął legitymację i przycisnął ją do szyby. Kobieta otworzyła kluczem drzwi. — W czym mogę pomóc?

— Przepraszam, że przeszkadzam — zaczął Perlman.

— Nie szkodzi, i tak nie cierpię malować ścian. Pan Louis Perlman...? Jest pan krewnym Miriam, tak?

— To moja bratowa — odparł, wchodząc do środka.

— Och, no jasne. Miła z niej dziewczyna. Tylko coś dawno jej nie widziałam.

— Chciałbym zajrzeć na poddasze — wyjaśnił Perlman. Na wypadek jakichś wątpliwości miał już przygotowanych kilka wersji — że niby coś tam zostawił albo że Miriam prosiła go o przestawienie grzejników, ale obyło się bez pytań.

— Nie ma sprawy — rzuciła tylko kobieta. Miała przy pasku pęk kluczy. Zdjęła jeden z nich i podała mu. — Niech go pan potem wrzuci do mojej skrzynki na listy.

Podziękował jej i ruszył po schodach. Winda nie działała, jak zawsze, kiedy tu przychodził. Do drzwi znowu przyklejona była ta sama kartka z napisem AWARIA. Poddasze mieściło się dość wysoko, na czwartym piętrze.

Wspinając się na górę, ścisnął w dłoni klucz. To dziwne uczucie znowu być tutaj: ile to miesięcy minęło od tamtej nocy, kiedy leżeli tu z Miriam i o szybę w dachu uderzyła pędząca na oślep mewa? Zastanawiał się wtedy, czy to jakiś znak. Nie bardzo wiedział, czy dobry, czy zły. Ale teraz wszystko było jasne: Miriam niespodziewanie wyruszyła w podróż, a więc mewy rozbijające się o szybę w dachu najwyraźniej nie zwiastują szczęścia w miłości.

Przekręcił klucz w zamku i wszedł do środka.

Powietrze było zatęchłe i panował tu martwy klimat. Długie pomieszczenie tonęło w mroku, ale Perlman dojrzał na ścianach jej obrazy i sztalugę, która stała w tym samym miejscu co zawsze. Nieoczekiwanie dopadł go smutek. Tamtej nocy miał nadzieję, że usłyszy od niej o ich wspólnej przyszłości, choć doidadnie nie pamiętał, jakie słowa padły mię-

dzy nimi. Był wtedy odurzony środkiem uśmierzającym ból po postrzale i jego wspomnienia z tamtej nocy miały nieco oniryczną postać.

Przesunął dłonią po oparciu sofy, na której zasnęli oboje w niewinnym uścisku. O Jezu, jak on jej pragnął. Wtedy jeszcze myślał sobie: to będzie naprawdę coś pięknego.

Przechadzał się od obrazu do obrazu: małe, nieczytelne malowidła, barwne abstrakcje. Jasny gwint, jak ja mogłem myśleć, że mamy cokolwiek wspólnego: ona — malarka, wykładowca w szkole sztuk pięknych i ja — gliniarz? Za wysoko mierzę, za wiele żądam. Tematami jej rozmów były kultura, szkoły malarstwa, historia sztuki. A co on mógł zaoferować jej w zamian oprócz wieści z kryminalnego światka, relacji z aresztowań czy potyczek z przestępcami i brutalnych taktyk na Pitt Street?

Wszedł do kuchni i zajrzał do lodówki. Słoiki pełne zepsutych sosów, kubki z dawno przeterminowanym jogurtem i jakiś poskręcany badył, który wyglądał na korzeń imbiru. Zamknął drzwi. Zmywarka do naczyń świeciła pustkami. Podniósł słuchawkę: cisza, brak sygnału. Otworzył drzwi sypialni.

Nigdy przedtem tu nie był.

Łóżko zaścielone, kołdra w kolorze jasnożółtym, w kącie toaletka. Przejrzał stojące na niej przedmioty: lakierowana szkatułka z otwartym wieczkiem, a w środku rozmaite broszki i bransolety. Jakiś wybitny jasnowidz dotknąłby tych rzeczy i rzekł: terazjest na Łotwie, w Albami, tu czy tam. Ale Perlman nie posiadał takich zdolności. Wziął sznur pereł i zawiesił sobie na dłoni, ale niczego nie doznał: żadnej wizji czy przewijającej się w jego umyśle świetlistej postaci.

Co za desperackie kroki.

Odłożył naszyjnik do szkatułki, zastanawiając się, dlaczego nie zabrała ze sobą biżuterii. Widocznie miała jeszcze inną. A skoro zaplanowała jakąś dłuższą wyprawę, to czemu nie opróżniła lodówki? A telefon? Kazała go odłączyć czy odcięli jej go za niepłacenie rachunków? To się da sprawdzić bez problemu.

Miriam. Moja Królowa Tajemnic.

Zajrzał do szafy. Były tam starannie zawieszzone suknie, bluzki i spodnie. Pod nimi w szeregu stały buty. Co w takim razie zabrała ze sobą w podróż? Przychodzę tujak zbolały mąż czy wdowiec, przeszukując porzucone szczątki. Wyjechała, zostawiając jego i ciotki bez słowa pożegnania.

Kiedy ostatnio z nią rozmawiał, a było to przez telefon, nawet nie wspomniała o wyjeździe. To podczas tej feralnej rozmowy padły słowa: potrzebuję trochę czasu, Lou. O jej podróży dowiedział się dopiero z po-

człótki z Florencji sprzed dziesięciu tygodni, z dopiskiem Śliczne miejsce, M., a po niej ta z Kopenhagi, z „ciepłymi pozdrowieniami”. Z pewnością już wcześniej planowała wyjechać, ale widocznie uznała, że kogoś takiego jak on nie warto powiadamiać o swoich zamiarach.

Zamknął drzwi szafy i przysiadł na krawędzi łóżka. Na nocnym stoliku stał milczący budzik, a tuż obok niego coś, co wywołało szok i sprawiło, że jego uczucia powróciły jak rykoszetem. Po co ona to trzyma, i czemu akurat w sypialni? Sięgnął i ostrożnie wziął to do ręki: zdjęcie w cienkiej, srebrnej ramce.

Przedstawiało Colina i Miriam jeszcze za tamtych czasów — przypuszczał, że było sprzed pięciu lat — Colin zamożny i imponująco przystojny we fraku, Miriam piękna aż do bólu w prostej, czarnej sukni. Trzymali się pod ręce, wpatrzeni w siebie nawzajem, z twarzami odwróconymi od obiektywu: dwoje zakochanych ludzi.

Szalenie zakochanych.

A może to tylko na pokaz, do zdjęcia, by stworzyć pozory uczuć?

W duchu najchętniej wybrałby to drugie. Tak bardzo chciał w to wierzyć. I po co je zachowała, skoro zostawiła za sobą całą tę burzliwą przeszłość z Colinem?

Drżącą ręką odstawił zdjęcie, ramka oderwała się od delikatnej podpórki. Zdjęcie wysunęło się razem z tekturową podkładką. Zaklął na siebie za swoją niezdarność. Detektyw Niezdara. Czemu, zamiast tych łamliwych blaszek, nie wyrabia się solidnych ramek, które nie odpadają? Przecież to nie żadna skomplikowana technologia.

Próbował wsunąć zdjęcie z powrotem do ramki — robota głupiego. Na odwrocie zauważył pismo Miriam. Było bardzo charakterystyczne, wyraziste i zdecydowane. Mech w naszą rocznicę przyświeca nam miłość. Miriam. Kiedy to napisała? W jaką rocznicę?

A skoro trzyma je przy łóżku, to chyba musi coś dla niej znaczyć? Że nadal kocha swego zmarłego męża i musi mieć jego zdjęcie blisko przy sobie. A więc jeszcze jej nie przeszło?

Nie, nie będzie o tym myślał. Spojrzał na swojego brata. Czarujący facet, wyrobiony towarzysko, mający łatwość nawiązywania kontaktów. Wszystko spieprzył, Colin. Zdradzał, kradł, łamał serca. Wepchnął zdjęcie w ramkę, ale nie dało się jej zacisnąć, a wtedy usłyszał skrzypienie podłogi w pracowni i szelest ocierającego się o ścianę czyjegoś ubrania i spieszonym ruchem wsunął zdjęcie do kieszeni płaszcza razem z tekturką i ramką.

Wyprostował się i zeszywniał, serce mu dudniło. Miriam wróciła, pomyślał w pierwszym odruchu. Niespodziewanie zjawiała się w Glasgow. Na pewno się zdziwi na jego widok w swojej sypialni. Poczul się jak szpicel, jak jakiś zboczeniec. Ale gdy usłyszał chrząknięcie, wiedział już, że to nie ona. To był głęboki, męski głos. Perlman opuścił sypialnię i wszedł do pracowni.

Na środku pokoju stał inspektor George Latta, szczerząc do niego zęby w uśmiechu. Jego widok wywołał nagłą falę przykrych wspomnień. Ostatni raz Perlman widział się z nim w noc aresztowania Miriam. Wymierzył wtedy Latcie cios, co do dziś pamiętał bardzo wyraźnie i aż za dokładnie.

— Widzę, że zęby nadal masz w rozsypce — zauważył Perlman.

— Jestem zbyt zajęty, żeby przesiadywać u dentysty — odparł Latta. Ubrany był jak zwykle w swój brązowy, filcowy kapelusz, niebieski, wymięty, gabardynowy płaszcz i wielkie, masywne buty, solidne niczym statki oceaniczne. Ręce miał włochate jak Yeti.

— Masz chyba najpaskudniejsze zębiska w całej komendzie — dorzucił Perlman.

— Ale za to tną jak trzeba. Gdybym wbił ci je w szyję, nie miałbyś żadnych szans.

To ci dopiero wampir. Perlmana irytował zadziorny sposób bycia Latty i jego skłonność do lizusostwa. Ten jego chwiejny krok, kiedy przechadzał się przy obrazach Miriam, był wyraźnie prowokujący. Tamten schylił się nad malowidłem i pociągnął nosem, jakby wyczuł jakiś przykry zapach. Podniósł jeden z pędzli Miriam, po czym cisnął nim pogardliwie.

— A gdzie wywiało tę sukę, Perlman?

Słowo, którego użył, uraziło Perlmana. — A niby skąd mam wiedzieć?

— Nie umówiłeś się z nią, żeby podzielić forszę?

— Ciężko się pozbyć starych nawyków, co, Latta?

— To się nazywa żądza sprawiedliwości. — Latta nie spuszczał wzroku z malowideł. — Kompletny szajs, bez ambicji, a w dodatku małe jakieś. Nie ma w tym nic ciekawego.

— Inspektor Krzywy Zgryz w roli krytyka sztuki — mruknął Perlman sam do siebie.

Latta odwrócił się gwałtownie. — Nie usłyszałem.

— Coś tam sobie bredzę. To mi się zdarza. Lubię gadać do siebie. — Perlman nie zamierzał dać się wciągnąć w sprzeczkę na temat obrazów Miriam. Zacisnął dłonie w kieszeniach. — Czyżbyś mnie śledził?

— Zawarłem kontrakt pieniężny z dozorczynią — odparł Latta, wyraźnie z siebie zadowolony. — Jak tylko ktoś przychodzi rozejrzeć się po tym poddaszu, ona od razu daje mi znać przez telefon. Dlatego jestem. Byłem ciekaw, kiedy się tu zjawisz. I czemu zabrało ci to aż tyle czasu?

A więc dozorczyńni, na pozór zaniepokojona nieobecnością Miriam, była po prostu wewnętrznym szpiegiem Latty. Latta miał swoje podstępne sposoby i zwyczaj korumpowania ludzi.

— Opuszczone poddasza zawsze budzą we mnie niepokój — powiedział Perlman.

— Zwłaszcza po wyjeździe kochanki. Oj, Lou, ty cholerny smutasio, a więc tu cię boli? Tak bardzo tęsknisz za tą sprzedajną suką, że włączysz się po jej chałupie?

Perlman poczuł napływ krwi do głowy. — Co za subtelny dobór słów. Jesteś prawdziwym poetą, Latta.

Tamten rzucił mu wyzywające spojrzenie spod przymrużonych powiek, wysuwając zadziornie podbródek. — Myślałem, że może zostawiła ci jakiś ślad, po którym mógłbyś ją wytropić. Może ukryła tu coś, co tylko ty jeden zrozumiesz. Żebyście się mogli spotkać i podzielić forszą...

— Zmień płytę, Latta. Uznali ją za niewinną. A może nie było cię wtedy w sądzie?

— Jasne, że byłem, do cholery, a to, co tam widziałem, to pieprzony skandal.

— A jednak przysięgli byli zdania, że ona miała pełne prawo do tych pieniędzy...

— Tamci przysięgli to matoly. Muszę przyznać, że baba odstawiła niezły kabaret. Wdowa w żałobie, po nieudanym małżeństwie, w którym przeżyła całe lata udręki, mąż okazał się niewiernym bydlakiem, tere-fe-re, podajcie mi chustkę, bo się rozplaczę. To nie były jej pieniądze, sam dobrze wiesz. Podobnie jak to, że" ukradł je twój świętej pamięci kochany brat. A ona wzięła tę forszę i związała. Zaraz... a może jeszcze wsadziła ci w tyłek parasol? Czy ona przypadkiem cię nie wydymała, Perlman?

Tu Latta roześmiał się. Zabrzmiało to pogardliwie i Perlman z trudem się opanował. Jak długo jeszcze ma to znosić? Za szybą w dachu mignął cień. Perlman podniósł wzrok i tuż nad kominem ujrzał pędzoną silnym wiatrem chmurę. Biedny ptak, powiedziała Miriam tamtej nocy, kiedy mewa wleciała na oszklony dach; teraz to sobie przypomniał — mewa uderzyła o szkło z taką siłą, że złamała szyję i zsunęła się w dół po szkłe, składając skrzydła. Przypomniał mu się też straszliwy ból po postrzale

i troskliwość, z jaką Miriam opatrzyła mu ranę. Wytarła mu nawet okulary — taki drobny, wzruszający gest...

Tak więc ich więź słabła, jak sparaliżowana kończyna, mimo że Perl-man, jak jakiś kretyński romantyk, nadal nie chciał się z tym pogodzić i nadzieją głupiego wciąż wierzył w jakiś znak. A poza tym miał wspomnienia, nieważne, czy dobre, czy złe, a to miejsce, przesiąknięte duchem jej obecności, miało dla niego pewne znaczenie.

Aż tu nagle napatoczył się Latta i psuje całą tę atmosferę swoimi kąśliwymi zarzutami.

— Zostałeś wydymany, Perlman. Zamydliła ci oczy, hę? Nieźle cię załatwiła, nie ma co. Obiecała ci swoją działkę szmalu...

— Ażebyś, kurwa, wiedział...

— Plus regularne bzykanko... Perlman wyjął ręce z kieszeni.

— W zamian za twoje zeznania o krzywdzie, jaką jej wyrządził twój kochany brat, i o jej niepodważalnej uczciwości. Muszę przyznać, że ty też dałeś w sądzie niezły popis. Tyle tylko, że w robocie jakoś ci to, kurwa, nie pomogło, co? A prasa łyknęła tę historię jak młody pelikan. Policjant broni honoru swojej bratowej. Do dupy z takim honorem! Baba prysła i nie zobaczysz ani jednego pieprzonego pensa. Wybacz, ale mam z tego kurewski ubaw...

Ubaw mieli też inni na Pitt Street: Tay i jego stado padlinożerców, którzy tylko czekali na krwawy kąsek — danie z Perlmana na surowo.

Przypomniał sobie, jaki wściekły był Tay, kiedy ostatnio się widzieli. Me wolno ci występować w imieniu oskarżonej, mam to gdzieś, że pozwala cię obrona, to przecież czysta kpina. Wtedy właśnie Tay postanowił wysłać go na jeszcze dłuższy urlop, niż Perlman się tego spodziewał, choć nigdy nie powiedział mu tego w twarz. Tay działał poprzez swoje sekretne wejścia i sposoby, jego szara twarz miała pozornie nijaki wyraz, ale jak już co do czego przyszło, był zwinny jak kobra. Krótkie pociągnięcie długopisem, krzyżyk w kratce formularza — i czyjaś kariera sypała się w gruzy.

Latta przestał się śmiać. — Słyszałem o tej odciętej dłoni.

— I co z tego? — rzucił Lou obronnym tonem. Jeszcze jeden fragment jego życia został narażony na natrętne wścibstwo Latty.

— Może ty mi powiesz.

— A niby co mam ci powiedzieć?

— Dajmy na to, skąd się u ciebie wzięła.

— Nie wiem.

— Och, daj spokój. Jak to, nie wiesz?

— Słuchaj, Latta, czy to ma być jakaś aluzja?

Latta roześmiał się. — A po co komu aluzje? Twoje życie to jeden wielki, cholerny syf, Perlman. Zawiesili cię w robocie. Twoja laleczka ulotniła się z forsą. Twój brat okazał się blagierem. A teraz jeszcze ta odcięta ręka w twojej sypialni. Jesteś jak pieprzony magnez na całe gówniane zło.

Perlman pchnął go na ścianę i chwycił za poły płaszcza. Latta złapał go za ręce, próbując je odciągnąć. — To niezbyt mądry ruch, Perlman.

Ten przysunął się bliżej, cofnął jedną dłoń i przez chwilę trzymał uniesioną w powietrzu, patrząc Latcie w oczy, które zdradzały cień strachu, ale i zachęty. Latta czekał na ten cios, bo to oznaczałoby kolejną czarną stronicę w Wielkiej Księdze występków Perlmana, a zarazem bał się bólu.

To było szaleństwo, Perlman dobrze o tym wiedział, ale rytmy w jego głowie przerodziły się w jednostajny ton przypominający rytualne bębnienie.

Wymierzył cios krótkim zamachem z prawej pięści prosto w wargi i zęby Latty. Tamten osunął się na podłogę i pokręcił głową. Z ust pociekła mu krew.

— Ostatnio też mi przyłożyłeś — rzucił jękliwie łamiącym się głosem. — Widać, wchodzi ci to w nawyk.

— Jasne, pamiętam. — To był zamaszty cios, który trafił Lattę prawie w to samo miejsce co teraz. — Chyba mi się to spodobało.

Latta dotknął warg opuszkami palców i przyjrzał się swojej krwi. — Wtedy też krwawiłem — dodał.

— To też mnie ucieszyło.

— Za to konsekwencje bynajmniej cię nie ucieszą, Perlman. Zgłoszę, komu trzeba, na komendzie, że się na mnie rzuciłeś...

— A zgłaszaj sobie, co chcesz, do cholery. — Perlman z całej siły nadepnął butem na udo Latty. Tamten jęknął, chwytając się za obolałe miejsce.

Lou cofnął się o parę kroków. Czuł, że musi się trzymać na odległość, bo inaczej znów mu przyłoży. — Próbowałem dopatrzeć się w tobie jakichś zalet, Latta, i za każdym razem guzik mi z tego przyszło. Jesteś gówno, nie człowiek.

Podszedł do drzwi, otworzył je i zrobił krok w stronę schodów.

— Masz przerabane — zawołał Latta. Perlman zignorował go i ruszył na dół.

Latta wciąż krzyczał za nim głosem zdławionym od krwi: — Och, jak się cieszę. Odcięta ręka w reldamówce! Jeszcze jeden dar od Boga!

— Jakiś pomyłony ten twój Bóg czy co? — rzucił ze schodów Perlman, po czym wyszedł na ulicę otrzeźwić umysł. Poszedł do auta, wsiadł za kierownicę i zapalił papierosa. Trudno, po prostu dał się ponieść wściekłości. Nie sposób już tego cofnąć ani naprawić. Pomyślał o dzikiej pogoni Latty za jakimś szalonym skandalem, o jego błędnym przekonaniu, że Perlman i Miriam są współsprawcami przestępstwa.

A do tego jeszcze ta odcięta dłoń zawróciła Latcie w głowie.

Wieloletnia służba w wydziale przestępstw gospodarczych wypaczyła umysł George'a Latty.

Perlman wypalił papierosa aż do filtra. Trzeba spojrzeć na to z innej, bardziej optymistycznej strony — być może przedstawiając kilka koślawych zębów, pomógł Latcie poprawić nieco tenjego kiepski zgryz.

Wtedy przypomniał sobie o zdjęciu, które spoczywało w jego kieszeni, działając mu na nerwy.

16

Rzucił zdjęcie na podłogę za siedzeniem pasażera i ruszył naprzód. Zatrzymał się przy jakimś pubie. Nieczęsto bywał w pubach. Wszedł do środka i zamówił Cutty Sark. Chciał zapić ten niesmak po spotkaniu z Lat-tą, przepłukiwał gardło i połykał. Co za sukinsyn; czy ten jego wścibski, pokrętny, zatwardziały umysł chociaż raz nie mógłby sobie odpuścić? Czysta whisky była tak mocna, że krew w nim zawrzała, ale nie zdołała rozwiać myśli o Latcie.

Powiódł wzrokiem po klientach: mieszane towarzystwo. Jedni mieli na sobie garnitury i stali w rozbawionych grupkach. Inni, podobnie jak on, siedzieli samotnie przy barze, pochyleni, zaczytani w gazetach lub zapatrzeni w swój kieliszek jak wróżka w szklaną kulę. Perlman rozpoznał drobnego, hałaśliwego człowieczka, który sprzedawał Evening Times przy dworcu na Buchanan Street.

Nagle poczuł silny głód, przyjrzał się kanapkom za szkłem i zwrócił się do dziewczyny za barem, prosząc o razowca z jajkiem i pomidorem. Spałaszował kanapkę, jeszcze zanim zdążyła pobudzić mu kubki smakowe. Następnie dopił męty drinka, zastanawiając się, czy zamówić następnego, ale uznał, że lepiej nie. Był słaby, alkohol uderzał mu do głowy z szybkością pociągu ekspresowego.

A teraz potrzebował jasności umysłu.

Czy Latta często zjawiał się samotnie w mieszkaniu na poddaszu? Czy siadywał na łóżku Miriam, szperał w jej ubraniach, otwierał listy, płądrował szafki i szuflady, bez przerwy szukając tego jedyne, najważniejszego śladu, aby pogrążyć ją i Perlmana? A może dopatrywał się w jej malowidłach jakichś ukrytych przesłań. Stał się ofiarą swojej własnej obsesji. Kto wie, może podczas któregoś najścia natrafił na to zdjęcie Miriam i Colina i postawił je przy łóżku, wiedząc, że Perlman prędzej czy później się tu zjawi i je zobaczy. Taka mała prowokacja z czystej złośliwości. Popatrz, jak twoja cudowna Miriam tęskni za swym zmarłym mężem. Wspomnień się nie da wymazać, Lou.

Cholera, dobrze, że mu przyłożyłem.

Zjadł drugą kanapkę. Biznesmeni w garniturach ryczeli ze śmiechu, a Lou udało się wyłowić uchem pointę ich dowcipu. Pytasz, czy znam Poncho Ville? Jedliśmy razem lunch. Stary kawał, tyle że cały jego początek wyleciał mu z pamięci.

Wyjął komórkę i wybrał numer.

Odpowiedział mu czyjś bełkotliwy głos.

— Znowu się schlałeś, Pickler?

— Pan Perlman? Człowieku, zalewam się przez cały dzień. Na maksa. Jedzie się na tym wózku.

— Urzniesz się na śmierć.

— Jasne, a wie pan, że nawet fajnie by było? Polecieć w górę jak pieprzony latawiec. Ojjjj. To ci dopiero frajda.

— Jarzysz jeszcze na tyle, żeby odpowiedzieć mi na pytanie?

— Chodzi o tego klauna bez głowy? Chryste, trudne pan daje zadania, panie Perlman. Cmentarzysko Millerston, niech mnie szlag, mają tam dwa puby. Tamtejsi ludzie wyglądają jak z Nocy żywych trupów. Nikt nie chce gadać. — Pickler roześmiał się hałaśliwie. — Przepraszam, panie Perlman. Klaun bez głowy. Kurewsko mnie to bawi. Cha, cha, ale ubaw, słowo daję. — I znów wybuchnął śmiechem jak ta wystawowa lalka-marynarz za szkłem, co to po wrzuceniu monety do otworu zanosi się rechotem wilka morskiego. Perlman odsunął telefon od ucha, a Pickler ryczał

jak najęty.

— Dajże już spokój z tym klaunem, co? — odezwał się wreszcie Perlman.

— Jak pan sobie życzy, panie Perlman. Sprawa zamknięta. Proszę o inne zadanie; Pickler nigdy nie zawodzi.

Guzik prawda. Już nie raz zdobywał nic nieznaczące informacje i wprowadzał go w błędny labirynt. Jednak w pięćdziesięciu procentach się sprawdził, a poza tym Perlman nie znał bardziej oddanego powiernika. Nigdy wprawdzie nie był u niego w mieszkaniu, ale widział je oczami wyobraźni — dwa pokoje w Ibrox z gołym materacem na podłodze; nędzna klitka, przy której dom w Egypcie wyglądałby jak idealnie zadbane plebania. Puste puszkę po piwie, okruchy zapiekanki z baraniną i zzieleniałe kawałki pizzy, które Pickler pewnie zjadał, zbyt pijany, by dostrzec kwitnącą na nich pleśń.

— To skup się. Szukam niejakiego Jackiego Ace'a.

— Jackie Ace... — Pickler beknął z zadowoleniem. — O, przepraszam.

— Dobrze, że przynajmniej nie muszę tego wachać.

Pickler zarechotał. — Jackie Ace, Jackie Ace. Był kiedyś taki piosenkarz country, co się nazywał Johnny Ace. Pamięta pan go? Zawsze, skarbie, będę kochał tylko ciebie... Jak to dalej leciało? — Śpiew Picklera przypominał odgłos wystraszzonej ropuchy, uwięzionej w zawiązanym na supeł kondomie.

— Nie obchodzi mnie jakiś Johnny Ace, ja szukam Jackiego.

— To niech pan zajrzy do Triangle Club, panie Perlman. Ace jest tam krupierem.

— To na Cadzow Street?

— Widać, że zna pan swoje śmieci, hę?

— Czasami sam już nie wiem — odparł Perlman i rozłączył się. Wyszedł z pubu. Kiedy wsiadał do auta, zaburczało mu w żołądku jak

bezdonnemu w jadalni dla ubogich, który właśnie zjadł swój pierwszy od dawna posiłek.

Na Cadzow Street zaparkował zaraz przy wejściu do Triangle Club. Na zewnątrz widniał neonowy napis z rozszerzonych liter, zmieniających kolory: czerwień przechodziła w róż, ten w niebieski, i tak dalej od nowa. Na drzwiach wejściowych namalowana była ogromna, lśniąca królowa trefl. Perlman otworzył je i wszedł do jasno oświetlonej recepcji, pełnej luster i wiszących dyskotekowych kul. Dziewczyna w krótkiej, czerwonej spódniczce i białej bluzce przywitała go jak stałego klienta. Nad prawą piersią miała wyhaftowany monogram: TriClub pośrodku małej karty z królową trefl.

— Dzień dobry, mam na imię Rhoda — oznajmiła z pogodnym uśmiechem.

Perlman, rzecz jasna, lubił widzieć uśmiech na twarzach młodych kobiet. — Lou Perlman.

— Czy należy pan do naszego klubu, panie Perlman?

— Raczej do policji — odparł, pokazując odznakę. Dziewczyna nie przestawała się uśmiechać. Perlman zastanawiał się,

czy kiedykolwiek dopadają ją ponure myśli. — Przyszedł pan na inspekcję lokalu?

— Inspekcję?

— No, sprawdzić, czy przestrzegamy przepisów o grach hazardowych? — wyjaśniła, jakby tego typu nakazy były jakimś żartem, którym zamierzała podzielić się tylko z nim.

— Nic podobnego, skarbie. Przyszedłem zobaczyć się z Jackiem Ace.

— W takim razie niech pan przejdzie przez tę zasłonę z koralików; Jackie kręci się przy stole pokerowym. Czy mogę coś jeszcze dla pana zrobić? Może wypije pan darmowy koktajl?

— Dziękuję, ale raczej nie.

— Nie skusi się pan na nasz Triangle Troubadour? Kieliszek wódki z odrobiną creme de menthe?

— Chyba jednak odmówię, skarbie.

— W takim razie nie wie pan, co pan traci. Mogę zabrać panu płaszcz?

Jedną dłoń położyła mu na ramieniu i podeszła z tyłu, by pomóc mu zdjąć odzienie. Przyjemnie było czuć dotyk jej ręk i zapach jej perfum i patrzeć na tę drobną twarz z pochlebnym uśmiechem. Zabierz mój płaszcz, proszę.

— Nie trzeba, wejdę w płaszczu.

— W porządku. Jeśli będzie pan czegoś potrzebował, panie Perlman, to proszę o mnie pamiętać.

— Ciebie się nie da zapomnieć. — Wsunął jej do ręki pięcioletni banknot. Wzięła go.

— Naprawdę, nie musi pan.

— Jest wiele rzeczy, których nie muszę robić — zauważył z pogodnym uśmiechem.

— No to miłej zabawy — rzuciła.

Rozsunęła mu zasłonę i Perlman znalazł się na wielkiej sali. Wszędzie blichtr, rzędy srebrzystych świateł i wyzywające dziewczyny w krótkich spódniczkach z tacami pełnymi kolorowych drinków, krzątające się od stołu do stołu. Mimo tłumu ludzi panowała tam tajemnicza atmosfera poważnej gry. Perlman przeszedł między stolami, wsłuchując się w szelest

kart, delikatne postukiwanie plastikowych sztonów i sporadyczne westchnienia rozpaczy. Krupierami byli przeważnie młodzi, przystojni i uprzejmi ludzie. Koło ruletki kręciło się, z dala od stołów było słycać pomruk automatów do gier.

Perlman zapalił papierosa i naliczył dziesięć stołów do blackjacka i sześć do pokera, gdzie gra toczyła się na poważnie i o najwyższą stawkę. Patrzył, jak czarująca krupierka w lśniącej, niebieskiej garsonce, marszczony bluzce i niebieskich, obcisłych spodniach tasuje talię kart i swobodnie, lekkimi ruchami palców, rozdaje je graczom.

Piękne dłonie, delikatne palce, długie paznokcie, idealnie polakierowane na czerwono.

Perlman podszedł bliżej. Krupierka zerknęła na niego i dalej rozdawała karty. Gracze brali je, oglądali, obracali w palcach, postukiwali paznokciami w obity sukrem stół. Ciężki klimat kasyna czasami przypominał Perlmanowi czuwanie przy zmarłym, gdzie nikt nie wiedział, jak przełamać pierwsze lody. A potem nastąpiło pokazanie kart i wybuchy wściekłości, aż przy stole zostało już tylko dwóch graczy. W końcu pulę zgarnął facet w szarym garniturze od Armaniego.

— Nieźle mi dziś idzie — zauważył zwyczajca, przesuwając sztony na swój stos.

Krupierka delikatnie odrzuciła z oczu kręcony kosmyk blond włosów. Seksowny ruch, pomyślał Lou. — Widać, masz dziś szczęście, Stan — rzuciła.

— No racja, Jackie — odparł mężczyzna imieniem Stan. Jackie.

Perlman nie mógł oderwać od niej oczu. Czując na sobie jego wzrok, obrzuciła go spojrzeniem, po czym znów zaczęła rozdawać karty. Perlman był zachwycony: olśniewająca kobieta. Gdy zerknęła na niego ponownie, odwrócił głowę, lecz po chwili znów utkwiał w niej wzrok. Wciąż rozdawała karty, które zdawały się unosić w powietrzu, zanim opadły na sukno. Miała do tego rękę i jakieś magiczne zdolności.

Po skończeniu gry Jackie odeszła od stołu i zbliżyła się do Perlmana. — Pan mi się przygląda.

— Przepraszam, nie wiedziałem — odparł.

— Trochę mnie to denerwuje.

— Nie miałem takiego zamiaru.

— Czy pan tu czegoś szuka?

— A więc Jackie Ace to pani? — Perlmanowi zaschło w gardle. To przez ten gęsty klimat.

— Zgadza się.

— Zbiorę pani tylko jedną minutę.

— Przysługuje mi pięć minut na papierosa, nawet jeśli nie palę. — Odeszła, więc ruszył za nią, mijając automaty, aż do drzwi prowadzących do słabo oświetlonego pomieszczenia, gdzie stało kilka zepsutych maszyn, wybebeszonych do naprawy, a w powietrzu unosił się zapach rozpuszczalnika.

— Pan jest gliną.

— Aż tak to widać?

— Da się wyczuć. To jak dźwięk gwizdka, który słyszą tylko psy. Co wcale nie znaczy, że jestem psem.

— W żadnym wypadku — uśmiechnął się Perlman, zapatrzony w oczy Jackie Ace, ozdobione brokatem i długimi, sztucznymi rzęsami, a przy tym bystre i inteligentne.

— Komplementy zawsze mile widziane... No dobra, mam tylko pięć minut.

— A przy okazji: nazywam się Perlman. Jestem z dochodzeniówki. — Sięgnął do kieszeni po papierosa. Paczka była już pusta. Poczul silny, nagłący atak głodu nikotynowego. Wyjął pustą paczkę i zgniótł w dłoni. Niewolnik szkodliwego nałogu. Odkasznął i ciągnął dalej. — Powiem bez ogródek. Rozmawiałem z Benem Tartakowerem, który twierdzi, że świetnie się pani posługuje skalpelem.

Spojrzała mu w oczy badawczym wzrokiem. — Kopę lat nie myślałam o starym Tartym. To było chyba jeszcze w poprzednim życiu...

— Ale pamięta pani aborcje i inne nielegalne...

— Dosyć już! Chce pan teraz zwalić to wszystko na mnie?

— Broń Boże. Co było, to było. Tak przynajmniej uważam.

— I słusznie. Bo nie mam najmniejszej ochoty wracać do tamtego okresu mojego życia.

— W porządku. — Perlman próbował dopatrzeć się jakiegoś znaku na umalowanej twarzy Ace, choćby drobnego dowodu na fałsz czy krętactwo. Jednak nie wyczuwał żadnego zagrożenia ani ukrytych zamiarów. A przecież Tartakower sam powiedział: coś nie tak, to się od razu da wyczuć. No jasne. Tyle że źle cię zrozumiałem, Tarty. Nie spodziewałem się transwestyty emanującego silnym urokiem i seksapilem — a którego pleć można poznać jedynie po lekkiej wypukłości czoła i ledwie dostrzegalnym, maleńkim jabłku Adama.

— Nie powiedział mi pan jeszcze, co pana tu sprowadza — zauważyła Ace. — Przecież nie z braku zajęcia przetrząsa pan te stare historie.

— Pracuję właśnie nad pewną sprawą. Szukam kogoś, kto mógł odciąć ludzką dłoń.

— Tylko proszę mi nie mówić, że Tarty sugeruje, że to moja robota.

— Ależ skąd, nic podobnego.

— Założę się, że wspominał o moich zdolnościach, ale i o dziwactwach.

— No, powiedzmy.

— Stary, zręczliwy dupek z niego.

— Czyli nic się nie zmienił.

— Traktował mnie jak swoją asystentkę. Wtedy często bywał pod wpływem alkoholu amylowego.

— Atak, słyszałem o tym...

— No i potrzebował kogoś do pomocy. Strasznie nie lubił na nikim polegać, a zwłaszcza na mnie — z uwagi na moje odmienne upodobania. Udało mi się stamtąd zwiać, zanim zrobiła się afera, a on na pewno nie był rad, że jako jedyny poszedł do paki. — Zaśmiała się cicho. — Ja zarabiam na życie, rozcinając talie kart, a nie ludzi, panie Perlman.

Wzruszył ramionami. To nie pierwszy pościg w jego karierze, ani nie ostatni. Pieprzę cię, Ben; wpuściłeś mnie w maliny. A teraz siedzisz pewnie w tej swojej norze i szczerzysz zęby, co?

— A czemu zrezygnowała pani z pracy chirurga? — spytał.

— Już dość było tych trupów, sierżancie. Zna pan to uczucie.

— I to aż za dobrze... no cóż, jeśli coś sobie pani przypomni, to proszę do mnie zadzwonić. Z jakąkolwiek informacją. Nazwiska innych studentów, cokolwiek; tu wszystko może być ważne... — Wyjął z portfela wizytówkę i zapisał na niej swój domowy numer telefonu. — Proszę.

Jackie Ace roześmiała się. — Wie pan, aż wierzyć mi się nie chce, że tamto wszystko zdarzyło się naprawdę. Czasem mam wrażenie, że to tylko sen. A teraz proszę mi wybaczyć, mam mnóstwo pracy, muszę rozdać karty. Miło było poznać. — Ace odeszła, ale zatrzymała się jeszcze i odwróciła głowę. — Już mnie pan rozgryzł, prawda? W przeciwieństwie do wielu graczy. Ile to panu zajęło?

— Sam nie wiem — odparł Perlman.

— Och, trochę to niesprawiedliwe, bo miał pan pewną przewagę. Tartakower podał panu moje nazwisko, choć głowę daję, że nie uprzedził, co pana czeka?

— Rzeczywiście, nie uprzedził.

— A gdyby pan nie znał mojego nazwiska?

— Wtedy z pewnością niczego bym się nie domyślił — przyznał Perlman.

— Jest pan naprawdę słodki — powiedziała.

Wyszła z sali, zostawiając Perlmana samego wśród wraków maszyn, dręczonego głodem nikotynowym. Opuścił kasyno tamtędy, którądy wszedł: przez drzwi z paciorkową zasłoną.

Rhoda wyłoniła się jak tęcza na niebie. — Już pan wychodzi?

— Wasze kasyno jest w porządku, skarbie.

— Uważamy je za najlepsze w całym mieście. Inne są tandetne i przestarzałe. My zapewniamy naszym klientom dobry nastrój. Staramy się — to nasze motto.

— I to z dobrym skutkiem — dopowiedział.

Na dworze było ciemno i paliły się latarnie. I ten ziąb. Perlman wrócił do miejsca, gdzie zaparkował samochód. Otworzył drzwi, wsiadł, wygrzebał z popielniczki niedopałek. Zapalając go, omal nie przypalił sobie nosa. Dwa sztachy i koniec.

Niedopałek straconego dnia, pomyślał sobie.

Splatałeś mifigła, Tartakower. Podałeś mi nazwisko faceta przebranego za kobietę. Nie wspomniałeś o tym ani słowem. Aja wyszedłem na durnia.

Potał pięść, którą powalił Lattę. Knykie były zaczerwienione i obolałe. Kto ból zadaje, tego ból dopada.

17

Bateria w komórce Perlmana prawie się rozładowała, dlatego zadzwonił z automatu przy całodobowej stacji paliw na Alexandra Parade. Odebrała Madeleine. Perlman zaczął serdecznie przeproszać za ostatni telefon o tak późnej porze, bo przecież, cha, cha, słynie z tego, że brak mu poczucia czasu. Dodał, że w swoim roztargnieniu zapomniałby pewnie przyjść na swój własny pogrzeb.

Ale ona nigdy nie gniewała się na Perlmana zbyt długo. Intrygowały ją jego opowieści o głupkowatych przestępcach i ich śmiałych planach, bo był jedynym łącznikiem między nią a pracą jej męża. Sandy pozostawiał sprawy zawodowe za drzwiami domu jak parę mocno zabłoconych kaloszy. Madeleine zaczęła opowiadać Lou o swoim ostatnim odkryciu w Internecie — odszukała jakiegoś Porteousa McNivena, który w 1856 roku wyemigrował z Dundee do Nowej Zelandii. Lou słuchał, postukując pal-

cami w obudowę aparatu: no i zaczęło się. Była szczerze podekscytowana swoim odkryciem. Już od lat badała swoje rodzinne korzenie.

— To jakaś ważna osobistość? — zagadnął Perlman. Nudziły go historie rodowe i liczył, że Maddie oszczędzi mu szczegółów życia Porteousa McNivena i tamtej epoki. A tymczasem ona opowiedziała mu dosłownie wszystko: o ciężkiej podróży, o wrogim Maorysie i o wraku statku. Bardzo lubił Maddie i cenił sobie jej towarzystwo, ale, o Jezu, na temat swojego pochodzenia potrafiła nawijać do bólu.

— No i w Dunedin jego ślad się urywa — ciągnęła.

— Maddie, posłuchaj no, kochana: muszę pogadać z twoją gorszą połową, jeśli w ogóle go zastałem.

— Właśnie leży przed telewizorem. Zaczekaj.

Perlman usłyszał w oddali głos Sculliona, który po chwili podniósł słuchawkę. — Pewnie czekasz na najświeższe nowinki?

— Liczę na to, że czegoś się dowiem.

— W takim razie dzięki tobie zaoszczędziłem na telefonie — orzekł Scullion. Przez chwilę milczał, widocznie czekając, aż Maddie oddali się na tyle, by go nie słyszeć. Perlman zaczął skubać kawałek gumy do żucia przyklejonej do ściany aparatu, ale szybko cofnął rękę na myśl o ewentualnym zagrożeniu dla zdrowia. — Okazuje się, że ofiara żyła, kiedy odcięto jej dłoń.

— Czy Sid to potwierdza?

— Z całą pewnością. Są ślady stłuczenia, co występuje tylko na organizmie żywym.

Perlman przymknął oczy, oślepiony nagle jaskrawym światłem neonu na skraju hali. — Mam tylko nadzieję, że nafaszerowali biedaka do nieprzytomności.

— A jeśli nie, to na pewno zemdlał z bólu.

— A potem ocknął się i co wtedy? Wykrwawił się na śmierć? Wątpię, czy kikut został odpowiednio zaleczony. Przecież to nie był żaden rutynowy zabieg przeprowadzony w szpitalu — chyba że polityka służby zdrowia przewiduje podrzucanie amputowanych kończyn ludziom do domów. Wiadomo, że nasza służba zdrowia to jeden wielki syf, ale...

— Sid czeka jeszcze na wyniki badań DNA, żeby ustalić płeć. Przekażę ci, jak tylko się dowiem. Nie mogę go cisnąć, bo to nie moja sprawa.

— A czyja?

— Tiggego — odparł Scullion po chwili zawahania.

Perlmana ogarnęła gwałtowna wściekłość. — A jakim cudem, do cholery, dostał ją ten brodaty pierdoła?

— Jest kuzynem żony Taya.

— Czyli nepotyzm — podsumował Perlman. Patrzył, jak z taksówki wysiada jakaś prostytutka. Miała na sobie masę cekinów i kabaretki. Wolnym krokiem weszła na dworzec. Co się z nim dzieje, skąd to nagłe zainteresowanie młodszymi kobietami? Druga młodość, nagły przyływ świeżych, szalejących hormonów?

— Tylko mi nie mów, że jeszcze wierzysz w kompetencje, Lou?

— Czasami miewam złudzenia. — Kuzyn żony Taya. Perlman nie wiedział nawet, że Tay jest żonaty. Przyłapał się na wyobrażaniu sobie Taya w intymnej sytuacji: te wąskie, małżowate wargi przyssane do sutka żony i wystający spod kołdry małżeńskiego łóża jego pulchny, biały tyłek.

Prostytutka wyszła z dworca z paczką papierosów. Posłała mu uśmiech, zębami rozdierając celofan, i wsiadła z powrotem do taksówki.

— I jeszcze jedno... Dlaczego pobiliś George'a Latte?

— Raz go tylko pacnąłem, i tyle.

— I jeszcze mu dokopałeś.

— A tak, zapomniałem o kopniaku. Rzucił obraźliwe teksty. Wyzywał Miriam od najgorszych i znowu oskarżał mnie, że zrobiłem przekręt, żeby zgarnąć jej, jak to nazwał, kradzioną forszę. Latta to podły drań.

— Podły, nie podły, ale z pewnością pójdzie z tym do Taya. Tego możesz być pewien. A ci dwaj nie darzą cię sympatią.

Ale Perlman nie dawał za wygraną. — A wiesz, jakie to kurewsko miłe uczucie przyłożyć temu gnojkwowi?

— Mogę sobie tylko wyobrazić.

— Wspomniał też o odciętej dłoni, jakby to była moja sprawka.

— Jak to, twoja?

— A kto wie, co się dzieje w tym gabinecie luster, który on nazywa swoim umysłem? No, a co tam mówią o tej dłoni na komendzie, Sandy?

— Plotki, jak zwykle. Same poronione i porąbane pomysły. Chcesz, to opowiem ci żart, żeby dać ci do myślenia i oderwać twoje myśli od Pitt Street...

— Już pękam ze śmiechu.

— Ktoś zasugerował, że to dowód z jakiejś zamierzchłej sprawy, który wzięłeś do domu i zapomniałeś oddać.

— Prawdziwa perełka dowcipu.

— Inna teoria głosi, że ktoś podłożył ci tę dłoń, żeby zrobić cię w jakąś zbrodnię. Zastawił na ciebie pułapkę.

— Brzmi trochę złowieszczo. A niby o jaką zbrodnię chodzi?

— Kto to wie?

Pułapka. Zbrodnia. Nic, tylko plotki i plotki, czcza gadanina. Jezu, ci z komendy są jak krąg starych wiedźm, paplają coś po korytarzach, szepcą w swoich biurach, rechoczą, rozbawieni Sprawą Dłoni Perlmana.

— Maddie chce jeszcze zamienić z tobą słówko, Lou.

W słuchawce odezwał się głos Madeleine. — Co powiesz na kolację w przyszłym tygodniu, Lou? W czwartek, między dziewiętnastą trzydzieści a dwudziestą. Pasuje ci?

— Jak najbardziej.

— Tylko bez żadnych specjalnych strojów.

A niby za kogo miałbym się przebrać, zdziwił się w myślach. — I tak oddaję smoking do pralni. A co będzie na kolację?

— Zrobię ci niespodziankę.

Odłożył słuchawkę, przeszedł przez plac dworcowy, wsiadł do samochodu i siedział tam przez jakiś czas, wypalając do końca kolejno wszystkie niedopałki. Jego myśli krążyły wokół ostatnich rozmów i zdarzeń — Tartakower, Jackie Ace, zaginiony syn Betty McLatchie, pretensje ciotki Hildy, które budziły w nim poczucie winy, i jeszcze, nie daj Boże, ten Latta — wszystko to na raz zważyło mu się na głowę. No i ta dłoń, ucięta żywemu człowiekowi. Czuł się tak, jakby przesiewał popioły krematoryjne w poszukiwaniu czegoś przydatnego, nienaruszonego, co zachowało się w piecu.

Na przykład informacji o stanie jego serca.

Kiedy parkował przed domem, wciąż dręczyła go niechęć do Tiggego, a wspomnienie Latty przytłaczało go jak ciężar dźwigany na barkach. We wszystkich oknach paliły się światła i od razu zrobiło mu się cieplej. Wracając do domu, zwykle zastawał ciemność. Otworzył kluczem frontowe drzwi, znalazł po omacku przełącznik światła w holu i blask samotnej żarówki wskazał mu drogę do wrogich zakamarków innych pustych pomieszczeń.

Usłyszał muzykę, wiekowy album Kingston Trio, o którego istnieniu całkiem zapomniał. Człowiek gromadzi różne rzeczy, a potem nawet o nich nie pamięta. Przechodzisz obok mnie i wszyscy ludzie oglądają się, i zadają sobie to pytanie... Betty McLatchie podśpiewywała razem z wokalistą. Miała śliczny, wysoki głos. Perlman zdjął płaszcz, powiesił na wieszaku i przystanął na progu pokoju dziennego, by na nią popatrzeć. Klęczała, szorując stare plamy na

dywanie. Nie zauważyła, że wszedł, i nawet nie podniosła wzroku. Była bez reszty pochłonięta piosenką.

Och, serce z kamienia, przechodzisz obok mnie...

Perlman odchrząknął. Zadarła głowę i przerwała śpiewanie.

— Aleś mnie zaskoczył — powiedziała.

— Jestem Fred Astaire, sunę lekko po ziemi. — I na potwierdzenie swych słów powłóczył krokiem obu stóp wykonał mały obrót, udając, że Ginger wiruje tuż obok niego. Ja i mój cień.

— Widzę tu wrodzony talent, choć trzeba jeszcze nad nim popracować. — Dźwignęła się na kolanach i obejrzała dywan. — Niektóre z tych plam są stare jak świat.

— A każda z nich ma swoją historię.

— Łatwo się domyślić.

Tym razem Perlman wyraźniej niż przedtem dostrzegł zmianę, jaka zaszła wokół niego. Prócz znajomych już zapachów odświeżacza powietrza i preparatu do polerowania o zapachu sosny oraz widoku lśniącego, oczyszczonego z kurzu i pajęczyn drewna, czuło się teraz silnie perfumowaną piankę do szorowania dywanów, a także czekoladowy aromat palących się na parapecie świec. Telewizor był ustawiony lekko pod kątem, podobnie jak jego stary, ulubiony, welurowy fotel. Betty przesunęła też sofę, tworząc w ten sposób coś w rodzaju trójkątnego kina domowego. Przemeblowała mu życie, wprowadzając do niego odrobinę wygody. Bardzo go to ucieszyło.

— Zawsze pracujesz do późna? — zagadnął.

— Mam tu sporo do zrobienia, Lou. A poza tym lubię sprzątać. Człowiek się stara i od razu widać efekty.

— Czego nie można powiedzieć o pracy w policji.

Uśmiechnęła się, podniosła z miejsca, a on wyciągnął rękę i pomógł jej wstać. Miała rozpaloną skórę. Nagle w odruchu spontaniczności zapragnął ją objąć, chcąc przedłużyć to nieoczekiwane złudzenie ciepła domowego, które go poruszyło; oto nowa, intrygująca rzeczywistość. Za długo był sam, zdecydowanie za długo. Przez chwilę ich twarze zbliżyły się do siebie jak do pocałunku. Perlman zrobił krok w tył. Zaraz, czy on naprawdę pomyślał, żeby ją pocałować? Może poruszony tą niecodzienną, intymną atmosferą chciał okazać swoją wdzięczność albo zwyczajnie potrzebował dotyku drugiej osoby. Wrócił do domu, zastał Betty, wszędzie tak czysto i jasno. Kochanie, zaraz ci opowiem, co za dzień miałem dziś w pracy.

Zapaliła papierosa; Perlman, który zapomniał kupić sobie papierosów, wyprosił jednego od niej. Podsunęła mu zapalniczkę.

— Zaslugujesz na medal, Betty.

— Bałam się raczej, że pomyślisz, że za dużo sobie pozwalam. No a co sądzisz o tych świecach?

— Chyba jeszcze nigdy w tym domu nie paliły się żadne świece. A przynajmniej nie zapachowe. Czy można je zjeść? Chętnie posmarowałbym sobie nimi kanapkę, gdybym tylko miał chleb.

— Pamiętaj tylko, żeby je zdmuchnąć przed snem.

Muzyka ustała. Perlman w milczeniu palił papierosa i patrzył, jak Betty przygląda się osychającym na dywanie plamom od piany. Wiedział, że gra na zwłokę. Nie wyjdzie, zanim nie zapyta o syna — a z drugiej strony nie chce być nachalna.

Czyjeśli jej powie, że niczego się nie dowiedział, pogłębi jej niepokój czy obudzi w niej nadzieję? Brak wiadomości oznacza... cokolwiek by nie mówić. Zdusił papierosa w popielniczce na kredensie. W jednej chwili doznał dotłdiwego poczucia niepewności. Pragnął móc jakoś ją pocieszyć. Ale jak? Przecież nie wysmaży jakiejś naiwnej bajeczki ani nie będzie owijał w bawełnę po to tylko, żeby na krótko ukoić jej niepokój.

— Teraz to jest porządny dom — orzekł cicho. Czuł, jak płoną mu czubki uszu. Oby tylko się nie zarumienił. — Już nie muszę się go wstydzić, Betty. Za to jestem ci wdzięczny.

— Czy nie na tym właśnie polega życie? Na poprawianiu innym samooceny i stosunku do otoczenia?

Cóż za pozytywne myślenie, pomyślał. Zbliżyła się do niego o parę kroków. Zauważył, że upięła swoje niesforne włosy kłamrą w kolorze czerwonego wina, co nadawało jej młodszy wygląd. Dżinsy ze znakami zodiaku zamieniła na czarne levisy z podwiniętymi nogawkami. Kiedyś musiała być zadziorna, figlarna i seksowna — i wciąż zresztą taka była.

— Czy dobroć nie jest najważniejsza, Lou?

— Może w jakimś idealnym świecie. — Oczami wyobraźni widział ją tarzającą się w błocie w Woodstock. Wtedy nie myślało się o przyszłości. A potem był przelotny romans i syn bez ojca, który teraz gdzieś zaginał, a strach wzbierał w niej ogromną falą. Kto przy zdrowych zmysłach chciałby wiedzieć, co kryje w sobie przyszłość?

Niespodziewanie wybuchła płaczem, opierając mu głowę na ramieniu. Pogłaskał ją po włosach. Czuł głębię jej cierpienia, ten rozdzierający ból, jego powalającą siłę.

— Posłuchaj mnie, Betty: trzeba mieć nadzieję, nie wolno się poddawać. Rozumiesz?

Wyjąkała coś przez łzy, ale nie wyłapał ani słowa. Chciała tylko, żeby ją przytulił.

— Popłacz sobie, wypłacz się za wszystkie czasy...

— Cholera, zaraz chyba padnę, Lou.

— Jestem przy tobie, podniosę cię.

Odsunęła się od niego, przecierając oczy. Wysiła się na uśmiech, ale na próżno. — Fajny z ciebie facet, Lou.

— Chcesz powiedzieć, że jak na gliniarza.

— Jesteś w porządku gość. Koniec, kropka.

Perlman ujął dłonią jej podbródek. — Mam tu gdzieś trochę starego wina. Wypijesz leczniczo jedną lampkę?

Otarła rękawem twarz. Wierzchem dłoni zgarnęła cienką strużkę śluzu; miała speszoną minę. — Przepraszam.

— Niby za co? Lepiej pójdę po to wino, choć nie gwarantuję, że nadaje się do picia. Pewnie to zwyczajny sikacz. Jeśli w ogóle go znajdę. — I skierował się do kuchennych drzwi.

— Trzecia półka w spiżarni. Nad sosami w butelkach.

— Mam tu jakieś sosy w butelkach? Nawet nie wiedziałem.

— Niektóre od firm, które już dawno nie istnieją.

— Nie do wiary. No, siadaj, zaraz wracam.

— W szafce są czyste kieliszki.

— Musisz kiedyś oprowadzić mnie po tym domu. Znowu wysiła się na uśmiech. — Masz to jak w banku.

Wszedł do kuchni. Wszystko aż lśniło. Wyjął z kieszeni zdjęcie Colina i Miriam i wepchnął do szuflady, po czym znalazł wino i kieliszki, które stały tam, gdzie wskazała mu Betty, a kiedy szedł z powrotem do pokoju dziennego — pełen współczucia i chęci jej pocieszenia — prawie wyładowana bateria w komórce zadziałała i z kieszeni marynarki odezwał się słaby dzwonek. Tylko nie teraz, nie teraz... Wyjął telefon i usłyszał głos Adamskiego, przerywany, docierający z jakiegoś odległego miejsca.

— Chyba mamy tego twojego zaginionego, Lou.

Przez całą noc Dorcus Dysart krążył po mieście swoją białą furgonetką. Przyglądał się prostytutkom w okolicach centrum miasta: te dziewczyny w podkasanych spódniczkach, z mocno upudrowanymi twarzami były ryzykownym łupem. Prawdopodobnie przenosiły różne choroby, nadużywały narkotyków albo jedno i drugie. Miały skażoną krew, która zatruchiwała ich organy.

Ruszył na południe od rzeki Clyde w ciche, zwirowate uliczki, odchodzące od Paisley Road West. Żółte latarnie, tu i ówdzie potłuczone i prawie ani żywej duszy oprócz kilku nocnych pijaków, śpiewających: Ja nie kosmata Mary, lecz kawał niezłej siekiery.

Trudno było napotkać samotnych przechodniów. Ludzie zwykle wychodzili parami, trójkami lub czwórkami. Czytali gazety, oglądali wiadomości. Znalaziono już kilka ciał. Ktoś w tym mieście „wycina organy na przeszczepy”. Koniec cytatu.

Trzeba poczekać na idealną okazję — na kogoś samotnie spacerującego w przyćmionym świetle latarni. Liczy się waga ciała, no i łatwość zdobycia.

Ruszył po okolicy. Pollokshields, Shawlands. Zamknięte sklepy, powybijane szyby restauracji, ciemne kamienice czynszowe: zupełnie jakby krążył po ulicach jakiegoś miasta-widma. Czasem ogarniała go rozpacz: a jeśli już nigdy nikogo nie znajdzie? I co wtedy? Jak będzie zarabiał na życie? A potem zdręczał się myślą o Gloriannie, która umówiła się z nim przez telefon. Przyjaciółka pana Chucka. Miała przyjechać do niego do domu, gdzie jeszcze nigdy nie było żadnej kobiety.

Oprócz siostry Payne.

Ona była dla niego świętością, miłością tak trwałą, że czasami zastanawiał się, czyjej sobie nie wyśnił. Wyobraził sobie jej twarz. I to jej inteligentne spojrzenie.

A teraz jeszcze ta Glorianna...

Co ma jej powiedzieć? Jak się zachować? Jak jej to wytłumaczyć? Słuchaj, nie mam ochoty, ale mimo wszystko dziękuję, nie myśl sobie, że tego nie doceniam. Zadzwońiłby do pana Chucka i poprosił, żeby nie przysyłać dziewczyny, bo jest zbyt zapracowany, ale miał wrażenie, że Reuben Chuck jest człowiekiem, który nie lubi, gdy odmawia mu się przyjęcia jego prezentu.

O wpół do trzeciej nad ranem zmienił kierunek, wrócił na drugą stronę rzeki i ruszył w okolice uniwersytetu. Arterie świeciły pustkami. Niby dzielnica studencka, ale gdzie jej mieszkańcy, gdzie to całe balujące towarzystwo? Zjechał na pobocze i wytarł okulary specjalną irchową ściereczką, którą trzymał w schowku.

Przy Byres Road dostrzegł grupkę nocnych spacerowiczów. Potem snuł się po bocznych uliczkach — Dowanside, Havelock, White Street, Caird Drive. Tam i z powrotem, i tak w

kółko. Wrócił tą samą drogą, którą przyjechał, krążąc po okolicy. Wzdłuż Woodlands Road przewijały się taksówki, sunęło kilka samochodów. Wsunął palce pod okulary i przetarł zmęczone powieki.

Miał za sobą straconą noc. Me, zaraz, przecież czeka cię jeszcze rozmowa z panem Chuckiem.

Pan Chuck cię lubi, nazywa cię Dorco. Twierdzi, że jesteś artystą, patrzy na ciebie z podziwem, potrzebuje twoich umiejętności i drogo za nie płaci.

W połowie West End Park Street zauważył wychodzącą zza rogu dziewczynę, szła spiesznym krokiem, chwiejąc się na wysokich obcasach. Była niska, drobna i szczupła.

Zwolnił, sunąc za nią w pewnym odstępnie.

Jeśli uda jej się dojść do głównego skrzyżowania przy Woodland Road, to zniknie mu w nagłym natężeniu ruchu ulicznego czy grupie przechodniów i szansa stracona. Dogonił ją, podjechał do krawężnika i otworzył drzwi.

— Przepraszam — zaczął.

Nawet nie spojrzała, tylko dalej szła naprzód. W tym samym tempie, żeby nie dać po sobie poznać, że się boi.

Ruszył, aby dotrzymać jej kroku. — Prze-przepraszam, że zawracam głowę.

Tym razem się odwróciła. W świetle reflektorów jej twarz była pospolita, a usta załośnie wygięte w podkówkę. Oczy miała zaczerwienione od płaczu. Była zdenerwowana. Zastanawiał się, z jakiego powodu — pewnie zawód miłosny, niespełnione obietnice.

Zakochani ludzie są tacy naiwni. Myślą sercem i robią sobie gówniane nadzieje.

Zrobiło mu się jej żal.

— Czego pan chce, do cholery? — Na jej twarzy malował się zakorzeniony od lat miejski strach: nie rozmawiaj z obcymi, nie bierz słodyczy od panów, których nie znasz, trzymaj się z dala od krzaków. Jednak w przyływie emocji złamała swoje zasady. Albo całkiem o nich zapomniała.

Zahamował i popatrzył na nią. Wiedział, że w swej nieporadności wydaje się niewinny. Wyglądał na nieszkodliwego. Kiedy ludzie widzieli tę łagodną twarz i te okulary w grubych oprawkach i słyszeli zawahanie w głosie i to jego zająkiwanie się, zaczynali mu współczuć. Co prawda, jego długie włosy mogły budzić zdziwienie, ale każdemu zdawało się, że łatwo rozgryzł jego prawdziwą naturę: życzliwy, bez żadnych złych zamiarów, taki sobie miły facet, tyle że trochę zamknięty w sobie. Siostra Payne zawsze mawiała, że gdziekolwiek by nie zapukał, to każdy chętnie go przenocuje.

— Chyba się zzzgubiłem. Szukam... hm... Ggreat Western Road.

— To niedaleko — odparła.

— Przepraszam, czy pani dobrze się czuje? — zagadnął.

— O co panu chodzi?

— Zdaje się, że jest pani trochę sssmutna.

— To moja sprawa.

A więc przybrała postawę obronną. Dorcus czuł, że wystarczy chwila nieuwagi i dziewczyna zaraz mu się wymknie. — Przepraszam, nnie chciałem się wtrącać. Ja tylko...

— Powiedział pan, Great Western. Dojedzie pan do końca, do Woodlands Road, skręci pan w prawo w Park Road i będzie pan na miejscu. Jasne?

Odwróciła się od niego, przyspieszając jeszcze bardziej chwiejnym krokiem. Wyskoczył z furgonetki, jego tenisówld o gumowych podeszwach opadły lekko na ziemię. Jednym szybldm, wprawnym ruchem zwilżył chustkę chloroformem z butelki i chwycił dziewczynę od tyłu. — Co pan, do cholery — zdążyła krzyknąć, kiedy wcisnął jej chustkę do ust. W głowie mu huczało, jakby ktoś walił w nią od środka jak w napięty bęben. To był ten najgorszy moment. W każdej chwili coś mogło pójść nie tak, dziewczyna mogła zacząć się szamotać i wrywać albo stężenie chloroformu mogło okazać się zbyt słabe, żeby ją powalić lub, co gorsza, zbyt silne.

Jęczała, rzucała się, próbowała ugryźć go w rękę, kopala, ale po chwili ugięła się wpół, jakby wyzuta z życia, osunęła się po jego nogach i upadła na chodnik.

Schował chustkę do ldeszeni, zawłókł dziewczynę do furgonetki, otworzył drzwi, podniósł ją i ostrożnie ułożył na podłodze. Następnie wsiadł obok niej, związał jej bezwładne ręce skórzanymi paskami, a nogi złączył długim łańcuchem, przyspawanym do podłogi. Zapiął kłódkę, założył dziewczynie na głowę płócienny worek, w którym wyciął nożycami dwa otwory do oddychania, ściągnął sznurki i związał w supeł pod jej podbródkiem.

Wsiadł za kierownicę i ruszył do wschodniej części miasta, sunąc wzdłuż Edinburgh Road w stronę domu. Raz po raz zerkał w lusterka, czy nie widać gdzieś wozów policyjnych. Jak go zatrzymają, będzie musiał się tłumaczyć ze swojej pasażerki — nie, nawet o tym nie myślał. Przed domem otworzył kluczem wysoką, metalową bramę i szybko wjechał na swój teren.

Usłyszał dobermanymy: psy wojny.

Wjechał furgonetką do garażu, automatyczne drzwi zamknęły się za nim. Wziął dziewczynę na ręce i wniósł do domu. — Siostró Payne, siostró Payne, czy wszystko już gotowe? — wołał, wchodząc po schodach do swego gabinetu i, jak zawsze, mijając zimną s

trefę, spowitą lodowatą mgłą.

19

O piątej nad ranem w kostnicy Perlmanowi nawet nie chciało się spać, w przeciwnym razie zresztą i tak nie miałby na to żadnych szans: sen był jak podróż do odległego kraju, poza zasięgiem możliwości. Śmierć miała jakieś zniewalające pole energetyczne, działała na niego pobudzająco i stymulująco. Perlman popijał przy tym kiepską czarną kawę w papierowym kubku z automatu.

Od czasu do czasu podchodził do łóżka, gdzie leżał przygotowany do sekcji Kirk McLatchie w ostrym blasku górnego światła. Co za marny koniec. Żadnej prywatności, ani krzty szacunku.

Adamski stał parę metrów od zwłok. Był skonany, bez przerwy pocierał swoje mięsiste powieki, wzdychając raz po raz — z żalu, smutku czy niechęci do tego, co dzieje się w tym mieście, któremu służył przez tyle lat. Zwłoki zauważyła jakaś zakochana para spacerująca po lesie nieopodal rzeki Clyde; unosiło się na wodzie w pobliżu Cambuslang Road. Ta randka z pewnością na zawsze utkwi im w pamięci.

Perlman wracał myślami do Betty i wina, którego nie dane jej było skosztować. Jak przekazał jej te wieści? Słuchaj, chodzi o Kirka: przykro mi, ale właśnie znaleźli twojego syna... Wtedy jeszcze nie mógł podać jej żadnych szczegółów; powiadomił ją tylko, że go znaleźli. A ona siedziała bez ruchu, jak sparaliżowana po wylewie. Kurczyła się w oczach, osłabiona bólem. Nie przechodziła jednak typowej fazy zaprzeczenia — nie, to nie mój syn, to nie może być Kirk—jakby w duchu spodziewała się, że jej zaginione dziecko czeka marny koniec. Próbowała zapalić papierosa, ale wypadł jej z ręki i nie ruszyła się nawet, żeby go podnieść. Perlman widział narastający w niej strach. I nagle zaczęła trząść się tak gwałtownie, że wołał nie zabierać jej do kostnicy na rozpoznanie zwłok.

Podał jej dwie pigułki nasenne z szafki w łazience z nadzieją, że zetną ją z nóg. Przykrył ją kocem i długo przy niej siedział, kiedy tak leżała na jego sofie, skulona, drobna, milcząca. Raz czy dwa pogładził ją po twarzy

czy ramieniu, szepcząc słowa współczucia, ale ona jakby wcale nie czuła jego dotyku ani nie słyszała jego głosu.

Prędzej czy później czekało ją rozpoznanie zwłok, chyba że najpierw uda się odszukać żonę Kirka, Deborę — ale w jej mieszkaniu nikt nie odpowiadał na jego telefony; nie odezwała się też, kiedy do jej drzwi zapukało dwóch policjantów z patrolu. Gdzieś się zawieruszyła, znilda na całą noc, pewnie chcąc z zemsty dopiec swemu rozwiązłemu mężowi. Tyle tylko, że wybrała złą godzinę.

Perlman patrzył, jak lekarz sądowy skrobie się po czubku nosa. Był to wysoki, dystyngowany mężczyzna o siwych włosach, opadających mu na kołnierz białego kitla. Cechowały go drobiazgowość i powaga. Perlman znał innych koronerów — żartownisiów, którzy poczuciem humoru nadrabiali ponury klimat swojej profesji. No, to czeka nas kawał morderczej roboty (śmiej). I co macie takie grobowe miny, he, he. Harry Whelan nie odgrywał takich komedii. Pracował w milczeniu, a nagrywając swoje wnioski na taśmę, mówił bardzo cicho.

Perlman chciał zaczerpnąć świeżego powietrza z dala od tego dusznego miejsca, ale reprezentował matkę chłopca i ciążyła na nim pewna odpowiedzialność.

Harry Whelan wyłączył dyktafon. — Ależ długa noc — zauważył.

— Wiem coś o tym — odparł Adamski.

— Wkrótce przekażę wam mój raport, panowie, choć pewnie już wiecie, co w nim napiszę... skoro tak długo mi się przysłuchiwaliście. — Popatrzył na swoje srebrne przyrządy, niezbędne w jego fachu, które leżały na zakrwawionej tacy obok łóżka.

Perlmanowi zakręciło się w głowie. Skrzyżował ramiona i oparł się o ścianę. Chryste, przez całe życie miał do czynienia z brutalną śmiercią, ofiarami, które zginęły od postrzału czy ran kłutych, od uduszenia czy od samobójczych skoków. Czyżby nagle przekroczył jakiś punkt krytyczny i stał się zbyt wrażliwy, by oglądać twarze i ciała trupów? Typowa reakcja: policjant przestaje być obiektywny, mizernieje i się wypala, a każdy dzień ponuro zlewa się z poprzednim. Posępna monotonia rzeczywistości. Inni z kolei obrastają skorupą zobojętnienia: kolejny trup na stole, no cóż, trudno, mamy o jedną ofiarę więcej. A może ta nagła wrażliwość bierze się stąd, że znał matkę Kirka? A do tego jeszcze darzył ją sympatią. Myśląc o tym, zdał sobie sprawę, że spodobała mu się już przy pierwszym spotkaniu: jej szczerłość i otwartość, z jaką patrzyła mu prosto w oczy.

Pragnął szybko wracać do domu: skoro pigułki zrobiły swoje, to zaraz przestaną działać, a nie chciał, żeby po przebudzeniu była sama. Zastana-

wiał się też, co jej powiedzieć — jakimi słowami wyjaśnić przyczynę śmierci Kirka.

— Usunięto mu obie nerki — orzekł Harry Whelan, który zdjął szwy z ciała Kirka, żeby przeprowadzić sekcję, a potem starannie je pozaszywał. — A do tego jeszcze wątrobę i serce. Dobra robota, oszczędna w środkach. To musiał być ktoś doświadczony. Co do tego nie ma wątpliwości.

Myśli Perlmana od razu skupiły się na Jackie Ace. Wydawał mu się przekonujący. Może przy drugiej rozmowie zdradziłby coś więcej. Ale nie oczekiwał żadnych zaskakujących odkryć. Już dość było tych trupów, sierzanie. Prosty i wiarygodny powód, dla którego porzuca się chirurgię. Nieważne, i tak spróbuje porozmawiać z nim raz jeszcze.

— Ludzkie organy to, niestety, bardzo dochodowy interes — przyznał Whelan.

— Ale po co tak starannie pozszywał ciało? — spytał Perlman. — Czemu po prostu nie wyrzucił pociętych zwłok?

— Działał pod wpływem wewnętrznego przymusu. Widocznie lubi czystą robotę i czuje się zobowiązany przeprowadzić ją do końca. A zresztą kto to wie?

— Wprawdzie nie jestem bez serca — wtrącił Adamski — ale ja na jego miejscu po prostu wyrzuciłbym szczątki. Nie traciłbym czasu na szycie, zwłaszcza gdyby mi się śpieszyło. Skoro wziął to, co chciał, to po kiego bawił się jeszcze w zaszywanie?

Whelan wzruszył ramionami. Przykrył zwłoki Kirka McLatchie prześcieradłem, zerkając przy tym na Lou. — Trzeba, żeby przyjechał ktoś z rodziny i rozpoznał zwłoki. A tymczasem, panowie, dziękuję wam za towarzystwo. Bywa, że o czwartej nad ranem człowiek czuje się tu trochę samotny.

W milczącym towarzystwie trupów, pomyślał Perlman. Jasne, że można się poczuć cholernie samotnym. Tak jak teraz. Betty. Wyszedł z sali na korytarz.

Adamski ruszył za nim. — Przykro mi, że tak wyszło, Lou.

— Poprosiłem cię o pomoc, a ty mnie nie zawiodłeś. Jestem ci wdzięczny.

Adamski popatrzył niechętnie po lampach wzdłuż korytarza. — Z wiekiem coraz częściej wolę szczęśliwe zakończenia. I co to oznacza? Że staję się sentymentalnym głupkiem?

— Jesteś po prostu człowiekiem. — Perlman klepnął Adamskiego po ramieniu. — Nie masz przypadkiem papierosa?

— Rzuciłem palenie w zeszłym roku.

— Mądra decyzja. — Perlman wyszedł na ulicę. Czyste, nocne powietrze wypełniał chłód i migotanie gwiazd.

— Jak już coś będzie wiadomo, to dam ci znać — zapewnił Adamsie.

— Gdybym mógł w czymś pomóc, to się nie krępuj — odparł mu Perlman.

Idąc do swojego auta, odwrócił się jeszcze, by pomachać Adamskiemu.

Wrócił do Egiptu.

Betty McLatchie wciąż leżała na sofie, przykryta kocem. Miała tak cichy oddech, że przysunął się bliżej, by go usłyszeć. Patrzył na nią przez chwilę. Wkrótce po przebudzeniu zderzył się z brutalną prawdą, z której wyrwał ją głęboki, odurzający sen.

Wolnym krokiem chodził po pokoju i czekał. Dwie brązowe świece na parapecie zdążyły się już wypalić.

20

Gdy Reuben Chuck obudził się w swoim apartamencie, okazało się, że czeka na niego Sandy Scullion. Siedział na krześle z rafii przy balkonowych drzwiach. Chuck nigdy nie potrzebował wiele czasu na wyrwanie się ze snu: był stale czujny i zawsze miał się na baczności. Usiadł w łóżku i spojrzał na Sculliona. — No proszę, nowa fryzura, a do tego wąsy — zauważył. — Wyglądasz teraz... jak to się mówi? Dojrzałe. Prawdziwy miastowy.

— Nie obchodzi mnie, co o mnie myśli taka kanalia.

— Kanalia? Ojjoj. Mocne słowo. A już myślałem, że wpadłeś tu na małą pogawędkę. — Chuck wstał z łóżka. Miał na sobie czarną, jedwabną piżamę. Wsunął stopy w kaptcie z koźlęcej skórki, podszedł do okna balkonowego i rozsunął zasłony. — Cóż za widok. Cudowny, prawda?

— Nie jestem w nastroju na oglądanie widoków — odparł Scullion.

— Jak sobie chcesz. — Chuck popatrzył na rzekę. Dzień był zwyczajny, jak to w Glasgow: ponury i złowieszczy, ale ten widok zawsze go fascynował. Rozciągał się daleko poza południowe nadbrzeże, przez nowe Gorbals, King's Park i Cathcart, aż po Castlemilk, gdzie wznosiło się Cath-kin Braes — wielkie obszary tego kapryśnego, lecz dochodowego miasta.

— Telefonowałem, ale nie oddzwoniłeś — zauważył Scullion.

— Nie było kiedy. A w ogóle jak się tu dostałeś?

— Twój portier boi się glin. Trochę go postraszyłem.

— A to ci mały, tchórzliwy dupek. Mógłbym go za to wylać.

— Ale masz w sobie tyle litości, że tego nie zrobisz. — Krzesło zaskrzypiało, gdy Scullion wstał z miejsca. Przeszedł po pokoju, schylając się pod wiszącymi kryształami. Dotknął jednego: zawirował, obracając się jak ciekawskie szldane oko. — Po co ci te koraliki, Chuck?

— To kryształki — sprostował tamten.

— Och, jasne, przepraszam. Kryształki.

— Wkroczyłem na pewną drogę.

— Która poprowadzi cię prosto do piekła?

Chuck uśmiechnął się. Ten grymas potrafiłby zabić papugę z odległości dziesięciu metrów. — Zdaje się, że nie jesteś w temacie, Scullion.

— Niech zgadnę. Ni stąd, ni zowąd przystąpiłeś do New Age?

— To głupawe i zbyt uproszczone wnioski.

— I czego niby poszukujesz... oświecenia? To słowo jest bardziej na czasie?

— Mógłbym ci gadać do bólu, a i tak byś tego nie pojął — odparł Chuck. Wziął czerwony szlafrok pasujący do piżamy i włożył na siebie. Lubił dotyk jedwabiu. Zastanawiał się, ile jedwabników było potrzeba, żeby stworzyć coś takiego, i ilu Chińczyków do pracy. I ile ludzkich dusz wcieliło się w postaci jedwabników.

— No więc w czym rzecz, Scullion? Gliniarz zakradający się do luksusowego apartamentu na najwyższym piętrze. Zdaje się, że nie masz nawet żadnego nakazu ani pozwolenia na piśmie.

— Że niby co?

— Tak myślałem. To dziwne uczucie widzieć cię w pojedynkę. Wydajesz się trochę zagubiony. A gdzie ten twój pomagier?

— Na chorobowym.

— A tak, dostał kulkę. Co za pech. Pewnie ci go brakuje.

— Zapomnij o Perlmanie, Chuck. Teraz to ja jestem twoim jedynym zmartwieniem.

Zgrywał twardziela, ale był mało przekonujący. Reuben Chuck zawsze sądził, że to Perlman dodawał pieprzyku ich współpracy. Scullion był niezdamny. To przed tym Żydem trzeba było mieć się na baczności. Miał beczelny zwyczaj prowokowania ludzi do gniewu — a gniew to marny doradca, bo oznacza oddanie przewagi w ręce przeciwnika.

— W takim razie, Scullion, może mi wyjaśnisz, dlaczego powinienem się martwić.

— Zaczniemy od twojej konkurencji, która skończyła w piachu. Chuck pokręcił głową z udawanym rozczarowaniem. — Oj, nie tędy

droga, Scullion. Perlman z pewnością nie wystartowałby z tak oczywistą sprawą. Zawalcząby z cieniem, drążył trochę tu, trochę tam, może rzuciłby na podpuchę jakąś tajemniczą uwagę, aż w końcu dowaliłby jak nigdy. Taką prowokacją nic nie wskórasz.

— Słuchaj, Chuck, nie przyszedłem tu gadać o pieprzonych metodach Perlmana. Pozwól, że dla odświeżenia pamięci wyrecytuję ci listę trupów. Jimmy Stoker. Plus jego goryle, bracia Jack i Tony McAlpine. Gordy Curdy i jego żona. Głowę daję, że po drodze natkniemy się na jeszcze więcej. — Scullion rozkołysał pstryknięciem jeden z kryształków.

— I co to ma wspólnego ze mną?

— Jesteś podłym, zachłannym draniem, wyciągasz łapy po każdy kawałek ziemi, zostawiając za sobą całe mnóstwo krwi...

— Chwileczkę, chłopcze. Pijesz do mnie? A niby gdzie i kiedy zostawiłem po sobie tę krew? Mam ci wymienić, co robiłem w tym czasie? Proszę bardzo. Spytaj mnie. Podaj tylko dzień i godzinę. Nie krępuj się.

— Oboje wiemy, że szkoda na to zachodu, Chuck.

— Stawiasz mi tu poważne zarzuty, jeśli dobrze cię rozumiem.

— I chcę, żebyś o tym wiedział.

— W takim razie masz wielkie szczęście, że nie należę do tych, co to gnają do prawnika za każdym razem, gdy jakiś glina robi z siebie kompletnego pajaca.

Scullion uniósł palec. — Mnie prawnicy nie wzruszają. Możesz ich mieć lub nie, i tak jesteś skończony. Ktoś z twojego bliskiego otoczenia palnie coś, gdzie nie trzeba. Ktoś, kogo darzysz zaufaniem, wyrwie się jak Filip z konopi. Jakiś rozżalony lump czy pijak w pubie wyśpiewa wszystko jak z nut. Łatwo przewidzieć, co zrobią takie męty jak wy; mógłbym tu siedzieć i czekać, żeby was przydybać. Dziś, jutro, za miesiąc. Wszystko jedno, kiedy. Cierpliwy ze mnie facet. Nie śpieszy mi się, mam mnóstwo czasu.

— A to co, mały szantażyk?

— Potraktuj to, jak sobie chcesz.

— Sikasz pod wiatr, i to potężny.

— To nie w moim stylu. Nie lubię się oblewać. — Scullion wyciągnął rękę, chwycił rozkołysany kryształek i trzymał w zaciśniętej pięści.

Najchętniej wsadziłbym ci to szkiełko w tyłek, pomyślał Chuck.

— Bo są pewne granice — orzekł Scullion.

W dupie mam granice. Istnieją chyba tylko w twojej głowie, Scullion. — A może napijesz się cappuccino? Kupiłem nowy włoski ekspres. Prosty jak drut. Potrafi nawet spienić mleko. Nawet dzieciak dałby sobie z nim radę. Zapraszam. — I wszedł do kuchni. Podłoga z włoskiego marmuru, żaluzje z szarogranitowych listew, sprzęt ze stali nierdzewnej. Wskazał na ekspres marki Gaggia de Luxe. — To urządzenie najwyższej klasy. Zaparzę ci trochę do filiżanki.

— Obejdzie się — odparł Scullion, rozglądając się dookoła. — Ładna kuchnia.

— Kosztowała majątek.

— Widać, nieźle ci się powodzi.

— Jakoś się trzymam. To brutalny świat. Słuchaj, zrób sobie przysługę i wpadnij kiedyś wieczorem do mojego bistro. Zalany Cielak przy Broomhill Road. Szefem kuchni jest Koreańczyk, spec od kuchni francuskiej. Pierwszorzędny kucharz, gotował już w całej Europie. Przyrządza wyśmienitą wieprzowinę gitane, a jego fegato Venezia jest wprost bajeczne, chociaż właściwie nie jadam mięsa. Jak już wpadniesz, to trzymaj oczywiście portfel w kieszeni.

— Przecież to łapówka, Chuck.

— Masz podejrzliwą naturę. Twój nadinspektor Tay też jada u nas kolacje, podobnie jakiego znajomi. I zawsze wychodzą zadowoleni.

— A płacą chociaż?

— To nie jest jadłodajnia dla ubogich. Płacą kupę forsy, do cholery. A ja zawsze dorzucam im darmową sambucę. To grube ryby, wymagają czegoś ekstra. Sam wiesz, jak to jest.

— Chyba nie do końca.

— A ja patrzę na to w ten sposób... — Chuck odkręcił pojemnik, wsypał do niego zmieloną, oleistą, brązową kawę, wciągnął nosem aromat, uśmiechając się wyczekująco, po czym umieścił pojemnik w maszynie. — Co komu szkodzi po kolacji darmowy drink? Klienci się cieszą. Widzisz, Scullion, staram się podarować trochę radości podczas tej mojej życiowej podróży. A to dopiero jeden poziom.

— To znaczy, że jest ich więcej?

— Dla tych, którzy podążają tą drogą, tak.

— Opowiedz mi coś o tym.

— To droga prawdy według Baby.

— Kogo?

— Baby Ragady. Wiesz, sam powinieneś tego spróbować. Odprężysz się, zmienisz nastawienie. Bo po mojemu jesteś trochę spięty.

Scullion uśmiechnął się. — Ja na kłopoty wypijam trzy puszki Ten-nants.

— Żartuj sobie, ile chcesz, brachu. Alkohol to trucizna. Baba proponuje inne sposoby.

— Nie wątpię. — Scullion ruszył do drzwi.

— Już się ulatniasz?

— Mam strasznie napięty grafik. Najpierw fryzjer, a potem zajęcia z gry na klawesynie, a na koniec kurs pieczenia ciasta. Dzisiaj robimy ptysie.

— Żeby napchać sobie pysie — dorzucił Chuck. — Jakbyś widział się z Lou, to pozdrów go ode mnie.

— Od razu będzie miał lepszy dzień.

Chuck usłyszał trzask zamykanych drzwi. Włączył maszynę, nalał sobie espresso do małej filiżanki i postawił na kuchennym blacie. Jeden łyk, silna dawka energii dla organizmu.

No dobra, co my tu mamy? Nagle zjawia się Scullion, sypiąc mi groźbami, a przynajmniej tak mu się wydaje. Gliny mają mnie na oku. Jestem pod kontrolą. Obserwują mnie i czekają. Aż w końcu ktoś się potknie. Bęc. Aż mnie trzęsie ze strachu. Zaraz zesram się w gacie.

Scullion bez Perlmana to jak facet bez nogi.

Włożył do ust kostkę cukru, zastanawiając się, czy Farl od dachów naprawił już ten przeciek w świątyni i czy szklarz wymienił Jezusowi rozbite oko. W końcu wziął telefon i zadzwonił do Ronniego Mathiesona. — No jak tam, wysłałeś już swoich ludzi? — spytał.

21

O dziewiątej rano Samuel Montague usiadł przy biurku. Sztywnymi, obolałymi palcami postukał w ldawiaturę komputera, aby przejrzeć wiadomości z rynków finansowych. Patrzył, jak żółte cyfry przesuwają się po ekranie. Zwykle przyswajał je w ułamkach sekund. Miał bystry umysł. Dzisiaj jednak równie dobrze mógłby próbować czytać po aramejsku.

Sekretarka przyniosła pocztę i położyła mu na biurku. — Dzień dobry, panie Montague — rzuciła. Pani Liddle, biodrzasta czterdziestotrzy-ladca, była pogodna i życzliwa. Całe swoje dorosłe życie przepracowała w jego banku. Dziś rano Montague wydawał jej się jakiś nieobecny, trochę pobladły i jakby zmizerniały. Zwykle bywał serdeczny i uśmiechnięty.

— Sporo tej korespondencji — zagadnęła.

— Zauważyłem, pani Liddle.

--Proszę zadzwonić, jak będzie pan gotowy podyktować odpowiedzi na listy.

— Zdaje się, że będę musiał wyjść z biura na jakąś godzinę — oznajmił. — Sprawy rodzinne.

— Czy wszystko w porządku, panie Montague?

— Jak najbardziej, pani Liddle.

Kobieta stała chwilę bez przekonania. Czekala, aż Montague wyjaśni, co to za sprawy rodzinne, ale tego nie zrobił. Coś tu było nie tak. Darzyła Montague'a wielką sympatią i dobrze znała jego zachowanie i nastroje. Ale dziś najwyraźniej nie był sobą i trudno było wyczuć, w czym rzecz. Bładość zwykle oznacza chorobę; pewnie łapie go jakieś przeziębienie. A może żona źle się czuje i to go gnębi.

Pracując w banku przez tyle lat, miała do czynienia z dusigroszami i ponurakami. Ale pan Montague był inny. Nie żałował na prezenty urodzinowe dla pracowników, a w razie choroby pierwszy posyłał kwiaty czy kosz z owocami. W zeszłym roku zaprosił wszystkich z banku na swój ślub w szkockim kościele episkopalnym St Andrew's w Milngavie. Nigdy przedtem nie widziała go tak szczęśliwego, był przystojny bardziej niż kiedykolwiek. W szarym, eleganckim garniturze i ciemnym krawacie wyglądał jak gwiazdor filmowy. A jego narieczona, Meg, była pogodną dziewczyną; wszyscy zachwycali się jej urodą, wdziękiem i wrodzonym urodem, dzięki któremu inni czuli się swobodnie. Oboje byli idealnie dopasowani i zgodni pod każdym względem.

Miesiąc miodowy spędzili w pięciogwiazdkowym kurorcie na Barbadosie. Przez cały tydzień młodsze kasjerki chodziły rozmarzone, snując bajeczne historie o tym, jak to pięknie być panią Meg Montague i kochać się na Karaibach.

Któregoś dnia w stołówce pani Liddle podsłuchiwała, jak Joyce McMillan mówi do Emmy McCall: — Pewnie całe dni spędzają w łóżku.

A Emma McCall, dziewczyna o kościstej twarzy w wielkich okularach, na to: — Głowę daję, że oboje są napaleni.

Joyce McMillan zerknęła znad magazynu Elle. — Och, no pewnie. Wystarczy spojrzeć w te jego brązowe oczy, a od razu widać. A ona pod otoczką dobrych manier to czysty ogień. Napaleni to za mało powiedziane; po mojemu oboje aż ociekają seksem. Uuuuu — mruknęła, dmuchając sobie na palce.

— Taki bankier to prawdziwy ogier — dodała Emma i zachichotała.

— Paplacie jak najęte — pani Liddle przeszła obok, cmokając na nie z niezadowoleniem, choć w duchu sama wyobrażała sobie księżycową noc, palmy, dwoje nowożeńców na plaży, ślady ich stóp na piasku, namiętą miłość w bambusowym łożu i wszystko, co biuro podróży zapewnia w swojej ofercie...

— W razie potrzeby zadzwonię po panią, pani Liddle — powiedział Montague.

— A tak, oczywiście — odparła, wyrwana z zadumy.

Kiedy zamykała za sobą drzwi biura Montague'a, w szybie z oszronionego szkła błysnęło odbite światło. Montague spojrział na zegarek, urodzinowy prezent od Meg. Następnie znów zastukał w Idawiaturę i wszedł do osobistych akt swoich klientów. Odszukał wybrane nazwisko, zapisał w notesie numer skrytki bankowej, wyrwał kartkę, złożył i wsunął do prawej kieszeni spodni.

Jeśli nawalisz, Monty, punktualnie o dziesiątej trzydziści twoja żona będzie już trupem. Ale najpierw zerzniemy ją do nieprzytomności.

Przymknął oczy, próbując zignorować ból brzucha w miejscu, gdzie zadali mu cios. Ciężko się napracował, żeby awansować na to stanowisko. Zanim się ożenił, bank był dla niego wszystkim: dobrym wujaszkiem, który zapewniał mu porządną przyszłość i emeryturę. Czy nie dzięki niemu dostał okazały kredyt hipoteczny na dom w Bearsden? I pożyczkę preferencyjną na kupno swojego ukochanego bmw?

No tak. Miał wobec banku wielki dług. Ale to nic w porównaniu z tym, co zawdzięczał Meg. Świata poza nią nie widział. Zanim się poznali, jego życie było w miarę znośne, ale nudne. Aż nagle jakby raził go piorun i jego serce zostało wykradzione. Kochał ją ponad wszystko i wszystkich. Był odurzony miłością.

Tak, pal licha ten bank. Zresztą i tak nikt się nie dowie, co zrobił. Chyba że sam się do tego przyzna. A na to się nie zdobędzie, bo wtedy musiałby wyjawić, nie szczędząc przy tym wszystkich okropnych szczegółów, jak podle potraktowano jego żonę. Odczuwał głęboki wstręt na wspomnienie sceny, kiedy tamten facet oddał na nią mocz, plamiąc jej halkę i rozsiewając wokół intensywny, chmielowy smród.

Tak ją poniżyli.

Wszyscy trzej byli niebezpieczni. Bydło, nie ludzie. I wciąż przebywają w jego domu.

Nie widział jej przez całą noc, bo zamknęli go na klucz w ciasnej pakamerze — a gdzie przetrzymywali Meg? Wyteżał wtedy słuch, przyklejony uchem do drzwi, ale ani razu nie słyszał jej głosu. Raz czy dwa z par-

teru dobiegł go jakiś hałas; tamci walili i tupali, kręcąc się po pokojach, śmiali się i przeldinali, gdy tylko dorwali się do barku. Ale Meg nie słyszał.

A może jest w sypialni, samotna, załamana?

Czy ktoś siedzi przy niej i pilnuje, żeby w odruchu rozpaczy nie zrobiła nic głupiego? Sam fakt, że nie miał pojęcia, co się z nią dzieje, sprawił, że jego niepokój przerodził się w falę panicznego lęku. Kilka razy krzyknął głośno, wołając jej imię, ale skończyło się tylko tym, że jeden z mężczyzn wszedł na górę, rąbnął w drzwi czymś, co brzmiało jak młotek, i wrzasnął, żeby się uciszył, do kurwy nędzy, bo jak nie, to... niech tylko jeszcze raz go usłyszą, a wtedy... — mężczyzna nie dokończył, jakie czekają go konsekwencje.

Montague słyszał cichnące kroki, a potem znów stukanie na dole. Siedział skulony w ciasnej klitce, zeszytywniały i przybity, mijały godziny, a on wymyślał coraz to nowe plany, które po chwili okazywały się do niczego: bo jak uciec z pakamery, w której nie ma okna? Ruszyć na pomoc Meg — a najpierw samemu jakoś się uwolnić. Nic nie przychodziło mu do głowy, nerwy miał coraz bardziej napięte. Meg, gdzie ona jest? Co oni z nią robią?

Czasem na chwilę odzyskiwał spokój i wracała mu jasność umysłu, i wtedy nagle rozumiał ich sposób działania — dziel i rządź; jak będziemy trzymać ich osobno, to Montague ulegnie i zgodzi się spełnić ich żądania.

Wstał od biurka i wyszedł z gabinetu. Na nikogo nie patrzył. Zastanawiał się, czy jest śledzony. Dajmy na to, przez kogoś z tej bandy. Może wysłali swojego człowieka, żeby miał go na oku. Ale on nie sprzeciwiał się, zachowywał się poprawnie i nie robił żadnych głupich ruchów jak na przykład sekretny kontakt z policją; za nic nie chciałby narazić Meg na niebezpieczeństwo. Myśląc o niej, wszedł do skarbcza, w którym stały skrytki bankowe. Rano przed wyjściem z domu chciał się z nią spotkać, ale któryś z tych facetów dźgnął go spluwą w pierś. Rób swoje, potem ją zobaczysz...

Pomimo wentylacji w skarbcu było duszno. Teraz tylko wejść i wyjść, byle szybko. Nawet jeśli da tym bydlakom to, czego chcą, to i tak nie ma pewności, że Meg jest bezpieczna. Czy tacy jak oni dotrzymują słowa?

To mało prawdopodobne, a jednak musiał zaryzykować.

Prywatnym kluczem, który nosił przy sobie na wszelki wypadek, otworzył skrytkę i zabrał ją do osobnego boksu. W skrytce znalazł zwyczajną, szarą kopertę. Ten niepozorny kawałek papieru był wart życie jego żony. Korciło go, żeby ją otworzyć. Obejrzał pieczęć, podważył ją pal-

cem, sprawdzając, czy trzyma klej. Mógł łatwo ją rozciąć, zakleić ponownie i nikt nawet by nie zauważył.

Ostrożnie odchylił skrzydełko koperty.

Zawierała kartkę papieru z wydrukowanym tekstem: Bank Azteca, Aruba. Konto: 957 8671-045. Hasło: hrabiadrakula. Wsunął kartkę z powrotem do koperty, zwilżył językiem resztkę kleju, zamknął skrzydełko, przyciskając je opuszkami palców zdrowej ręki. Włożył kopertę do wewnętrznej kieszeni marynarki, opuścił boks i odniósł skrytkę na miejsce.

No i załatwione.

Wyszedł z banku, czując na sobie wzrok pani Liddle, która obserwowała go zza swego biurka, i ruszył w Buchanan Street. Był jednym wielkim kłębkiem nerwów, lęków i bólu. Na St Vincent Street slderował się na zachód. Ktoś przyjdzie się z tobą spotkać, powiedziano mu. Dasz mu to, co weźmiesz z banku, wrócisz do biura i będziesz czekał na nasz telefon.

Idź wzdłuż St Vincent Street. Jak daleko, nie wiedział. Doszedł do skrzyżowania z Hope Street.

Hope Street, ulica nadziei, co za ironia.

Wciąż zastanawiał się, czy go śledzą. Może któryś z tego gangu ma za zadanie obserwować jego każdy ruch. Może było ich więcej niż tylko trzech i wysłali za nim czwartego. Żeby dopilnował, czy Montague robi to, co mu każą. Nie znał się na organizacji gangów. Wiedział tylko, że jego przyszłość leży w rękach tej bestialskiej trójki. Chryste, jakie czuł obrzydzenie, jaki przytłaczający niepokój.

Pochłonięty swoimi uczuciami, nawet nie zauważył mężczyzny, który nagle zjawił się przy nim.

— Masz coś dla mnie?

Montague odwrócił się. Mężczyzna był owinięty granatowym szalem, który zasłaniał mu usta i szyję. Miał ciemne okulary, za którymi nic nie było widać. Szal tłumił jego głos. Przez rozsunięty materiał Montague spostrzegł tylko, że twarz mężczyzny była podziurawiona bliznami po dawnym trądziku. Przypominały małe asteroidy, zbombardowane kosmicznym gruzem.

— Dawaj szybko.

W jednej chwili Montague za wszelką cenę zapragnął się upewnić, czy tamci też dotrzymali słowa. — Muszę być pewien, że mojej żonie nie dzieje się nic złego.

— Nic jej nie jest.

— A z jakiej racji mam ci wierzyć?

— Bo tak, kurwa, mówię.

— To za mało. Mam ci wierzyć na słowo...

— Słuchaj, chłopie, możesz wybierać. Albo dajesz mi to, co dla mnie masz, a żonę zostawiasz w domu, i to nietkniętą, kapujesz? A jak zrobisz coś nie po naszej myśli, to wrócisz do pustej chałupy. — Na znak groźby mężczyzna wsunął dłoń do kieszeni płaszcza. — Albo załatwię cię, kurwa, nożem tutaj, chłopie, na samym środku ulicy. I to bez dwóch zdań. Zostanie ci tylko wielka, krwawiąca rana, najpewniej śmiertelna. A wtedy też trafisz do domu, tyle że pogrzebowego.

Montague wyobraził sobie, że Meg dzieje się krzywda. Albo, co gorsza, znika bez wieści. A on sam umiera na ulicy z nożem w żebrach. Serce mu się krajało od takich wizji.

Wyjął kopertę i podał mężczyźnie; tamten zerknął na nią, schował do kieszeni i szybko się oddalił, trzepocąc połamami płaszcza; poszedł wzdłuż Hope Street w stronę Sauchiehall, a potem Bóg wie gdzie.

Montague wrócił do banku. Zamknął drzwi swojego biura. Trzeba było powalić tego faceta na ziemię, myślał, mogłem go chwycić i zawlec na policję. Ale po co te mrzonki? Zaczeka do piątej po południu i wyjdzie. Zastanawiał się, na co tym zbirom kolejne — i tu spojrzał na zegarek — siedem godzin? Co zamierzali robić przez ten czas?

Jasne, potrzebowali paru godzin na sprawdzenie informacji o banku. Trzeba wykonać kilka telefonów, uzgodnić to i tamto. Może dla pewności wolą poczekać do otwarcia banku Azteca na Arubie. Sam nigdy przedtem o nim nie słyszał. Nie znał jego godzin otwarcia. A różnica czasu może utrudniać sprawę. Postukał w łdawiaturę. Kiczowata, złotawo-niebieska strona internetowa banku Azteca była ozdobiona palemkami. Szybko przebiegł po niej wzrokiem.

Bank Azteca działa od 1987 roku i posiada depozyty o wartości 13 bilionów dolarów. Naszym celem jest zadowolenie klientów, bezgraniczne zaufanie i dyskrecja. Oferujemy między innymi doradztwo inwestycyjne i profesjonalne porady prawne. Kontakt: azteca@aruba/14.com.

Pralnia brudnych pieniędzy, pomyślał Montague. Żadnego numeru telefonu, adresu czy informacji o godzinach otwarcia.

Połknął aspirynę i pomyślał o Meg. Musiał usłyszeć jej głos. Przecież nikt nie zakazał mu dzwonić do własnego domu, jeśli ma na to ochotę. Wystukał sześć z siedmiu cyfr, po czym odłożył słuchawkę. Próba kontaktu przez telefon mogłaby rozwścieczyć gangsterów.

Ale tu chodzi o Meg. Boże, tak bardzo chciał wiedzieć, czy wszystko z nią w porządku, jeśli cokolwiek w ogóle może być „w porządku” w takiej sytuacji.

Jeszcze raz powoli wystukał numer. Telefon dzwonił dość długo. Co tam się dzieje, co robi Meg, gdzie są ci gangsterzy...

— Halo — usłyszał jej głos.

— Meg — wyrzucił z ulgą. — Możesz rozmawiać?

— Tak, Sammy.

— Co tam u ciebie, kochanie?

— Świetnie, wszystko w porządku.

Świetnie? Jak to możliwe? — Słuchaj, a ci faceci... co oni tam robią?

— Dziś rano zachowywali się inaczej — odparła.

— Inaczej? — Czy słyszał w słuchawce czyjś oddech? Nie był pewien.

— Inaczej niż wczoraj.

— Dałem im to, co chcieli — oznajmił.

— To ich bardzo cieszy.

Montague, nieco spokojniejszy, nadal był niepokieszony. — Nie zrobili ci nic złego?

— Nie, nic podobnego — odparła. — Pójdą sobie, zanim zdążysz wrócić do domu.

— To znaczy, że... czujesz się dobrze?

— Dobrze? Ajak myślisz, co? Mówię tylko, że jest lepiej niż wczoraj, i tyle.

No właśnie. Usłyszał w jej głosie nutkę napięcia. Nic dziwnego chyba, że w tej sytuacji puszcza jej nerwy, na litość boską?

— Jak wrócisz, będzie już po wszystkim. Wymażemy to z pamięci, prawda?

— Obiecuję, że tak. Wyjedziemy na parę dni w jakieś ładne miejsce. — Tak bardzo ją uwielbiał. — Kocham...

Tu połączenie zostało przerwane. Domyślił się, że czyjaś ręka wyrwała przewód z gniazdka.

Wziął jeszcze jedną aspirynę. Siedem godzin. Zaczął odliczać czas.

22

Perlman drzemał niespokojnie w fotelu. Otworzył oczy, dopiero jak Betty chwyciła go za ramiona i potrząsnęła.

— Już dawno nie śpię — oznajmiła. Była okryta narzuconym na plecy kocem. — To ja powinnam była jechać do kostnicy zamiast ciebie. Tyle tylko, że nie miałam odwagi. Nie mogłabym na niego spojrzeć.

— Odwaga nie ma tu nic do rzeczy. — Poczul suchość w ustach. Ruszył do kuchni, a Betty za nim. Nalał z kranu wody do szklanki i wypił jednym haustem.

— Spanikowałam. Zachowałam się jak tchórz. Ty już go widziałeś, teraz kolej na mnie. Matka powinna zobaczyć syna. — Zapaliła papierosa.

Może jednak lepiej nie, pomyślał Perlman, wypijając drugą szklankę wody. — Do formalnego rozpoznania zwłok wystarczy ktokolwiek z rodziny. Próbowałem się skontaktować z żoną Kirka, ale nie mogę jej namierzyć...

— Nie, nie chcę, żeby pojechała tam przede mną. Kirk nawet jej nie kochał.

— Skoro tak się upierasz.

— Muszę to zrobić, Lou. — Zamachała nerwowo rękami, jakby chwytając coś w powietrzu. Dym z papierosa zaczął gryźć ją w oczy. — Cholera, jasny gwint. — Pochyliła się nad zlewem, spryskała oczy wodą i osuszyła twarz papierowym ręcznikiem.

Wsluchując się w pisk starego kranu, Perlman zastanawiał się, jak przygotować ją na wizytę w kostnicy. To był kiedyś twój mały synek, Betty, a teraz zostały z niego tylko kości i ciało; leży w lodówce, pokrojony i pozszywany.

— Pojadę z tobą — zaproponował.

— Dzięki, Lou, ale sama muszę przez to przejść.

Matka oglądająca zwłoki syna, lawina nieopisanych uczuć, jaka się przez nią przetacza — uczuć, których Perlman nigdy nie doświadczył. Nie miał biologicznych warunków, nie nosił w sobie dziecka, nie czuł tej szczególnej więzi, a przede wszystkim nie był nawet ojcem.

To nie zwłoki syna, a zmasakrowane truchło.

— Pozwól, że cię odwiozę — nalegał.

— Nie, pojadę swoim samochodem.

Jak się na coś uparła, to nie dało się jej od tego odwieść. Na tyle już ją poznał. — W takim razie wezwę ci taksówkę.

— Sama pojadę, Lou.

Zatrzymał ją na chwilę, po czym ruszył za nią do drzwi. Musiał jakoś ją uprzedzić. Nie mógł tak po prostu pozwolić jej odjechać, nie dając jej do zrozumienia, co ją tam czeka. Otworzyła drzwi.

— Chwileczkę, Betty. Zaczekaj. Zanim tam pojedziesz... — Położył dłonie na jej ramionach i spojrzał jej prosto w oczy.

— Mów, o co chodzi, Lou — ponagliła.

Starał się dobierać słowa. Jego wygląd może cię zaskoczyć, Betty. On jest cały pokrojony...

— Został dźgnięty nożem? — przerwała mu. — To chcesz powiedzieć?

— Nie, trochę gorzej...

— Gorzej? To znaczy, że pocięli mu twarz?

Perlman pokręcił głową. Tego się nie dało wyrazić słowami w prosty sposób. Główni, jak z okrutnych słów ułożyć pełne współczucia zdanie. Usłyszał swój głos, który brzmiał jak pod wpływem nowokainy.

Osunęła się, ale chwycił ją i przytulił do siebie. — O mój Boże, o mój Boże, nie, nie...

— Jadę z tobą, Betty.

Odepchnęła go gwałtownie, jakby chciała dać mu do zrozumienia, że potrafi stać o własnych siłach, że nie potrzebuje niczyjej pomocy. Była zagubiona i zdruzgotana, a mimo to za wszelką cenę chciała zachować w sobie tę drobną, nienaruszoną cząstkę — choć i to zaczynało w niej pękać. Pobiegnęła do samochodu, starego, brązowego mini z wyblakłym, złotym pasldem. Ruszył za nią, wołając jej imię, ale nawet się nie odwrócił. Zaczekał, aż jej auto zniknie z pola widzenia, zamknął drzwi i ospałym ruchem zebrał z podłogi pocztę. Rachunek za prąd. Wezwanie do zapłacenia abonamentu telewizyjnego. Wyciąg z karty płatniczej. Rzucił wszystko z powrotem na podłogę.

Wtedy zadzwonił telefon i Perlman poszedł do pokoju dziennego go odebrać.

— Spotkajmy się — rzucił Scullion.

— Gdzie i kiedy?

— W pewnym zacisznym miejscu.

23

Nigdy przedtem Perlman nie był w katedrze w Glasgow. Przejeżdżał obok niej prawie codziennie i ani razu nie wszedł do środka. To przez traumę z dzieciństwa. Niemcy, przyzwoici chrześcijanie, wymordowali w obozach jego krewnych — Ephraim bez przerwy opowiadał mu o holokauście. Ociągając się przed wejściem, Perlman zadarł głowę i popatrzył na iglicę. Ciemnoszara wieża połyskiwała jasno w niezwykle porannym słońcu. Perlman wyobraził sobie, jak przez te wszystkie wieki przecha-

dzali się tędy mnisi, śpiewając, modląc się, uprawiając rośliny — czymkolwiek oni się tam zajmują.

Może właśnie dziś kościół był mu potrzebny. Może podniesie go trochę na duchu. Wprawdzie Perlman wcale się nie modlił, ale może dzisiaj wzniósłby po cichu parę próśb w intencji Betty.

Wnętrze katedry było ogromne i wyciszone jak serce Boga. Nie dochodził tu uliczny zgiełk. Perlmana urzeczywyszczyły wysokie witraże w żywych barwach. Przy nawie powiódł wzrokiem wzdłuż szeregu kamiennych arkad podpierających łukowaty kościół górny. Wyżej znajdowało się sklepienie, które przedstawiało jakieś niepojęte tajemnice. Perlmana ogarnęło zdziwienie: w samym centrum tego szalonego miasta stoi piękna oaza spokoju, o której nawet nie wiedział.

W swoim rodzinnym Glasgow poczuł się jak turysta.

Nie widząc nigdzie Sculliona, Perlman przechadzał się, przygotowany na to, że lada chwila zostanie zatrzymany i sprawdzony przez strażnika katedry — ale nikogo takiego tam nie było. A to ciekawe. Nareszcie mógł wyzbyć się swoich paranoicznych wizji i swobodnie się poruszać.

Na ścianie dostrzegł tablicę, wmurowaną ku pamięci niejakiego porucznika Johna Sterlinga, dwudziestotrzylatka z Armii Bombaju, dołączonej do kawalerii Jego Wysokości Nizama. Sterling „poległ, dowodząc mężnie podczas ataku na fort Dunahoore. MDCCCXXVIII”.

Walczył za Imperium, zginął, zamordowany, a potem upamiętniono go w katedrze. Imperializm, śmierć i Bóg, pomyślał Perlman: oto historia ludzkości w pigułce.

Scullion zaszedł go z tyłu i postukał po ramieniu.

Perlman drgnął i odwrócił się. — Och, to ty.

— A myślałeś, że kto?

— Może sam Bóg, zważywszy na to miejsce.

Scullion uśmiechnął się i przysiadł na jednym z wiklinowych krzeseł, porozstawianych tu i ówdzie po katedrze. Perlman usiadł obok niego, głęboko odprężony łagodnym, niemal przejrzystym oświetleniem.

— Wróćmy do tej odciętej dłoni — zaczął Scullion.

— Zamieniam się w słuch.

— Nie ma odcisków palców.

— Co takiego?

— Zostały wypalone. Sid twierdzi, że prawdopodobnie lampą lutowniczą, a dietyloamid przyspieszył proces. Zaawansowany rozkład ciała utrudnia badanie.

Gdzieś w ukryciu ktoś zaczął wygrywać gamy na organach. Dłonie na klawiaturze, dłonie w zasuwanych plastikowych torebkach. Perlman spojrzał na swoje ręce, przyglądając się delikatnym włoskom na powierzchni palców. Przypomniawszy sobie wilcze dłonie Latty, owłosione jak z horroru. Policjant dręczony obsesją dłoni trafia do domu spokojnej starości.

— Słuchaj, Sandy, a czym, cholera, zajmuje się Tigge?

— Siedzi z głową w komputerze i przeszukuje listę osób zaginionych. Zdaje się, że nie bardzo lubi wychodzić z biura i rozglądać się po ulicach.

— To typowy góral; on nie zna ulic. Nawet nie raczył ruszyć tyłka, żeby mnie przesłuchać. A to dziwne, skoro wiadomo, gdzie leżała ta cholerna dłoń.

— Zapomnij o Tiggem i powiedz lepiej, co ty kombinujesz.

— To i owo. Węszyłem trochę tu i tam.

— I pewnie pukasz do drzwi jakichś podejrzanych melin, co? Włączysz się z menelami, zapuszczasz się w ciemne uliczki?

— To tylko parę moich ulubionych rozrywek.

— Taki już z ciebie cichociemny typ, Lou.

— Mam to od urodzenia.

— Krążą plotki, że podjąłeś się przykrej roboty zidentyfikowania zwłok syna tej twojej sprzątaczkii.

— Czy raczej przyjaciółki, która zgodziła się doprowadzić mój dom do ładu — sprostował. Przyjaciółka. A więc już ją awansował.

— Będzie potrzebowała twojego wsparcia. Jej syn to już trzecia ofiara w ciągu ostatnich dwóch tygodni. Nowobogacy Chińczycy domagają się nowych organów.

— Współczuję tym zamożnym kapitalistycznym świniom bez względu na to, czy to Chińczycy, czy nie.

— Rozmawiałem z twoim starym znajomym, Reubenem Chuckiem. Ma o tobie bardzo wysokie mniemanie.

— Niestety, bez wzajemności. Oj, nie widziałem się z Chuckiem od jakichś dwóch lat, od tamtego świątecznego szaleństwa na George Square. Pogadaliśmy wtedy chwilę. Ucapieś ostatnio jakichś ważnych bandziorów? Ple, ple, ple.

— Stare teksty zabójców, Lou.

— Jasne, a moje kradł Stanley Baxter. Ale najbardziej zdziwiło mnie to, że był z pewną kobietą. Glorianna... Nazwiska nie pamiętam. Miła dla oka, elokwentna, inna niż te wszystkie typowe kobitki gangsterów. Była, rzecz jasna, obładowana torbami od Armaniego, ale nie wierzę, że została cizią Chucka dla luksusu. — Perlman pamiętał jej oczy koloru płynnej czekolady i czarne włosy, rozświetlone drobnymi pasemkami blond. Miała na sobie futro, które sięgało aż do ziemi, nie kryjąc jej szczupłej sylwetki. — Jeśli masz na swojej liście Chucka, Sandy, to przyskrzyń tego drania.

— Sam już nie raz próbowałeś.

— On jest śliski jak węgorz w galarecie.

— Szkoda, że nie widziałeś jego chaty. To luksusowy apartament na najwyższym piętrze. Zaprosił mnie na kolację do swojego ekskluzywnego bistro. Aha, i jeszcze jedno: w jego życiu pojawił się pewien guru, niejaki Baba Ragada.

— Guru — powtórzył Perlman mimowolnie drwiącym tonem.

— Wygląda na to, że Chuck bardzo go ceni.

— I pewnie ofiaruje mu sporo pieniędzy. Myśli, że może kupić wszystko, z mądrością włącznie.

— Najchętniej przybiłbym mu łeb do ściany dwunastocalowym gwoździem, a wtedy od razu by zmądrzał.

— A już na pewno zwróciłbyś na siebie jego uwagę.

Organista zagrał „Bądź pochwalony”, puścił fałszywy akord, przechodząc tym samym do serii tanecznych kawałków boogie Jerry'ego Lee Lewisa, po czym ucichł i zapanowała wibrująca cisza.

— Super — zauważył Perlman. — „Whole Lotta Shakin”. Bogu nie przeszkadza, że w Jego domu leci rock. Zaczyna mi się tu podobać.

— Na moje to Bóg nawet tego nie słyszał. A skoro już mowa o Chuc-ku, to mam dla ciebie pewną smutną historię.

— Och, mógłbyś mnie wreszcie czymś rozweselić — zachnął się Perlman.

— Słowo daję, że bardzo bym chciał. Ale dziś rano na Pitt Street przywieziono pewnego faceta, niejakiego Guya Montague'a, szefa banku. Wczoraj do jego domu w Bearsden wtargnęła szajka trzech troglodytów. Zdewastowali mu dom, znęcali się nad jego żoną. Chcieli go prosić o pewną przysługę.

— W takim razie dość dziwnie się do tego zabrali — zauważył Perlman.

— Jak to brutalnie. W zamian za bezpieczeństwo żony kazali mu podać im hasło do konta w banku na Arubie. Montague był zdesperowany, zresztą trudno mu się dziwić, wykradł więc dane, a potem wrócił do domu, gdzie miała czekać na niego żona... — Scullion przerwał.

— Czyja muszę tego słuchać, Sandy?

— Nie masz innego wyjścia. Biedny skurczybyk znalazł ją na strychu, nagą, powieszoną na czarnym, skórzanym pasku. Facet wpadł w histerię, kompletnie się załamał. Zadzwoił na policję, ale tamci nie mogli wydobyć z niego ani jednego składnego zeznania. Pogotowie nafaszero-owało go tak potężną dawką głupiego jasia, że powaliłaby słonia. Ocknął się parę godzin później, nadal skołowany, no i odesłali go do nas. Twierdzą, że jesteśmy lepiej przygotowani na takie przypadki.

— Ale co to ma wspólnego z Chuckiem?

— Właśnie do tego zmierzam. Konto bankowe na Arubie, do którego hasło Montague podał tym zbirom, należało do niedawno zmarłego Jim-my'ego „Brama” Stokera. A komu zależy na pieniądzach Stokera?

W mózgu Perlmana jakby nagle gładko zaskoczył jakiś trybik. — Temu, kto przejął jego ziemię, a nie mógł odnaleźć jego ukrytej forsy.

— Czyli najpewniej Chuck.

— Co zresztą, na nasze szczęście, łatwo udowodnić. — Perlman odchylił się na krześle do ściany. — Plotka o ukrytych milionach Stokera krąży po mieście od tak dawna, że wyrosła jej broda. Gestapo podatkowe miało stały wjazd do odbytu Jimmy'ego i często wtykali mu tam mikroskop, ale nawet im nie udało się dotrzeć do tej forsy.

— Wygląda na to, że ktoś jej teraz poszukuje. Oby tylko Montague pamiętał jakieś szczegóły. Może jakieś imię albo akcent. Albo, jeśli w ogóle będzie w stanie obejrzeć policyjne zdjęcia, to może kogoś na nich rozpozna, chociaż ci dranie mieli twarze zasłonięte szalami. Niewykluczone też, że coś zostawili. Zwykle przeoczą takie drobiazgi.

— A może wcale ich nie złapiemy...

Scullion zerknął na zegarek. — No, na mnie już czas.

Perlman odprowadził go na zewnątrz, gdzie na niebie, jeszcze niedawno jasnym i błękitnym, zaczęły się zbierać ciemne chmury. Glasgow poszarzało: rozpada się w samo południe. To pewne jak w banku.

— Świrnięty „Bram” Stoker — skwitował, włożył ręce do kieszeni i znów wlepił wzrok w iglicę, kołyszając się nieco na piętach. — Na jego pogrzebie były tysiące ludzi. Wszystkde te zbiry o grubych karkach i ich opasłe żony w czarnych kreacjach wylewały łzy nad grobem tej ludzkiej szmaty.

— Prestiż gangstera — podsumował Scullion.

— Tak się to nazywa? — Perlman pokręcił rozpaczliwie głową. Tysiące ludzi płacze po takiej bestii. Na tym pozbawionym uczuć świecie przestępcy stają się supergwiazdami, otoczonymi grupą oddanych wielbicieli.

Sądząc po uroczystej ceremonii pogrzebowej i głębokiej żałobie, można by pomyśleć, że Jimmy Stoker był jakimś dostojnikiem. Dajmy na to, papieżem Bramem Pierwszym.

Scullion ruszył do swojego samochodu. — No to będziemy w kontakcie.

— Słuchaj, a czemu wybrałeś właśnie to miejsce?

Scullion uśmiechnął się słabo. — Z powodu wiary, Lou. W każdej chwili mogę ją utracić i od czasu do czasu muszę ją sobie odświeżyć.

— I co to niby za wiara?

— Bardzo prosta: że na tym świecie panuje jeszcze jakiś porządek.

— I przychodząc tu, zaczynasz w to wierzyć?

— Żebyś wiedział.

Perlman odprowadził go wzroldem.

A więc Scullion ma swoją wiarę: znali się od tylu lat, a jednak Sandy wspomniał o tym dopiero po raz pierwszy. Ilu rzeczy człowiek nie wie o najbliższych przyjaciółach. Perlman popatrzył przez chwilę na iglicę, zastanawiając się nad wiarą tych, którzy zbudowali tę katedrę. Im wyżej, tym bliżej Boga.

W tamtych czasach to była chyba całkiem niezła myśl.

24

Reuben Chuck płał w głębokiej części swego oszklonego basenu na dachu apartamentowca. — Powtórz to jeszcze raz — powiedział. — Że niby co się stało z tą kobietą?

— Nie żyje, panie Chuck — odparł cicho Ronnie Mathieson, który stał przy basenie w czarnym garniturze. — Powiesiła się.

Reuben Chuck popatrzył przez zaparowane okulary pływackie. — Twierdzisz, że sama zacisnęła sobie pasek wokół szyi?

— Big Rooney mówi, że paradowała w samej halce, z cyckami na wierzchu i obmacywała chłopaków.

— Chcesz mi powiedzieć, że ta panienska zachowywała się jak dziwka? Przecież to była szanowana kobieta, żona bankiera, a nie pierwsza lepsza ulicznica za pięć funtów.

Mathieson zrobił nieszczęśliwą minę. — No racja, ale ona tak się wystawiała, że... hm... dobrali się do niej, każdy po kolei. Po kilka razy.

— Dała dupy wszystkim z grupy, co? A jak myślisz, Mathieson, czemu się powiesiła?

Tamten wzruszył ramionami. — Pewnie ze wstydu i poczucia winy. Tak przynajmniej mi się wydaje, panie Chuck.

Chuck go zignorował. — Po mojemu dmuchali ją po kolei, a potem sami ją załatwili, żeby nie pisnęła nikomu słówka. Są gorsi od stada goryli.

— Miałem tylko przekazać wiadomość, panie Chuck — odparł Mathieson.

— Postawiłem wam swoje warunki. Chyba jasno się wyraziłem.

— A ja przekazałem im pana polecenia słowo w słowo, panie Chuck. Chuck szybkim ruchem zdjął okulary i spojrzał na Mathiesona. To był

zabójczy wzrok, którego nikt nie chciałby czuć na sobie. — Zaufałem ci, Mathieson.

— Mnie tam nie było, nie mogłem nic zrobić.

— Gdybyś lepiej pilnował tej hołoty, to pewnie by do tego nie doszło.

— Przecież się nie rozdwoję, panie Chuck.

Chuck podrapał się po mokrej, włochatej piersi. Mathieson był lojalny i godny zaufania jak mało kto. Ale tym razem pokpił sprawę, i tyle. Wybrał niewłaściwych ludzi. Tam, gdzie potrzeba było odrobiny finezji, wysłał bezmózgich oprychów, którzy nie rozumieją poleceń, nawet gdyby napisać im je kredką wielkimi literami.

Chuck wbił paznokcie w dłoń. Nieposłuszeństwo to cecha pokrewna brakowi lojalności. Przecież wyraźnie powiedział: koniec z zabijaniem. Nie tykać nikogo, chyba że zajdzie absolutna konieczność. Żadnej pożywki dla policji. Wprawdzie Chuck nie obawiał się glin, ale podsuwanie policji dowodów nie było mądrym posunięciem. Pragnął zachować przynajmniej pozorny spokój po tym, jak polało się tyle krwi. Czekał na dzień, kiedy otworzy gazetę i nie znajdzie w niej słowa „gangi”. Lepiej pływać po spokojnych wodach i korzystać z obecnego życia.

— Big Rooney... i ktojeszcze tam był?

— Stipp i Mały Vic.

— Mały Vic? Przecież to zbok. Swojego fiuta wsadziłby nawet do puszek z larwami. I po coś go wysłał?

— Zgodziłem się, żeby Rooney sam wybrał ludzi.

— Ten narwaniec? On jest jak dynamit, wystarczy tylko lont podpalić. Do ldu z twoim wyczuciem, Ronnie. Mówiłem ci, żebyś wybrał takich, na których można polegać. Czy naprawdę wszystko musi być na mojej głowie? Co?

Pobladła twarz Mathiesona miała taki wyraz, jakby leciał nad ziemią na spadochronie, który uparcie nie chce się otworzyć.

— A gdzie jej mąż, Ronnie?

Mathieson drżącą ręką pogładził się po podbródku. — Podobno na policji, panie Chuck.

— Pewnie go przesłuchują, co?

— I tak nikogo nie rozpozna.

— A skąd wiesz? Dałbyś głowę, że nie?

Mathieson milczał, przygryzając od środka policzki. Spojrzał w wodę, zmaconą i spienioną od gwałtownych ruchów Chucka i cofnął się o parę kroków. Nie umiał pływać, dlatego z wodą był ostrożny. A jeszcze bardziej krępowała go obecność Glorianny; leżała na leżaku przy zejściu do basenu i słyszała, jak Chuck się na niego wścieka.

Chuck poczuł w końcu potrzebę ciszy, wyminął wzrokiem Mathiesona i popatrzył na Gloriannę z twarzą schowaną za jakimś czasopismem. Miała na sobie kremowe bikini i złotą bransoletkę, jedną nogę trzymała w górze, znacząco odchyloną w bok.

Pamiętam te czasy, kiedy rzucaliśmy się na siebie jak napalone koty, pomyślał Chuck. Niespodziewanie dostał pod wodą erekcji, zrobił się twardy jak skała Rothesay. Stare, dobre czasy. Już dawno nie odczuwał takiego pożądania. Celibat potrafi być zabójczy.

— Czy ty nie powinnaś być w drodze, Glori? — zapytał.

— Już?

— No, tak jakby — odparł. — Adres znasz?

— Wykułam go na pamięć.

— Będziesz musiała wziąć taksówkę, laleczko. Na koszt siłowni.

— Myślałam, że Ronnie mnie podrzuci...

— Jeszcze z nim nie skończyłem.

Nie mogła się doczekać przejażdżki jaguarem. Przynajmniej na tyle Chuck mógł jej pozwolić, zważywszy na to, że wykorzystywał ją do załatwiania swoich interesów. A tymczasem on ją olewa i każe jej brać taksówkę na koszt firmy. Wielkie dzięki, Reuben. Och, dzięki, że dajesz mi do zrozumienia, że moje miejsce jest wśród tej całej masy ludzi zatrudnionych i opłacanych przez Wielkiego Szefa.

Wstała z łóżka i przeszła bosą po kafelkach. Czasopismo zabrała ze sobą. Czytała właśnie artykuł pod tytułem Pięć najseksowniejszych par Hollywoodu.

— To na razie — zawołał za nią Chuck.

Zignorowała go i nawet się nie obejrzała, żeby się pożegnać. Opuściła taras z basenem i poszła się ubrać w gościnnej sypialni Chucka, gdzie na toalecie, w ozdobnej ramce, stało zdjęcie Baby, obsypane dookoła płatkami róż i kryształkami kwarcu. Mały ołtarzyk dla guru: co się z tobą dzieje, Reubenie Chucku?

Założyła majtki, potem czarną spódnicę i jasnobłękitną bluzkę. Wsunęła stopy w czarne buty na niskich obcasach, nałożyła lekki makijaż, wy-szczotkowała włosy. Sięgnęła po czarny, kaszmirowy płaszcz i luźno owinęła się pasludem. Zajrzała do torebki, by się upewnić, że są w niej olejki do masażu i zapachowe świece.

Słyszała, jak Chuck dalej beszta Mathiesona. Ktoś, kto u mnie nawala, rzadko kiedy dostaje drugą szansę, Ronnie. Takimi zwykle podcieram sobie tyłek. Już dawno nie widziała go tak wściełego. Zaczyna mu odbijać, pomyślała. Lepiej przypomnij sobie nauki Baby, Chuck.

Biedny Ronnie, zawsze starał się jak najlepiej. Zasługiwał na lepsze traktowanie. Pewnie mu przykro, że wyszedł na idiotę, i to w jej obecności.

Oczywiście, nic mu nie będzie, bo Chuck go potrzebuje; ludzie w miarę godni zaufania to rzadkość. Nie ręczyła jednak za dalsze losy tych trzech zbirów, którzy załatwili żonę bankiera.

25

Zjechała windą do głównego holu. Portier w garniturze uśmiechnął się do niej, przytrzymując szklane drzwi. Wychodząc, posłała mu całusa i wyszła na ulicę, gdzie czekała taksówka. Kierowca, facet o twarzy jak czerwona kapusta, na jej widok też rozpromienił się w uśmiechu. Wszyscy mężczyźni reagowali na nią w ten sposób. Umiałaby rozweselić nawet żałobników niosących trumnę na ramionach.

Podążyła taksówkarzowi adres i rozsiadła się wygodnie, by popatrzeć na Glasgow migocące feerią świateł kawiarenek, barów, małych sklepików oraz ponurych bastionów kamienic czynszowych. Za miastem taksówka mijała wschodnie osiedla domów. Było tu Cranhill, a za sztucznym, żółtawym masywem Sugarolly Mountain ciągnęły się ulice Rucha-zie. Glorianna dorastała w Drumchapel, ale z tamtych lat pamiętała tylko nudę, nie kończącą się codzienną gehennę, ciężar bezrobocia i pijaków włączających się po kątach, którzy zalewali się do nieprzytomności, gdy tylko mieli na to ochotę.

Nie tak wyobrażała sobie życie.

W wieku dziewiętnastu lat w miejskiej knajpce Alta poznała Reubena Chucka. Miała wtedy chłopaka, miłego i niewinnego, którego przerastała swoimi ambicjami. Chuck pojawił się jak grom z jasnego nieba i od razu odmienił cały jej świat. Nigdy przedtem nie znała żadnego mężczyzny, który na pstryknięcie palcami miał wokół siebie nadskakujących mu kelnerów. W restauracjach dostawał najlepsze stoliki, i to bez uprzedniej rezerwacji. Chodził w garniturach znanych projektantów i butach miękkich jak rękawice, a po Glasgow poruszał się jak po nieruchomości, którą zamierzał wykupić. Z czasem nauczyła się nie zważać na otaczającą go dyskretnie switę ochroniarzy: byli tylko tłem, jak tapeta. Nie bardzo wiedziała, w jaki sposób Chuck zarabia na życie, ale była na tyle bystra, by szybko się domyślić, że działa po drugiej stronie prawa.

Zabierał ją na przyjęcia do ekskluzywnych domów należących do krzykliwych, pewnych siebie ludzi, takich jak Stoker czy Curdy, których żony i kochania nosiły mnóstwo tandetnej biżuterii i obcisłe suknie z cekinami. Szykowne kobiety z wygładzonym botoksem czołem, w towarzystwie wielkich mafiosów, miały na wargach grubą warstwę błyszczącego, lśniącego fryzury jak hełmy i mówiły rysztołowym slangiem miasta. Chuck nigdy nie obdarowywał Glorianny żadnymi pretensjonalnymi prezentami. Jego były zawsze przemyślane i stylowe. Zabierał ją do opery, podarował jej kaszmirową etolę i mały celtycki krzyżyk, latał z nią swoją czteroosobową Cessną na romantyczne wycieczki — na Skye, do Highlands, Londynu czy Paryża.

No i seks — och, to było jak burza z piorunami. Chuck sprawiał, że miękły jej kolana. Nie mogli się sobą nacieszyć. Traktował ją jak ważną osobę w swoim życiu, a nie jak byle panienkę do łóżka.

Ale teraz stał się Panem Wstrzemięźliwym: trzyma swojego ptaszka w spodniach, zajada się muesli i ekologicznymi figami. Teraz, zamiast swojego fiuta, każe jej brać taksówkę. Czowała się odrzucona. Jasne, zawdzięczała mu dostatek życia, przez pięć lat ich związku Chuck zawsze obchodził się z nią delikatnie i z szacunkiem i uważnie jej słuchał, gdy opowiadała mu o swoich marzeniach: musisz koniecznie je spełnić, mówił, wystarczy tylko wyciągnąć rękę, by je schwycić.

A mimo to stale się na niego wkurzała.

Czasem wołała, żeby pohamował ten swój entuzjazm, kazał jej zapomnieć o Los Angeles i zostać z nim w Glasgow... ale on jakoś nigdy o tym nie wspominał.

Może kiedyś to zrobi. I co wtedy?

Zanim zmieniałaby plany, musiałaby dostać własnego jaguara z szoferem. Przynajmniej tyle była warta.

No, to jesteśmy na miejscu — oznajmił taksówkarz. — Ależ tu upiornie. Dobrze, że nie ja tu wysiadam.

Spojrzała przez okno na wysoki mur z szarej cegły wokół starego domu, który przypominał plebanię. Wyróżniał się na tle cztero- i pięciopiętrowych bloków położonego tuż za nim osiedla.

Podawała taksówkarzowi numer konta siłowni, wypisała kwit, nie żałując na napiwek, i wysiadła.

Z bloków dobiegła ją rozdzierająca uszy muzyka, która dudniła z ogromnych kaseciaków. Ktoś wystrzelił z broni i huk rozległ się echem między budynkami. Coś się tam paliło. Widać było strzelające płomienie i lecące wokół iskry. W powietrzu poczuła smród oleju. Pewnie jakiś samochód. Tak wyglądała zabawa miejscowych dzieciaków. Chodźcie, sfaj-czymy tego grata, postrzelamy sobie z pistoletu.

Trzeba było się nie zgodzić, myślała. Poszukaj sobie innej dziewczyny do tej pieprzonej roboty, panie Chuck.

Doszła do wysokiej, metalowej bramy z prętami zakończonymi szpikulcami, przymocowanej do kamiennego muru. Dzwonek był wbudowany w cegłę. Nacisnęła go i czekała, ale nikt nie nadchodził. Tylko psy szczekały wściekle. Miała nadzieję, że dla bezpieczeństwa są gdzieś zamknięte.

Powiodła wzrokiem wzdłuż ulicy. Zapadał zmierzch, paliło się kilka latarni, reszta była zdewastowana. W takiej dzielnicy w powietrzu czyhało jakieś uspięne zagrożenie: ten nieustanny, dudniący rytm muzyki, ogień rozświetlający ponure fasady wielkich budynków, odgłosy strzałów z broni w pobliżu, a wokół ani żywego ducha — wiedziała jednak, że w każdej chwili zza krzaków mogą wyłonić się cienie groźnych typów, bandziorów, oprychów i innych takich z wrodzoną skłonnością do przemocy.

Raz jeszcze przycisnęła dzwonek, trzymając na nim palec przez dłuższą chwilę. No dalej, pośpiesz się. Zerknęła na długi podjazd przed domem. Czas leciał, a wciąż nikt się nie zjawiał. Zadzwoiła ponownie krótkimi, urywanymi dźwiękami: jak zaraz nie przyjdzie, to stąd spadam.

Na werandzie rozbłysło światło, ukazując w drzwiach jakiegoś mężczyznę. Miał długie włosy, związane z tyłu w kucyk.

— Zapomniałeś o naszym spotkaniu? — zawołała, kiedy zbliżał się do bramy. Wysiliła się na miły głos, jak aktorka, która wypowiada swoją kwestię tak wyraźnie, że nie sposób odgadnąć, skąd pochodzi. Czas na odegranie roli, pomyślała. Masseur extraordinaire.

Podchodząc do bramy, mężczyzna spojrział na zegarek i pokręcił głową. Wyjął z kieszeni wielki klucz i otworzył furkę.

— Dorcus, tak? — spytała.

— Zzgadza się — odparł. — Tyle że przyszedłeś za wcześnie. Mówiłaś, że o wpół do ósmej, a jest dopiero wpół do siódmej. — Zamknął za nią bramę i wsunął klucz do prawej kieszeni.

— Ależ skąd. Powiedziałam: o wpół do siódmej.

— Zz tego, cco pamiętam, to nie.

Znów dobiegło ją szczekanie psów. — W takim razie może sobie pójść i wrócić później.

— Nie, nie musisz.

Klient ma zawsze rację. — Dorcus to dość oryginalne imię — zauważyła.

— Nniektórzy tak sądzą.

Idąc w stronę domu, szybko oceniła go na pierwszy rzut oka. Cherlawy, nieśmiały mól książkowy. Łatwo się peszy, tak jak choćby teraz. Te okulary nadawały mu głupawy wygląd. Miał na sobie brązowe, sztruksowe spodnie i granatową koszulę z długimi rękawami, jaką można kupić w sklepach militarnych. Był kościsty i miał trochę niepewne ruchy. Nie potrafił nawiązać kontaktu wzrokowego na dłużej niż parę sekund. A przy tym strasznie cuchnęło od niego jakimiś chemikaliami, jakby dopiero co wykąpał się w silnym środku dezynfekującym, a potem próbował zamaskować smród jakimś tanim dezodorantem. Glorianna uznała, że gdyby bardziej o siebie zadbał — dajmy na to, uczesał włosy w jakąś fryzurę bardziej na czasie, założył modne okulary, lepiej się ubierał, no i przestał cuchnąć jak po kąpieli w kadzi z nierozcieńczonym Dettolem — to mógłby być nawet niezły i jako tako przystojny. Ale to wymagało sporo pracy.

— Pproszę zza mną.

Wprowadził ją do holu. Pachniało tu mokrym, zbyt długo suszonym praniem. Jedynym źródłem światła był stary, kryształowy żyrandol, w którym paliły się tylko dwie żarówki. Ich blask padał wprost na wielką, zieloną plamę wilgoci na ścianie i rozproszoną sieć pęknięć, sięgających aż po zbutwiałe karnisze. Glorianna podniosła wzrok i dostrzegła misterne nitki wielkiej pajęczyny, w której tkwiły jakieś insekty i kawałki tynku. Cały ten dom był jedną wielką ruiną. Potężna burza zrównałaby go z ziemią. A w ogóle to komu przyszło do głowy, by zamieszkać w starej posiadłości w pobliżu dudniącego muzyką blokowiska?

Na ścianach zauważyła dwa obrazy olejne; jeden przedstawiał posępnego mężczyznę w todze sędziego, a drugi bladą kobietę drobnej, suchotniczej postury. Żadne z nich się nie uśmiechało.

— A to kto, Dorcus? — zagadnęła.

— Rodzice.

— Mieszkasz tu z nimi?

— Och, nie, oni... mnie żyją. Jestem tu ssam.

Zaprowadził ją do podnóża schodów i zatrzymał się. Przez chwilę stał nieruchomo. Czego tak nasłuchiwał? Stojąc w miejscu, jeszcze silniej roztaczał wokół siebie ten intensywny zapach. Dziewczyna cofnęła się o krok.

— No, to o której ten autobus, Dorcus?

— Jaki autobus?

— Ten, na który czekamy, skoro tak tu stoimy!

Żadnego uśmiechu czy skinienia głową w reakcji na jej żart. Od razu widać, że poczucie humoru jest mu całdem obce. Obejrzała się przez ramię, żeby się przekonać, co tak przykuło jego uwagę. Podążyła za jego wzroldem do pokoju, w którym stały przykryte płachtami meble. W mroku dojrzała kształt pianina i fotel w kształcie muszli, okryty płótnem na kształt siedzącej postaci.

— Grywasz na tym? — spytała.

— Nnaczym?

— Na pianinie.

— Ja? Ależ sskąd. Należało... ddo mojej matki, grała na nim... ddaw-no temu. — Wyrzucił z ust kropelki śliny i od czasu do czasu połykał słowa.

Od schodów poprowadził ją wzdłuż holu z dala od pokoju z pianinem. Hol zakręcał w różne strony: dom był jak labirynt z całym mnóstwem korytarzy.

— Rube mówi, że razem pracujecie — zagadnęła, w duchu nie mogąc pojąć, co taki myszowaty człowieczek ma wspólnego z Reubenem Chuckiem.

— Pan Chuck, jja go nazywam... — Nie dokończył zdania.

— A czym właściwie się zajmujesz?

Dorcus otworzył drzwi i zaprosił ją do pokoju z długą, czarną, skórzaną kanapą oraz półką pełną oprawionych w skórę książek. Na stole stał stary, czarny, bakelitowy telefon. W oknach

wisiały zasłony z postaciami z dawnych komiksów DC Thomsona: Zdesperowany Dan, Nadęty Lord. Boże, jak dawno ich nie oglądała.

— Ddostarczam mu artykuły biurowe — odparł, zamykając drzwi.

— Naprawdę?

— Ppapier, atrament i ttakie tam inne...

Glorianna zdjęła płaszcz i przerzuciła przez krzesło. Usiadła na kanapie, która zaskrzypiała pod naciskiem. Jedyńm dostawcą materiałów biurowych, z którym Chuck prowadził interesy, była firma Grimmond & Company z Finnieston; to u nich zamawiał bloczki faktur, wizytówki i papeterię dla centrum odnowy biologicznej. Jednak o interesach Chuc-ka wiedziała niewiele i wołała, żeby już tak zostało. Kto za dużo wie — i tak dalej, jak to mawiają.

Niespodziewanie usłyszała gdzieś w głębi coś jakby stłumiony odgłos kroków, jak człapanie starca powłóczącego stopami w znoszonych kapciach po wytartym dywanie. Dorcus, który zdążył już zasunąć zasłony i zapalić lampę, zaczął nerwowo poruszać palcami, to ściskając je, to rozkureczając. Psy warczały na dworze, jakby dopadły gdzieś kilkoro niemowląt, które stanowiłyby dla nich świetną przekąskę.

Zrobiło jej się chłodno. Poczwała przenikający strumień powietrza. Nie bardzo wiedziała, skąd dochodzi; było zmienne, owiewało ją dookoła, niosąc ze sobą nutę zapachu przypominającego...? Nie była pewna co. Może kwiaty, ale jakie? No dobra, pewnie gdzieś w kącie stoi odświeżacz powietrza Airwick we flakoniku. Tylko skąd ten przeciąg? Przecież drzwi są zamknięte, a w oknach wiszą zasłony.

Dorcus tymczasem jakby czegoś nasłuchiwał, przekrzywiając głowę na bok.

— Na pewno nie ma tu żadnych innych domowników czy współloka-torów?

— Nnie, nnikogo.

No to świetnie. A więc cierpię na omamy słuchowe. Może to nie kroki, tylko ruchome deski w wysłużonej podłodze. Stare domy też mają swoje artretyczne przypadłości. A ten dziwny przeciąg to pewnie... powietrze wlatujące przez szpary w zniekształconych framugach okien i przez stare kominy z każdym podmuchem wiatru.

Wtedy usłyszała chaotyczne dźwięki pianina.

— To myszy — wyjaśnił Dorcus. — To bardzo stary... Właśnie, bardzo stary dom. Oczywiście, mój drogi, tyle zdążyłam już

zauważyć. Jest przegniły na wylot i roi się w nim od gryzoni. Ohyda. Już sama myśl, że myszy harcują tu po klawiszach pianina, bynajmniej jej się nie uśmiechała. Nie przepadała za myszami. Przyprawiały ją o gęsią skórkę. Te ich wąsy, bystre ślepie, przebiegłe ruchy. Chciała mu poradzić, żeby

wyłożył pułapki albo truciznę. Ale co ją to właściwie obchodzi? A do tego nie bardzo miała ochotę dotykać Dorcusa, ale prośbę Chucka trzeba spełnić. Byle tylko jak najszybciej się z tym uwinąć i zaraz się stąd wynieść.

Pianino zadźwięczało znowu. — Stary, dobry, mysi rock — zauważyła. — Pewnie myszy urządzają sobie imprezę, co? Może któraś wyprawia osiemnastkę?

Żadnej reakcji ani nawet cienia uśmiechu.

— Podejź tutaj — poprosiła, chwytając go za spoconą dłoń. Czuła jego opór. Był sztywny na całym ciele i miał zbolaną minę. — Siądź przy mnie, Dorcus. No, chodź.

Pociągnęła go za rękę, ale nawet się nie ruszył. Niezłych gamoni wybierasz sobie do współpracy, Reuben. Ten facet przeszedł chyba wydłużoną krioterapię. — Wymasuję ci barki. Od razu poczujesz się lepiej.

Dorcus schylił się nieśmiało na kanapie, oddalony od Glorianny na bezpieczną odległość. Otworzyła torebkę, wyjęła świecę o zapachu wanilii i zapaliła ją: niech rozproszy te ohydne zapachy. Odkorkowała flakonik i skropiła dłoń olejkami do masażu. Następnie wtarła mu go w wierzch dłoni, masując obie. Zauważyła zaniedbane paznokcie.

— Co to za zapach?

— Lawenda i olejek migdałowy z miodem. Już ci lepiej, Dorcus?

— Hm...

— Przyznaj się. Zaczynasz się odprężyć, czuję to.

— Ttak jakby... — skłamał.

— Nie masz tu przypadkiem czegoś do picia? Może szkoocką albo wódkę?

— Nnajwyżej jakieś wino...

— To wlej nam trochę, co?

Wstał szybko i wyszedł. Glorianna zaczęła przechadzać się leniwie po pokoju. Zerknęła na półki z książkami. Wielkie tomiska w skórzanych oprawach okazały się książkami medycznymi. Fizjologia chirurgii. Powikłania operacyjne. Procedury chirurgiczne — podręcznik anestezjologa... Było ich chyba ze sto, a może nawet więcej. Na samym końcu półki wyszperała kilka katalogów z narzędziami chirurgicznymi. Przewróciła parę kartek.

Nożyce chirurgiczne. Kleszcze hemostatyczne. Skalpele. Rurka do odprowadzania kału.

Odprowadzanie kału... ? Istny podręcznik torsjologii. Wsunęła katalogi na miejsce.

Dorcus przyniósł dwie szklanki z grubego szkła, na wpół wypełnione winem.

Wzięła jedną. — No to zdrowko — rzuciła, upijając łyk. To był jakiś paskudny sikacz. Chateau Oxtor-Rot. Głęboko w gardle czuła posmak octu. Miała ochotę splunąć.

Dorcus ledwo zwilżył język i odstawił swoją szklankę przy telefonie.

— Mmm — zamruczała, stawiając swoje wino obok jego.

— To wwino leżało tuu bardzo długo.

— Im starsze, tym lepsze... Wiesz, właśnie przeglądałam twoje książki. Studiujesz medycynę?

— Co takiego? — zaśmiał się drwiąco. — Przecież mam już dyplom...

— A więc doktor Dorcus?

— Zgadza się.

— I ty sprzedajesz artykuły biurowe?

— No wwiesz... ten dom... Przydadzą się dodatkowe dochody. Dyplomowany lekarz, który opycha ryzy papieru do ksero. — A więc

pracujesz na dwa fronty.

— Pprzynajmniej mam co robić — wyjąkał i machnął wymijająco ręką.

Pal licha, nieważne. Poldepała siedzenie kanapy. — No, to zdejmuj koszulę i siadaj tu przy mnie.

Spojrzał na nią tak, jakby jej prośba godziła w jego osobistą moralność.

— Słuchaj, Dorcus, muszę mieć dostęp do twojego ciała. Jestem bardzo dobra. Możesz mi wierzyć. To dla ciebie aż takie trudne?

— Nie, nie, to nie tak, ssam nie wiem...

Powoli rozpiął koszulę, nie zdejmując jej całkiem, lecz odsłaniając tylko bladą, kościstą pierś. Gloriannie przyszedł na myśl świąteczny indyk: nagie, wypatroszone, martwe, białe mięso.

Usiadł na kanapie. Wylała na rękę jeszcze trochę olejku, sięgnęła i opuszkami palców wklepała mu w wierzch dłoni. — Niepotrzebnie się denerwujesz. Obiecuję ci przyjemny relaks.

— Wcale się nie denerwuję.

— A paznokcie to pewnie obgryzasz z braku witamin? — Witamin... Och, to taki żart?

— Tak tylko sobie dowcipkuję — rzuciła, przysuwając się bliżej. W ustach poczuła wino. Refluks żołądkowy. Zdjęła mu koszulę, dotknęła sutków, przesunęła po wystających żebrach. Czy on w ogóle coś je? A może jest wegetarianinem i wsuwa rośliny tak jak Chuck. Chuck, cholerny Chuck, czemu nie pozostał dawnym sobą, zamiast zmieniać się w świętoszka? W jego życiu nie ma już miejsca na rozrywkę, a mnie tak brakuje naszego kapitalnego bzykanka. Myślałam, że to miłość, daję słowo; taka ze mnie roman-tyczka.

Zaczepnym ruchem zdjęła mu okulary i spojrzała przez szlida: o rany, wokół jedna wielka mgła. Widziała tylko zamazane kształty.

— Pproszę, oddaj mi je — wyjąkał.

— Nie widzisz bez okularów? — spytała, zakładając mu je na nos.

— Ttrochę mi wzrok szwankuje — odparł.

Przysunęła się jeszcze bliżej, powoli zaczęła ugniatać najpierw prawe ramię, a potem lewe. Dorcus był cały zeszywniały. Glorianna bezskutecznie próbowała rozmasować napięte mięśnie. Dłonie miał zaciśnięte na kolanach tak mocno, że krew nie docierała mu do palców i przypominały teraz białe, kanciaste kamienie.

— Oprzyj się wygodnie — poprosiła. — I zamknij oczy.

Opadł ciężko do tyłu, ale oczy wciąż miał otwarte, a wargi zaciśnięte w odruchu niechęci. Glorianna z wolna przesuwała opuszki palców coraz wyżej, aż do jego barków.

— Czy czujesz ciepło moich dłoni, Dorcus? Wyobraź sobie, że twoje ciało to rzeka, która płynie powoli i bardzo, bardzo łagodnie. Woda jest przezroczysta. Stajesz się lekki. Unosisz się jakby w łonie, wokół cisza, nic ci nie grozi...

Ale Dorcus wciąż leżał sztywny jak kłoda. Twarz miał wykrzywioną w grymasie bólu. Jasne, jest strasznie przejęty, to jego pierwszy masaż w życiu i, jak Glorianna zdążyła się już domyślić, nigdy przedtem nie był dotykany przez żadną kobietę. Wewnętrzzną częścią dłoni przesunęła po jego piersi aż do pępka i z powrotem, pocierając skórę falistym ruchem. I jeszcze raz. Energia, którą emanowała, wciąż nie była w stanie do niego przeniknąć.

— Czujesz to, Dorcus? Czujesz tę lekkość?

— Nie... jakoś nie...

— Przecież nie utoniesz. Unosisz się na wodzie. — Co za cholernie ciężki przypadek. Glorianna wyjęła z torebki ręcznik, wytarła ręce i nałożyła na dłonie odrobinę kremu kojącego z zieloną herbatą. Masowała go teraz z każdej strony, ugniatała, gładziła, a później poprosiła go, by położył się na brzuchu, i zaczęła oklepywać mu plecy wzdłuż kręgosłupa. Zdążyła mu policzyć wszystkie pryszcze i dopatrzeć się pod łopatką małego pieprzyka.

Przerwała i westchnęła. — Chyba nic z tego?

Dorcus nie odpowiedział. Nie widziała jego miny, bo twarz miał wtuloną w poduszkę, ale oczyma wyobraźni ujrzała cierpienie kogoś, kto marzy o tym, by ta gehenna dobiegła już końca.

— No dobrze, w takim razie spróbujmy inaczej. Zdejmij spodnie ije-szcze raz połóż się na brzuchu.

— Mam z zdjąć sspodnie?

— Mogę się odwrócić, żeby cię nie krępować. Nie zapominaj, że jestem profesjonalistką. Robię całe mnóstwo taldch masażu. Traktuję cię jak klienta, nie jak mężczyznę. Tylko bez obrazy.

— Tto dla mnie ttrudne...

Odwróciła głowę. — Widzisz? Nie podglądam.

Słyszała, jak rozpiął spodnie, które zsunęły się na podłogę. Zaskrzypiała kanapa i Glorianna przeniosła wzrok z powrotem na niego. Był prawie nagi; miał na sobie tylko kraciaste bokserki i luźne, grube, białe skarpety. Jego nogi były chude, blade, porośnięte drobnymi włoskami.

— A teraz na brzuch — nakazała.

Położył się na kanapie i wtulił twarz w poduszkę. Glorianna nachyliła się i zaczęła ugniatać mu plecy u nasady kręgosłupa. Wykonywała faliste ruchy, naciskając opuszkami palców skórę tuż nad pośladkami. Robiła to raz mocniej, raz słabiej.

Ale Dorcus był nieprzystępny jak twierdza. Cholera, to bezsensu.

Chuckowi od razu twardniał, jak tylko dotykała go w tych miejscach. Ciach mach, i gotowe.

Weź taksówkę, Glori.

Bujaj się, Reuben.

Oddech Dorcusa nadal był monotony. Glorianna zastanawiała się, czy on w ogóle miał jakąś kochankę, a jeśli tak, to jakie sztuczki stosuje jego kobieta, żeby go ożywić i podniecić. Jak postawić mu małego żołnierzyka na baczność?

— A teraz zsuń spodenld, Dorcus, ale tylko trochę. Możesz to zrobić?

— Nno, nnie wiem... Jjak chcesz...

Ściągnęła mu kraciaste bokserki o parę centymetrów w dół i zaczęła przesuwac palcami po wątych mięśniach jego pośladków. Właściwie to prawie nie miał tyłka. Nagniała, wyciskała, a po chwili przerwała, żeby odpocząć. Bolały ją stawy. Potem wsunęła mu dłonie

pod bokserki i kontynuowała. To było wyczerpujące i po dwudziestu minutach ugniatania, rozcierania, ściskania i głaskania zdała sobie sprawę, że równie dobrze mogłaby dotykać trupa; ten człowiek był sztywny jak kij.

Odsunęła ręce i wzięła głęboki oddech. — Strasznie mi przykro, Dorcus, ale nasze orbity chyba się nie krzyżują. Może po prostu wybraliśmy zły dzień. Chyba się nie pogniewasz, jeśli na dziś dam sobie spokój? Najlepiej udawajmy, że wcale mnie tu nie było. Co ty na to? Powiem panu Chuckowi, że nam nie wyszło...

— Nie, nie, tylko nie to. Pan Chuck jest w porządku. Nie wypada mu mówić...

— No dobrze, w takim razie powiem, że... to był mój najlepszy masaż w życiu, a ty byłeś zachwycony, tak?

— O właśnie, tak będzie lepiej.

Znowu dobiegły ją dźwięki pianina. Najwyraźniej po klawiaturze dreptała cała armia myszy. Truchtały po części basowej: brzdęk-brzdęk--brzdęk. Glorianna stłumiła dreszcz. Futrzane kulki na łąkach. Wstała z kanapy. Dorcus zaczął się pocić. Przypominał jej sztywniackiego chłopaka, wечно niedojrzałego i tak cholernie spiętego w sobie, że żołądek mu się ścisną jak kiepsko zawiązany węzeł.

Wzruszyła ramionami, wzięła płaszcz i wyjęła z kieszeni komórkę.

— Ddo kogo dzwonicz? Ddo pana Chucka?

— Przecież nie będę wracała pieszo przez całe miasto, Dorcus. Nie dzwonię do pana Chucka. — I zaczęła wystukiwać numer, przez który zawsze zamawiała taksówkę, a wtedy Dorcus niespodziewanie doskoczył do niej i wytrącił jej komórkę z ręki. Ten szybki, gwałtowny ruch zaszokował ją i wprowadził w osłupienie. O co mu, do diabła, chodzi?

— Pprzepraszam, tak mi przykro — wyjąkał. Przyklęknął na podłodze, podniósł telefon, mamrocząc, zdruzgotany. — Nnaprawdę nnie wiem, co mnie nnaszło...

— Daj spokój, Dorcus. — Me zwracaj uwagi, udawaj, że to tylko niekontrolowany wybuch, bo chyba tak to wyglądało? A jednak zaniepokoił ją tak bardzo, że nie mogła przestać o tym myśleć.

Podał jej telefon. Mały, plastikowy ekranik był pęknięty. Próbowwała zadzwonić, ale nie słyszała sygnału. Widocznie siła uderzenia uszkodziła baterię albo zerwała przewód.

— Diabli nadali, niech to szlag — syknęła.

— Jja nnie chciałem, nnaprawdę, jja tylko...

— Wiem, że nie chciałeś — rzuciła. — Ale już się stało, telefon mi padł, widzisz? — Potrząsnęła komórką, chcąc przywrócić połączenie między przewodami, ale równie dobrze można by kopać w sflaczałą oponę, łudzając się, że sama się napompuje.

Ruchem głowy wskazała na bakelitowy telefon na stole. — Mogę zadzwonić z tamtego?

— Nie działa — odparł. Odwrócił się tyłem, podciągnął spodnie i zapiał się.

— Nie masz w tym domu jakiegoś normalnego telefonu? Chciała już wyjść, musiała jakoś się stąd wydostać. Dorcus bynajmniej

nie zachęcał swoją osobą do spędzenia z nim ani chwili dłużej. Siedziała z nim już czterdzieści minut, no i co? Wypiła na siłę jeden łyk jakiegoś paskudnego wina, żadna z jej metod na niego nie podziałała, a teraz jeszcze ten zepsuty telefon. Nie było się czym pochwalić.

No i nie spodobało jej się, że wpadł w szal i wytrącił jej z ręki komórkę — co to za typ? Jakiś epileptyk czy co? Facet, który miewa niekontrolowane napady i odruchy? Skoro jest lekarzem, to czemu nie przepisze sobie na to jakichś leków?

Me moja sprawa. Włożyła płaszcz. Dostrzegła fragment kraciastych bokserek wystających mu z nie dopiętego rozporoka. Wyglądało to komicznie, ale gdyby się roześmiała, mógłby to wziąć za złą monetę.

— Tylko mnie mów panu Chuckowi, cco się stało...

— Przecież już ci obiecałam. Pozwól mi tylko skorzystać z jakiegoś telefonu...

Dorcus z trudem przełknął ślinę, jakby się dławił, a potem zbladł i zakrył usta dłonią. Wybiegł z pokoju tak nagle, że nawet nie zdążyła dokończyć zdania. Usłyszała, jak szybkimi krokami wbiega po schodach.

Uciekł jak rażony piorunem — dlaczego?

Wyszła na korytarz. Na piętrze słyszała jego szybkie kroki, jakby w biegu, a potem trzaśnięcie drzwi. Zbliżyła się do podnóża schodów.

Potrzebowała telefonu, żeby wezwać taksówkę, oraz klucza, którym Dorcus otwierał bramę. Gdyby nie to, już dawno by jej tu nie było. Właściwie to wystarczy sam klucz; taksówkę spróbuje złapać gdzieś na ulicy.

Wspięła się do połowy schodów. Tu owionął ją przenikliwy chłód, jakby znalazła się w miejscu, gdzie z jakichś niewyjaśnionych przyczyn nagle spada temperatura. Trzęsąc się, ruszyła spiesznie przed siebie i chłód opuścił ją tak szybko, jak się pojawił.

Dziwne przeciągi, kroki w głębi domu, strefa chłodu — brrrrr. Nie bardzo wierzyła w okultyzm. Za pełnoprawną dziedzinę nauki łatwiej było jej uznać magię kryształków niż przyprawiające o dreszcze zjawiska paranormalne.

Na piętrze był korytarz, od którego odchodził szereg zamkniętych drzwi. Ruszyła z wolną naprzód. — Dorcus? Dorcus?

Doszedł ją odgłos wymiotów — silne, dosadne rzygnięcie, a potem donośny plusk gwałtownie zwróconego niestrawionego jedzenia. Szybki paw.

Za którymi drzwiami jest jego chambre du vom?

Nasłuchiwała. Wszędzie cisza. Zaczynała mu współczuć. Był kompletnym tłumokiem — drobnym chłopakiem o spiczastej, ptasiej twarzy, który na zdjęciu klasowym zawsze siedzi w pierwszym rzędzie po turecku. Zwykle ma na imię Archie albo Angus. Tacy nigdy nie radzą sobie w życiu. Żyją, bo im kazali, strzelają nerwowo oczami, czasem miewają jakieś tiki i często cierpią na dolegliwości natury antyspołecznej, z którymi nie potrafią się uporać: takie jak moczenie nocne czy wiecznie zasmarkany nos.

Przeszła po korytarzu. — Dorcus? Czy wszystko w porządku? Dorcus? Odezwij się, doktoru...

Znowu usłyszała, jak wymiotuje: potężne chluśnięcie, a potem jęk. Zaraz, zza których to drzwi? Stała koło jakichś drewnianych i przyłożyła do nich ucho. — Dorcus? — Zastukała lekko. — Potrzebny mi twój klucz, żebym mogła wydostać się z tej chałupy. No dalej, Dorcus, otwieraj. Wypuść mnie.

Za drzwiami usłyszała szmer, ale nie była pewna, co to taldego. Powoli nacisnęła klamkę i pchnęła lekko drzwi, uchylając je na kilka centymetrów, a potem coraz szerzej. Z miejsca uderzył ją ten sam silny odór środków odkażających, który Dorcus rozsiewał wokół siebie, jakby wydalął go z potem. Teraz czuła go już nawet na sobie.

Weszła do środka, zatrzymując się w półmroku. Podłoga była zimna, żadnych dywanów, wszędzie tylko kafle — białe kafle. Nad metalowym zlewem, do którego z kranu ciekła powoli gorąca woda, paliło się nagle światełko. W powietrzu było pełno pary, która otaczała mgłą jakąś długowłosą, nagą postać, stojącą przy zlewie plecami do Glorianny, z twarzą zakrytą ręcznikiem. Postać obróciła się delikatnie, odsłaniając kawałek piersi.

Glorianna obserwowała zwracającą się ku niej kobiecą postać. Ta upuściła ręcznik na podłogę — opadał powoli, jak umierający ptak, zraniony na polowaniu. W smudze słabego światła dostrzegła ciemne włosy łonowe i nagle wydała z siebie stłumiony okrzyk i zamknęła drzwi, zostawiając za sobą zaparowane powietrze, leżący ręcznik i cień kobiety, pada-

jacy przez pól pokoju prosto na łóżko — i choć wszystko było niewyraźne i spowite mgłą, to Glorianna była świadoma tego, co tam zobaczyła. A przynajmniej tak jej się zdawało.

Szybldm krokiem ruszyła przez korytarz. Nawet się nie obejrzała, gdy otworzyły się jakieś drzwi. Bywa, że we mgle człowiek widzi coś, czego wcale nie ma, pomyślała.

Usłyszała za sobą głosy. Jeden z nich należał do Dorcusa.

Ten drugi brzmiał obco.

Głosy podnosiły się i cichły; przebrzmiewały w nich gniew, pretensje, wyjaśnienia i wyrzuty. Nie słyszała słów, tylko zmienne tony. Krzyk złości, lament, wybuchy żalu. Szła dalej na dół, schody skrzypiały pod jej stopami. Zastanawiała się, co robić, kiedy już uda jej się wydostać z domu i przebiec przez ogród do bramy.

U podnóża schodów skierowała się na prawo i w panicznym strachu zdała sobie sprawę, że się zgubiła i nie pamięta, którędy trafić do drzwi frontowych. Wcześniej wchodziła do tego domu przez jakiś hol, gdzie wisiały dwa ponure obrazy i żyrandol. No i co teraz?

Zdezorientowana, wbiegła do pokoju, w którym stały pianino i fotel. W rogu dostrzegła blask lampy — czy paliła się już wtedy, gdy Glorianna zajrzała tu po raz pierwszy? Nie mogła sobie przypomnieć. Światło było słabe, jak z dwudziestowatowej żarówki. Zdawało jej się, że w fotelu siedzi postać mężczyzny z odwróconą twarzą. To był tylko zarys, zwykłe złudzenie — a jednak wyobraziła sobie, że mężczyzna przekrzywia głowę i nagle słychać trzask spróchniałej kości, a jego twarz kieruje się w jej stronę.

Myszy zabrzdąkały klawiszami pianina. Ich drobne, okrągłe kształty wślizgnęły się pod płachtę. Jedna wyłoniła się z ukrycia, spadła na podłogę i pędziła na oślep do stóp Glorianny. Dziewczyna stłumiła krzyk i wycofała się z pokoju. W jednej chwili lampa pękła i wokół zapanował mrok, który rozpraszała tylko samotna wiązka światła znad schodów, którymi zbiegła Glorianna. Słyszała, jak gryzoń czmychnął gdzieś na bok i znów rozbrzmiały fałszywe dźwięki pianina. Myszy przedstawiały swój szalony repertuar.

Ruszyła w głąb domu, aż dojrzała żyrandol oraz fragment holu prowadzącego do wyjścia. Nareszcie znajomy widok. Nie mogła sobie przypomnieć, czy Dorcus zamykał za nią drzwi na klucz. Może i tak. Była gotowa wyważyć je kopniakiem, jeśli będzie trzeba. Pragnęła uciec z tego domu, jak najdalej od Dorcusa i od tej ciemnej sylwetki mężczyzny na fotelu, i od długowłosej postaci upuszczającej ręcznik w wykafelkowanym

na biało pomieszczeniu, i od wszystkiego innego, o czym nawet nie chciała teraz myśleć...

Chuck, ty draniu, wielkie dzięki, że posiałeś mnie do Domu Upiorów. A może nie wiedziałeś, co za typ z tego Dorcusa? Nie przyszło ci do głowy, że to kompletny psychol? I ani przez chwilę nie pomyślałeś o tym, co złego może mnie spotkać?

Byle do wyjścia. Klucz tkwił w zamku. Przekręciła go, szarpnęła drzwi; w nocnym powietrzu panował chłód, a jedyne światło padało na wprost niej ze skąpych żarówek w holu, ale ich blask oświetlał zaledwie parę metrów, a dalej ciemno choć oko wykol...

Gdzieś w pobliżu usłyszała szczekanie psów. Czy są spuszczone? Modliła się w duchu, żeby nie były; sądząc po odgłosach to chyba jakieś potwory, a zresztą co tu się dziwić? Całe to miejsce napawało grozą — a miała to być łatwa i szybka transakcja: solidny masaż, zachwycony klient i do widzenia, a potem słowa pochwały od Chucka. Ale cały plan wziął w łeb. Glorianna wciąż miała w głowie stukot swoich obcasów o kafle i tę postać przy zlewie, i wszystko inne...

Biegła wzdłuż smugi światła, która kończyła się na ścieżce podjazdowej. Wystarczy pójść prosto, żeby trafić do zamkniętej bramy. Na ile metrów jest wysoka? Glorianna nie miała pojęcia. Chwiejnym krokiem dobiegła do ścieżki i kopnięciem zrzuciła buty: nic jej po nich, do cholery. Pod stopami poczuła żwir. O Jezu. Wystająca gałąź krzewu musnęła ją po twarzy. Glorianna wrzasnęła głośno, bo przez chwilę zdawało jej się, że to Dorcus ją goni i że zaraz poczuje na szyi jego zaciskającą się dłoń, a może to ta upiorna postać, która zdawała się wstawać z fotela...

Ale to tylko gałąź, krzak czy coś podobnego.

Dostrzegła inne światło — od latarni ulicznej po drugiej stronie muru. Stała jakieś trzydzieści metrów dalej, a jej żółtawa poświata była tak rozproszona, że nic nie było widać. Glorianna rzuciła się w kierunku światła. Gdzie się podziała ta ścieżka? Musiała z niej zboczyć. Teraz, zamiast kamieni, czuła pod stopami trawę. Dla rozeznania obejrzała się na dom, którego drzwi nadal stały otwarte. Rozległo się warczenie psów, zabrzączały łańcuchy. Pewnie Dorcus wyjdzie lada chwila i spuści je, a wtedy one dopadną ją po ciemku, chwycą za gardło i rozszarpną swoimi kłami na kawałki.

Przedarła się przez gęstwinę krzaków i wyłowiła wzrokiem ścieżkę. Ulicą przejechał samochód, światło reflektorów błysnęło przelotnie na bramę. Nareszcie połąpała się, gdzie jest. A teraz przydałyby się jeszcze bosak i buty do wspinaczki...

— Pproszę, zzaczekaj, mmusimy pporozmawiać! Chryste, on już po nią idzie.

— Ddam ci ten ldducz, tylko zzaczekaj! Dasz mi klucz, no jasne, już to widzę, Dore.

Brama, byle tylko do bramy, a potem przedostać się górą. Popędziła ścieżką. Żwir wpijał jej się w podeszwy stóp i podskakiwała z bólu, żeby równomiernie rozłożyć ciężar ciała. Po paru godzinach jej stopy będą wyglądały jak blister do pakowania towarów.

Dobiegła do bramy, chwyciła ją i potrząsnęła gwałtownie. Metal szczęknął, ale brama ani drgnęła. Była masywna i zbyt głęboko wbudowana w mur, by dać się ruszyć. I co teraz?

— Wwracaj, nnic ci nnie zrobię!

Chwyciła się bramy, podciągnęła o parę centymetrów wzwyż, po czym zawisła w powietrzu, rozpaczliwie przebierając nogami. Nie da rady wspiąć się na samą górę.

— Pomóc pani? — usłyszała i ze zdziwieniem spostrzegła, że po drugiej stronie bramy stoi mały chłopiec. Palił papierosa. — Tyle że to będzie kosztować.

— Nieważne, pomóż mi...

Z mroku wyłoniło się kilkoro innych dzieci. Któreś przerzuciło przez bramę sznur. Glorianna chwyciła go i dzieci zaczęły ciągnąć za drugi koniec. — Tylko szybko, proszę pani!

Bóg jeden wie, ile ich tam było: pięcioro, sześcioro czy może więcej. Widziała tylko rozmyte kontury ich małych sylwetek, uwieszonych na drugim końcu sznura. Glorianę piekły dłonie od przesuwania się po twardym włóknie, ale niech ją szlag, jeśli wypuści sznur z rąk. A gdy wspięła się na samą górę, usłyszała wołanie Dorcusa. — Zzaczekaj, lepiej pporozmawiajmy...

Rany boskie, stał jakieś dwa metry niżej! Wystarczyło, żeby podskoczył, zamachnął się, chwycił ją za kostkę, a ściągnie ją z powrotem w dół...

— Niech pani złazi! — krzyknął chłopiec.

— Zaraz — rzuciła i ześlizgnęła się po linie, czując, jak twarde włókno ociera się jej o piersi i brzuch. Zeskoczyła na ziemię; dzieciaki kazały jej spieprzać w diabły. Biegła więc przed siebie, na obolałych stopach, ze ściśniętym żołądkiem, w ślad za dziećmi, które skręciły za róg prosto na osiedle, gdzie wciąż stał w ogniu czyjś samochód, iskry świetlistym deszczem wzbijały się w niebo, a telewizory i kaseciaki dudniły z takim hukiem, że mogłyby obudzić twardo śpiące demony.

Zabrakło jej tchu, a stopy sprawiały tak silny ból, że się zatrzymała. Dostrzegła, że każde z dzieci ma osmaloną twarz i ciemne rękawiczki. A więc to jakaś nocna akcja małych marines. Otoczyły ją kołem.

— Należy się zapłata, proszę pani.

— No a ile chcecie?

— A ile pani ma?

Sięgnęła do kieszeni płaszcza i wyszukała jakieś zmięte banknoty. Wciąż jeszcze się trzęsła, nie mogła opanować drżenia. Jeśli odda im całą gotówkę, to jak wróci do domu? To przecież kawał drogi.

Jedno z dzieci wyjęło otwarty foliowy worek, z którego wydobywał się nieznośny smród. — To trutka na jego psy. Zepsute mięso z wybielaczem i takie tam inne. Myśli pani, że zeżrą?

Cofnęła się o krok. Żaden pies nawet nie powącha tej ohydnej mieszanki starego mięsa i chemikaliów.

— Mamy tego faceta powyżej uszu, i jego nawiedzonego domu też

— oświadczył chłopiec, który trzymał worek foliowy.

Nawiedzony dom? O nie, nie ma czasu teraz się nad tym zastanawiać.

— Zapłacę wam, jak mi powiecie, gdzie tu złapię taksówkę.

— Tego nie było w umowie, proszę pani.

— W takim razie zmieniam umowę.

Kręcąc nosami, dzieciąld zaczęły szeptać coś między sobą, aż w końcu któreś orzeldo: — Zaprowadzimy panią do jednego faceta. On panią odwiezie. O ile jeszcze się nie zalał.

Pokuśtykała za nimi w ciemną uliczkę między blokami. Wszędzie hałas, u zbiegu ulic krążące beczynnymi grupami roześmianych dziewcząt i chłopców. Glorianna wyczuła zapach haszyszu. Wzdrygnęła się na nagły huk fajerwerków; błyskające race poleciały w niebo, wybuchając feerią świetlistych barw.

Jedno z dzieci zniknęło w budynku i po chwili wyszło w towarzystwie tęgiego mężczyzny z nagim torsem; spodnie wisały mu luźno na biodrach, a szelki dyndały po bokach.

— No dobra, to kto tu zamawiał taryfę? — spytał.

— Ja — odparła Glorianna.

Mężczyzna był już lekko wstawiony. Jakby nieczuły na chłód, podszedł do niej chwiejnym krokiem, a gdy przechodził pod latarnią, jej blask padł na wielki tatuaż przedstawiający koniczynę. Widniała pomiędzy jego obwisłymi piersiami. — A dokąd jedziemy?

— NaWestEnd.

Pomyślał przez chwilę. — To wyjdzie dwadzieścia pięć funtów.

Przystała na tę cenę.

— No dobra, proszę wsiadać.

— I to ma być taksówka? — wskazała na stary, czarny karawan.

— Owszem. Wsiada pani czy nie?

Nie musiała odpowiadać. Mężczyzna otworzył drzwi pasażera i Glorianna znalazła się w wozie. Dzieciaki podeszły grupą odebrać swoją zapłatę. Szybko przeliczyła pieniądze. Miała pięćdziesiąt cztery funty — dwie dwudziestki, dziesiątkę i cztery w monetach. Dała im jedną dwudziestkę.

— Tylko tyle?

— Więcej nie mam.

Znowu niezadowolenie i protesty. Mężczyzna wsiadł za kierownicę i Glorianna dała mu resztę swoich pieniędzy. Wsunął je do kieszeni spodni, przekręcił kluczyk w stacyjce i wielki karawan zarzęził, wypuszczając dookoła chmurę spalin.

— No to w drogę — powiedział, wrzucając bieg. — Proszę się mocno trzymać.

Wóz zachybotał się, zawarczał i ruszył tak gwałtownie, że aż nią zarzuciło. Nie mogła znaleźć pasa bezpieczeństwa, ale było jej już wszystko jedno.

— Pieroński stary gruchot, co? — zagadnął mężczyzna. Śmiał się chrypliwym głosem palacza i raz po raz drapał się po piersi, prując wzdłuż Edinburgh Road swoim wyjącem, rozklekotanym karawanem.

Glorianna przymknęła oczy.

Poczuła, jak wzbiera w niej silny gniew. Chrzań się, Chuck. Po prostu chrzań się. To ty mi kazałeś tam jechać. Jak mogłeś zrobić, i to właśnie mnie? Jak możesz wysłać mnie w takie miejsca.

Wiedziała już, co zrobi. Pojedzie do swojego mieszkania, spakuje szybko parę rzeczy i ucieknie. Chuck nawet nie będzie wiedział, dokąd. A niech się Gruba Ryba trochę podręczy.

Wsluchiwała się w warkot silnika. Latarnie przemykały obok, rozsiewając żółtawą poświatę w nocnym mroku. Mężczyzna za kierownicą próbował sypać jakimiś dowcipami, ale nawet go nie słuchała.

Puk, puk. Kto tam?

Puk, puk. Kto tam? Kto stoi za drzwiami? Strach...

Patrzyła przed siebie, zaciskając dłonie na kolanach, a straszliwe myśli wylewały się jej z mózgu jak mydliny do zlewu.

26

Perlman wyruszył do Govan wcześniej rano. Czekał na jakieś wieści od Betty, ale ta nie zadzwoniła. Pewnie po wizycie w kostnicy pojechała prosto do swojego mieszkania. Myślał o niej bez przerwy, jadąc na zachód wzdłuż Govan Road. Zapowiadał się słoneczny poranek, ale nie dla niej. Nie dla Betty.

Zaparkował samochód przy zniszczonej pożarem kamienicy, w której mieszkał Tartakower. Zamknął drzwi auta na pilota. Przystanął na chodniku, oparł dłonie na biodrach i przypatrywał się grupce dzieciaków snujących się na rogu. To byli ci sami chłopcy, którzy ostatnim razem naigrywali się z niego, kiedy kopnął do nich piłkę. Mieli na sobie typowe uliczne ciuchy: spodnie od dresu, adidas, kurtki i kaptury na głowach. Obserwowali go, pozując na prawdziwych twardzieli.

Prawdopodobnie to właśnie oni zwędzili mu wtedy boczne lusterka. Emanowała od nich zuchwała wrogość. Perlman ociągał się z wejściem do budynku; nie chciał zostawiać samochodu. Bóg jeden wie, co mu zwiną tym razem. Może opony albo kołpald? Tymczasem tamci kolejno popalali skręta, wcale się z tym nie kryjąc. Dawniej palnąłby im mówkę o narkotykach — ale teraz nikt już tego nie robił; nie w dzisiejszych czasach, kiedy talde typki od dziecka nosiły przy sobie noże i miały policję w głębokim poważaniu. A do tego jeszcze ci smarkacze znali się na prawie. Wystarczyło któregoś tknąć palcem czy próbować zastraszyć, a zaraz mądrzyli się, że mają swoje prawa, i oskarżali policję o to, że się nad nimi znęca.

To z góry przegrana walka, pomyślał Perlman. Glasgow jest teraz w rękach zdziczałych dzieciaków.

Pociągnął za klamki przy drzwiach, by się upewnić, że odpowiednio zabezpieczył samochód. Dzieciaki wciąż sondowały go wzrokiem, przechadzając się po chodniku. Widok policjanta budził w nich czujność. Wypalili skręta aż do samego brązowego koniuszka, który posypał się kaskadą przygasających iskierek. Potem szeptali coś między sobą, zerkając gniewnie na Perlmana, który wyraźnie nie miał ochoty wejść do kamienicy i znowu wspinać się po schodach tego mrocznego pogorzelska.

Jeden z chłopców, najmniejszy z całej grupy, o rumianych policzkach na cherubinkowej twarzy wyzierającej spod kaptura, oddzielił się od reszty, minął Perlmana i poszedł przed siebie coraz to szybszym krokiem.

Wyglądał jak chłopak na posyłki; był jeszcze za młody, by należeć do ich paczki, więc traktowali go jak sługusa, a on robił wszystko, co mu kazali: kradł papierosy, grzebał w torebce matki i wyciągał pieniądze i inne podobne rzeczy. Chłopak obejrzał się na chwilę, jakby chciał się przekonać, czy policjant go obserwuje.

Coś się tu święci, pomyślał Perlman.

Odwrócił wzrok na pozostałych chłopców, którzy przybrali pozę zbiorowej nonszalancji. No proszę, gliniarz, iiiii-cha! Mamy cię w dupie. Stoimy sobie na rogu i palimy skręta. No i co nam zrobisz, panie władzo? Zaaresztujesz nas?

Perlman obrócił się i spostrzegł, że mały znika w jakimś miejscowym sklepie na rogu. Co ten aniołeczek kombinuje? Perlman ruszył za nim i dotarł do sldepu, zabarykadowanego zsuwaną, metalową osłoną w oknie, zabazgraną jakimś psychodelicznym grafitti. Perlman zajrzał przez drzwi do mrocznego wnętrza. W powietrzu unosił się zapach gotowanej szynki i zgniłych jabłek.

Lada była oddzielona grubą, drucianą siatką. Stał za nią sprzedawca w turbanie na głowie. Zmierzył Perlmana z taką miną, jakby myślał sobie: Glasgow czy Kalkuta — rzuć monetę.

Lou już miał wyjść, podejrzewając, że ucieczka dzieciaka to tylko kiepski podstęp, byleby tylko oddalił się od swego cynobrowego auta, które miało paść ich łupem. Ale wtedy kątem oka dostrzegł, że dzieciak szepce do kogoś za półkami z fasolą w puszkach, zupami w torebkach i sosami Bisto w proszku. Perlman szybkim krokiem wszedł za dzieciakiem do środka — a tam, przycupnięty jak jakiś zbieg, czaił się Tartakower z torbą na zakupy w jednej ręce i fretką na łańcuchu w drugiej. Mały od razu dał drapaką, przemknął obok Perlmana i wyskoczył na ulicę.

— Bawimy się w chowanego? — zagadnął Perlman. Tartakower usiłował ukryć podenerwowanie. — Wpadłem tylko na

małe zakupy, Perlman. To teraz podchodzi pod łamanie prawa? — Miał na sobie wytarty płaszcz z nadwyżek produkcji odzieży wojskowej i obszarpany szal, zawiązany wokół szyi. Brudne, brązowe buty były popękane, a podeszwy zdarte.

— To naprawdę fretka, Tartakower?

— Ciii, Perlman. Jej się zdaje, że jest psem. A ja ją utwierdzam w tym przekonaniu. — Tartakower potrząsnął łańcuchem, do którego przyczepione było zwierzę.

— A ten smarkacz, który przed chwilą stąd zwiął, to kto? Wystawiasz go na czaty?

Tartakower wzruszył ramionami. — Samotny człowiek gotów jest zaprzyjaźnić się, z kim popadnie.

— Zaraz się rozkleję jak stary kapeć. Przecież on wyraźnie cię przede mną ostrzegł.

Tartakower puścił to mimo uszu, wlokąc torbę i fretkę na ulicę. Perlman ruszył za nim. Dzieciaki na rogu zaczęły szaleć i piszczeć. — Issy! Is-sy! — zawołały, po czym puściły się pędem po chodniku. Uradowane, z rozwiązanymi sznurowadłami, gnały prosto do Tartakowera, popychając po drodze Perlmana.

— Rany boskie — fuknął Perlman, niezadowolony.

Dzieciaki otoczyły ciasno Tartakowera i głaskały fretkę, obrzucając Perlmana spojrzeniami pełnymi gniewu i pogardy.

— A to co, Tartakower? Twój gang?

— Odpieprz się, cholerny gliniarzu — rzucił jeden z dresiarzy. Był dość wyrośnięty, mógł mieć jakieś czternaście lat albo i więcej; od razu było widać, że ta twarz trafi kiedyś do policyjnej kartoteld. Łączył w sobie bunt i nienawiść.

— Lepiej przymknij tę chudą gębę, śmieciu — odciął Perlman.

— To chodź tutaj i zmusz mnie do tego. — Chłopak wyciągnął ręce, gotowy bić się z Perlmanem. — No chodź, zasańcu. Masz cykora, co?

— Cykora? I to jakiego. — Patrząc na chłopaka, Perlman ujrzał w jego oczach ogrom agresji powodowanej miejską nędzą. Widział to spojrzenie już tysiące razy, a może nawet więcej. To były dzieci śródmieścia, dorastające w domach, gdzie z góry skazywano je na margines, lekceważone przez rodziców, nauczycieli, księży oraz wszystkich beznadziejnych teoretyków i twórców porządku publicznego, psychologów, socjologów i polityków. Te dzieciaki miały wszystko w nosie, dla nich nie istniała przyszłość: chrzanić to, skoro jutro może ich już nie być. Żyły w świecie, którym rządzą niepewność i okrucieństwo. Słyszały, jak ich bezrobotni rodzice obiecują im lepsze życie, ale ich słowa lądują w śmietniku jak przegrane losy loterii, kupony z zakładów czy stos pustych opakowań. Wychowywały się w atmosferze dyskryminacji rasowej i religijnej, bandytyzm był dla nich na porządku dziennym, ich starsi bracia siedzieli w więzieniu albo leżeli w piachu — kto wie, może jakiś nawiedzony terrorysta, który wierzy, że po śmierci czeka na niego raj pełen dziewic, przeleci któregoś pięknego dnia nad Glasgow i zrzuci pieprzoną bombę?

— Issy jest tu bardzo popularna — wyjaśnił Tartakower, otoczony gromadą. — Dla tych chłopaków to prawdziwa bohaterka.

— A ty? Zgrywasz dobrego wujka?

— Issy jest kurewsko super — oznajmiło jedno z dzieci, wzięło fretkę na ręce i mocno przytuliło. Zwierzę poruszyło się niespokojnie, wystawiając różowy język. Dzieciak pocałował fretkę w pyszczek.

— Po kiego diabła ci ta fretka? — rzucił Perlman do Tartakowera znad zakapturzonych głów.

— Ty pewnie wolałbyś papugę w klatce? Byleby tylko trzymać żywe stworzenie w niewoli. Pozamykać w klatkach, poupychać w celach. Oto twoja pasja.

— Ale z ciebie tchórz — wtrącił wysoki chłopak, ten sam, który już wcześniej prowokował Perlmana.

Pozostali wybuchli śmiechem, tupiąc nogami. — Wielki waźniak, glina tchórz! — krzyczeli.

Perlman popatrzył na Tartakowera, szefa bandy urwisów. — Słuchaj, Ben, czy mógłbyś powiedzieć tym swoim wojownikom, żeby się rozeszli? Chcę tylko pogadać.

Tartakower skinął na otaczające go blade twarze. — Nie ja nimi rządę, Perlman.

— Daj spokój — rzucił Perlman, zniecierpliwiony. Nie miał zamiaru wdawać się w ostrą bójkę z tymi dzieciakami, które zaraz pewnie sięgną po skrzętnie ukrywaną broń. Próbował zbliżyć się do Tartakowera, ale falanga „kapturów” uparcie stała mu na drodze. Co za cholernie absurdalna przeszkoda: stojąca w kole grupka aroganclldch wyrostków blokuje mu przejście. Ale się porobiło na tym świecie. Miał ochotę ich rozepchnąć, okazać swój autorytet i kazać im zostawić go sam na sam z Tartakowe-rem. Dzieciakld mierzyły go ponurym wzrokiem: twarze pozbawione wrodzonej niewinności. Gdzie się podziało dzieciństwo? Gdzie te dziecięce zabawy? Przypomniął sobie grę w klasy, dziewczęta skaczące przez skankę i ich śpiew, pamiętał też, jak bawili się w pukanie do drzwi i grali w kulki.

Fretka wędrowała z rąk do rąk jak ukochana maskotka; wszyscy ją głaskali, tulili i całowali.

Perlman wyjął z płaszcza komórkę. — No, dość już tych wygłupów. Przegoń te dzieciaki, Ben, albo dzwonię po pomoc. Posiłki będą tu za parę minut. — To był kompletny blef. Nawet gdyby umierał, leżąc w rynsztoku z nożem w żebrach, nikt z komendy głównej nie przyjechałby mu z pomocą.

— No, nieźle to wymyśliłeś — rzucił Tartakower. — Jeszcze więcej

glin.

— Dawaj ich tu — zawołał któryś z dzieciaków.

— No dalej, dzwoń po swoich kumpli gliniarzy — dodał inny. Chłopak, który nazwał Perlmana „zaszańcem”, wybuchnął śmiechem.

— I tak się stąd nie ruszymy, prawda, chłopaki? Będziemy, kurwa, stali murem.

Chóralne okrzyki poparcia. Jasne, nie ruszamy się.

Perlman wziął głęboki oddech. Te dzieciaki dojrzały już do wojny, radiowozów i karettek więziennych, gotowe zapewnić sobie kolejny wpis do akt młodocianych przestępców.

— Chciałeś bijatyki, Ben? — spytał.

— Potrzebne mi to jak dziura w zębie.

— To każ tym twoim strażnikom się rozejść.

— Za cholerę się stąd nie ruszymy — oświadczyli jednogłośnie „strażnicy”.

Za dawnych czasów byłby z nich niezły chłopięcy chór, pomyślał Perlman.

Tartakower zanurzył dłoń w ldeszeń płaszcz, wyjął garść monet i banknotów i uniósł w górę. — Słuchajcie, chłopaki, muszę chwilę pogadać z tym gliną sam na sam. Jasne?

Dzieciaki zbiły się w gromadkę, żeby się naradzić. — W takim razie bierzemy Issy — oznajmił jeden z nich.

— Ale tylko na godzinę — odparł Tartakower.

— Na cały dzień. Spójrz na nią, Tarty: trzeba ją wykapać i kurewsko porządnie wyczesać. Nie dbasz o nią ani trochę.

Tartakower namyślał się przez chwilę. — Zgoda, ale tylko do kolacji.

— Przecież już mieliśmy ją na całe dni, a raz to nawet na noc.

— Zgoda, chłopaki, ale nie dzisiaj. Macie ją do siódmej. I weźcie jeszcze trochę grosza.

Tartakower wysypał monety do rąk wysokiego, zadziornego chłopaka. Któryś z dzieciaków chwycił Issy i już było po krzyku — wszyscy wpadli w zbiorowy zachwyt; tak niewiele potrzeba było, żeby rozbroić tę armię dzieciaków. Wszystkie puściły się biegiem po ulicy, jakby niesione nagłym podmuchem wiatru, krzycząc do siebie nawzajem jakieś niezrozumiałe dla Perlmana słowa; widocznie mieli swój własny język, taki swój prywatny slang. Ale jeszcze zanim zniknęli za rogiem, kilkoro z nich obłożyło pięściami maskę samochodu Perlmana.

Tartakower przełożył torbę z zakupami do drugiej ręk. — No dobra, gadaj.

— Kiedyś ty zdążył zebrać taką armię?

— Issy to ich maskotka. Jest dla nich symbolem. Dzikie zwierzę w samym środku miasta. Nie widzisz, że mają z nią coś wspólnego?

— A więc dajesz im pieniądze i raz na jakiś czas fretkę pod opiekę, a oni bronią cię jak Gwardia Pretoriańska. I pilnują cię tej twojej fretki całymi dniami, a czasem nawet nocą.

— No i co z tego? Oni ją kochają. Kąpią ją, obcinają jej pazury. Ja nie mam siły na takie rzeczy. — Tartakower ruszył w stronę swojej uliczki. — Mam z tymi chłopakami niepisany układ. Opowiadam im różne historie o operacjach. Wprost uwielbiają słuchać tych pociesznych opowieści, dajmy na to o jakimś palancie, który wykrwawił się na śmierć na stole operacyjnym. Albo o amputacjach — to lubią najbardziej. Tak jak szczegółowe opisy ran postrzałowych. W ten sposób udaje mi się przykuć ich uwagę na jakieś pół godziny i jestem w tym lepszy od nauczycieli.

Dresiarz Armia Tartakowera, podsumował w myślach Perlman. — Ale dałeś im moje pieniądze.

— Przypominam szanownemu panu, że to była suma, którą wynegocjowaliśmy za informacje.

— To nie żadne informacje, tylko jakieś gówniane bzdety. Tartakower wyjął z torby jabłko i odgryzł kawałek. Chciał poczęstować Perlmana, ale ten odmówił.

— Pogadajmy o Jackie Ace: dobrze wiedziałeś, co to za typ, do cholery. To transwestyta. I nawet o tym nie wspomniałeś, wpuściłeś mnie w maliny...

Kawałek jabłka utkwili w brodzie Tartakowera. — Przychodzisz do mnie i pytasz o jakiegoś świra, to ci go wyszukuję. Sam go widziałeś. Za mało porąbany, jak dla ciebie? Bo po mojemu jest niezłe stuknięty... a do tego żaden transwestyta.

— Przecież widziałem go, to znaczy ją.

— Jasne, widziałeś Jackie Ace. Tyle tylko, że pomyliłeś pojęcia. Do diabła, wyobraź sobie, Lou, że on idzie na całość. — Tartakower pławił się w złośliwej satysfakcji. Ślina ciekła mu z ust. — Tu idzie o zmianę płci. Na całego, panie glino-mądralino.

— Znowu wciskasz mi jakieś bajki?

— Wierzysz czy nie, twoja sprawa. Kiedyś przed laty Jackie powiedział mi, że nigdy nie czuł się mężczyzną. W środku zawsze byłem kobietą, mówił, jak jakiemuś księdzu na spowiedzi. A teraz zbiera pieniądze na talde operacje, że w głowie się nie mieści. Flaki mi się przewracają na samą myśl. Mają mu odciąć kutasa, wykastrować jaja i wydrążyć pochwę. Rany... Czy to jest według ciebie normalne?

Perlman obserwował jego twarz, na brodatym obliczu malowała się przebiegłość. — I znowu kręcisz?

— A co ja bym z tego miał?

— Po stokroć większy ubaw, do cholery.

— Wiesz, Perlman, czasem przydałby ci się porządny kopniak w dupę. Cztery lata przesiedziałem w pierdłu z najgorszymi mętami w Glasgow. Myślałeś, że będę skakał z radości jak pajac z pudełka, bo zwracasz się do mnie o pomoc? Podaję ci namiary na tego świra, Jackiego Ace'a. Ty szukasz faceta, a trafiasz na transseksualistę. Mówię ci, on tkwi na innym szczeblu ewolucji. A w tym wieku niewiele mi trzeba do śmiechu.

— Tę dłoń odcięto żywej osobie — oznajmił Perlman.

— Żywej? Jesteś tego pewien?

Perlman złapał go za ramię. — Dość tych pieprzonych głupich gierek, Ben. Koniec tych kretyńskich dowcipów z narażaniem mnie na kłopoty, jasne? Albo podajesz mi nazwisko, albo wsiadasz ze mną do wozu i jedziemy prosto na komendę, a tam będziesz się tłumaczył z utrudniania śledztwa w sprawie domniemanego morderstwa.

— Jestem uczulony na samochody. I w ogóle na małe przestrzenie.

— No to czekam.

W głosie Tartakowera zabrzmiała błagalna nuta. — Ile to lat znałem twoją rodzinę w starym Gorbals. I matkę, i ojca. Kiedyś zabrałem twoją ciotkę Hildę promem do Partick. Trwało to zaledwie minutę, ale dla niej to było jak rejs transatlantycki...

— Bóg jeden wie, ile ta kobieta przepłynęła rzek w ucieczce przed nazistami. Co to dla niej przeprawa przez Clyde? To ściek, nie rzeka.

Tamten puścił to mimo uszu. — Tartakowerowie i Perlmanowie byli sąsiadami. W czasie głodu dzieliliśmy się cukrem, węglem i wszystkim innym. Taka wzajemna pomoc między rodzinami. A potem ty dorosłeś, wstąpiłeś do policji i niszczysz całą przeszłość jednym okrutnym gestem...

— Daj już spokój. Potrzebuję nazwiska. Jeśli mi go nie podasz, to nie ma sprawy. Mój wóz już czeka. Najlepiej od razu wsiadajmy.

— Zaraz... Zaczekaj.

— Na co? Na kolejną porcję gównianych bzdetów?

— Słuchaj, na praktykach miałem jeszcze paru innych. Był taki jeden młody, który miał słabość do zwłok. Uwielbiał wtykać palce głęboko w kiszki...

— Zostaw te drastyczne szczegóły dla swoich małych komandosów. Tartakower chwycił go za rękaw. — Pamiętam jeszcze pewną dziewczynę, miała wtedy około dwudziestki.

Krótkowzroczna, brzydka jak noc, kompletny pasztet. Mówiła, że najbardziej lubi amputować. Robiła to ludziom z gangreną w Afryce czy gdzieś tam... nieźle walnięta shiksa, Perl-man...

— Wygląda na to, że w tej swojej klinice miałeś samych psycholi — zauważył Perlman.
— Znudziło mi się słuchać. Wsiadaj do wozu, i już.

Tartakower zrobił płaczliwą minę. — Dobra, czekaj. Może trochę przesadziłem. Przypomniał mi się jeszcze jeden typ, tald jeden chudy, niezdara, w wielkich okularach. Przychodził do kliniki, snuł się po sali, zaglądał tu i tam. Palił się do cięcia; pierwszy raz widziałem takiego maniaka. Może i miał jakieś ukryte zdolności, ale do Jackiego Ace'a było mu daleko.

— No i co z nim?

Tartakower przyciągnął Perlmana bliżej. — Zaczął łązić za Ace'em jak za jakimś cholernym bożyszczem. Smarkacz kompletnie stracił dla niego głowę. Zupełnie jakby wierzył, że z tyłka Jackiego Ace'a kapie złoto. No i Ace wziął go pod swoje skrzydło i nauczył paru podstawowych rzeczy. Widywałem ich razem, jak szeptali coś po kątach.

— I co ich łączyło?

— Chłopak po prostu uczepił się Ace'a jak Darwin skamielin czy Marconi fal radiowych...

— A jak się nazywał?

— Harry Houdini. Był u mnie jakieś sześć czy siedem miesięcy. Aż któregoś dnia, cyk, i zniknął. Tak jak jego imiennik. Warto się za nim rozejrzeć, Lou.

— A Ace będzie wiedział, gdzie go szukać?

— Być może.

— To mogłeś od razu mi powiedzieć.

Tartakower odkaszlnął flegmę i wypluł ją. Przecięła mu przez brodę i skapnęła na chodnik.

— A pewnie, że mogłem — odparł. Czyżby pod tą wielką brodą czał się uśmieszek?

— Sukinsyn — rzucił Perlman.

Ron Mathieson jechał małym, sześciuosobowym busem po Paisley Road West. Na siedzeniu pasażera siedział Big Rooney; palił papierosa i opowiadał jakiś dowcip o pijaku, który pomylił zakonnice z pingwinami, ale

Mathieson wcale nie słuchał. W samym tyle siedzieli Stip i Mały Vic i zaśmiewali się z puenty.

Zawieź ich do HiCon, nakazał Chuck.

Mathieson zerknął w lusterko wsteczne. Mały Vic pociągał napój z puszki, zagryzając hot dogiem. Jego trądzikowa twarz była dziś wyraźnie zaczerwieniona i opuchnięta. Pokryta krostami, przypominała krwistą, podziurawioną skórę pomarańczy. Stip, małomówny mężczyzna ze zrosniętymi nad nosem brwiami, przerzucał czasopismo wyścigowe, opowiadając o jakimś koniu — pewnym zwycięzcy na mityngu wyścigowym Kelso National Hunt, który miał się odbyć następnego dnia.

Rooney, niegdyś bokser amator, patrzył przez okno. — Kiedyś w tej dzielnicy biłem się z jednym czarnym — powiedział. — W drugiej rundzie zlałem go do nieprzytomności. Nazywał się Hamid jakiś tam.

— Czyli chamidło bez jaj — wtrącił Mały Vic.

— Zrobiłem mu z nich jajecznicę — dodał Rooney.

Stip zamknął czasopismo. — Jeśli w ogóle was to obchodzi, ćwoki, to ta kobyła nazywa się Żółta Woda. Startuje o drugiej. Stawka zwykła to cztery funty, ale dzisiaj można wyciągnąć sześć albo siedem.

— Twój ostatni pewniak jakoś jeszcze nie wygrał — zauważył Mały

Vic.

Mathieson włączył radio. Wolał już słuchać popowej sieczki niż tej durnej paplaniny. Chciał jak najszybciej dotrzeć do HiCon i mieć z głowy tych kretynów, którzy spieprzyli łatwą robotę i wpakowali go w kłopoty z Chuckiem.

— Za to ta laseczka była przednia, co nie? — zagadnął Mały Vic.

— Miałem już lepsze — uciął Rooney.

— Bzdury opowiadasz, gamoniu jeden — odparł mu Mały Vic. — Ty nigdy nie miałeś dupeczki, a już na pewno nie takiej jak tamta.

— Kurwa, przerobiłem ich więcej niż ty pożarłeś hot dogów, kurdupłu.

— Jasne, akurat. — Mały Vic pochylił się naprzód i poklepał Mathiesona po ramieniu. — To na jak długo Szef wyjechał z miasta?

— Na miesiąc albo półtora — odparł mu Mathieson. — Dopóki sprawa nie przyschnie.

— Jasna dupa — zaklął Mały. — Półtora miesiąca w Newcastle.

— Znam tam parę laseczek — wtrącił Rooney.

— Półtora miesiąca to kawał czasu — dorzucił Stip, szeleszcząc stronami gazety.

— Rozkaz to rozkaz — uciął Mathieson.

Przejechał wąską, przemysłową uliczką, wzdłuż której stały magazyny i firmy przewozowe i zatrzymał się przy drucianym ogrodzeniu wokół HiCon. Był to budynek z ocynkowanej stali pośrodku zwirowego placu. Obrastały go długie, brązowe łodygi chwastów. Stał nieużywany od lat. Nad głównym wejściem wisiał krzywo zmurszały szyld z napisem „HiCon”.

Mathieson wysiadł, otworzył bramę, po czym ruszył busem w krzaki. — No, czas na przesiadkę, chłopcy — powiedział. — Zaraz ktoś zabierze was stąd do Newcastle. Dostaniecie pieniądze na wydatki plus premię.

— No, to ja rozumiem — ucieszył się Mały Vic, zacierając dłonie.

— Forsę mam tutaj. — Mathieson wskazał na wewnętrzną kieszeń kurtki i otworzył drzwi budynku. Trzej pozostali ruszyli za nim do wielkiej hali, gdzie stały stare kartony z nazwą firmy.

— A co to właściwie jest ten HiCon? — spytał Rooney.

— Zdaje się, że produkowali kiedyś części komputerowe — wyjaśnił Mathieson, przechadzając się po hali.

Trzej mężczyźni rozejrzeli się dookoła. Mały Vic kopnął jakieś tekturowe płyty, spod których wypęzło kilka myszy. — To ile będziemy tu czekać?

— Pięć minut, może dziesięć — odparł Mathieson.

— A czemu ty nie możesz nas zawieźć? — dociekał Rooney.

— Bo nie mam czasu, stary.

— Widać, Szef ostro go ćwiczy — zauważył Stip. — No, to gdzie ta premia?

Mathieson wyjął z kieszeni trzy koperty i dał każdemu po jednej. Rooney od razu otworzył swoją i przeliczył pieniądze. — Pięć kawałków. Super.

— Plus opłacony hotel — dodał Mathieson, spoglądając na druciane siatki w oknach. — Macie tylko nie wychodzić z pokoi, siedzieć cicho i nie robić żadnych cyrków.

— A jak zrobimy, to co? — zagadnął Mały Vic.

— Słuchajcie, chłopaki, ja tylko przekazuję polecenia szefa.

— Mamy wiać do Anglii, bo jakaś głupia cipa się powiesiła — zrzędził Rooney.

Mały Vic stał w kącie i sikał. — To bez sensu — rzucił przez plecy. — Pieprzone Newcastle. Tam mówią jakimś dziwnym językiem.

— Przynajmniej nie idziecie do pierdla — zauważył Mathieson.

— Ale moja dziewczyna jest w ciąży — oznajmił Stip.

— Kurwa jego mać — zaklął Mały Vic. — I po kiego ci bachor? Pałęta się tylko pod nogami, ciągle beczy, a do tego jeszcze kupuj mu ciuchy i buty; nic, tylko wyciąga z ciebie forszę. Pieluchy, śliniaki, ubranka i chuj wie, co jeszcze.

— My chcemy mieć to dziecko — powiedział cicho Stip.

— A kto jest tatusiem? — ciągnął Mały Vic, zapinając rozporek. — Oby tylko smarkacz miał te twoje brwi.

— Cha, cha. Cholernie zabawne — odparł mu Stip.

Na zewnątrz zajechał jakiś wóz. Mathieson usłyszał zgrzyt opon po żwirze i odgłosy otwieranych i zamykanych drzwi. Wyszedł przed budynek.

— Ej, a ten, kurwa, dokąd? — zdziwił się Mały Vic.

Rooney wyjrzał przez okno. — Gada z jakimiś dwoma facetami, co przyjechali busem.

— Dwóch kierowców? — Mały Vic podszedł do okna. — A po co aż dwóch, skoro jedziemy tylko do Newcastle?

— Może tylko jeden to kierowca — odparł Rooney.

— To po co ten drugi? — zastanawiał się Stip, zerkając przez sąsiednie okno. — A w ogóle znacie ich?

Obaj zaprzeczyli.

— Może to goryl — orzekł Stip.

Wtedy w drzwiach pojawił się Mathieson. — No, to ja spadam, chłopcy. Miłej podróży. I pamiętajcie, żadnych kłopotów.

— Jasne, masz to jak w banku — odparł Mały Vic, złapał się za uszy i wysunął je jak radary.

Mathieson wrócił do swego busa, wsiadł za kierownicę i patrzył, jak dwóch przybyłych mężczyzn wchodzi do budynku. To byli prawdziwi twardziele, mówili z akcentem typowym dla mieszkańców Fife. Jeden z nich, ten wyższy, miał na głowie płaski beret, a drugi był łysy, z opuchlizną wielkości piłd golfowej na policzku od jakiegoś zapalenia dziąsła.

Dwa importowane talenty.

Mathieson usłyszał, jak jeden z nich krzyczy: — No, jak tam, chłopaki, gotowi na długą podróż? — A potem zagrzmiały kolejno trzy strzały.

Mathieson przymknął oczy i czekał, aż znowu zapadnie cisza. Następnie wysiadł z busa i wszedł z powrotem do budynku. Dwaj twardziele z Fife sprawdzali, czy żaden z tamtych trzech się nie porusza. Leżeli jak kłody. Mathieson przeszedł po hali i zebrał koperty. Ta, którą wyjął z bezwładnej dłoni Rooneya, była zabrudzona strużką krwi. Mały Vic leżał twarzą do ziemi tuż obok Rooneya. Miał wgniecioną skroń. Na twarzy Stipa malowało się niezadowolenie.

— Gładko poszło — zauważył Mathieson, chowając koperty z powrotem do kieszeni.

— Robimy swoje i już nas nie ma — rzekł jeden z zabójców.

— Cała przyjemność po naszej stronie — dodał ten z opuchniętą twarzą.

— Jakbym kiedyś was potrzebował, to wiem, gdzie was szukać — powiedział Mathieson.

— Wpadnij się przywitać, jak tylko będziesz w East Neuk — rzucił

łysy.

— Tylko przedtem nas uprzedź, jeśli ci życie miłe, jasne? — dorzucił ten drugi.

Obaj roześmiali się i przybili sobie piątkę.

— Jasne, najpierw zapukać. Będę pamiętał — odparł Mathieson.

28

Perlman wrócił do domu. Nie spodziewał się wprawdzie zastać Betty, ale wchodząc do domu, na wszelki wypadek ją zawołał. Żadnej odpowiedzi. Pewnie była gdzieś u rodziny albo najbliższych przyjaciół, szukając otuchy. A jednak poczuł się zawiedziony tą głuchą ciszą. Pozbierał z podłogi korespondencję i przejrzał ją: wyciąg z banku, ulotki organizacji humanitarnej, zaproszenie na otwarcie jakiegoś sklepu o nazwie Meblarnia: KUP SWÓJ WYMARZONY KOMPLETMEBLI DO SYPIALNI. DRASTYCZNE CIĘCIA CEN!!!!

Przydałby mi się materac, pomyślał.

Ostatnią przesyłką była pocztówka od Miriam. Perlman rzucił wszystko inne z powrotem na podłogę i wszedł do pokoju dziennego, by ją przeczytać.

Rozbolały go oczodoły. Pewnie od soczewek albo od stresu. W szufladzie kredensu wyszukał tabletki przeciwbólowe. Wziął jedną, włożył do ust i przełknął bez popijania wodą. Zauważył, że kończą mu się zapasy leku — z trzydziestu przepisanych tabletek połknął już dwadzieścia siedem. Powinien je ograniczyć, zamiast tak się nimi obżerać.

Usiadł w fotelu i zapalił papierosa. Przez chwilę wodził palcem po gładkiej stronie pocztówki, nie patrząc na tekst. Co się tak ociągasz z jej

przeczytaniem? Czego się boisz? Złych wieści, bolesnej prawdy. „Wiesz, Lou, poznałam kogoś... On całkiem odmienił moje życie”.

Albo: wychodzę za mąż za Mario.

Albo: miałam wypadek i leżę w szpitalu.

Wtedy przyszła mu do głowy samolubna myśl: niech lepiej leży w szpitalu niż ma się zakochać w innym mężczyźnie. Cholera, co on wyprawia — życzy jej nieszczęścia, na litość boską?

Przeczytał pocztówkę, wysłaną pięć dni temu z Barcelony. Tekst był krótki: Ładne miasto. Po co wracać do Glasgow? Ciepłe pozdrowienia, M.

I znowu te ciepłe pozdrowienia.

A więc tym razem Barcelona. A zamiast Mario pewnie jakiś Juan albo Pedro. Taka z niej podróżniczka. O rany, świat naprawdę stoi przed nią otworem.

Po co wracać do Glasgow? Czytaj: po co wracać do Perlmana? Niechybnie dała mu kosza.

Zabolało go to; skłamałby, gdyby temu zaprzeczył, a jednak tym razem ból był lżejszy niż przedtem. Poczuł w sercu bardziej ukłucie szpilki niż cios sztyletem. A swoją drogą każde rozstanie tłumi nadzieje i odbiera marzenia; zawsze tak jest. A w moim wieku powinienem chyba jeszcze o czymś marzyć.

Wstał i wyszedł do przedpokoju pozbierać resztę korespondencji. Byle tylko utrzymać czystość. Żadnego bałaganu. Włożył pocztę do szuflady, zapalił papierosa i zaczął chodzić po pokoju, wciąż trzymając w ręce pocztówkę od Miriam.

Przeczytał ją raz jeszcze.

Napisała ją pięć dni temu. A przynajmniej wtedy ją wysłała. Pewnie już dawno wyjechała z Barcelony. Perlman postawił pocztówkę na półce z płytami kompaktowymi. Myślnami wrócił do zdjęcia, które widział u niej na poddaszu, na stoliku przy łóżku: Colin i Miriam, szczęśliwa para. Latta. To on musiał je tam postawić, bo jeśli wierzyć temu, co Miriam wyznała Perlmanowi, jeszcze zanim znikła z jego świata, to gardziła swoim zmarłym mężem i nic już ich nie łączyło...

Przypomniał sobie najświeższą nowinę od Tartakowera: trzeba będzie się tym zająć, najlepiej zaraz — nie mógł jednak wyprzeć z myśli rozedrganego obrazu Miriam. Zadzwoił do firmy telekomunikacyjnej i spytał, kiedy odcięto jej telefon. Jakaś kobieta oznajmiła mu, że siedem tygodni temu, z powodu niepłacenia rachunków. Skontaktował się też z dostawcą prądu, gdzie mężczyzna o wysokim głosie poinformował go,

że rachunki za elektryczność płacono co kwartał i kolejny termin wypadał za tydzień.

No dobra, odcięli jej telefon, bo nie zapłaciła rachunków. Przez zapomnienie? Czy może planowała nie wracać? A skoro tak, to czemu nie wspomniała o tym w żadnej z pocztówek i zostawiła tu tyle swoich osobistych rzeczy — z obrazami włącznie? Zostawiła je na pastwę losu? To raczej mało prawdopodobne. Może po prostu się waha. Może jeszcze nie zdecydowała, czy wrócić, czy wyjechać na zawsze...

A zresztą co mi do tego? Co mnie to, do diabła, obchodzi?

Znowu pomyślał o pocztówce. Wziął ją do ręki i uważnie obejrzał. Nudny widok zatłoczonej plaży, poutykane w piachu parasole przeciwsłoneczne, palmy. Nawet nie raczyła ruszyć tyłka, żeby się rozejrzeć za ciekawszą pocztówką — jakąś artystyczną, dajmy na to, ze zdjęciem jakiegoś dzieła tego faceta... Perlman zaczął szukać w pamięci nazwiska.

Gaudi.

A to dlatego, że ma go gdzieś. Albo uznała, że Perlman nie potrafi docenić sztuki czy architektury. Nie dorastał jej do pięt.

W jednej chwili ogarnęła go wściekłość: o to, że tak długo podsycił w sobie tę nikłą nadzieję i że ona wyjechała sobie bez choćby jednego pieprzonego słowa pożegnania, a on daje się jej uwodzić jakimiś pocztówkami, które przypominały rozwlekły pseudo-stripteiz; ani razu nie zdjęła z siebie choćby jednego fragmentu ubrania, a on był na tyle głupi, by łudzić się, że może kiedyś to zrobi.

Rozerwał pocztówkę na pół, razem z plażowiczami, piachem i morzem, a potem darł ją na coraz mniejsze kawałki, które wypadły mu z drżących palców na stolik.

Nie słyszał nawet, jak do pokoju weszła Betty McLatchie. Podniósł wzrok, ujrzał ją i szybko zasłonił sobą stolik, jakby chciał ukryć przed nią widok podartej pocztówki.

Była ubrana cała na czarno: płaszcz, chusta, okulary, dzinsy. Jej surowy wygląd przełamywały tylko szara koszula i bordowe glany. — Mogłam zadzwonić — powiedziała.

— To nic, w porządku, nie ma sprawy.

Usiadła w fotelu i utkwiała wzrok w podłogę, a po chwili podniosła głowę i spojrzała na niego. Z jej postaci emanował taki smutek, że serce mu się krajało.

— To nie był Kirk — orzekła.

Przez chwilę miał mgliste wrażenie, że mówiła całkiem poważnie, że zdarzyła się jakaś fatalna pomyłka i okazało się, że zamordowany chło-

pak to wcale nie jej syn. Ale nie, ona użyła przenośni, jak zazwyczaj mówi się o zmarłych. Odszedł, przekręcił się, kopnął w kalendarz.

— Kirk od razu by wstał i krzyknął: prima aprilis, mamó! On uwielbiał płać figle. Ale do kwietnia jeszcze daleko, niech to szlag. — Otworzyła małą, skórzaną, czarną torebkę i wyjęła papierosa. Perlman podał jej ogień. Zaciągnęła się głęboko.

Przysiadł obok niej na podłokietniku i położył jej rękę na dłoni. — Tak mi przykro — szepnął, zastanawiając się, co jeszcze można powiedzieć w takim przyływie silnych uczuć. Trzeba by wymyślić jakieś nowe słowa, by wyrazić rozpacz.

Pokręciła głową i wypuściła w górę smużkę dymu, która uleciała lekko na skos. — Zawsze miałam w sobie tę odrobinę optymizmu. To coś jak płomień świecy gdzieś w zakamarku głowy. Nie pozwalam, żeby zgasł, bo chcę wierzyć w ludzi i cieszyć się życiem. Ale czym, do diabła, mam go teraz podsycać?

Perlman chciał powiedzieć, że potrzeba trochę czasu, ale zamiast tych słów równie dobrze mógłby dać jej cukierka. Wstał, wziął z komody popielniczkę, wyjął jej z ręki wypalonego papierosa i zdusił go. Ale ona jakby tego nie zauważyła.

— Wierzysz w Boga, Lou?

Myśl o Bogu zawsze budziła w nim niepokój. Jako dziecko myślał, że Bóg to rabin Friedlander z ogromną brodą, o apodyktycznym głosie. — Kiedy mam dobry dzień, to wydaje mi się, że istnieje gdzieś jakaś dobroczytna siła. Ale to nieczęsto mi się zdarza. A przynajmniej nie w takie dni jak dziś.

Wstała z fotela, przeszła przez pokój i przesunęła dłonią po rzędzie płyt kompaktowych, jakby sprawdzała, czy zdążył już się na nich osadzić świeży kurz. Stała przy stoliku, spuściła głowę i popatrzyła na podartą pocztówkę. Perlman nie bardzo wiedział, czy Betty czyta fragmenty słów na skrawkach, czy tylko bezwiednie zatrzymała na niej wzrok.

— Wychowano mnie w wierze — powiedziała. — Ale mam już dość gędzenia księży, Lou. Jedyne, co mogą dla mnie zrobić, to pochować mi syna. — Podniosła głowę i spojrzała na niego. — Czemu niektórzy ludzie są...

— Żli do szpiku kości?

— Właśnie. Dlaczego tak jest? Na litość boską, przecież Kirk nic nikomu nie zrobił... Ten chłopak był niewinny. Miał, co prawda, swoje wady, ale żadnych złych zamiarów, wierz mi, Lou.

I właśnie tacy chłopcy padają ofiarami zbrodni, giną niewinni ludzie. Perlman czuł lekkie działanie środków przeciwbólowych, ale to nie była ta sama łagodna obojętność, której zwykle doznawał. Wręcz przeciwnie: zmysły miał nagle wyostrome. Widocznie sprawa Betty drażyła go do tego stopnia, że osłabiła nawet zazwyczaj silny wpływ tabletki.

— Wyjdźmy stąd — zaproponował. — Chodźmy się przewietrzyć i usiąść gdzieś na kawę.

— Jasne, czemu nie?

Wyszedł z nią do przedpokoju. Na zewnątrz Betty ruszyła ścieżką powolnym, refleksyjnym krokiem, zatrzymując się co jakiś czas, by poprawić okulary czy chustkę. Perlman już miał otworzyć drzwi od strony pasażera w swoim fordzie ka, kiedy oznajmiła: — Wolałabym się przejść, Lou.

— W porządku, jak sobie życzysz.

W milczeniu przeszli parę metrów. Nie patrząc na niego, Betty wsunęła mu rękę pod ramię. Perlmana cieszyła ta bliskość. Ona potrzebowała wsparcia, a on był gotów je ofiarować.

Zaproponował spacer przez Tollcross Park, rozległy, zielony teren na peryferiach Egypt. Betty zgodziła się. Słabe słońce oświetlało park, rzucając blady poblask na wielką, przeszkloną bryłę budynku Ogrodów Zimowych. Ścieżką sunęła grupka biegaczy w kolorowych podkoszulkach i szortach — tryskająca energią sportowa drużyna.

Perlman i Betty ruszyli w stronę Ogrodów Zimowych. Perlman dostrzegł w szkle ich wspólne odbicie. Małżeństwo z długim stażem, można by pomyśleć, patrząc na tych dwoje. Oto jak pozory mylą. Perlman otworzył jej drzwi. W budynku było ciepło. Tropikalne rośliny wybuchały feerią kolorów i przedziwnych kształtów. Perlman wprowadził Betty do kawiarni. Tam usiedli przy stoliku, tuż obok zawilgoconego od pary okna, i zamówili kawę.

— Pewnie oderwałam cię od jakichś ważnych spraw, Lou — powiedziała, trzymając filiżankę oburącz.

— Wszystko inne może poczekać.

— No więc kto się zajmuje sprawą Kirka?

— Facet nazwiskiem Adamski.

— A czy on potraktuje to serio? Odszuka sprawcę?

— To solidny gość.

— Nie odpowiedziałeś na moje pytanie...

— Sprawa jest w dobrych rękach; facet ma do pomocy grupę niezłych fachowców.

— Słuchaj, a jak długo właściwie potrwa ten twój urlop zdrowotny?

— Wygląda na to, że całą wieczność — odparł, dobrze wiedząc, o co jej chodzi: wołała, żeby raczej ktoś znajomy zajął się poszukiwaniem zabójcy jej syna. — Ale będę w bliskim kontakcie z Adamskim.

— Będę ci bardzo wdzięczna.

Mimo zakazu palenia wyjęła papierosa. A co tam. Zrozpaczonemu człowiekowi wolno chyba sobie pofolgować i chociaż przez jeden dzień chrzanić wszelkie zakazy.

— Nie cierpię tego smaku. Nie wiem, po co w ogóle palę. — Wrzuciła papierosa do na wpół niedopitej kawy. — A wiesz, co mnie najbardziej w rym wszystkim dobija? Sama myśl, że już nigdy w życiu go nie zobaczę.

Perlman był podenerwowany, nie mógł usiedzieć w miejscu. Kawa, za dużo papierosów, niedojadanie. Skądś dochodził odgłos radia, ktoś wygrywał na piszczałce melodię „Tunes of Glory”. Betty wstała bez słowa, wyszła z budynku i stanęła nieruchomo w blasku słońca.

Perlman ruszył za nią. Dawna Betty cieszyłaby się tętniącym wokół życiem, dostrzegałaby dynamizm otaczającego ją świata. Widziałaby, jak biegacze oddalają się sprintem, zauważyłaby, jak nad koronami drzew wzbija się wdzięcznie ku wolności młody jastrząb. Uśmiechałaby się do gromadek młodych mam, które mijały ich wraz ze swymi rozkrzyczanymi i roześmianymi brzdącami, i słyszałaby terkot żółtego, plastikowego wiatraczka w ręku dziecka.

Ale Betty szła w milczeniu, z dłońmi w kieszeniach. Perlman odgarnął kosmyk włosów, który opadał jej na okulary. Zdjęła je i popatrzyła na niego, jakby chciała podziękować mu za jego obecność i wsparcie, choć nie odezwała się ani słowem. Przetarła tylko powieki opuszkami palców i założyła z powrotem okulary. Ale nim to zrobiła, Perlman zdążył dostrzec ten niesamowity błękit, który przypominał mu czyste, arktyczne niebo. Widać było, że płakała. Miała przekrwione białka oczu, ale ich błękit wciąż był taki sam. Wtuliła mu twarz w ramię i westchnęła.

— A teraz odprowadź mnie do mojego samochodu, Lou.

— Oczywiście.

Znowu wzięła go pod rękę i ruszyli przez park. W pół drogi do Wellshot Road Betty przerwała milczenie. — Ta kobieta, która wyjechała, to Miriam — powiedziała ni stąd, ni zowąd. — Widziałam podartą pocztówkę — dodała.

— Zgadza się, to ona. Wieczna podróżniczka.

— Czasem wspominają ją twoje ciotki, chociaż niezbyt miło. Pamiętam, że czytałam kiedyś o jej sprawie sądowej. Trzymałeś wtedy jej stronę.

— Uznałem, że jest niewinna.

— I to był jedyny powód?

Pytanie zabrzmiało zbyt osobiście. — Po prostu nie znoszę niesprawiedliwości — odparł. Me mogłem patrzeć, jak Miriam, śliczna i bezbronna Miriam, musi znosić bolesne uwagi i dręczące pytania tego sukinsyna Latty.

— A przez to nieźle załazłeś paru ludziom za skórę.

— U mnie to na porządku dziennym — odparł, wpatrzony w nią, ale ona znowu odpłynęła, bląkając się między jawą a snem, jak lunatyczka.

W jednej chwili zatrzymała się i sięgnęła wzrokiem do końca ulicy, jakby ujrzała na wprost coś lub kogoś znajomego. Perlman nie zauważył tam nic szczególnego. Jakiś mężczyzna otworzył samochód i wrzucił do niego laskę. Jakaś kobieta właśnie wchodziła do kamienicy, obładowana dwiema ciężkimi reklamówkami z Tesco. Nadjechała też biała furgonetka, prowadził ją młody człowiek. Wtedy na ulicę wbiegł rudy kot, niemal tuż pod koła furgonetki. Ta skręciła gwałtownie z piskiem opon. Kot czmychnął pod parkowe ogrodzenie, zniknął w krzakach, a furgonetka ruszyła dalej.

— Niewiele brakowało — powiedział Perlman.

— Takie to mają dziewięć żywotów — zauważyła Betty. — Szkoda, że nie jest to dane ludziom.

— A przynajmniej niektórym — zgodził się Perlman. Doszli do jego domu i Betty otworzyła swój samochód.

— Dziękuję za towarzystwo — powiedziała.

— Polecam się na przyszłość. Jakby co, to zadzwoń... Poldepała go po ramieniu. — Zadzwonię na pewno. Odprowadzając ją wzrokiem, zdał sobie sprawę, że wolałby, żeby została.

W domu poczuł pustkę. Podeszedł do stolika i spojrzał na skrawki pocztówki. W szufladzie, gdzie trzymał nieprzeczytaną pocztę, wyszperał poprzednie kartki od Miriam-Podróżniczki. Rozłożył je wszystkie na stoliku, poskładał skrawki tej, którą podarł, i porównał charakter pisma: wszędzie takie samo, zamazyste litery z wielkimi zawijasami, wykaligrafowanymi roztańczonym, jasnoniebieskim długopisem. Podeszedł do kuchni po pozbawione ramki zdjęcie, które ukradkiem zabrał z sypialni Miriam. Zaniósł je do pokoju dziennego i porównał pismo na odwrocie z tym na pocztówkach: to samo. Tylko uczucia, jakie się za nim kryły, były różne.

Czego właściwie szukał?

Czegoś więcej niż tylko zwykłej, lakonicznej wiadomości.

Popatrzył na widoki z pocztówek. Ta z Florencji przedstawiała turystów spacerujących w słońcu po jakiejś ulicy, przy której sprzedawano same skórzane kurtki. Nie było w tym nic zachwycającego. Opalone twarze i rzędy wieszaków z kurtkami. A gdzie katedra Duomo? Albo Drzwi Ghi-bertiego? Czy Miriam ma go za kompletnego kretyna? Czegokolwiek bym mu nie wysłała, to i tak się ucieszy.

Na pocztówce z Kopenhagi był zaśnieżony dworzec kolejowy. Powalający widok, nie ma co. Żeby tak chociaż pomnik Małej Syrenki, na litość boską. Pewnie wpadła do jakiegoś sklepu z pamiątkami, chwyciła jakąś cholerną, pierwszą z brzegu kartkę, nabazgrała dwa słowa i wysłała.

A może po prostu chodzi jej o to, żebym łamał sobie głowę.

Westchnął, zgarnął pocztówki i podarte skrawki i włożył z powrotem do szuflady. Przez chwilę zasłuchał się w ciszę panującą w całym domu. To miejsce zdawało się puste, jakby oderwane od świata. I w końcu wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Wsiadł do swego małego, śmiesznego autka i odjechał: ku wzywającym go głosom.

29

Na schodach centrum odnowy biologicznej Number One stał Reuben Chuck i dzwonił z komórki do Ronniego Mathiesona.

— No i jak poszło?

— Już po wszystkim — zameldował Mathieson.

— Obyło się bez problemów?

— Poszło gładko jak po maśle, panie Chuck.

— W takim razie potraktuj to jak nauzkę, Ron. Człowiek uczy się przez całe życie, zapamiętaj to sobie.

Chuck rozłączył się, wszedł do środka, a potem schodami do siłowni na piętrze i do pokoju Głorianny w głębi sali. Przez cały czas myślał o trzech trupach: pal lichu, czy tamta kobieta powiesiła się sama, czyjej w tym pomogli; najważniejsze, że za jednym zamachem miał trzy problemy z głowy. Co z tego, że Montague poda rysopis któregoś z nich? Zwłoki leżą już zamknięte na klucz w budynku, który należał do Gordy'ego Curdy i od ponad dwóch lat stał pusty. Żadna agencja nieruchomości nie wystawiła go jeszcze na sprzedaż.

Glorianny nie było. Spóźnia się, i to chyba pierwszy raz w życiu.

Chuck wszedł do magazynu. Pewnie zastanie ją przy inwentarzu: sprzęt, ręczniki, środki chemiczne i zestawy witamin, na których firma zbijała nieprzyzwoicie wielką fortunę. Ale w magazynie też jej nie było. Wyszedł, spojrzął na jej pusty leżak i rzucony na podłogę zeszlotygodnio-wy egzemplarz Scotland on Sunday.

Czytywała ten szmatławiec bardzo namiętnie: trzeba być na bieżąco, mówiła mu. Chuck nie cierpiał tego pisma, bo publikowało serię artykułów o „ciemnej stronie” Glasgow: Ukochany, zielony zakątek w rękach mafii. Kompletne bzdury w stylu „Ojca chrzestnego” i wmawianie naiwnym czytelnikom, że w działalność każdej instytucji w tym mieście, począwszy od kasyn przez lduby piłkarskie aż po przedszkola, są zamieszani jacyś przestępcy. Jego samego wymieniono z nazwiska jako byłego „wspólnika” nieżyjącego już Curdy'ego — notorycznego oszusta ubezpieczeniowego, malwersanta i lichwiarza, który miał „powiązania” z członkami mafii z za południowej granicy i nie tylko. Chuck wpadł w szal, chciał nawet pozwać czasopismo, ale jego prawnicy odradzili mu to ze względu na konieczność publicznego pokazywania się, jaką niesie ze sobą każdy proces.

I mieli rację.

Schodząc na dół, zadzwonił do mieszkania Glorianny, ale odpowiedział mu tylko jej nagrany głos: W tej chwili nie ma mnie w domu. Życzę miłego dnia. Spróbował jeszcze na komórkę, ale musiała ją wyłączyć. Też chyba pierwszy raz w życiu, pomyślał. Była wielką miłośniczką telefonów komórkowych, mówiła, że to jej koło ratunkowe. Chuck usiadł na chwilę, zastanawiając się, czy przypadkiem Glorianna nie została u Dysarta na noc. Ta myśl go zaniepokoiła.

Z siłowni dobiegły go głosy. Tommy Lombardo instruował jakiegoś geja o tlenionych blond włosach przy podnoszeniu ciężarków.

— Oj, Thomaso, ty mnie chyba zamęczysz, okrutny chłopcze.

Chuck zerknął na recepcję, gdzie Zondra zapisywała właśnie nowych klientów. Patrzył, jak pieniądze przechodzą z rąk do rąk i — ku jego zadowoleniu — trafiają do kasy, a nie do kieszeni białych, ciasnych szortów Zondry. Następnie wszedł do małego biura Lombarda i zamknął drzwi. Już dawno powinienem był przestać pilnować każdego centa, myślał. Mam w swoich rękach całe imperium. A jednak trudno mu było wypłenić dawne nawyki z tamtych trudnych lat, kiedy był jeszcze młodym, ambitnym chłopakiem na niskim stanowisku, który zawsze przeliczał drobne.

Chuck wybrał w komórce numer Ricka Tosha.

— Siema — odezwał się Rick.

— Słuchaj, Rick, zanotuj to sobie — powiedział. — Bank Azteca na Arabie. Numer konta: 957 8671-045. Hasło: hrabiadrakula. Zapisaleś?

— Hrabiadrakula? Jedno słowo?

— Tak. Masz ten kod przelewu, który ci podałem?

— Jasne. Zaraz to załatwię. Pieniądze będą jutro na twoim koncie w Luksemburgu, potrączę tylko swoją prowizję. Nieźle wymiatasz, stary. Dajesz czadu.

— Co wymiatam, to gromadzę.

— Oby do przodu, Rube. W martwym stawie nie ma życia, prawda? No, a jaka tam u was pogoda?

— A jak myślisz? Ty to pewnie smażysz się w trzydziestostopniowym upale.

— W cieniu jakieś dwadzieścia, bardzo przyjemnie. Musisz tu kiedyś przyjechać, Rube. Urządzę, cholera, takiego grilla jak nigdy w życiu.

— Może kiedyś. W każdym razie zadzwoń, jak już zdeponujesz te pieniądze.

I Chuck pożegnał się. Grill, pieczenie martwych zwierząt i polewanie ich brązowym sosem. Usiadł i oparł łokcie o biurko Lombarda, obłożone ilustrowanymi czasopismami o kulturystyce. Modele na okładkach wyglądali jak kowboje na sterydach. Podenerwowany, wystukał raz jeszcze oba numery do Glorianny, i znowu nic. A może dzisiaj rano ma te swoje lekcje śpiewu? Chuck zajrzał w kalendarz na biurku Lombarda.

Nie. Lekcje śpiewu miała w poniedziałki. A więc nie dzisiaj.

Poczuł lekkie przygnębienie. Śmierć tylu ludzi budziła w nim niepokój. Zastanawiał się, ile z tego da się naprawić, a ile trzeba będzie odpokutować w sensie karmicznym. Pragnął zobaczyć się z Babą i zaznać skupienia, potrzebował cichego kontaktu, kojącego obcowania duchowego.

Znowu wybrał numer, tym razem do Dysarta.

— Halo.

— Dorco, jak ci poszło z Glorianna?

— Ssłucham? — wyjąkał Dysart.

— Trochę żeś się przy niej odprężył, Dorco?

— Aha... nottak.

— A o której od ciebie wyszła?

— Nnie pamiętam. Zasnąłem.

— Pewnie wezwała taksówkę?

— Ch-chyba tak, panie Chuck.

— Tyle że w twojej dzielnicy raczej trudno o taksówkę, co?

— Nnie wiem, nie jeżdżę taksówkami.

Reuben Chuck zamilkł, oczami wyobraźni widząc Glorianę na tym pustkowiu, rozglądającą się za taksówką. Może po prostu zadzwoniła po którąś. Miała chyba dość oleju w głowie, żeby nie szwendać się pieszo po takiej dzielnicy.

Szybko zmienił temat. — A przy okazji, Dorco, mój człowiek był bardzo zadowolony z twojej ostatniej dostawy.

— Och, tto świetnie — odparł tamten i zaśmiał się.

— Oby tak dalej.

— Jjasne, ppostaram się.

Chuck odłożył słuchawkę. Drażnił go ten śmiech Dysarta, podobnie jak jego jąkanie się i urywane zdania: Dysart to dziwak, bez dwóch zdań. A zresztą w jego fachu nie da się być normalnym.

Chuck wstał z miejsca. Pamiętał, jak kiedyś kochali się z Glorianna w toalecie na pokładzie samolotu lecącego na Korfu. Ona stała oparta o umywalkę, z podkasaną sukienką i majtkami zsuniętymi aż do kostek, a on widział swoją twarz w lustrze tuż za jej głową. Wciąż miał w pamięci warkot silników i to, że jego własne odbicie zdawało mu się obce, jakby widział jakiegoś innego faceta w ekstazie... To była cudowna, nieziemaska chwila — i stanowczo za krótka. Oto jedyny minus erotycznego uniesienia: mija równie szybko jak nadchodzi.

A jednak brakowało mu tej intymności i emocji wspólnego, gwałtownego szczytowania, do którego doprowadzali się nawzajem, i trwania w uścisku, kiedy już było po wszystkim, i radości, że potrafił ją zadowolić, i jej nieprzytomnego wzroku, jakby dopiero co wróciła z innej planety. I wtedy wyobraził sobie Glorianę masującą Dorco.

Jakoś nie mieściło mu się to w głowie.

Ron Mathieson wioził go po Hyndland, między kamienicami z czerwonego piaskowca. Przed Świątynią Duchowej Mądrości Chuck nakazał Ma-thiesonowi czekać, a sam wszedł do środka.

Miejsce świeciło pustkami. Na podłodze piętrzyły się wielkie poduszki Baby. Chuck zauważył, że stłuczone oko Chrystusa zostało już naprawione, a po wiadrze, do którego kapiała woda z przeciekającego dachu, nie ma ani śladu. No i co teraz? Ma czekać, aż zjawi

się Baba? Podszedł do stosu poduszek i popatrzył na zasłony zaciągnięte na ścianie parę metrów w głębi świątyni.

Zaczął krążyć po sali. Zleciłem zabójstwo trzech osób, Baba. Kazałem sobie dostarczać wycięte z ludzi organy. Łatwiej byłoby odmówić dwadzieścia zdrowasiek i z czystym sumieniem pójść sobie do pubu. Ale z ucieczkami w alkohol też już skończył.

Zza zasłony dobiegły go jakieś odgłosy. Pewnie Baba siedział tam, odpowiadając medytacje. W takich chwilach nie wolno mu przeszkadzać. Baba często zaszywał się z grupą swoich akolitów — mizernych, pryszczatych chłopaków i dziewcząt, którzy wyglądali jak wyszani z krwi przez stado wampirów. Chuck nie przepadał za tą grupką młodzieży i starał się jej unikać. Tamci byli jeszcze bardziej nawiedzeni niż sam Baba.

Chwileczkę.

Co to za skrzypienie? Podszedł bliżej do zasłony i nasłuchiwał. Poczł jakiś znajomy zapach, ale zignorował go, bo zupełnie nie pasował do tego miejsca. Dotknął zasłony.

Z głębi sali usłyszał przyciszony głos Baby. — Nikogo nie wolno mi osądzać.

— I on traktuje to na poważnie? — spytał inny głos, prawie zniżony do szeptu.

— Wielu ludzi przychodzi do mnie w rozpacz, kiedy ich dusze są zagrożone — odparł Baba.

— Szukają wytchnienia i uciezki?

— To jedno i to samo.

— Niekoniecznie.

Znam ten cholerny głos, uznał w myślach Chuck. Rozchylił zasłony i zajrzał do kryjącego się za nimi surowego pomieszczenia. Baba, który siedział po turecku na podłodze, odwrócił głowę i, zaskoczony, przywitał go lekkim uśmiechem. Chuck przeniósł wzrok na kubełek z Kentucky Fried Chicken, stojący na podłodze między guru a jego gościem, który stał, trzymając w ręce tłuste udko kurczaka.

— No proszę: Scullion — odezwał się Chuck.

— Przyszedłem podyskutować o bożych zamysłach, Reuben. — Scullion trącił kubełek czubkiem buta, przesuając go w stronę Chucka. — Skrzydełko czy nóżka?

— Może innym razem — odparł Chuck, poirytowany i zaniepokojony wizytą Sculliona w Świątyni.

— Pan Scullion ma kilka pytań, Reubenie — oznajmił Baba.

— Coś podobnego.

— Właśnie mu mówiłem, jaki z ciebie hojny człowiek.

— Nieomalże święty — dodał Scullion.

— Tego nie powiedziałem. Mówiłem tylko, ile ofiarowałeś dla Świątyni i jak bardzo starasz się odnaleźć właściwą drogę.

— Bo podobno czujesz się zagubiony — dorzucił Scullion. Reuben Chuck zerknął na Babę. — On jest z policji, mistrzu. Chce zwalić na mnie winę za jakieś przestępstwa.

— Doprawdy? — spytał Scullion z niewinną miną.

— Nie słyszałem, żeby wspomniał o przestępstwach, Reuben — tłumaczył Baba. — Pytał tylko ogólnie, czym się tu zajmujemy, a przy okazji, jak to zwykle bywa, padło twoje nazwisko.

— A więc ten glina zgłębia tajniki wiary, a moje nazwisko padło przy okazji, tak? — Chuck spojrział na kubełek z KFC. — Naprawdę żresz te świństwa, Scullion? Nie wiesz, że to trucizna?

— W policji nie ma czasu ani pieniędzy na drogie restauracje. Musi nam wystarczyć szybkie, gówniane żarcie na wynos.

— Wyczuwam pewne napięcie, jakieś negatywne prądy — orzekł Baba.

— Ale chyba nie ode mnie — odparł Scullion.

— Udajesz, że przychodzisz do Świątyni, Scullion, a tak naprawdę chcesz powęszyć w moich sprawach osobistych i wyszperać to i owo — podsumował Chuck.

— Oto przejaw twojej paranoi, Chuck. Baba opowiadał mi, że podarowałeś Świątyni autobus. To bardzo szlachetne z twojej strony. Rozumiem, że jesteś prawowitym właścicielem tego pojazdu?

— No wiesz? A pewnie, że jestem.

— I masz tytuł prawny do tego autobusu, Chuck?

— Do czego ty zmierzasz? — rzucił, podenerwowany. — Przecież mówię, że tak.

— W takim razie musisz mieć dowód własności pojazdu — zakomunikował Scullion.

— Jest u moich prawników. Przygotowują akt przekazania prawa własności.

— A ci prawnicy to pewnie Roman, Glebę i Hack? — Scullion schylił się, chwycił skrzydełko kurczaka i wgryzł się w nie jak wilk w gardło jagnięcia. — Łebscy faceci. Kuci na cztery nogi.

— Jak chcesz zobaczyć ten papier, to pogadaj z nimi — odparł Chuck. Ciekawe, czego się jeszcze dogrzebał. Co jeszcze się kryje pod tą zadufaną gębą gliniarza?

A może Baba omyłkowo chlapnął mu za dużo? A co on właściwie mógł wiedzieć? Nie znał tajemnic z życia Chucka, nie miał pojęcia o wszystkich tych krwawych masakrach. Chuck nigdy mu się do tego nie przyznał.

Scullion trzymał w palcach obgryzioną kostkę. Kropla tłuszczu ściekła na podłogę. — Czy jest tu gdzieś jakiś śmietnik? — spytał Babę, nie odrywając wzroku od Chucka.

— Zaraz przy budynku, za rogiem — odparł mu Baba.

— W porządku. W takim razie zabieram swój kubek i resztki i już mnie tu nie ma.

— Dzięki za wizytę — powiedział Baba.

— Miło się rozmawiało — odrzekł Scullion, rozsunął zasłony i spojrział na Chucka. — Do zobaczenia na mieście.

— O ile znajdziemy się w tym tłumie — rzucił Chuck.

Scullion wyszedł i zasłona opadła. Chucka ogarnęła wściekłość. Bywa, że kiepski początek dnia zwiastuje nadciągający koszmar. Pomyślał o swej „odziedziczonej” flocie autobusów... pal licha, wystarczy tylko załatwić ten papier. Gary Hack łatwo pożarłby Sculliona jak przekąskę po kolacji.

Baba podniósł się z miejsca. — Jakies zatargi z prawem, Reubenie?

— A skąd, ja nie z tych.

— Widzę, że jesteś spięty. — Baba dotknął jego ramienia. — Zapamiętaj sobie na zawsze: cokolwiek uważasz za trwałe, przemija.

— I autobus też?

Baba uśmiechnął się jak do dziecka. — Tak. Autobus też.

— No racja — przyznał Chuck, nadal niespokojny. Dobrze wiedział, co kombinuje Scullion. Jeśli nie znajdzie na mnie nic poważnego, to we-mknie się od tyłu i wywęszy jakiś drobiazg. W papierach, dokumentach, aktach prawnych, zeznaniach podatkowych czy wyciągach z banku.

— Wyglądasz na zmęczonego — zauważył Baba.

— Uwolnij mój umysł, mistrzu.

— Nie jestem narzędziem, Reuben, tylko przewodnikiem. Usiądź, zamknij oczy i poćwicz oddech tak, jak cię uczyłem.

Chuck usiadł po turecku. Powolnym wdechem nabrał powietrza głęboko w płuca i z wolna wypuścił. Wyzbył się wszelkich myśli, ale wytrzymał w tym stanie zaledwie dziesięć sekund. Znowu przypomniał sobie o Gloriannie. Jeśli wyjechała od Dysarta taksówką, to łatwo będzie namierzyć Iderowcę. Wystarczy kilka telefonów. A potem w jego głowie zawirował

Montague, który śpiewa wszystko glinom. I Scullion. Po chwili głowa Chucka przypominała kocioł, w którym kipiały przeróżne wstrętne myśli — chlor, kręgielnia, Kentucky Fried Chicken, Montague na policji, płatni zabójcy, starcy na rowerach w siłowni, jego własna restauracja, obcisle, białe szorty Zondry, Glorianna, i jak ją kiedyś pieprzył, i jak bardzo pragnie znowu to zrobić, osiąść ją, zatrzymać już na zawsze...

— Uwolnij się od siebie — polecił Baba.

Och, żebyś wiedział, jak bardzo się staram — odparł mu w myślach

Chuck.

30

Perlman ponownie zjawił się w Triangle Club przy Cadzow Street, gdzie przywitała go Pdioda.

— Widzę, że pan do nas wrócił?

— Jak ćma do ognia, skarbie — odparł. — Chciałem tylko zamienić słówko z Jackie.

— Oj, to źle pan trafił. — Jej skóra miała srebrzysty odcień w blasku dyskotekowej kuli.
— Jackie ma dziś wolne.

— A gdzie mogę ją znaleźć?

— Nie wolno mi podawać danych personalnych. Puścił jej oczko. — Przecież nikomu nie powiem.

— Czy Jackie ma jakieś kłopoty?

— A czyja wyglądam na specę od kłopotów?

Zaśmiała się. — Wyglądam pan raczej jak mój dziadek. Ta sama fryzura.

— Nazywasz to fryzurą? Czuję się zaszczycony — uśmiechnął się Perlman, chociaż słowo „dziadek” trochę go ubodło. Wcale mu się nie uśmiechało słyszeć takie porównanie.

Rhoda usiadła za biurkiem i postukała w klawiaturę. — Proszę, najlepiej niech pan sam sprawdzi. Przynajmniej nie będzie na mnie.

Perlman spojrział na ekran, zanotował w pamięci adres Jackie i podziękował dziewczynie.

— Proszę nas jeszcze odwiedzić — powiedziała.

— Masz to jak w banku.

I wyszedł. Na zewnątrz niebo przybierało już wieczorny odcień, tu i ówdzie rozświetlone jeszcze kilkoma romantycznymi refleksami popołudniowego słońca. Perlman sunął w tej

poświacie zmierzchu przez centrum miasta. Na skrzyżowaniu z Sauchiehall Street minął Klinikę Stomatologii, wzdrygając się na przykre wspomnienie dentystycznej szkoły „dłubania i wiercenia” w zębach, która mieściła się niegdyś w starym, wiktoriańskim budynku przy Renfrew Street, tuż za rogiem. Wyobraził sobie, że Latta siedzi tam godzinami jak na sali tortur, skazany na bolesne popołudnia w rękach niezdarnych studentów, co to miażdżą dźwiałą przestarzałą wiertarką obrotową, od której chrzęszczą kości w całym ciele, i robią zastrzyki paralizujące twarz na kilka dni. Pacjent zawsze opuszczał to miejsce w jeszcze gorszym stanie niż przed zabiegiem. Szedł na plombowanie, a wychodził z trzema ubytkami.

Perlman skręcił w Hill Street. Odszukał adres — budynek z ciemnego kamienia, posępny jak mina przedsiębiorcy pogrzebowego. Zaparkował samochód. Niedaleko mieściła się szkoła sztuk pięknych, gdzie ldedyś uczyła Miriam. Przyszły mu na myśl jej obrazy, niezauważone przez nikogo, wiszące na pustym poddaszu...

Cholera, zapomnij o tej kobiecie, bo będzie cię męczyć przez resztę życia...

Przejrzał domofony, znalazł mały, biały przycisk z wydrukowanym napisem J. Ace i nacisnął go.

— Halo? — dało się słyszeć przez głośnik.

— Tu Perlman. Masz chwilkę czasu? Chwila ciszy. — Już otwieram. Drugie piętro.

Na dźwięk brzęczyka Perlman pchnął drzwi i ruszył wąskim, wyłożonym płytkami korytarzem, który prowadził na schody. Szybkim krokiem wszedł na górę. Drzwi mieszkania Jackie były z lśniącego drewna koloru mocnej czerwieni z jasnymi wstawkami witrażowymi w stylu Renniego Macintosha.

Perlman dojrzał przez nie sylwetkę Jackie, jeszcze nim zdążyła otworzyć drzwi. — Proszę do środka, sierzancie.

Ruszył za Ace po przedpokoju. Pokój dzienny był urządzony w prostym stylu — sekretarzyk z przełomu wieku, kilka dziewiętnastowiecznych krzeseł z wysokim oparciem, dwie gałązki bzu w niebieskim, cienkim wazonie, słowem — subtelnie poetycko. W oknie wisiała czerwona żaluzja.

Perlman przysiadł na jednym z krzeseł. Było niewygodne. Pochylił się do przodu.

— Okropnie się siedzi, co? — uśmiechnęła się Jackie Ace. — Czy wiktorianie w ogóle znali, co to wygoda?

— Sądzisz, że jest za twarde? W takim razie spróbuj herbatników mojej ciotki Hildy.

Jackie Ace posłała mu uśmiech. Miała umalowane oczy i usta, włosy długie. Nie wyglądają na perukę, pomyślał Perlman. Opadały luźno, naturalnie. Widocznie zapuściła je. Była w prostej, rdzawoczerwonej, kaszmi-

rowej sukni; on czy ona, Perlman nie bardzo wiedział, jak myśleć o Jackie Ace: człowiek na pograniczu płci. Teraz wydawała się jakby bardziej koścista i mniej kobieca niż wtedy w Triangle Club — ale tylko odrobinę. W głowie Perlmana zadźwięczało słowo „kastrowanie”; skrzyżował nogi na samą myśl o usunięciu tamtych części ciała. Za nic nie oddałbym swoich jaj, pomyślał. Chciał zapytać Jackie Ace o czekający ją zabieg, ale w pewne sprawy po prostu nie wypadało wtykać nosa.

— Napije się pan czegoś, sierżancie?

— Nie, dziękuję.

Jackie Ace wyjęła papierosa z czerwonego kartonika. Du Maurier, marka, której Perlman nie widział już od lat. Jednak nie zapaliła go. Przypomniał sobie, jak wtedy, w Triangle, powiedziała mu, że nie pali. — No dobrze, a jak pan mnie tu znalazł?

— Przykro mi, ale nie wolno mi powiedzieć — odparł.

— To jakiś sekret? Strasznie pan tajemniczy. No, ale skoro już pan tu jest, to co mogę dla pana zrobić?

— Odpowiedzieć na parę pytań, i już mnie nie ma. Tartakower wspomniał o jakimś chłopaku, który trzymał się z tobą jeszcze za dawnych lat, na praktykach chirurgicznych.

Jackie Ace zrobiła zdziwioną minę. — Czy miał na myśli kogoś konkretnego?

— Wiem tylko tyle, że był chętny do nauki, chudy, w okularach, i że się ciebie uczył.

Jackie Ace wbiła wzrok z nie zapalonego papierosa. — Jakoś nic mi to nie mówi.

— Pomyśl chwilę. Nie musisz się śpieszyć.

— A co jeszcze mówił panu Tarty?

— Tylko to, że łączyła cię z tym chłopakiem bliska przyjaźń. Odniosłem wrażenie, że on cię wręcz uwielbiał.

— Tajemniczy wielbiciel? W takim razie chyba bym go zapamiętała. — Jackie Ace podeszła do stalowej półki z wbudowanym sprzętem stereo i włączyła go. Rozległa się muzyka, jazzowe solo na pianinie. Perlman od razu rozpoznał melodię.

— To Monk.

— Lubi go pan?

— Już od dawna — odparł, słuchając, jak Monk brzdąka „Dinah” w prostej wersji.

Jackie Ace uśmiechnęła się, jakby wyłowiła w tej melodii jakiś zaskakujący element, którego do tej pory nie słyszała. Z twarzą rozluźnioną

uśmiechem stawała się bardziej kobieca. Perlman wyobraził ją sobie w przyszłości: po całej serii operacji nie będzie już żadnych wątpliwości, że to kobieta. Wtedy zaczną się zakupy w centrach odzieżowych, wizyty u fryzjera, próby makijażu i perfum, na które kobiety chodziły zwykle do House of Fraser i innych wielkich domów towarowych.

Spojrzała na Perlmana i wzruszyła ramionami. — Przykro mi, ale nie mam pojęcia, kim jest ten tajemniczy człowiek.

Znowu pusty los, pomyślał Perlman. Każda wskazówka Tartakowera prowadzi w maliny. Czy ten człowiek otwiera usta tylko po to, żeby kłamać? Wystarczy, że ziewa, a już blefuje. Tak bardzo bał się wsiąść do samochodu Perlmana, przerażony wizytą na komendzie policji, że Perlman uwierzył mu na słowo. Ale jeśli mówił prawdę, to znaczy, że Jackie Ace kłamie. Tylko po co? Zazwyczaj kłamstwem się kogoś chroni. Więc kogo w takim razie chroni Jackie: siebie czy domniemanego dawnego przyjaciela? A może oboje?

Jackie Ace odłożyła nie zapalonego du Mauriera z powrotem do pudełka.

Perlman wstał z krzesła, westchnął, wyprostował plecy i wpatrywał się w nią przez chwilę. Chyba chce, żebym sobie poszedł, uznał w duchu.

Łatwo można było poznać po jej postawie: ramiona sztywno skrzyżowane na piersi, palce lewej ręki zaciśnięte na bicepsie prawej ręki, jakby chciała opanować jakiś nerwowy tik. Jej uśmiech też zeszytywniał, stał się wymuszony, a lekkie zniecierpliwienie zmroziło jej wzrok.

— Myślę, że mogłabyś mi pomóc, Jackie... Spotkamy się we troje: ty, ja i Tartakower, oczyścimy atmosferę. Ty powiesz swoje, on swoje. Bo ja nie lubię niespójności, zawsze taki byłem...

— Mowy nie ma. Nigdy więcej nie chcę widzieć Tartakowera.

— Ułatwiłabyś mi dochodzenie. Może przy tobie Tartakower powie coś więcej o tym chłopaku, odświeży ci pamięć.

Pokręciła głową. — Moja pamięć jest w porządku.

— A więc boisz się spotkać z tym starym, nieszkodliwym przykiem?

— Skądże znowu. Wcale nie.

— Tak też myślałem. Ktoś, kto decyduje się na poważną operację życia, musi mieć sporo odwagi...

— Kto panu o tym powiedział? Tartakower? Perlman skinął głową. — Zdaje się, że to ciężka sprawa.

— Na pewno nie należy do przyjemności.

— I naprawdę chcesz to zrobić?

— A jakże, do diabła — odparła, patrząc żywo dumnym, pełnym determinacji wzrokiem. — Myślę o tym już od lat. Estrogen. Elektroliza. Korekta twarzy. Kastracja. Po prostu idę na całość.

— Odważny z ciebie facet, mówię ci...

— Czy raczej kobieta. A przynajmniej już niedługo.

— Ano tak, kobieta, przepraszam. Słuchaj, wystarczy, że pogadasz z Tartym parę minut, a moje śledztwo ruszy naprzód. Przecież dla ciebie to nic trudnego.

— Ale ja nie chcę już wracać do tamtych czasów. Tamto życie należało do całkiem innej osoby. Rozumie pan chyba? — Jackie Ace zamachała gwałtownie rękami, jakby opędzając się od osy.

— Prowadzę dochodzenie, Jackie. Nie mam czasu cackać się z twoimi wspomnieniami z przeszłości. Głowę daję, że Tartakower nie przejmuję się tym tak bardzo jak ty.

— A mnie się zdaje, że on też nie chciałby do tego wracać. Perlman poklepał się po kieszeniach płaszczu. — Poczęstujesz mnie

papierosem?

— Proszę bardzo. Wprawdzie sama od ośmiu lat nie palę, ale lubię je mieć przy sobie. To na wypadek, gdyby nagle naszła mnie słabość, chęć czy coś w tym rodzaju.

Perlman wyjął du Mauriera z pudełka na biurku, ale zanim go zapalił, obracał go przez chwilę między palcami. Lubił chrzęst tytoniu zawiniętego w papier. — W talem razie umówię nas na spotkanie.

— Może jednak lepiej nie — odparła Jackie Ace.

— Potrzebuję paru wyjaśnień.

— Jakich wyjaśnień? Wierzy pan we wspomnienia tego starego dziada? Sądzi pan, że można polegać na jego pamięci?

— Problem w tym, że czuję tu niezłe gównno, Jackie — odparł jej.

— To pewnie dlatego, że trzyma pan nos za blisko dupy.

Kobiecie nie wypada tak mówić, skwitował Perlman w myśli. Jej uwaga niespodziewanie zbiła go z tropu. Dość już miał tuszowania i przemilczania ludzkich przewinień. Wszędzie tylko oszustwa, szalbierstwa, bomby dymne. Zaczął chodzić po pokoju, szukając miejsca, gdzie mógłby odłożyć du Mauriera, który wcale mu nie smakował. Wreszcie rzucił go niedbale do kominka. Było już za późno, kiedy zorientował się, że to nie kominek, ale mała, pobielana wnęka wypełniona modnymi, pretensjonalnymi dekoracjami, talami jak kompozycja drzewek bonsai, błyszczących muszelek i chińskich pałeczek starannie

ułożonych na kształt iglicy, a także suszonych ziół na sznurkach zwisających gdzieś spod gzymsu.

— Do diabła, co pan wyprawia? — Jackie opadła na kolana w szaleńczym odruchu, by podnieść tłący się niedopałek. — Godzinami nad tym pracowałam.

— O psiakrew — zaklął Perlman. — Trochę się zagapiłem. Gdziekolwiek się nie zjawię, zostawiam po sobie bałagan... Czy wszystko w porządku? Nic nie zniszczyłem?

— Na szczęście nie.

— Bywam strasznie niezdarny. Tydzień temu położyłem na krawędzi umywalki nowe soczewki. Sięgałem po ręcznik, no wiesz, po omacku, a przy okazji drugą ręką strąciłem soczewki do zlewu. — I, udając, że wyciąga rękę do tyłu po ręcznik, Perlman trącił wazon z gałązkami bzu. Pękła delikatna struktura i strumień wody wraz z kwiatami pociekł na biurko, a potem na podłogę.

— O rany, przepraszam...

— To był prezent — rzuciła gniewnie Jackie Ace. — Miał dla mnie wartość sentymentalną, panie Perlman.

— Pozwól, że posprzątam. Pokaż mi tylko, gdzie masz...

— Lepiej już sama to zrobię. — Jackie Ace pozbierała kwiaty, wyszła spieszenie do kuchni i po chwili przyniosła je w szklance na wpół wypełnionej wodą.

— Przynajmniej uratowałaś te kwiaty — zauważył Perlman.

— Ale za to straciłam wazon.

Perlman ogarnął wzrokiem cały ten porządek. Nie podobało mu się tak idealne urządzenie przestrzeni. Wszystko pedantycznie poukładane. Brakowało jakiegoś uroldiwego nieładu. Przydałoby się trochę tu nabała-ganić.

Ace odstawiła kwiaty na gzymsie kominka i stanęła, podpierając się pod boki. Posłała Perlmanowi spojrzenie pełne głębokiej pogardy.

— Pan jest po prostu nieznośny.

— Jasne, Jackie. Przyznaję, że w gościnie kiepsko mi idzie.

— Prawdę mówiąc, nie jest pan nawet w gościnie. Wcale pana nie zapraszałam.

— Wiem, wlażłem tu z butami... — Perlman zerknął na czerwoną żaluzję. — Chciałem tylko powiedzieć, że ten kolor jest bardzo ładny, rzuca się w oczy.

— Niech pan to zostawi, błagam.

Ale Perlman już wyciągnął rękę i palcami dotknął listewki żaluzji. W panicznym odruchu Jackie Ace wsunęła się między Perlmana a okno. — Niech pan już idzie. Bardzo pana proszę.

— Jasne, rozumiem — odparł Perlman. — Co za dziwna rzecz: wystarczy, że wchodzę do czyjegoś mieszkania, a zaraz wywracam mu wszystko do góry nogami. Sama widzisz, Jackie, jestem urodzonym niezdara.

— Odnoszę wrażenie, że pan to robi celowo, Perlman.

— Ależ skąd. W żadnym wypadku.

Ich twarze zbliżyły się do siebie. Perlman poczuł zapach anyżu w jej oddechu i dostrzegł jej zaniepokojoną minę. Ogarnęła go fala współczucia dla tej istoty — balansującej niepewnie na granicy dwóch płci, mającej przed sobą koszmarny zabieg i długie miesiące leczenia.

— Wychodzę, żeby dać ci trochę czasu.

— Niby na co?

— Na przypomnienie sobie paru spraw.

— W takim razie długo pan poczeka.

Perlman wyszedł z mieszkania i zamknął drzwi. Był cały spocony. Światło na podeście schodów rzucało na ścianę jego groteskowo wydłużony cień. Przetarł powieki i zszedł parę stopni na dół. Jego cień wyglądał teraz inaczej. Jego wilgotne dłonie ścisnęły poręcz. Udawanie niezdary to ciężka robota. Czasem pomaga, bo budzi irytację i zrywa maskę uprzejmości, sprawiając, że ludzie zaczynają mówić, co tak naprawdę myślą.

Po cichu spodziewał się, że Jackie zmieni zdanie i zawoła go, ale tak się nie stało. Zszedł na parter i brukowanym dziedzińcem ruszył w stronę ulicy.

Wsiadł do samochodu i przez chwilę pomyślał o Betty. Zastanawiał się, jak sobie radzi. Miał ochotę ją zobaczyć. Wyobraził ją sobie, że siedzi u niego w pokoju dziennym w przyćmionym świetle, przy zasuniętych zasłonach.

Zadzwoił do Picklera. — No jak tam, masz trzeźwą głowę?

— Właśnie wróciłem z meczu Gersów z Motherwell. Co za gówniana gra.

— Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

— No dobra, jestem jako tako trzeźwy.

— W takim razie musisz coś dla mnie zrobić, i to zaraz.

— Słuchaj, właśnie miałem oglądać boks...

— Zapomnij o boksie. Spotkajmy się na Hill Street. Zaparkowałem przy klasztorze Świętego Alojzego.

— Ty wstępujesz do jezuitów?

— Po to, żeby siedzieć i medytować przez cały dzień? I bez tego mam dość problemów. Weź taksówkę, ja płacę.

— A co to za robota?

— Powiem ci, jak się spotkamy.

W słuchawce było słycać odgłos spadających butelek. Widocznie próbując się podnieść, Pickler wpadł prosto na piramidę pustego szkła. — No , to już jadę.

31

Chuck postanowił sobie choć raz na tydzień zajrzeć do Zalanego Cielaka. Przechadzał się wtedy od stolika do stolika, witając się z klientami i ściskając im dłonie, jak na gospodarza przystało. Przychodziłby tu jeszcze częściej, gdyby nie te zapachy z kuchni, których nie znosił. Skwierzące na maśle kawałki zwierząt, gryzący odór potrawy baskijskiej — ulubionego dania klientów. Niekiedy kazał szefowi kuchni, Pako Sg, nalać sobie do małej miski zupy warzywnej z makaronem albo nałożyć jakiejś normalnej sałatki, a potem stawał w tylnym wejściu przy lekko uchylonych drzwiach i jadł.

Dzisiaj jednak nie miał apetytu. Był niespokojny i nawet sesja w Świątyni nie pomogła mu pozbić myśli ani rozwiać jego obaw o Glorianne. Wysłał Mathiesona z zapasowym kluczem do jej mieszkania, ale ten wrócił z informacją, że nie ma tam ani śladu dziewczyny. Teraz Ronnie obdzwaniał korporacje taksówkarzy w poszukiwaniu kierowcy, który zabrał ją z domu Dysarta.

Chuck wymienił uścisk dłoni z maitre d'hotel, eleganckim, srebrnowłosym mężczyzną. Rory O'Blunt obsługiwał najlepsze europejskie salony — w Paryżu, Florencji i Londynie. O'Blunt miał około pięćdziesiątki i gładką, promienną twarz, która znamionowała lata pracy nad sobą i starannie dobraną dietę.

— Dobry wieczór, panie Chuck. — O'Blunt ścisnął oburącz masywną dłoń Chucka. Taki kanapkowy uścisk.

— Spory dziś tłok. — Chuck powiódł wzrokiem po sali, udekorowanej przez edynburską firmę wystroju wnętrz o nazwie LaScala: była to grupa kapryśnych, drobiazgowych pedziów, wydziwiających piskliwym głosem nad katalogami i próbkami farb. Och, koniecznie musimy wziąć ten, koniecznie, koniecznie, koniecznie. Chuck wydał czterysta trzydzieści dziewięć tysięcy funtów na wygodne i ekskluzywne urządzenie sali w Zalanym Cielaku. Jasnobrązowa, fakturowana tapeta ścienna przypominała cielęcą skórę, a tu i ówdzie wisiały małe portrety sławnych Szkotów, ryso-

wane piórkiem. Chuck wcale ich nie chciał, ale ludzie od wystroju wewnątrz gadali coś o znaczeniu tożsamości narodowej, a jemu sprzykrzyło się powtarzać im w kółko, że jego kuchnia serwuje dania europejskie i azjatyckie.

— Lokal pełny po brzegi, panie Chuck — odparł Rory O'Blunt.

— No to świetnie. — Czyli w sumie sto czterdzieści miejsc razy średnio ponad półtora funta za każde wejście. Część tych pieniędzy to gotówka, która potrafi szybko się zapodziać...

Chuck wsłuchiwał się w gwar sały, brzęk sztućców i beztroski śmiech klientów podchmielonych przesadnie drogim winem. Przeszedł przez salę, tym razem nieco szybciej niż zwykle, kiwając głową, posyłając uśmiechy, ściskając dłonie, poklepując gości po plecach lub ramionach i od czasu do czasu rzucając jakiś dowcip. Tego właśnie potrzeba, żeby interes się kręcił: łatwości w kontaktach z ludźmi. Jednak dziś nie bardzo miał na to ochotę.

W odległym kącie sali zauważył nadinspektora Taya z kilkoma innymi szuchami z policji. Byli to przeważnie korpulentni mężczyźni w byle jakich garniturach. Tay siorbał zupę dnia: rozdrobniona sałata i imbir w bulionie wołowym na winie, w którym pływał krojony por.

— Wszystko w porządku, inspektorze?

Tay uniósł powoli swoją ciężką, wielką jak głaz głowę. Wyglądał jak ktoś, komu właśnie przerwano modlitwę. Jego drobne usta wykrzywiły się w uśmiech. — Całkiem ciekawa ta zupa. Mało w niej pora. A ja nie przepadam za porem.

— Nie pora na pora. Szef kuchni próbuje coraz to nowych smaków — odparł Chuck.

— Niezły z ciebie numer — rzucił Tay i wrócił do swojej zupy. Inni policjanci przyjrzeni się Chuckowi z zaciekawieniem. Wiedział, że gdyby tylko mieli dowody, to aresztowaliby go w okamgnieniu. Sytuacja była nietypowa, wręcz żenująca, jak gdyby istniało dwóch Reubenów Chucków: jeden — szanowany właściciel restauracji, a drugi — przestępca.

Patrząc na Taya, Chuck wyobraził sobie, jak Scullion mówi do swego szefa: zagrzebałem się głęboko w życiorys Chucka, jestem coraz bliżej... Pieprzyć Sculliona, pomyślał.

— I co jeszcze pan dzisiaj zamówił, inspektorze?

— Pasztet z dziczyzny.

— No to życzę smacznego — rzucił na odchodnym Chuck, ale zanim się oddalił, na stoliku inspektora wyłowił wzrokiem trzy butelki dobrego

wina, którego cena obejmowała siedemdziesięcioprocentową marżę, doliczoną do ceny hurtownika. I tak wpływały pieniądze. Chuck skinął głową do O'Blunta i wyszedł z bistro. Budynek był dyskretnie przysłonięty wierzbami. Dawniej mieścił się tu mały, luksusowy hotelik, który upodobały sobie zamożne starsze panie ze względu na jego zaciszne położenie z dala od głównej drogi.

Poszedł do swojego jaguara. Pilnowało go dwóch ochroniarzy. Mieli na sobie czarne, skórzane kurtki i czarne spodnie i byli gotowi reagować na każdy nagły, niespodziewany ruch. Chuck poczuł się bezpiecznie — ale nie na długo, bo znów naszły go myśli o tym pieprzonym Scullionie. Ciśnij go, nie odpuszczaj. Czy tak powiedział mu Tay? Czy ci dwaj naradzali się codziennie, by obmyślać strategię i przesiewać dowody, które być może udało im się zebrać?

Jakie dowody, do cholery; nie ma żadnych dowodów. Nic na mnie nie znajdują.

Zauważył w samochodzie Mathiesona i usiadł w tyle.

— Sprawdziłem firmy taksówkarskie — zakomunikował Mathieson.

— No i co?

— Nikt nie pamięta, żeby ją wiozł.

— Przecież ktoś musiał to zrobić. Może to jeden z tych, co jeżdżą na dziko. Walnij im parę kurewsko ciężkich pytań. Najlepiej weź się za to zaraz po tym, jak zawieszysz mnie do Hacka.

Mathieson zerknął we wsteczne lusterko i obiecał, że tak zrobi.

Do kurwy nędzy, naprawdę znowu zacząłem kłąć, zastanawiał się w myślach Chuck. O nie. Poczuł żal i wyrzut sumienia, jak alkoholik, który zajrzał do kieliszka po latach abstynencji. A tak bardzo się starał panować nad swoim językiem. Pilnował się jak purytanin na procesie czarownic. Zawiodłem się na sobie. Zagapiłem się. Kurwa. A przecież Baba mówił: odszukaj w swym wzburzonym sercu oazę spokoju. Weź się w garść.

Dojechali do Woodside Place w pobliżu Charing Cross i Mathieson zaparkował przed świeżo odremontowaną wiktoriańską kamienicą.

— Zaczekaj tu na mnie, a w międzyczasie weź telefon i obdzwon dzikich taksówkarzy.

— Robi się — odparł Mathieson.

Chuck wszedł do budynku, na drzwiach którego widniała mosiężna tabliczka z napisem: Roman, Glebę & Hack.

Coś ten Chuck dzisiaj nie w sosie, pomyślał Mathieson, czuć to na kilometr.

Gerry Hack cierpiał na niestrawność, a do tego chodził z nosem na kwintę, jakby na okrągło przypominało mu się, że przyszedł na świat wyciągnięty z łona matki parą ldeszczy chirurgicznych. Na widok Reubena Chucka w swoim biurze zawsze wysiłał się na uśmiech, mimo że z natury nie lubił się uśmiechać. I choć okazała zaliczka, jaką płacił mu Chuck, była wystarczającym powodem do radości, to bywało, że Hack musiał się wykazać dużą wprawą, by zataić to, że Chuck żyje w dzikim świecie, daleko poza granicami prawa.

Chuck usiadł naprzeciwko Hacka przy biurku, wyrzeźbionym w Aca-pulco przez meksykańskich rękodzielników. To zdobione twarzami i motywami Azteków biurko nie raz opisywano w dziale dekoratorskim niedzielnej gazety. Było przepiękne, miało trzy i pół metra długości, dwa i pół szerokości. Pozwalało to zachować odpowiedni dystans między Hackiem a jego klientami, z których większość stanowili bandyci.

— Nie cierpię tego biurka — rzucił Chuck.

— Bo sam byś takie chciał.

— Przecież to zwykły meksykański szajs.

— Już dwa razy odrzuciłem twoją ofertę kupna, więc oszczędź mi czasu.

— Świetnie nadawałoby się na podpałkę.

Hack rozciągnął wargi w uśmiechu. Dawał się nagiąć tam, gdzie granica między prawem a zbrodnią zmienia się w labirynt spornych spraw, ale w kwestii meksykańskiego biurka był twardy jak stal.

Położył rękę na stosie szarych kopert. — Namnożyłeś tego od licha. Jak tylko pomyślę o tobie i tych aktach, to zaraz sięgam po Zantac.

Białka jego oczu miały kolor jak przy żółtaczce. Cierpiał też na łysienie plackowate, od którego stracił brwi i wszystkie włosy na głowie.

Chuck zawsze uważał, że wygląda dziwnie. — Słuchaj, nieźle ci płacę. Mógłbyś mi jeszcze dorzucić ten mebel.

— Cholerne biurko zostaje u mnie. A co do twoich pieniędzy: płacisz mi kupę forsy, bo jestem najlepszy i ratuję ci tyłek przed pierdłem. Myślisz, że gdyby nie ja, to dalej łąziłbyś po mieście, niewinny jak aniołek? Autobusy dla niepełnosprawnych. Datki na cele dobroczynne. Darmowe sesje popołudniowe dla emerytów trzy razy w tygodniu w tym twoim spa. Zamiast gnić w celi, Rube, możesz sobie pozwolić na to, by wyróżniać się w tym mrocznym mieście jak ten świecący Chrystus, którego o mały włos nie kupiłem w Knock.

Knock, pomyślał Chuck. Dobrze znał to miejsce. To coś w rodzaju podrzędnego katolickiego Vegas, gdzie nieszczęśliwi i okaleczeni grali

w koło fortuny nazywane Wiarą, przez duże W. — Tylko mi tu nie wspominaj o Knock, Gerry.

— No tak, z Bogiem to tyjesteś na balder.

Chuck popatrzył na stertę akt. — Nic ci tu nie grozi?

— Wszystkie akta są zabezpieczone, Rube.

— A jeśli wpadną tu gliny?

— Chyba nie myślisz, że trzymam to wszystko tutaj, co? — Hack zapalił cienkiego papierosa w brązowej gilzie. — Scullion depcze ci po piętach?

— Działa mi na nerwy. Nie wypytywał cię przypadkiem o te papiery?

— Jeszcze nie, ale gdy tylko się zjawi, to mu je dam.

— Co ty gadasz?

— Niech cię o to głowa nie boli. Ja nie ujawniam tajemnic służbowych ani nie podaję nazwisk.

Chuck domyślił się, jakie metody stosuje Hack: tu pewnie chodzi o jakąś zмовę prawników i ludzi z urzędu miasta, bo cóżby innego? Hack snuł intrygi z prawnikami zarówno Stokera, jak i Curdy'ego. Wymieniali się dokumentami i aktami notarialnymi, każde pismo zostało sfabrykowane we właściwych miejscach, tu stempel, tam podpis — wszystko, co tylko pomogłoby stworzyć pozory legalności. A kiedy zaczęto szeptać o wielkich zmianach na mapie bezprawia w Glasgow, zwęszyli spore zyski z przekrętów w biurokracji. Chuck wyobrażał sobie ich sekretne spotkania w pokojach zacisznych hoteli za miastem, gdzie knuli swoje zdradliwe plany. Bram i Curdy staczali się po równi pochyłej... a na co komu klienci, którzy już dawno zeszedli ze świecznika? Kto chce się zadawać z przegranymi?

Dobrze zainwestowany pieniąż podąża za tym, kto odnosi sukcesy.

Tak właśnie Chuck lubił to sobie wyobrażać: towarzystwo wzajemnej pomocy skorumpowanych prawników, którzy przy okazji chronią mu tyłek.

Hack wskazał papierosem na Chucka. — Na razie olej Sculliona.

— Na razie? Co to niby ma znaczyć?

— To, że może któregoś dnia zjawi się u mnie z prośbą, której nie będę mógł się oprzeć. Niby mało prawdopodobne, ale może się zdarzyć.

— Chwileczkę...

— Martwi mnie twój sposób myślenia. Następnym razem zastanów się, zanim postanowisz zagarnąć coś większego.

— Wszystko było zaplanowane jak w scenariuszu, Gerry.

— Chyba do jakiegoś kiepskiego filmu.

— Czy ty wiesz, ile trzeba było główkować...

— Nawet nie chcę wiedzieć — uciął Hack dziwnym, ciekim głosem, jakby wyśpiewał te słowa sopranem. Zasłonił przy tym uszy i zamknął oczy. — Mówię ci tylko, że łatwiej uporać się z konsekwencjami, jeśli zadbasz o szczegóły, zanim wynikną z nich jakieś problemy.

On jest jak Baba pod inną postacią, pomyślał Chuck. — Chcesz powiedzieć, że coś mogłoby cię wybić z rytmu?

— Nigdy nie wiadomo. Zmierzam do tego, żebyś na razie wstrzymał się z dalszymi planami. Niech sprawy trochę przycichną.

Chuck milczał. Dalsze plany? Jedyne, czego pragnął, to mieć już spokój. Nie mógł przestać myśleć o nielegalnych taksówkach. Takim nie można ufać. A jeśli Glori wsiadła do wozu z jakimś bandziorem i wpadła mu w oko? Mogło się skończyć gwałtem. Młoda, atrakcyjna kobieta, sam na sam z jakimś nagrzanym pieprzonym Rumunem albo Gredem za kierownicą taksówki, gdzieś na ciemnej szosie na odludziu; kto wie, co się jeszcze mogło zdarzyć.

Hack pokręcił głową. — Radzę ci jak najlepiej. Zostań czysty, działaj charytatywnie na małą skalę, bądź porządnym facetem. — Hack odsunął się od biurka. — A teraz jedź do domu i odpręż się. Weź się za liczenie tych twoich kryształków czy coś w tym stylu.

Chuck parsknął. — Liczenie kryształków? Od razu widać, że nie masz o tym pojęcia. — Podniósł się z krzesła. Tak bardzo chciał wierzyć w Ger-rego Hacka, upewnić się, że nie ma takiego przekrętu, którego Gerry Hack nie zdołałby zakamuflować. — Do diabła, przecież ten Scullion to małe piwko. Łyknałbyś go na śniadanie, co?

— Przy moich wrzodach? — Hack wstał i odprowadził Chucka do drzwi.

Wymienili uścisk dłoni i Chuck wyszedł. Zamiast pocieszenia, na które liczył, towarzyszyły mu cień rozczarowania i niepewność. Czy Hack rzeczywiście jest taki świetny? A skoro działa w zмовie z innymi prawnikami, to skąd Chuck ma wiedzieć, czy w przyszłości sytuacja się nie powtórzy — tyle tylko, że wtedy sprawa obróci się przeciwko niemu samemu?

Jaka to dziwna myśl, że ktoś mógłby mnie zastąpić.

Wyszedł z budynku. Ronnie Mathieson siedział po stronie pasażera i rozmawiał przez komórkę.

Chuck wsunął się na tylne siedzenie.

— Namierzam dzikich taksówkarzy — orzekł Mathieson. — Ale na razie nic a nic.

Chuck wcisnął ręce w kieszenie płaszcza z wielbłądziej wełny. — Gdzie ona może być?

— Na pewno się znajdzie.

Tłumiąc swoje obawy, Chuck nic nie odpowiedział.

32

Betty McLatchie miała płydd sen. Nie pochłonął jej czarny, kojący ocean, mimo że przed snem wypila butelkę czerwonego chilijskiego wina i połknęła kilka tabletek flurazepamu. Podniosła się chwiejnie i spojrzała na zegar przy łóżku: dziewiąta czterdzieści pięć. Rano, wieczór — co za różnica?

Czuła suchość w gardle, jej plecy były pochylone pod dziwnym kątem. Wciągnęła na siebie długi, niemodny, wełniany szlafrok, włożyła kaptcie i wyszła ze swej ciasnej, mrocznej sypialni. Z okna pokoju dziennego ujrzała blask ulicznych latarni. A więc wieczór, nie rano. Zapaliła nocną lampkę, zamrugła oczami. Z London Road dochodził uliczny zgiełk. Betty zaciągnęła zasłony.

Wtedy ktoś zadzwonił do drzwi.

Betty miała nadzieję, że to nie kolejny sąsiad z kwiatami i wyrazami współczucia czy też, broń Boże, z ciastem domowej roboty. Skąd w ogóle ten pomysł, żeby przynosić jej jedzenie? Wiedzieli przecież, że nie siedzi tu po to, by opychać się biszkoptem czy plackiem z rabarbarem. Robili to z czystej życzliwości; wzruszały ją te proste, ludzkie gesty przyjaźni, a mimo to nie miała najmniejszej ochoty otworzyć drzwi i ujrzeć jeszcze jednej twarzy, pobladłej z przerażenia i współczucia.

Nie miałyby nic przeciwko, gdyby zjawił się Perlman. Był dla niej taki miły, zabrał na spacer do parku, trzymał pod rękę i prawie nic nie mówił — jego bliskość ją uspokajała. Miał w sobie coś, co budziło jej sympatię. To było coś więcej niż tylko współczucie: jakaś niezwykła subtelność. Pozornie sprawiał wrażenie człowieka o raczej chłodnym usposobieniu, ale to nie było jego prawdziwe oblicze.

Na tyle już go poznała.

Stojąca w drzwiach młoda kobieta przez chwilę wydała jej się obca. Betty potrzebowała czasu, by przywołać wspomnienia i poukładać je w głowie. Marazm, apatia, wino, leki, rozpacz. Wyszła z tego mieszanka jakjasna cholera.

— Betty — odezwała się kobieta.

— Annie? — Betty nie kryła zaskoczenia. Była skołowana, straciła rachubę czasu. Kiedy ostatnio widziała się z Annie Cormack? Dawno temu. Ile to już lat, nie była w stanie policzyć.

— Czy aż tak się zmieniłam, Betty?

— Nie, nie, skarbie, to ja spałam jak kamień i trochę mnie zamroczyło. Proszę, wejdz. Jak dobrze cię widzieć...

— Może przyjdę innym razem...

— Mowy nie ma. — Przez chwilę trzymała Annie w ramionach, po czym zaprowadziła ją do pokoju dziennego, uznając w duchu, że światło lampki nocnej w zupełności im wystarczy. Nie zniosłaby teraz mocniejszego oświetlenia: to nędzne samopoczucie z pewnością odbiło się na jej wyglądzie.

Annie, drobna, szczupła kobietka, mocno ścisnęła dłoń Betty. — Musiałam przyjechać. Dowiedziałam się z telewizji. O Boże, aż się wierzyć nie chce... Co mogę dla ciebie zrobić? Na pewno można ci jakoś pomóc.

Co mogę zrobić? Wszyscy zadawali jej to pytanie. Sąsiedzi robili zbolale miny. Daj znać, jeśli tylko czegoś potrzebujesz, mówili na odchodnym.

Sprawcie, proszę, żeby mój syn ożył — chciała im wtedy powiedzieć.

Makabryczne okoliczności śmierci Kirka zachowała dla siebie. Po co dzielić się nimi z całą resztą życzliwych ludzi, wstrząśniętych samym faktem, że to morderstwo? Szczegółów nie znali, bo nie podano ich w prasie ani w telewizji. A przynajmniej na razie.

Obie usiadły na ogromnej sofie, którą Betty kupiła na wyprzedaży przed likwidacją sklepu. Była niemodna, beżowa, z wielkim, kwiecistym nadrukiem, a przy tym cholernie ciężka, ale za to dość wygodna i można było przyjemnie zapaść się w jej miękką tapicerkę.

— Zawsze mi na nim zależało, Betty.

— Tak, wiem, tylko czasem po prostu się nie układa.

Jaka ona ładna, pomyślała Betty; jak zawsze zresztą. Teraz była jeszcze piękniejsza i jakby dojrzała. Annie wydorosłała. Kiedyś Betty miała nadzieję, że Annie i Kirk będą razem — ale Annie obrała inną drogę. Tak jakoś wyszło.

— Słyszałam, że się ożenił — powiedziała Annie. --Tyle że źle wybrał.

— Tak mi przykro.

Betty pamiętała jak przez mgłę, jak tego popołudnia, w krzątaniu wchodzących i wychodzących ludzi, widziała się ze swoją synową, Debbie. Była zbolala i zaplakana. Nie siedziała długo. Ten smutek nawet pa-

sował do jej końskiej twarzy. Od razu wcieliła się w rolę wdowy i zaczęła nosić czarne ubranie i woal, stwarzając pozory nieukojonego bólu.

Annie miała na sobie luźne, czarne spodnie, czarne tenisówki i kurtkę przeciwdeszczową tego samego koloru, z wielkimi kieszeniami i opadającym na plecy kapturem. Bawiła się nerwowo małą chustką o haftowanych brzegach, którą wyjęła ze skórzanej, czarnej torebki. Cała na czarno, choć dawniej zawsze wolała jasne kolory. Była niespokojna, ale Betty nie wypytywała, dlaczego. Cała ta sytuacja musiała budzić w niej napięcie. Śmierć Kirka, urywki wspomnień z przeszłości i wizyta w jego mieszkaniu, do którego najwyraźniej nie planowała już nigdy wrócić.

Betty czuła, że odpływa. Patrzyła po pokoju, nic już nie wiedząc. Zanurzyła się w plamie światła lampy, odbijającego się w szybie oszklonej szafki, gdzie trzymała swoją najlepszą porcelanę i parę innych cennych dla niej rzeczy, jak na przykład oprawione w ramkę swoje zdjęcie z Kir-kiem na plaży w Saltcoats. Kirk miał wtedy jakieś dwa lata. Siedział na niesfornym osie: potargany chłopczyk o pyzatej twarzy w workowatych kąpielówkach.

Annie podeszła do szafki. W jednej chwili stanęła, jakby czując w nodze jakiś ból.

— Nic ci nie jest? — spytała Betty.

— Nie, ćwiczyłam tylko i naciągnęłam sobie jakiś głupi mięsień; czasem trochę rwie, ale już jest lepiej. — Popatrzyła na zdjęcie Kirka. — Uroczy był z niego chłopczyk, prawda?

— O tak. Pamiętam, że nijak nie mógł zmusić tego cholernego zwierzęcia, żeby się ruszyło z miejsca. Kopał, krzyczał, a nawet szeptał mu coś do tych spiczastych uszu, ale osioł ani drgnął. Kirk nie umiał powiedzieć osioł, więc mówił „osia”. Wio, osia, wio!

Annie usiadła przy niej na kanapie i Betty poklepała ją po ręce. Czuła potrzebę, by pociągnąć tę rozmowę w zwyczajnych, banalnych, nieszkodliwych słowach bez głębszego ładunku emocjonalnego. — To ile to już czasu się nie widziałyśmy?

— Trochę ponad cztery lata.

— Tak długo? Ależ to zleciało. No i co tam u ciebie? Opowiadaj, co nowego.

— Jakoś sobie żyję.

— A gdzie pracujesz?

— Trochę tu, trochę tam.

Betty zastanawiała się, co to miało znaczyć, ale nie chciała się wtrącać. — I nadal mieszkasz w Drum?

— Nie, w Kelvinbridge, prawie na samym końcu Belmont Street. Istna dzielnica bogaczy — odparła Annie, nie tyle z dumą, co jakby z zamiarem ośmieszenia nadętych mieszkańców tej części miasta, ze sobą włącznie.

— To bardzo ładne miejsce — zauważyła Betty.

— O tak, zwłaszcza dla amatorów sklepów z serami i francuskimi ciastkami.

Betty ciągle nie mogła się nadziwić widokiem Annie. Do dziś nie miała pojęcia, czy Annie nadal mieszka w Glasgow. Dwa razy zdawało jej się, że widziała ją na ulicy, ale w obu przypadkach okazało się, że to nie ona.

— A co tam u rodziców?

— Ojciec odszedł na emeryturę, a mama, jak zwykle, zapracowana.

— Nie pamiętam już, czym się zajmuje.

— Dostawą kwiatów. A ojciec użala się nad sobą, że jest już stary i nikomu niepotrzebny.

Betty wstrzymała się chwilę z kolejnym pytaniem. — A czy w twoim życiu pojawił się ktoś szczególny? — zagadnęła wreszcie.

— Swego czasu tak. — Tu po twarzy Annie przemknął dziwny cień. Betty nie bardzo wiedziała, jak go odczytać: coś jakby między zgrozą a wyrzutem. — Mężczyźni bywają cholernie nieznośni. Oni są jak dzieci. Każą nam robić to, na co nie mamy ochoty.

— Właśnie, a jak się ich nie posłucha, to zaraz dostają szału.

— Może przyniosę ci coś do picia? — zaproponowała Annie.

— A pamiętasz, gdzie co jest?

— Jeśli nic się nie zmieniło.

— W takim razie poproszę lampkę wina, o ile jeszcze coś zostało. Albo czekaj, sama pójde, skoro boli cię noga...

— To nic wielkiego. — Annie zniknęła w kuchni i po chwili Betty usłyszała brzęk szklanek i pisk zawiasów przy drzwiczkach szafki.

— Jest białe i czerwone — oznajmiła Annie, niosąc dwa kieliszki. — Które wolisz?

— Najlepiej wybierz sama.

Annie podała jej lampkę czerwonego. — Właśnie przypomniało mi się, że Kirk zawsze kochał kino.

— To jego wielka pasja.

— Chodziliśmy na filmy, a potem przyjeżdżaliśmy tutaj, siedzieliśmy w kuchni i popijaliśmy wino.

— A więc to tak wyglądały wasze randki — odrzekła Betty.

Annie uśmiechnęła się. — Nieważne, na co miałam ochotę; on i tak przy każdej okazji ciągnął mnie do kina. Na okrągło oglądaliśmy filmy akcji, porwania samolotów. Prawie niczym się od siebie nie różniły. Ale on twierdził, że są super. Po wyjściu z kina zawsze papugowaliśmy teksty jankesów. On mówił: ale będzie czadowo, a ja mu na to: ej, co powiesz na mały luzik przy browarku? — Annie była w tym dobra. Zaśmiała się cicho na to wspomnienie, ale jej śmiech był podszyty nutą smutku.

To było jak wskrzeszanie Kirka, próba przywrócenia zmarłego do życia. Betty zdjęła okulary i rozplakała się.

Annie przytuliła ją. — Dobrze, już dobrze.

— Nic mi nie będzie — odparła Betty.

Ale Annie nie wypuszczała jej z objęć. Najwyraźniej potrzebowała tej bliskości tak samo jak Betty. Ramiona jej zadrżały i zaszlochala słabo.

— Ciii. — Betty pogłodziła ją po plecach.

— Nie tak miało być.

— Wiem, kochanie.

Annie odsunęła się, wydmuchała nos w chustkę i popatrzyła na Betty załzawionymi oczami. Tusz do rzęs sływał z nich jak roztopiony, czarny wosk. — O Boże, przyszedłam tu, żeby cię pocieszyć, no i masz... jasna cholera. Nie nadaję się do tego, Betty. Gdybym za niego wyszła...

— Och, nawet o tym nie myśl.

— Aleja miałam inne plany, wielkie nadzieje. Chciałam coś w życiu osiągnąć...

— Kirk za to wolał żyć z dnia na dzień.

— On był taki miły, życzliwy...

— Ale bez ambicji.

— A kto powiedział, że w życiu najważniejsza jest jakaś pieprzona ambicja?

Betty zaskoczył ten niespodziewanie gwałtowny ton Annie. Wypiła łyk wina i spojrzała w kieliszek, na lśniący, purpurowy krąg wina. — Nie wiem, czy najważniejsza. Ja, dajmy na to, zawsze chciałam śpiewać w chórk. Marzyłam o tym, żeby stać gdzieś za chłopakami z zespołu i wtórować: szu-bi-du-bi-du.

Annie zmięła chustkę. — No tak, jeździłaś nawet do Woodstock. Przypomniało mi się, jak tylko tu weszłam. W przedpokoju wiszą zdjęcia.

— Och, te zdjęcia to jeszcze nie wszystko. — Betty wyjęła z paczki papierosa marki B&H i zapaliła go. Palce drżały jej tak mocno, że było jej wstyd. Sporo dziś wypaliła papierosów, wypila za dużo kawy. — No, ale o tym innym razem. — Spojrzała czule na Annie, wracając pamięcią do dawnych, dobrych czasów. — Wiesz, kiedyś Kirk powiedział mi: mamu, zakochałem się w tej dziewczynie jak głupi cielak. Trochę sobie wtedy wypił i naszała go chwila szczerości do bólu. A potem oznajmił, że poznałaś kogoś innego.

— Tak mi się przynajmniej zdawało.

— A on nigdy nie umiał z nikim rywalizować...

— Był dla mnie taki dobry.

— A mimo to pozwoliłaś się zauroczyć innemu. Kochałaś go chociaż?

— Sama już nie wiem, co to jest miłość. Wiem tylko, że to na pewno nie kwiaty i podarunki. — Annie wydawała się rozgoryczona. Betty nigdy przedtem nie widziała w niej żalu czy zgorzknienia; rozstanie z tym drugim mężczyzną musiało tak na nią podziałać. Chciała o to zapytać, ale pomyślała sobie: To nie moja sprawa.

— Kirk nie był romantykiem, Annie.

— A ty skąd niby wiesz? Mogłabym ci opowiedzieć parę historii. — Annie szturchnęła Betty w kolano, uśmiechnęła się słabo i musnęła chustką oko z rozmazanym makijażem. — Pewnie wyglądam jak siedem nieszczęść, co?

— Do mnie i tak ci daleko, kotku.

Wspomnienia, a po nich Izy. Czy taki cykl emocji ją czekał? Betty dopiła wino, położyła głowę na oparciu sofy i wydała z siebie długie westchnienie. Trzeba się jakoś w tym wszystkim odnaleźć. O ile w ogóle się da. Gdyby tak wystarczyło tylko wskazać palcem i powiedzieć: oto jestem ja.

— Słuchaj, a może zostanę na noc? — spytała Annie.

— Och, wcale nie musisz, Annie.

— Przespałabym się tu, na sofie. Byłoby mi tu dobrze.

— Naprawdę dam sobie radę.

— Mówię serio, zostanę bardzo chętnie. — Annie miała minę przejętego dziecka. — Posiedzimy sobie i pogadamy o dawnych czasach.

Betty uznała, że Annie nalega z czystej troski i chęci ofiarowania pomocy, ale w jej tonie zabrzmiała nutka desperacji — tak jakby to ona straciła kogoś bliskiego i potrzebowała towarzystwa. Betty zastanawiała się nad perspektywą spędzenia kolejnych paru godzin na

odkopywaniu przeszłości, obnażaniu każdej cząstki nieszczęśliwej miłości Kirka i Annie przy następnych kieliszkach wina. Zawsze lubiła Annie, ale jeśli pozwoli jej zostać, to powrócą dalsze wspomnienia — a kiedy te się wyczerpią, to obie zaczną przerabiać je od nowa.

Nagle znowu zadzwieczał dzwonek u drzwi. Annie drgnęła gwałtownie. Pewnie wolałaby, żebyśmy zostały same, pomyślała Betty. Żadnych ludzi z zewnątrz, żadnych obcych. I wtedy nagle ją olśniło: Annie doskwiera samotność, dlatego chce tu zostać.

— Lepiej pójdę zobaczyć, kto to, skarbie. — Betty zwlokła się z sofy i ruszyła do przedpokoju, mijając swoje stare, słynne zdjęcia z Woodstock

— kolorowe, wyblakłe z upływem czasu. Tamten promienny uśmiech, długie włosy z przedziałkiem, krzykliwa, kwiecista bluzka, króciutka spódniczka mini i kozaki do kolan — świeży, seksowny kociak. Witaj, świecie. Oto młodzianka dziewczyna, gotowa chwycić życie jak konia za grzywę. I to jej się udało. Na Boga, jeszcze jak.

Otworzyła drzwi.

Na zewnątrz stał Perlman. — Czy mogę wejść?

— Lou, nie spodziewałam się... — Wyciągnęła rękę i poprawiła mu wygiętą klapę płaszcza. Nie mogła się powstrzymać. Czuła się idiotycznie

— jak matka, no, może nie całkiem. Ktoś przecież musi się zaopiekować tym mężczyzną.

Ale on jakby wcale nie zauważył jej gestu. — Wpadłem tylko zobaczyć, jak sobie radzisz — rzekł i zaraz nieśmiałym ruchem wyjął zza pleców bukiet kwiatów. — To dla ciebie.

— Och, Lou. — Wzięła kwiaty. Była to kompozycja goździków, pół tuzina róż i kilku łodyg paproci. Betty domyśliła się, że Perlman nieczęsto obdarowuje innych kwiatami, a może nawet wcale.

— I co? Podobają ci się? — spytał tonem pełnym nadziei.

— Są piękne. — Powąchała je. Prawie wcale nie pachniały, ale za nic by mu tego nie powiedziała. Kiedy to ostatnio dostała od mężczyzny jakieś kwiaty?

— Bo w razie czego mogę je wymienić...

— Po co? Nie bądź niemądry. Są śliczne. — Pomogła mu zdjąć płaszcz, który powiesiła na drewnianym wieszaku. — Słuchaj, właśnie mam gościa.

— To może zajrzę kiedy indziej?

— Mowy nie ma. — Zaprowadziła go do pokoju dziennego. Annie podniosła wzrok.

— To jest Annie Cormack — przedstawiła ją Betty. — Annie, Lou Perlman.

Uśmiechnął się i uścisnął jej młodą dłoń. — Miło cię poznać.

— I nawzajem. — Annie uwolniła dłoń z jego uścisku.

Perlman nie spuszczał z niej wzroku, jakby próbował przypomnieć sobie, gdzie już ją widział. Jego badawcze spojrzenie wprawiało ją w zakłopotanie. Podrapała się po policzku i zmieniła pozę.

— To dziwne, ale kogoś mi przypominasz — powiedział Perlman, mrużąc oczy.

Annie otworzyła torebkę i zaczęła w niej szperać, obracając w palcach wszystko, co miała w środku. Kluczyki do samochodu, szminki, tampony. — Tak się tylko mówi — rzuciła, zajęta szperaniem w torebce.

W pokoju nagle zapanował chłód, którego przedtem nie było. Betty czuła napięcie ze strony Annie: może to efekt huśtawki nastrojów.

— No, tę aktorkę — ciągnął Perlman. — Jak jej tam?

— Z jakiego filmu, Lou? — spytała Betty.

— No, z takiego jednego. Mam tytuł na końcu języka.

— Bardzo mi pomogłeś — zachnęła się Betty. Perlman pstryknął palcami. — Paul Newman...

— Annie przypomina ci Paula Newmana? Czyś ty na pewno założył soczewki, Lou?

Ale Perlman nadal usiłował odszukać w pamięci nazwisko jakiejś aktorki, a Annie tymczasem dalej szperała w torebce.

— Newman grał w tym filmie boksera. Rocky jakiś tam. I miał żonę... Włoszkę. Już wiem, Pier Angeli. Śliczna dziewczyna.

— Pamiętam ją — odparła Betty. Śliczna dziewczyna. Te słowa trochę ją ubodły. Niby przychodzi do mnie, a całą uwagę skupia na Annie. Do dia-ska, czy aż. tak koszmarnie wyglądam? Gdyby wiedziała, że przyjdzie, doprowadziłaby się do porządku; zrzuciłaby ten długi, byle jaki szlafrok i domowe kaptcie. Taki strój nie robi wrażenia — och, daj spokój, znasz, tego faceta zaledwie parę dni, a już cię boli, że porównał Annie do „ślicznej” aktorki? Wolnego, pani McLatchie. Masz zły dzień, głowa ci szwankuje, a Perlman nie przyszedł tu po to, żeby oglądać cię wystafirowaną jak hostessę w nocnym klubie.

— No właśnie, Annie jest podobna do Pier Angeli — powtórzył Perlman.

Annie zamknęła torebkę na zatrask i spojrzała na Perlmana. — Nigdy o niej nie słyszałam. To chyba z jakichś starych filmów?

— Jeszcze cię wtedy nie było na świecie, skarbie — wtrąciła Betty, zbyt pochopnie i niezręcznie.

Perlman rozejrzał się za jakimś krzesłem. Prawdziwa ofiara losu z niego, pomyślała Betty. I to właśnie w nim lubiła: tę jego niezdarność i roztargnienie, w które czasem padał.

— Przy szafce stoi krzesło, Lou.

— A tak. Trochę jakby tu ciemno albo mi wzrok nawala. — Usiadł, oparł łokcie o kolana i dalej wpatrywał się w Annie, która wstała z sofy i przerzuciła pasek torebki przez ramię.

— No, to na mnie już czas.

Uśmiechnął się. — Oto efekt Perlmana. Chcesz się pozbyć gości? Zadzwoń po Lou.

— Nie musisz tak się zrywać, Annie — powiedziała Betty.

— Wszystko gra. Właśnie przypomniało mi się, że się gdzieś umówiłam.

— Miałaś przecież zostać... — zaczęła Betty, ale nie sprawiała wrażenia zawiedzionej. Wołała być z Perlmanem sam na sam. Zastanawiało ją wprawdzie, skąd ta nagła zmiana w zachowaniu Annie — ale w taki dzień, kiedy człowiek balansuje lekko na krawędzi głębokich uczuć, a stając twarzą w twarz ze śmiercią, skrywa niepokój pod fałszywą maską odwagi, ulega się różnym silnym emocjom.

— Przyjdę kiedy indziej — oznajmiła Annie.

— Bardzo cię proszę, zostań.

Annie wyjęła z torebki małe, kieszonkowe lustro i spojrzała na swoje odbicie. —Jezu, jak ja wyglądam.

— Daj że spokój — rzuciła Betty. — Popatrz lepiej na mnie... — Na pewno wyglądam jak upiór, pomyślała i szybko wyszła z pokoju pod pretekstem przyniesienia wazonu.

Annie wsunęła lustro z powrotem do torebki i ruszyła do drzwi. — Niech ją pan ode mnie pożegna i przekaże, że zadzwonię.

— Zaczekaj — powiedział Perlman.

— Naprawdę muszę już iść. — Otworzyła drzwi do przedpokoju i wyszła, a Perlman za nią.

— Niby od kiedy ty jesteś Annie?

— Od urodzenia, panie Perlman.

— Mów mi Lou.

Nie zatrzymała się, była już w pół drogi do wyjścia, kiedy orzekł: — Georgie Square, Boże Narodzenie, dwa, może trzy lata temu. Byłaś na zakupach, trzymałaś torby od Armaniego...

— Węszy pan jak jakiś pies.

— Hau-hau — mruknął Lou. — Byłaś wtedy z Chuckiem. Odwróciła się twarzą do niego. — Co? Ja widzę pana pierwszy raz w życiu.

— Rzeczywiście, ktoś taki jak ja nie robi na ludziach większego wrażenia, ale mam za to pamięć do twarzy, a twojej nie da się zapomnieć. Masz jakieś powody, żeby ukrywać przed Betty swoje nowe imię?

— Nie zmieniałam imienia.

— Głowę daję, że to robota Chucka. Wolał Gloriannę niż Annie, bo to brzmi bardziej efektownie, oryginalnie. Ale ja osobiście uważam, że Annie to ładne imię.

Spojrzała na niego gniewnie. — Proszę przestać. Niech pan da już spokój. — Nerwowym ruchem przysunęła dłoń do twarzy, jakby chciała ją zasłonić.

— I czego się tak boisz...

— Wcale się nie boję.

Otworzyła drzwi z zamiarem wyjścia, a po chwili odwróciła się do niego. — To nie mnie pan widział z jakimiś pieprzonymi torbami od Armaniego. To nie byłam ja, tylko ktoś inny. Jasne? — Wyszła i trzasnęła drzwiami, nie oglądając się za siebie.

Perlman stał tam jeszcze chwilę, po czym wrócił do pokoju i zastał Betty idącą z wazonem, do którego wstawiła kwiaty. Zdążyła też zrobić coś z włosami. Jej żółtawosiwa czupryna była spiesznie przyczesana i praktycznie upięta spinkami, żeby trzymała się na miejscu.

— Annie już wyszła?

— Prosiła przekazać, że zadzwoni.

— Rany boskie, wyleciała jak oparzona. — Betty postawiła wazon na stoliku, obracając go kilkakrotnie dla pożądanego efektu. — Mówiła, że chce zostać na noc. Ale wtedy zjawiliś się ty. Musiałeś niezłe ją wystraszyć.

— Zacząłem udawać Frankensteina, a ona rzuciła się do drzwi i wystrzeliła jak z procy.

Przez chwilę patrzyła na niego w milczeniu, przechylając głowę na bok. — Masz dla mnie coś nowego?

— O Kirku? Bardzo bym chciał, ale na razie nikogo nie zatrzymaliśmy.

W duchu odetchnęła z ulgą. Śmierć zanadto dała jej się we znaki. Dławiła ją, gasiła mrokiem każde światełko w jej duszy. Betty pragnęła o niej zapomnieć, choćby na parę minut, sekund, na ile tylko się da.

Perlman zapalił papierosa. — Ta Annie to twoja bliska znajoma?

— Powiedzmy, że tak. To była dziewczyna Kirka. Dawno jej nie widziałam.

— A nie wiesz przypadkiem, gdzie mieszka?

— A czemu pytasz?

— Wybacz, zboczenie zawodowe.

— Annie pochodzi z Drumchapel, a mieszka przy Belmont Street.

— Nieźle się urządziła. I co jeszcze o niej wiesz?

— Właśnie rozstała się z facetem i chyba strasznie cierpi.

— A co to za facet?

— Nie wiem. A zresztą czemu cię to w ogóle obchodzi? Nie odpowiedział. Zauważyła jego skupiony wzrok. Usiadł na sofie

i wyprostował nogi.

— Może drinka, Lou?

Wyrwany z zadumy, wzdrygnął się jak z przerażenia. — Nalej mi kropelkę, jeśli coś tam masz.

— Coś by się jeszcze znalazło — odparła, nie ruszając się z miejsca. Niech sam sobie przyniesie. — Czy często ci się zdarza tak odpływać, wyłączać się z obiegu?

— Zdarza się, że trochę wędruję myślami.

— Zdarza się? Pewnie tylko na widok ładnej dziewczyny?

— Ładne dziewczyny nie mają z tym nic wspólnego.

— I wracasz na ziemię tylko po to, żeby się najeść i napić.

— I od czasu do czasu po niej stąkam.

Betty usiadła obok niego. — W kuchni w górnej szafce stoi butelka Black and White...

Podniósł się z miejsca. Słyszała, jak pobrzękuje naczyniami, i zastanawiała się, co stłucze przy okazji. Lada chwila coś mu spadnie; trzeba pośpieszyć z pomocą. Weszła do kuchni i zastała go z uniesioną nogą przy otwartych drzwiach dolnej szafki.

— Mówiłam ci, że na górze, Lou. W górnej szafce.

— Nie uprzedziłaś mnie tylko o groźnych domowych zasadzkach. Wskazał na nogę, którą trzymał w powietrzu. Na nosku prawego buta

miał zatrzaśniętą pułapkę na myszy.

— No, coś się wreszcie złapało, do cholery — rzuciła. Zaśmiała się, zaskoczona tonem swego głosu. Od paru dni nie znała,

co to śmiech. Nagle, nieco zdziwiona, uświadomiła sobie, że ma ochotę spędzić z Perlmanem noc. Od dawna nie pożałowała mężczyzny, a przynajmniej nie w ten sposób. Poczula w środku nagłą falę ciepła. Betty, Betty: może kiedyś, ale nie dziś; to nie jest właściwy moment.

33

To nie mnie pan widział z jakimiś pieprzonymi torbami od Armaniego.

Perlman stanął przed drzwiami swojego domu, wciąż zaabsorbowany myślami o Gloriannie. Poczul silny zapach kamfory. Znał tylko jednego człowieka, który tak cuchnął. To właśnie on, Pickler, wyłonił się z cienia zarośli i wsunął Perlmanowi w dłoń jakieś kartki papieru.

— Jest taka niepisana zasada: gliny i ich wtyczki powinni się spotykać na neutralnym gruncie.

— Przecież nikt mnie nie widział, panie Perlman — szepnął Pickler.

— W każdym razie zapamiętaj to sobie na przyszłość.

— Przepraszam — jęknął Pickler tonem ucznia, który dostał naganę. Perlman przekręcił klucz w zamku. — A co to za papiery?

— Rachunki za taksówki. Jest mi pan winien trzydzieści dwa funty i dziewięćdziesiąt pensów. Jak pan chce, może pan od razu zaokrąglić do trzydziestu pięciu.

— A gdzie ty jeździł, aż do Inverness?

Było jasne, że Pickler pilnie potrzebuje pieniędzy; inaczej wcale by się tu nie zjawił. Znał przecież całe mnóstwo miejsc, gdzie po godzinach wpadał na drinka. Perlman wszedł do środka, skinął na Picklera i obaj ruszyli do pokoju dziennego.

— Co za ładny dom, a jaki przytulny — zauważył Pickler. — Jezu, ile pan ma tych płyt?

— Piętnaście tysięcy, a właściwie prawie dwadzieścia, tak na oko, bo nigdy nie liczyłem.

Pickler wyjął z półki jakąś płytę. — I co my tu mamy? Najlepsze przeboje Raya Charlesa. O, mam taką samą. Bardzo dobra. Ray był prawdziwym królem. Jedni mówią, że Elvis, inni, że Jerry Lee, ale...

— Odłóż ją na miejsce — przerwał mu Perlman.

Pickler posłuchał, ustawiając płytę do góry nogami. Perlman poprawił ją z nietypową dla siebie pedanterią.

— Doskonale śpiewał, jak na niewidomego — zauważył Pickler. — Czytałem gdzieś, że utrata wzroku wiąże się z talentem muzycz...

— Nie wszyscy ślepi umieją śpiewać — wtrącił Perlman. Był zniecierpliwiony, zmęczony i przeciążony, jakby miał za sobą dzień dłuższy niż przepisowe dwadzieścia cztery godziny. Nie miał ochoty wysłuchiwać faktów czy na wpół przetrawionych teorii, które Pickler pielęgnował w swojej głowie. Pochodziły głównie z magazynów popularno-naukowych, czasopism motoryzacyjnych czy miesięcznika Reader's Digest, ulubionej lektury Picklera.

Pickler rozsiadł się w welurowym fotelu, twarzą do wyłączonego telewizora. Perlman, nieco urażony, że tamten wybrał właśnie jego fotel, wyjął portfel i dał mu trzydzieści dwa funty. Jego portfel chudł niezwykle szybko.

— Wisi mi pan jeszcze dziewięćdziesiąt pensów. Ale spokojna głowa, nie zaskarżę pana. — Pickler zaśmiał się, wziął banknoty, po czym chwycił za pilota i włączył telewizor. Czuj się jak u siebie w domu. Pickler należał do tych, co to korzystając z czyjejs toalety, splukują wodę, żeby zagłuszyć wszelkie odgłosy, szperając w międzyczasie po szafkach i zwijając z nich przydatne tabletki.

Perlman od razu wyłączył odbiornik.

— Siła nawyku, panie Perlman. Przepraszam.

— Na miejscu samicy mola za nic nie złożyłbym jaj w twojej szafie. Kąpiesz się w tym świństwie czy co?

— To mój jedyny garnitur, panie Perlman. Nie chcę, żeby mole zżarły go do cna. Nie ma pan tu przypadkiem jakiegoś browarka?

— Nie piję piwa.

— A to szkooda. — W jednej chwili Pickler puścił głośnego, solidnego bąka. — Przepraszam, panie Perlman. Tak mi się jakoś cichaczem wymknęło. Czasem trzeba spuścić trochę gazu.

Cichaczem? Rany, przecież to był prawdziwy grzmot. Perlman zaczął poważnie się obawiać, czy aby siedzenie jego fotela na pewno to wytrzyma.

Powietrze zgęstniało od smrodu tak bardzo, że nie dało się oddychać. Perlman otworzył okno.

— Robi się zimno, panie Perlman.

— Ja tam lubię świeże powietrze.

Pickler zatarł dłonie. — No więc to było tak — zaczął. — Szedłem za nim co tchu po Renfrew Street. Miał wysokie obcasy, nylony i śliczny płaszczyk z takim wysokim kołnierzem.

— Daruj sobie tę gadkę o modzie — rzucił Perlman.

— Mówię tylko, co widziałem. Skierował się w stronę Buchanan Galleries. Tam spotkał się z jakimś facetem i razem wsiedli do furgonetki. Zapisałem nawet numer rejestracyjny.

— Dobra robota.

Pickler wyjął z kieszeni spodni świstek szarego papieru. — Proszę bardzo. No więc wsiedli do furgonetki, a ja stałem tam jak jakiś palant i szukałem taryfy. Jak są potrzebne, to nigdy ich nie ma, zauważył pan? Całkiem jak z policją. Tylko bez obrazy. W końcu złapałem jedną, wskoczyłem do środka, patrzę, a furgonetka pruje w Killermont Street. To tam, gdzie ten dworzec autobusowy.

Perlman palił papierosa. Poruszył niecierpliwie rękami: do rzeczy.

— No i wtedy furgonetka skręciła w Alexandra Parade, minęła park i ruszyła wzdłuż Cumbernauld Road aż do Edinburgh Road. Przejeżdżała obok tych osiedli. Właśnie tam, w Cranhill, mieszka moja była.

— Twoje prywatne sprawy mnie nie obchodzą.

— Nie mówiłem panu, że byłem żonaty? — dziwił się Pickler. — Ale ona była dla mnie zbyt nadęta. Zadzieriała nosa. Niby wielka damulka. Wyzywała mnie od prostaków, a ja miałem tego dość, no i dałem dyla...

— Mówiłeś, że minęli osiedle. I co potem?

--Wjechali na teren zamknięty pod jakąś wielką, starą rudere, co to

ledwo stoi, z wysokimi kominami i ogromną bramą. Czekałem tam chwilę. To niezbyt przyjemne miejsce, panie Perlman. Ta rudera stoi zaraz przy blokowisku i Bóg mi świadkiem, że to niebezpieczna okolica. — Pickler zmarszczył brwi. — Aż dziw bierze, że miasto musowo nie odkupiło tej rudery, żeby ją wyburzyć.

— Chciałeś powiedzieć, przymusowo.

— Wystarczy, że nie mam w ustach ani kropli, a już kręcą mi się słowa. Naprawdę nie znajdzie pan niczego do polania kieliszeczka?

Perlman pokręcił głową. Po jednym kieliszeczku byłby następny, aż w końcu trzeba by siłą wyciągać Picklera z fotela przy pomocy haka holowniczego.

— No dobra, i wtedy ci dwaj weszli do rudery, a ja zaszyłem się pod bramą, żeby ich śledzić. Stałem tam ładną chwilę. Przyszło mi nawet do głowy, żeby przegramolić się przez tę bramę, gdy nagle widzę dwa olbrzymie psiska, pędzą prosto na mnie. Wściekle to za mało powiedziane; one były jak rodem z cholernego piekła. A że życie mi miłe, to nie wlałem.

— I przyjechałeś tutaj.

Pickler zrobił obrażoną minę. — A skąd, poszedłem na blokowisko...

— Niezły z ciebie chojrak.

— Ano służyło się kiedyś w Czarnej Straży, ale to już inna historia. No więc idę, dzieciaki z bloków snują się po kątach i patrzą wilkiem, na podwórzu jakieś kobity biorą się za łby i leją, gdzie popadnie, ktoś odpala ze śrutówki. To ci dopiero ubaw. Nic, tylko brać nogi za pas i wiać z tego kurewskiego grajdołu gdzie pieprz rośnie.

— No i wtedy zwiąłeś.

— A gdzie tam. Nie po to jechałem taki szmat drogi, żeby wrócić z niczym, co nie? A zresztą spójrz pan tylko na mnie: kto by tam poznał, że ja nietutejszy? No i pogadałem z takim jednym, co to wypił o jednego za dużo, cholerny szczęściarz. Powiedział mi, że w tej rudery mieszka jakiś pieprzony świr i że miejscowi go nie cierpią. Aha, i jeszcze jedno: podobno ta chałupa jest nawiedzona. Nie patrz pan tak na mnie, ja też nie wierzę w duchy. Powtarzam tylko, co słyszałem. Facet, co ma ten dom, nazywa się Dysart. Tak naprawdę to nikt chyba nie wie, czym on się zajmuje.

— I dlatego miejscowi rozpuszczają różne plotki.

Pickler wzruszył ramionami. — To już pana działka. Ja zrobiłem swoje.

— I świetnie ci poszło.

Perlman popatrzył na numer rejestracyjny furgonetki, nabazgrany na świstku szarego papieru. I tu trzeba sobie postawić kilka pytań. Dlaczego niemal zaraz po wyjściu Perlmana Ace popędził na spotkanie z tym Dy-sartem? Czy to właśnie ten Dysart tak „ubóstwiał” Ace'a na praktykach chirurgicznych? Czy pośpiech Ace'a wynikał z jego panicznego strachu i potrzeby ostrzeżenia Dysarta, że Perlman zaczął węszyć i rozgrzebywać ich przeszłość, którą tak bardzo pragnęli ukryć?

Do czasu rozmowy z Dysartem mógł tylko snuć domysły.

Pickler, który przez cały czas wiercił się w fotelu, wreszcie wstał z miejsca. — No, to ja już będę leciał, panie Perlman.

— Jasne. Dzięki.

— Gdzie ja mam głowę, byłbym zapomniał podać panu adres tej rudery. Cobble Drive trzy. To jedyny dom przy tej ulicy. W razie potrzeby niech pan da znać. To ja już pójdę na taryfę. Przydałoby mi się jeszcze...

— Trochę forsy na taksówkę.

— Nie dość, że inteligent, to jeszcze dżentelmen.

Perlman podał mu dziesiątaka. W takim tempie zbankrutuję, pomyślał. Odprowadził go do drzwi i pożegnał.

W pewnej chwili Pickler stanął jak wryty. — Aha, i jeszcze dwie sprawy, póki pamiętam. Później znowu widziałem tę furgonetkę.

— To znaczy, kiedy?

— Jak czekałem na taryfę przy Edinburgh Road. Minęła mnie i pojechała w stronę miasta.

— Na pewno ta sama?

— Biała furgonetka, numery też się zgadzały.

Biała furgonetka, powtórzył w myśli Perlman — tak jak tamta, która na Wellshot Road omal nie potrafiła kota. Po Glasgow jeździ całe mnóstwo białych furgonetek.

— No a ta druga sprawa?

— Ten zalany dziad, z którym gadałem na osiedlu, wie pan? Powiedział mi, że ostatnio wieczorem to z tej chałupy wyparowała jakaś panienka. Była chyba strasznie spietrana. Podobno biegła na boso i wrzeszczała. Młoda, ładna laseczka. Facet mówił, że pędziła jak szalona. Dzieciaki miały jej załatwić transport do miasta. No i jakiś gość zgodził się odwieźć ją karawanem.

— Karawanem — powtórzył Perlman. — A wywiedziałeś się może, co to za jeden?

— Wiem tylko, że nazywa się Pudge. Zaraz potem moje osobowe źródło informacji zważyło się na glebę, schlane do nieprzytomności. Niektórzy to nie mają wstydu.

Perlman zamknął drzwi na klucz i wrócił do pokoju.

O mały włos nie usiadł w fotelu, w którym skadził się Pickler. Lepiej trochę odczekać; siedzenie było jeszcze ciepłe i z pewnością wciąż przesycone gazami jelitowymi Picklera.

Zrzucił płaszcz i położył się na sofie.

Utkwił wzrok w suficie.

Nic z tego nie rozumiał. No cóż, życie to jedna wielka zagadka. Wypalił kilka papierosów, wracając myślami do Glorianny: w pośpiechu wyszła od Betty, zaprzeczając, że kiedykolwiek go widziała. Nie przyznała się nawet do przybranego imienia. I właśnie się rozstała z facetem — zapewne chodziło o Chucka, o ile jeszcze do niedawna wciąż byli razem.

Różnica zdań, niewierność i cała masa innych problemów, które dotyczą każdego związku — kto wie, co tak naprawdę było powodem ich rozstania?

I czego Glorianna tak bardzo się bała?

Załóżmy, że chodziło o Chucka. Skoro się rozstali, Chuck na pewno boi się, że Glorianna za dużo wie o jego życiu. Wystarczy, że gdzieś coś chlapnie, wygada się, powie coś, co go pograży. Jeśli Chuck wziął to pod uwagę — dziewczynie grozi niebezpieczeństwo. Może dostawała już jakieś pogrożki i stąd ten powrót do dawnego imienia, byleby tylko nie zwracać na siebie uwagi.

A więc koniec z torbami od Armaniego. Domysły. One niekiedy bywają odkrywcze.

Glorianna była z Chuckiem na tyle długo, że z pewnością wiedziała już coś niecoś o jego przekrętach. Kto wie, czy nie najdzie ją ochota, żeby się wygadać. Wzgardzona kobieta. O ile Chuck rzeczywiście tak ją potraktował. Chyba że to ona zostawiła jego.

Perlman zapalił papierosa. Jestem coś winien Sandy'emu, pomyślał. Kiedy Sandy po raz pierwszy zaoferował pomoc w sprawie odciętej dłoni, Perlman obiecał powiadamiać go o każdym ciekawym odkryciu, jakiego dokona. A gdyby nawet dochodzenie w sprawie Chucka nie miało nic wspólnego ze znalezieniem odciętej dłoni w plastikowym worku, to i tak przydałoby się porozmawiać z Glorianna. Kto wie? Jeśli dziewczyna zechce się dogadać, to może da się z niej wyciągnąć jakieś niezbędne informacje o interesach Chucka i przekazać je Sandy'emu. Jak na talerzu. Proszę, oto pyszny bulion na przystawkę do dania głównego.

Scullion i jego bulion.

Perlman wszedł na górę do sypialni, zrzucił buty i położył się w ubraniu. Ale jego umysł nie miał ochoty na odpoczynek. Wał korbowy się obracał, tłoki pompowały. Pomyślał o połknięciu tabletki nasennej, ale przypomniało mu się, że ostatnią, jaką miał, dał Betty.

Zaprzagnął do niej zadzwonić. Była już prawie pierwsza w nocy, pewnie by ją obudził. Przywołał w pamięci chwilę, gdy siedział przy niej na ogromnej kanapie i trzymał ją za rękę dla otuchy, próbując skierować rozmowę na tematy inne niż śmierć i utrata bliskich. Dzielić z kimś smutek to trudne wyzwanie — a mimo to lubił być przy niej nawet w tych tragicznych chwilach, których ostatnio trochę się namnożyło. Na widok pułapki na myszy, zaldeszczonej na jego bucie, roześmiała się tak szczerze i spontanicznie, a jego to niezmiernie uradowało, bo było oznaką życia. A potem znowu płakała.

Opowiedz mi o swojej przeszłości, Betty. Krótko mówiąc, nigdy nie wyszła za mąż. Była sekretarką średniego szczebla w firmie Grey and Dunne Biscuit, dopóki nie zaczęli zwalniać pracowników. Potem pracowała dorywczo w różnych biurach, aż w końcu postanowiła zarabiać na życie sprzątaniami, i to w dogodnych dla niej godzinach pracy.

Jeszcze przed jego wyjściem zasnęła na kanapie. Zanim się od niej wymknął, pocałował ją lekko w czoło.

Teraz zastanawiał się, czy w ogóle to poczuła.

Dysart wyszorował dłonie gorącą wodą z dodatkiem Dettolu, który nadał jej barwę chudego mleka. Siostra Payne podała mu ręcznik i parę rękawic i założyła mu maskę.

Skalpel, powiedział Dorcus.

Przyjrzał się bladej skórze młodzieńca. Miał idealny pępek, maleńkie dzieło o doskonałej symetrii, złote, czyste włosy i nieskazitelną twarz. Dysart wypatrzył go, kiedy tamten spacerował po Springkell Avenue, nieopodal Maxwell Park; samotny, zamyślony, snuł się leniwie tuż nad ranem. Był łatwym łupem, wpadł mu w ręce bez trudu.

Skalpel, siostrze Payne.

Siostra Payne była dziś oteźpiała, nieobecna myślami. Najwyraźniej coś ją gnębiło.

Od razu się domyślił.

Zrobił nacięcie. Ciało posłusznie poddało się naciskowi ostrza. Oto jego portal. Stąd mógł już wejść do najbardziej ukrytych zakamarków w ciele chłopaka, przedostając się przez zadziwiający świat krwi, tkanek i organów.

Nerki. Wątroba. Purpurowa, skąpiana we krwi, bogata w białko. Szybko mu to szło.

Siostra Payne brała do rąk każdy wydobyty organ, owijała w wysterylizowane płótno i umieszczała w niebieskiej, plastikowej chłodziarce, wyłożonej woreczkami z lodem.

Jako ostatnie zostanie wyjęte to, co najcenniejsze: serce.

W ręce Dysarta zawarczała sekcyjna piła elektryczna, przecinając kość. A gdy już dotarł do wnętrza klatki piersiowej, zmyślnie obudowanej wnęki, ostrożnie wy dobył z niej serce, uwalniając je z wszelkich więzów, żył płucnych, sinus venarum—jako student uwielbiał te nazwy, póki nie wylali go ze szkoły medycznej. Został odrzucony, zmieszany z błotem. Brak ci temperamentu, Dorcus. Komisja egzaminacyjna z przykrością stwierdza, że... Pamiętał ich wyniosłe miny, fałszywe słowa pocieszenia, krytyczne uwagi o jego, jak to nazywali, „temperamencie”. Nie każdemu się udaje, Dorcus...

Zapomnij o tych starych przykach.

Lubił trzymać w dłoniach gorące ludzkie serce. Źródło życia i energii, bijące dniami i nocami; bez względu na to, czy człowiek, do którego nale-

zało, był pogrążony we śnie czy nie, ten cudowny mechanizm pracował non stop. Nawet wtedy, gdy wyjęto go z ciała i wkładano do innego.

Dysart zdjął kitel, rękawice i maskę i rzucił na podłogę. Następnie umył ręce w parującej wodzie.

Siostra Payne wyniosła chłodziarkę z gabinetu na korytarz, postawiła na podłogę i spojrzała na Dorcusa. — Musimy przerwać to na jakiś czas. To zbyt duże ryzyko.

— Ale potrzebne nam pieniądze...

— Po prostu będę musiała odłożyć swoje plany na później. Dorcus zapalał gniewem do Glorianny. — A mogłem się nie zgodzić,

jak pan Chuck zaproponował, że przyśle do mnie tę dziewczynę.

— No coś ty. Po co kasać rękę, która nas karmi.

— Ddo diabła, niepotrzebnie przyszła tak wwcześnie... — Wiedział, że czas go goni; trzeba zabrać chłodziarkę i dostarczyć na miejsce.

— Daj już spokój. Boję się tylko, że Glorianna coś widziała i opowie o tym Chuckowi. Chyba że nie zauważyła nic poza moją sylwetką w kłębach pary.

— Trzeba było zamknąć drzwi na klucz — upomniał ją Dorcus. Podniósł chłodziarkę z podłogi. Zdawało mu się, że słyszy delikatne bicie schowanego w środku serca.

— A skąd miałam wiedzieć, że dziewczyna zacznie myszkować na piętrze?

— Mówię tylko, że gdybyś zamknęła drzwi na klucz...

— Nic nam po tej łdótni, to i tak niczego nie zmieni. Glorianna może donieść Chuckowi o innej scenie, której była świadkiem: jak dostałeś szau i rozwalisz jej telefon. A wtedy on pomyśli sobie: niech cię cholera, Dorcus, nie pozwolę, żeby ktoś tak traktował moją dziewczynę. Odbieram ci tę robotę.

Dorcus był zdenerwowany, czuł ucisk w piersi. Wyobraził sobie najgorszy scenariusz. Koniec z pieniędzmi od Chucka. A do tego jeszcze ten gliniarz. — Nnienawidzę tego starego pryka Tartakowera za to, że nasłał na ciebie glinę. A na dobitkę wyszła cała ta afera z odciętą dłonią.

— Myślałam sobie o Tartakowerze. Takiego to łatwo namierzyć i zastraszyć, zwłaszcza w jego wieku.

Dorcus ciągle czuł w domu obecność Glorianny. — Ona też niepotrzebnie napatoczyła się akurat w trakcie naszej pracy...

— Jedno z was musiało pomylić godziny. A zresztą teraz nie ma sensu się gryźć.

— No, to na mnie już czas. — Dorcus zniknął w sypialni i przebrał się w pośpiechu.

Kiedy wyszedł, siostra Payne uważnie mu się przyjrzała. — Trzeba cię ostrzyć — orzekła. — Zajmę się tym, jak wrócisz, skarbie. Ten płaszcz też nadaje się do wyrzucenia. Przyda ci się nowe ubranie. Przecież musisz się sobie podobać...

— Najpierw fryzura, a potem ubranie — uciął i ruszył w stronę schodów, a siostra Payne za nim. — Jeszcze nigdy się tak nie kłóciliśmy — zauważył Dorcus, gdy schodzili na dół. — Nie podoba mi się to...

— I mnie też nie — przyznała siostra Payne.

— Wybiegłem za nią, bo chciałem ją uuspokoić.

— Oazą spokoju to ty nie jesteś, Dorcus. Miałeś tylko udawać, że było ci miło, kiedy cię dotykała. Ale ty uciekłeś i zostawiłeś ją samą, a wtedy ona... och, lepiej dajmy już spokój.

Kiedy znaleźli się w przedpokoju, położyła mu dłonie na ramionach i ścisnęła, jakby dodając mu otuchy przed kontaktem ze światem zewnętrznym, który nie zawsze mu sprzyjał. — Bywa, że miłość nie wystarczy, żeby przetrwać. Musimy myśleć praktycznie...

Miała już jakiś plan, jakieś wyjście awaryjne czy coś w tym rodzaju; widział w jej oczach ten błysk intrygi. Uwielbiał go, bo nadawał jej pewną władzę, której on sam nie umiał dorównać.

Pocałował ją w czoło. — Moja ukochana kobieta.

Jackie Ace uśmiechnęła się zdawkowo, jakby nieobecna, podążając gdzie indziej za swymi myślami.

Dorcus nie lubił się z nią żegnać. To tak, jakby wraz z nią opuszczała go siła. Wystarczy, że ona była u jego boku, a prawie całkiem przestawał się jąkać i zacinać.

A pozostawiony sam sobie, był zdany na łaskę własnego języka.

Dorcus, dostawca w budrysówce i okularach. Miała rację. Czas zmienić swój wizerunek. Przybrać bardziej dojrzały wygląd. Od trzech lat nie obcinał włosów. No i nie cierpiał tej budrysówki. Wyglądał w niej idiotycznie, jak jakiś głupek, co to zgubił bilet autobusowy albo kartę biblioteczną.

Na podłodze wozu przy siedzeniu pasażera wiozł chłodziarkę, zerkając na nią od czasu do czasu. Serce, wątroba i nerki w pojemniku z lodem. Wtedy przyszła mu do głowy pewna odstręczająca myśl: skoro Tartako-wer nasłał glinę na Jackie, to równie dobrze może i mnie nim poszczuć... Tylko patrzeć, jak ten pies zapuka do moich drzwi.

Najlepiej wcale o tym nie myśl.

Dojechał do Gallowgate i skręcił w Melbourne Street. Tam znalazł się w pobliżu starej rzeźni. Jadąc tędy, za każdym razem wyobrażał sobie bydło zapędzane do środka, prosto pod paralizator, który porażał im mózg. Widział zwierzęta osuwające się na kolana i błysk noża, którym podrzynano im gardziel.

Skręcił w lewo, w wąską uliczkę, i zaparkował na samym końcu, gdzie za metalowym płotem stał idealnie czysty, pomalowany na kremowy kolor, piętrowy, kamienny budynek, w którym mieściła się firma o nazwie Kanga Textiles. Jakieś małe, szare auto stało zaparkowane przy płocie. Dorcus zatrąbił klaksonem trzy razy. Robił to zawsze, gdy dostarczał towar, bo tak nakazał mu pan Chuck. Z budynku wyłonił się mężczyzna, podszedł do furgonetki i otworzył drzwi od strony pasażera.

Dorcus nie odezwał się ani słowem. Mężczyzna, Azjata z grobową miną, mógł mieć jakieś trzydzieści pięć lat. Energiczny, rzeczowy służbista. Dorcus był mu wdzięczny, że nigdy nie wdawał się z nim w rozmowę. Nie zaglądał nawet do pojemnika i wcale się nie odzywał. Zawsze mu się śpieszyło.

Dorcusa zaintrygowała nieco firma Kanga Textiles. W budynku nigdy nic się nie działo. *A/e* to nie moja sprawa. Dostarczam, co trzeba, za to mi płacą, pieniądze wydają ucziwie, a cała reszta to już nie mój problem.

A zresztą wkrótce na jakiś czas i tak przestanę tu przyjeżdżać.

Mężczyzna wyjął z kieszeni płaszcza białą, grubą kopertę i podał Dorcusowi. Ten nawet do niej nie zajrzał.

Azjata zabrał pojemnik. Wsiadł do auta, ruszył, przeciskając się obok furgonetki Dorcusa, i szybko odjechał. Dorcus wsunął kopertę do schowka. Po drodze do domu plątały mu się w głowie przeróżne myśli: o tym biednym kocie, którego omal nie potracił tak niedawno, o gliniarzu, który lada chwila mógł się wdrzeć do jego życia, a przede wszystkim o Jackie — że oboje muszą chronić siebie nawzajem i trzymać się z dala od zgnilizny tego nędznego świata.

35

Chuck chodził po mieszkaniu Glorianny na trzecim piętrze budynku przy Belmont Street. Było południe, a po niej ani śladu. Nie dała znaku życia, odkąd pojechała do Dysarta, czyli od jakichś czterdziestu godzin. Chuck

sprawdził najpierw w sypialni — i czego się spodziewał? Że przyłapie ją z jakimś mężczyzną?

Byłbyś zazdrosny?

Ja? Zazdrosny? A skąd.

W głowie mu huczało.

Łóżko z baldachimem stało puste, niepościelone; w białym, wiklinowym koszu leżały majtki i staniki; na desce do prasowania piętrzyły się bluzki i spódnice. Gdzie ona się podziała, gdzie? Gdzie moja maleńka Glori?

Przeszedł z powrotem do dużego, przestrzennego pokoju dziennego. Popatrzył na szereg zbrązowiałych drzewek bonsai. Kiedy ostatnio je podlewała? Opuszkami palców dotknął ziemi. Sucha jak pieprz.

Książki leżały porozrzucane w stosach. Ciągłe tylko czyta i czyta. Czy choć raz doczytała którąś do końca? W większości z nich miała powtykane między stronice jako zakładki skrawki gazet i czasopism. Chuck przeczucił wzrokiem tytuły. Największy poradnik życiowy. Przewodnik młodego aktora. I-Ching dla wyznawców NewAge. Niektóre z nich znał, bo polecał mu je Baba, ale żadnej z tych książek nie przeczytał.

Zobaczył stos płyt i czasopism oraz znoszone koszulki i dzinsy, rozrzucone, gdzie popadło. Co za bałagan; zupełnie jakby mieszkała tu całkiem inna dziewczyna niż ta pedantyczna Glorianna z centrum odnowy biologicznej, gdzie wszystko stało na swoim miejscu. Nie znał jej od tej strony i trochę go to zabolalo — nigdy jeszcze nie widział takiej Glorian-ny. Przedtem zajrzał tu do niej parę razy i w mieszkaniu zawsze było nieskazitelnie czysto. Widocznie sprzątała je przed jego przyjściem. Patrz, Rube, jak tu u mnie ładnie.

Na podłodze w łazience leżały majtki i ręczniki. Chuck schylił się i dotknął ich; były jeszcze wilgotne, a więc brała kąpiel albo prysznic — kiedy? Po tym, jak wróciła od Dysarta? Ciągłe tylko te pytania i pytania.

Na stole kuchennym stało niedojedzone chińskie danie na wynos w zgęstniałej mące kukurydzianej. Makaron przypominał martwe tasieńce.

Kiedy dokładnie wyjechała od Dorcusa, zastanawiał się. Późnym wieczorem albo północy — i żaden taksjarsz nie pamięta, że ją odwoził, Mathiesonowi nie udaje się wydobyć nic od lewych taryfiarzy, żadnej odpowiedzi od Glorianny na moje wiadomości głosowe.

Gdzie też ona się spodziewa, do jasnej cholery?

W gniewie kopnięciem porozrzucał książki, przewrócił parę roślin i zdarł kilka orientalnych motywów ze ścian o kolorze złamanej bieli.

Proszę bardzo. Pieprzona suka.

Trzymasz mnie w niepewności, co? Odchodzisz sobie bez słowa wyjaśnienia?

Stanął, zdyszany, serce waliło mu z prędkością karabinu maszynowego. Był wściekły na siebie samego. Za to, że wpadł w taki szał. Ale przede wszystkim za to, że posłał Glori do Dysarta, wykorzystał ją jak jakiś sprzęt biurowy: sumator czy laptop.

Baba powiedział kiedyś: wznos się każdego dnia, pielęgnuj swoje ciało, lecz pamiętaj, żeś głupi, ciemny i nic nie pojmujesz.

Typowy ja, pomyślał. Ciemny i nic nie pojmuję.

/czegoś ty się nauczyłeś przez tyle lat na tym świecie?

Usiadł, zamknął oczy, pochylił głowę.

To bez sensu poddawać się nastrojom. Zerwał się z miejsca, wyjął z płaszcza komórkę i wybrał numer Mathiesona. Cisza. Dlaczego nikt nie odbiera tego pieprzonego telefonu? Po tym, jak Mathieson przywiózł go na miejsce, zapytał, czy nie mógłby pojechać jaguarem załatwić szybko jednej sprawy. Wróć po pana za piętnaście minut, panie Chuck. Jasne, akurat. A skoro tak, to czemu nie odbierasz komórki?

Chyba że Dorcus kłamie.

I co by mu z tego przyszło?

A gdzie on właściwie mieszka? Podobno gdzieś we wschodniej części miasta, kawał drogi stąd. Miał to zapisane w książce adresowej. No i co teraz robić —jechać tam z Mathiesonem, przycisnąć trochę tego doktor-ka-jakałę i przekonać się, czy czegoś nie ukrywa? A co niby miałby ukrywać. Ciężkie podejrzenia przyćmił myśli Chucka. Nie, Dorco nigdy nie odważyłby się wykorzystać Glorianny do swoich celów, za nic w świecie, choćby nie wiem co. Na Boga, prędzej by chyba podpisał na siebie wyrok śmierci.

Jak można być aż tak głupim.

Znowu zadzwonił do Mathiesona.

Tym razem Ronnie odebrał.

— Gdzieś ty się, kurwa, podziewał? — spytał Chuck.

— Byłem odebrać buty od naprawy.

— I po to żeś brał wóz? Żeby sobie jechać do jakiegoś pieprzonego szewca? — Nielatwo wyzbyć się gniewu. Żył nabrzmiały mu na szyi. Na litość boską, uspokój się. — Lepiej byś się na coś przydał, Ronnie. Sprawdź hotele. I pamiętaj: mogła zameldować się pod swoim prawdziwym nazwiskiem.

— Zrobi się — odparł Mathieson.

Chuck nacisnął klawisz zakończenia rozmowy.

Podciągnął rolety i wyrztał na ulicę. Dostrzegł przechadzających się dwóch umundurowanych gliniarzy. Pieszy patrol wyrusza na rutynowy obchód dzielnicy. Oto wasi sympatyczni policjanci z Glasgow. W czym możemy pomóc? Może jakiś kot utknął na drzewie?

Pieprzona gra pozorów.

W jednej chwili przypomniał mu się Rick Tosh. Jak dotąd, nie zadzwonił nawet, by potwierdzić tę wpłatę do banku. Chucka trochę to niepokoiło — czyżby wynikły jakieś problemy, o których Tosh nie raczył go powiadomić? Wyszukał jego numer w komórce na liście kontaktów i wybrał go, nie zważając na różnicę czasową — czy w Teksasie jest teraz dzień, czy noc? Czy Tosh teraz śpi? Zresztą nieważne, mam to w dupie.

Odebrał po dwóch sygnałach. — Obudziłem cię, Rick? — spytał

Chuck.

— Przecież ja nigdy nie chodzę spać — odparł mu. — No, co tam w ulu brzęczy?

Wjakim ulu, pomyślał Chuck. Nawet nie próbował się połapać w tym jankeskim slangu. Bo i po co, do cholery? Jak Tosh przylatywał do Glasgow, to jakoś nie dociekał, co to takiego melanz albo zgryw, po prostu puszczał takie teksty mimo uszu. Ci jankesi to leją na wszystko. Dla nich cały świat to Ameryka.

— No, co z tym przelewem? — dopytywał się Chuck.

— Ano tak, trochę się opóźnia. Wybacz.

— Opóźnia się? Co ty wygadujesz?

— Nie ma się co szczypać, Rube. W Luksemburgu jest chyba jakieś święto. Pieniądze już wysłane, tylko jeszcze nie wpłynęły na konto.

— A ja myślałem, że w dzisiejszych czasach wszystko dzieje się automatycznie.

— Zgadza się, ale co system, to inaczej. Sam wiesz, jak to jest — odparł Tosh.

— Miliony dolarów czekają, aż jakiś pieprzony urzędniczyna naciśnie parę klawiszy? Co to w ogóle za pomysł? Lepiej miej oczy otwarte,

Rick.

— I tak nigdy ich nie zamykam, Rube. No, a teraz twoja kolej: masz przylecieć do Teksasu, słyszysz?

— Niech tylko przyjdą pieniądze, a kto wie.

— Jadłeś kiedyś pancernika z grilla?

— Ki czort, pewnie jakiś kolczasty?

— Smakuje jak słodka wieprzowina. Palce lizać.

— Aha. No, w każdym razie przekręć do mnie — rzucił Chuck i rozłączył się.

Opóźnienie w banku w Luksemburgu. Bywają dni, że od samego rana wszystko jest na nie. A jeśli Tosh to kanciarz? Jasne, że był za tym, żeby zdjąć Stokera i Curdy'ego, skoro jego szefowie oznajmili mu, że wolą kogoś młodszego do prowadzenia ich interesów w Glasgow: tacy faceci jak Stoker i Curdy mieli już swoje lata i zaczynali się obijać. Ale sam fakt, że Tosh poparł ten plan, znaczyło w ich świecie tyle, co nic. Szefowie Tosha, kimkolwiek byli, mogą rozmyślić się w zakichanym ułamku sekundy. Niekiedy próbował sobie ich wyobrazić — spasieni Amerykanie, z kurewsko wielkimi sygnetami, ubrani jak kowboje z westernów, w sznurkowych krawatach, lotniczych, lustrzanych okularach przeciwsłonecznych i fryzurach w stylu pompadour.

Wolał już dłużej nie zastanawiać się, czy Tosh jest w porządku. Dość miał myśli, które zaśmiecały mu głowę. Muszę wziąć Valium, przywołać się do porządku, uspokoić się. Przeszukał łazienkę, poszperał w sekretnych kosmetykach Glorianny. Mleczka nawilżające, talk, kremy, sztuczne paznokcie. Maleńkie, szklane słoiczki z olejkami eterycznymi — skąd w ogóle ta nazwa? Firmowe mydło miętowe. Chromolić to, a gdzie leki?

Glorianna, wróć do mnie, ślicznotko.

W głębi szafki spostrzegł kilka fiolek z lekami na receptę i wyjął je. Przysiadł na muszli i przeczytał etykiety. Co to takiego, ten Celebrex, Zithromac, Aciclovir i Buspar? Czy Glori je zażywa? Nie znał żadnej z tych nazw. To bez sensu. Potrzebował tylko zwykłego, banalnego Valium.

Spokojnie. Jest jeszcze inne wyjście. Wziąć taksówkę i jechać do Świątyni zobaczyć się z Babą. Nie był to środek doraźny, jeśli w ogóle można to nazwać środkiem. A do tego jeszcze to wyrzeczenie się alkoholu, pigułek i seksu — i proszę, w jakim teraz jest stanie: siedzi, skulony, otoczony lekami jakjakiś narkoman, gotów wyrzucić całe miasto do góry nogami w poszukiwaniu dziewczyny, której głowę wypełniają marzenia o Hollywood.

Kurewsko ważny gość.

Miasto jest twoje — a dziewczyna nie.

Właśnie miał się podnieść, kiedy usłyszał znajomy głos.

— Reuben Chuck na kiblu — odezwał się Perlman. — Dawniej zapłaciłbym kupę forsy, żeby popatrzeć na taki widok.

Chuck podniósł wzrok, zdziwiony. — A ty co tu, kurwa, robisz?

— Wolałbym zadać to pytanie tobie, tak będzie ciekawiej.

— Szukam czegoś na ból głowy — odparł mu Chuck. Pacan ze mnie, pomyślał. Przecież nie muszę mu się tłumaczyć. Po co wrywam się z odpowiedzią? Ale Perlman zwykł zadawać pytania w taki sposób, że nie odpowiadając na nie, zostawiało się puste miejsce, które często obracał na swoją korzyść.

Perlman spojrział na fiolki i pokręcił głową. Podniósł dwie z podłogi, wziął po jednej do każdej ręki i potrząsnął. Zagrzechotały jak kastaniety. — Cza-cza-cza. A nie lepiej łyknąć aspirynę?

— Aspirynę? Jakoś nie przyszło mi to do głowy.

— Kupisz ją w każdej aptece. Wystarczy poprosić.

— No racja. — Już sam fakt, że Perlman zastał go siedzącego na klozecie, był wystarczającą zniewagą, ale co, do kurwy nędzy, on tu w ogóle robi? Chuck podniósł się szybko.

— Zostawiłeś otwarte drzwi — powiedział Perlman.

— I dlatego tu wpadłeś.

— Mam to do siebie. Nie potrafię się oprzeć otwartym drzwiom. Nigdy nie wiadomo, co się za nimi kryje.

— To zależy, czego się szuka.

Perlman przebiegł wzrokiem po łazience. — Pachnie tu jak w jakimś ekskluzywnym burdelu — orzedł i wyszedł z łazienki do salonu. — O, widzę, że zamawiałeś ekipę od demolki. — Podniósł wywróconą doniczkę z kwiatem i postawił równo na miejsce. Zaczynam być jak Betty.

— Tak już było, jak tu przyszedłem — powiedział Chuck, zastanawiając się, skąd u niego ten odruch tłumaczenia się Perlmanowi przy każdej okazji, skoro powinno być na odwrót. Ale Perlman wiedział, jak wyciągnąć człowieka na parkiet, przez cały czas udając, że naśladuje jego kroki, podczas gdy to on prowadził w tym tańcu. Cwany suldnosyn, tak łatwo potrafi nabrać każdego sprytnymi sztuczkami i tym swoim wysłużonym płaszczem.

Przed tym Żydem zawsze trzeba się mieć na baczności. Perlman usiadł na sofie i położył dłonie na kolanach. — Całkiem ładne mieszkanie, pomijając tę całą demolkę.

— I tak nie miałeś prawa tu wchodzić — rzucił Chuck.

— Szukam Glorianny.

O nie, pomyślał Chuck, nie zapytam, dlaczego, mowy nie ma; jeśli mu się zdaje, że tak zrobię, to długo sobie poczeka. Już ja okażę temu sukinsynowi należyty szacunek.

— Nie wiesz przypadkiem, gdzie ona jest? — dociekał Perlman.

— Jasne, że wiem.

— Ale mi nie powiesz.

— A od ldey to żyjemy w państwie policyjnym? — fuknął mu Chuck w odpowiedzi.

Perlman ziewnął, nie zasłaniając nawet ust dłonią. — To stary tekst z brodą, Chuck. Państwo policyjne — twoja desperacka wymówka. Stać cię na więcej.

— Te lepsze teksty trzymam na inną okazję.

— A mnie się zdaje, że po prostu cierpisz na ich brak, Rube.

— Gadaj sobie, co chcesz.

— Nadajnik ci nie działa. — Perlman postukał się w głowę. — Ktoś zadaje ci niewygodne pytanie, a ty z miejsca rzucasz sloganami. Państwo policyjne, oto dobry przykład.

— Potrafisz mnie nieźle wkurzyć, Perlman.

— I znowu cięta riposta. — Perlman wyprostował nogi i skrzyżował je. — Na pewno zachodzisz w głowę, po co chcę się widzieć z Glorianna, czy raczej z Annie, ale wolisz nie pytać, żeby nie okazywać swojej słabości.

— Zerwaliśmy ze sobą, Perlman. Ona żyje swoim życiem. Pojawia się i znika, kiedy ma ochotę. Nie widzisz, że gównu mnie to obchodzi?

— To po co tu przyłazisz i grzebiesz w jej lekach?

— A to już moja sprawa.

— Mało się nie posikasz w gacie z ciekawości, czy się tu przypadkiem z nią nie umówiłem. Palisz się, żeby zapytać. A nuż dziewczyna chce się czymś podzielić i ma mi coś do powiedzenia? To ci dopiero sekret. Na twoim miejscu pękłbym chyba z niepewności. — Perlman wstał z miejsca i wolnym krokiem przeszedł po pokoju.

— Pierdoły opowiadasz — rzucił mu Chuck. — Niby po co miałyby się umawiać właśnie z tobą, skoro wywalili cię z policji? Jakby miała do was jakąś sprawę, w co szczerze wątpię, to skontaktowałyby się z jakimś prawdziwym gliną, a nie z tobą, stary.

— Dużo lepsza gadka, Rube. Widzę, że łapiesz, w czym rzecz. — Perlman wyrzwał przez okno. — Tam na dole czeka w wozie dwóch facetów. To twoi ludzie?

— Nie rozumiem.

— Czarne, skórzane kurtki i grobowe miny. Pewnie ochroniarze?

— Nie mam z nimi nic wspólnego.

— Musi być strasznie ciężko kierować gangiem, Rube — zauważył Perlman.

— Gangiem? O czym ty mówisz? Wy z policji żyjecie w świecie jakichś komiksów.

— A nie zastanawiasz się czasem, co te wszystkie szaraczki myślą o swoim Wielkim Szefie? Pewnie o tobie gadają. Szef kazał to, Szef kazał tamto. Kto wie, czy cię nie obsmarowują. Może nie podoba im się to, co robisz, i decyzje, jakie podejmujesz. A niektórzy z nich pewnie zachowali w sobie resztki sentymentu do Obywatela Stokera czy świętej pamięci Curdy'ego...

— Zalewasz stekiem gównianych bzdur.

— Na twoim miejscu nie przespałbym nocy, tylko nasłuchiwał, czy nikt się nie czai w krzakach, i bałbym się, czy ten lub tamten przypadkiem nie knuje przeciwko mnie jakiegoś spisku. Nie miałbym chwili spokoju, Rube. Potrzebowałbym kolejnej armii ludzi, żeby strzegli mnie przed tymi, których zatrudniam do ochrony.

Chuck zaśmiał się. — Co za wyobrażenia, Perlman. Armia ludzi. Niezły z ciebie komediant.

— Tych z policji też bym się bał. A skąd wiadomo, co kombinują? Ile już zwęszyli? Cholernie chytre z nich dranie.

— Już ty coś o tym wiesz...

— Oj, a do tego jeszcze ta ich władza. Prawo przeszukania i zatrzymania. Aresztowanie bez postawienia zarzutu w myśl nowej ustawy antyterrorystycznej.

— A czyja wyglądam na terrorystę? Noszę na głowie turban?

Ale Perlman ciągnął dalej: — Nie masz zielonego pojęcia, jaką oni mają władzę. Och, a jak potrafią naciskać. Mogą zetrzeć cię w proch jak grudkę soli. — Perlman znowu przeszedł po pokoju, podśpiewując cicho pod nosem: — Te bezsenne noce złamią mi serce na pół.

— Słyszałem już pajaców, którzy potrafią lepiej śpiewać, Perlman.

— Nawet nie zauważyłem, że śpiewam.

— To oznaka starzenia — skwitował Chuck. — W każdym razie zjawiłeś się w momencie, kiedy miałem wychodzić. Ale za to przynajmniej wyleczyłeś mnie z bólu głowy.

— A ja myślałem, że od tego jest ten twój guru.

— No proszę. Wścibski drań z twojego kumpla Sculliona.

— On po prostu ma cię na oku, Rube. Ma obsesję na twoim punkcie. Chuck poczuł w głowie lekkie napięcie. — Jestem tak roztrzęsiony, że nie mogę myśleć.

— I słusznie. Figurujesz pierwszy na jego liście.

— Numer jeden, hę? Najlepszy z najlepszych. Prawdziwy hit.

Perlman uśmiechnął się. — Już on cię dorwie, Rube. Nie łudź się, że będzie inaczej.

— W takim razie musi mieć cholernie celne oko, bo zasada się na grubego zwierza, Perlman.

— Celne oko to on ma, a do tego żelazną wolę.

Chuck klepnął Perlmana w plecy, popychając go do drzwi. To ten Scullion, pomyślał. Perlman wali dosadne pogrożki w imieniu swojego starego druha. Już on cię dorwie, Rube.

Dyrdymały łatwe do przewidzenia.

— Właściwie to wyjdę z tobą.

Na klatce schodowej Chuck zamknął drzwi, dwukrotnie przekręcając klucz. Zszedł z Perlmanem po schodach i razem znaleźli się na ulicy.

— Słuchaj, wpadnij kiedyś do mojego bistro — zaproponował

Chuck.

— Jak to się nazywało? Urznięty Wół?

Chuck parsknął sztucznym śmiechem. — Już ty dobrze, kurwa, wiesz.

— • Za wysokie progi na moje nogi — odparł Perlman. — Może kiedyś, jak będę przy forsie.

— Szef kuchni to kurewsko magiczny mistrz.

— Słyszałem o tym.

Perlman podszedł do swojego auta.

Chuck roześmiał się na widok forda ka. — Nadal jeździsz tą fioletową żabą?

— Pruję aż miło — odparł Perlman.

Chuck patrzył, jak tamten odjeżdża. Nie chciało mu się wierzyć, że Perlman mógł umówić się z Glori. Ona nigdy nie poszłaby na coś takiego. Perlman kłamał, i choć szło mu to całkiem dobrze, to kłamstwo pozostaje kłamstwem. Jedna rzecz wzbudziła u Chucka niepokojące myśli, które tłukły mu się po głowie jak syczące węże — pytanie, na które nie umiał znaleźć odpowiedzi: skoro Glori nie umawiała się z Perlmanem, to po co naprawdę tu przyjechał?

Proste pytanie. Gówna prawda. Takie już nie istnieją.

Świa tjest skomplikowany.

Jaguar nadjechał i zahamował tuż przy nim. Wysiadł z niego Ron Ma-thieson i otworzył mu tylne drzwi.

Chuck wszedł do środka. — A teraz do Świątyni, Ron.

— Dobra jest, panie Chuck.

36

W samochodzie Perlman zadzwonił do Triangle Club. Odebrała jakaś dziewczyna. — Tu Fi-o-na — odezwała się śpiewnym głosem. — W czym mogę pomóc?

Perlman miał nadzieję usłyszeć żywiolową Rhode. — Czy Jackie jest dziś w pracy?

— Właśnie szkoli nowych krupierów. Proszę poczekać, zaraz ją zawołam.

Perlman rozłączył się. A więc Dysart jest teraz sam. To świetnie.

Ruszył do wschodniej części miasta w gęstej mżawce, która właśnie się rozpadała. Myślał o przypadkowym spotkaniu z Chuckiem — tym ludzkim łajnem. Ten ulizany palant miał nieswoją minę, pewnie z powodu niespodziewanej wizyty Lou — i nie tylko. Chuck był wyraźnie poruszony, że nie zastał Glorianny; to działało mu na nerwy jak jakaś szczególnie kiepska piosenka country. Jego odruchy od razu to zdradzały. Pusty śmiech, oczy jak dwa czarne księżycy, wybałuszone od rosnącego ciśnienia. Chuck był już skończony, bezbronny, a jego kłamliwą naturę dało się przejrzeć na wylot niczym meduzę.

Reuben Chuck zawsze pozostawiał w ustach Lou pewien niesmak jak po wypiciu soku z cytryny.

No i gdzie się podziewasz, złota dziewczyno Chucka?

Dom wyglądał dokładnie tak, jak opisał go Pickler: zadziwiający czerwony piaskowiec, w wiktoriańskim stylu, wysokie mury, brama, typowa ponura ruina. Wysokie kominy obdrapane, bez nasady. Zaparkował kilka metrów od bramy. Usłyszał ujadanie psów, hałaśliwe jak wybuchy granatów ręcznych.

Za murami dojrzał dachy blokowiska, usiane antenami satelitarnymi. W gęstniejącym deszczu był to posępny widok. Może dawniej, w senne, letnie dni przed pierwszą wojną światową, ten dom uchodził za urokliwy, odwiedzali go ludzie z wyższych sfer, przyjeżdżając staroświeckimi samochodami czy też eleganckimi powozami konnymi, a świta prostackich służących, zadowolonych ze swej dwupensowej tygodniówki, podawała na trawniku herbatę. Perlman zawsze zastanawiał się, jak to jest, że na starych, sepiowych widokówkach miasta nigdy nie widać końskich odchodów.

Został jeszcze chwilę w samochodzie, sprawdzając, czy wziął parasol. Znalazł tylko parę starych, skórzanych rękawiczek, a cholernej parasolki ani śladu. Bez względu na wszystko groziło mu przemoknięcie. A tak nie cierpiał wilgotnych płaszczy, przeciekających butów i spływających po twarzy strużek wody. Przecież mieszkam w Glasgow — no i co z tego. Czasem kości tęsknią do cieplejszych miejsc, błękitnego nieba, lazurowego morza. Perlman naciągnął rękawiczki; ręce mu zmarzły.

Otworzył drzwi auta, a zamykając je, przytrzasnął sobie płaszcz. Otworzył je raz jeszcze, wyszarpnął materiał, spieszonym krokiem podszedł do bramy i nacisnął emaliowany guzik w murze. Za bramą pojawiły się dwa dobermany, szczerząc białe kły i nadzwyczaj wściekle szczekając.

Pilnujemy tego terenu. Jesteśmy dobermanami, SS wśród psów. Ja nazywam się Heinrich, a to mój kumpel Rudi.

Na dźwięk dzwonka nikt nie nadchodził. Perlman nacisnął go raz jeszcze i zawarczał gniewnie na psy, prowokując je do skoku. Zareagowały od razu, wznosząc się na tylnych łapach i przylegając płasko do bramy. Na stojąco mogły mieć jakieś metr osiemdziesiąt długości albo i więcej. Ogromne bydlaki.

Na żwirowej ścieżce po drugiej stronie bramy pojawił się jakiś mężczyzna. Miał na sobie żółty, plastikowy płaszcz przeciwdeszczowy z kapturem na głowie i biegł, kuląc się przed deszczem. Dotarł do bramy i zaczął uspokajać psy, lustrując przy tym badawczo twarz Perlmana.

Ten przedstawił się. Podał swoje nazwisko i rangę tonem poważnym jak u komornika. Już on wie, jak ja się nazywam — pomyślał. Jackie mu powiedziała.

Mężczyzna nosił okulary i przybrał minę naukowca, któremu właśnie przerwano w pisaniu ostatniej strony monumentalnej pracy doktorskiej. — A ooo co chodzi? Cz-czy coś się stało?

No proszę, wada wymowy. Perlman zawsze miał słabość do ludzi z choćby najdrobniejszymi ułomnościami. — Czy pan Dysart?

— Doktor Dysart — oznajmił z dumą bez zająknięcia.

— Aha, pan doktor, tak? No więc chciałbym zamienić słówko.

— Ze mną?

— A widzi pan tu jeszcze kogoś? Długo jeszcze będę tak stał i moknął?

Dysart posłał mu słaby, zakłopotany uśmiech. — Cco za brak ogłady z mojej strony — odrzekł. — To chyba dlatego, że mało kto tu przychodzi. W takim miejscu — tu ruchem głowy wskazał na osiedle bloków — wwo-łę nie szukać towarzystwa.

— Jasna sprawa. Same chamskie typy.

Dysart otworzył bramę, chwycił psy za obroże i z ogromnym trudem odciągnął na bok. Bestie warczały, nie spuszczać wzroku z Perlmana.

Upatrzyły sobie we mnie główne danie, pomyślał Lou.

Wszedł na posiadłość i Dysart od razu zarygłował bramę. Wciąż mocując się z psami, ruszył ścieżką w stronę domu. Tam je puścił, odpędził kilkoma gwałtownymi ruchami ramion i zwierzęta zniknęły gdzieś w deszczu.

Dysart wszedł do domu i zrzucił płaszcz na podłogę. Perlman ruszył za nim wzdłuż holu. Jego uwagę przykuły dwa ponure portrety olejne, a namalowane na nich postacie zdawały się obserwować go badawczo jak intruza, który nie zapłacił za wstęp.

— Proszę tutaj. — Dysart zaprowadził Perlmana do jakiegoś pokoju.

W oknach wisiały zaciągnięte rolety, stało tam stare, zamykane żaluzją biurko i kilka wytartych, skórzanych krzeseł, a drewniana podłoga usiana była dziurami wyżartymi przez robactwo. Dysart zapalił lampkę na biurku, która roztoczyła wokół skromne światło.

— Zzawsze zostawiam spuszczone rolety... dla świętego spokoju. Czasem jakiś smarkacz od Betonowców włazi na mur.

— Od Betonowców?

— No, tych stamtąd. — Dysart skinął głową na osiedle. — Próbują zajrzeć do środka. Sstrasznie mi dokuczają. — Usiadł i na jego twarzy niespodziewanie pojawił się szeroki uśmiech, jak gdyby przez głowę przeszła mu jakaś zabawna myśl. Jego wargi wykrzywiły się koślawo. Perlman odniósł wrażenie, że ma do czynienia z kimś nieco oderwanym od codzienności, kto dla celów towarzyskich usilnie stara się to zamaskować. W granatowym, eleganckim blezerze i szarych, flanelowych spodniach wyglądał tak, jakby czuł się trochę nieswojo. Ubranie leżało na nim jak na manekinie w oknie pracowni krawieckiej.

Uwagę Perlmana przykuł wiszący na ścianie dyplom: stopień doktora medycyny, nadany Darcusowi Dysartowi przez Uniwersytet Glasgow w czerwcu 1997 roku. — Prowadzi pan praktykę? To może doradziłby mi pan w sprawie środków przeciwbólowych, które mi przepisano. Osobiście uważam, że są dla mnie za silne...

— Ppracowałem kiedyś w sz-szpitalu — przerwał mu Dysart. — Ale tto już historia. Nie przepadam za szpitalami.

— Ja też nie. A co pana najbardziej zraziło?

— Bbez osobowy stosunek do ludzi. Nnigdy nie czułem się tam dobrze.

Perlman nie drażył tematu. Domyślał się już, do czego by to doprowadziło. Domyślał się, że Dysart nie jest stworzony do pracy w zespole. Było w nim coś z neurotycznego samotnika, snującego się po korytarzach na nocnej zmianie, który jeździ windą przy każdej okazji i stara się unikać żartobliwie flirtujących z nim pielęgniarek.

— No więc w czym mogę pomóc, sierżancie? — spytał Dysart.

— Doniesiono mi o jakiejś kobiecie, która parę dni temu wybiegła z tego domu. Podobno była bardzo zdenerwowana. Proszę mi to wyjaśnić.

— Co takiego? Nnie było tu żadnej kobiety.

— A więc doszły mnie fałszywe informacje.

— Z całą pewnością. To kompletne bzdury, wymyślone przez Beto-nowców.

— A często to robią?

— Och, tto jeszcze nic. Zaśmiecają mi podwórce. Wwygadują o mnie różne rzeczy. Mówią, że jestem ppederastą. Albo ćpunem pozbawionym prawa wykonywania zawodu. I że mój ddom jest nawiedzony. — Dysart wzruszył ramionami i machnął ręką, jakby dokuczliwość Betonowców nie robiła na nim żadnego wrażenia.

— Nawiedzony dom? To znaczy, że duchy i inne takie szwendają się tu po nocach?

— Coś w tym rodzaju... Tylko na tyle ich stać, sierżancie. Są niewy-kształceni, nnie mają na opiekę zdrowotną. Nasze społeczeństwo zaniedbuje tyłu ludzi.

Wygląda na to, że ten człowiek jakoś znosi to sąsiedztwo parchatego plebsu, pomyślał Perlman. W sumie to miły facet. Ciekawe, jak to jest mieszkać w takim domu z innej epoki, oddzielnym od reszty? Człowiek od razu staje się obiektem podejrzeń i skandali. To już się stało zwyczajem — banda prymitywów przeciwko wielkiej posiadłości, która stanowi symbol znienawidzonej wyższej klasy. Wyzwiska, plotki, różne świństwa rzucone przez mur: Perlman potrafił to sobie wyobrazić. Kiedyś pewnie podpałą tę ruinę. I tak historia bezustannie zatacza koło.

— A czy kiedykolwiek widział pan tu coś niezmiernego? Dysart pokręcił głową. — Jestem realistą.

— I co pan przez to rozumie?

— No... że wwierzę tylko w to, cco widzialne i namacalne.

— I nic poza tym?

— A cco, na przykład?

— Religia. Dajmy na to, wiara w Boga.

— W Boga nie wierzę.

— Bezbożnik z pana, co?

— Fatalnie to brzmi. Lepsze określenie to agnostyk.

— A więc czeka pan na dowody, boskie objawienie albo przemianę na łożu śmierci.

— Jedna z tych rzeczy wystarczy. — Dysart uśmiechnął się, wyraźnie zadowolony z siebie i na oko bardziej odprężony, jak gdyby pytania Perlmana były częścią jakiegoś testu, do którego świetnie się przygotował i miał go zdać śpiewająco.

Podstawy konwersacji, tom pierwszy — pomyślał Perlman.

— Pan mieszka tu sam?

— Owszem.

— W takim ogromnym domu — zauważył Perlman.

— Nnie korzystam ze wszystkich pokoi. — Dysart przesunął dłonią po swoich krótko ściętych włosach.

— Chętnie bym je pozwiedzał.

— Nnie ma tu nic do oglądania, chyba że gustuje pan w pustych ppo-mieszczeniach, pełnych wilgoci...

— A pewnie, o wiele bardziej wolę wilgoć od suchości. Wystarczy, że wejdę do suchego pokoju, a mój organizm już mi mówi: rób w tył zwrot i uciekaj, Lou, zanim się zaszusysz jak śliwka.

— W powietrzu przydaje się trochę wwilgoci. Tak dla zdrowia.

— Otóż to — uśmiechnął się Perlman, zdjął rękawiczkę, wyjął swój mały notesik, coś w nim zapisał, po czym znów nałożył rękawiczkę. Robienie notatek czasem wprawiało ludzi w zakłopotanie. Czuli, że każdy ich ruch jest rejestrowany w jakimś nieznanym formalnym celu, dlatego stawali się nerwowi i zaczęli się plątać. Pierdoły, zapisał Perlman, podkreślił wyraz i zamknął notatnik.

— No a jak pan zarabia na życie?

— Odziedziczyłem trochę pieniędzy. No i, rzecz jasna, ten dom.

— Jego utrzymanie musi pochłaniać spore pieniądze.

— Rzeczywiście, to duże obciążenie. — Dysart szybkim ruchem chwycił się za wiązanie krawatu, jakby nagle wyczuł pod krtanią jakiś guz.

A więc nie lubi krawatów. Zakłada je rzadko — czyli kiedy? Na spotkania towarzyskie? Do restauracji? Czemu założył go właśnie dzisiaj? Czyżby spodziewał się jakichś gości? — Zdaje się, że odziedziczone pieniądze nie wystarczają na pokrycie wszystkich napraw.

— W piwnicy zrobił się grzyb...

— Grzyb? Chryste Panie. A to ci dopiero. Niech pan lepiej coś z tym zrobi, bo inaczej rozpleni się jak plaga. U mnie w piwnicy też był. Sam mieszkam w starym domu, może nie tak ogromnym jak ten, ale jego utrzymanie jest strasznie uciążliwe. — Tyle że ja nawet się nie staram go utrzymać. Perlman pokręcił głową współczująco.

— Mam nawet pewne plany — odparł Dysart, ożywiony. — Rozmawiałem z architektami i firmami budowlanymi o remoncie. Ten dom na to zasługuje, o tak.

Perlman znów zapisał coś w notesiku. Zadzwoić do Betty. Zanotował to na tej samej stronie, gdzie uprzednio wsunął zdjęcie Kirka McLatchie. Miał je oddać, ale zapomniał: dziury w strukturze jego pamięci były tak wielkie, że łatwo przepłynęłoby przez nie całe stado walen. — Proszę wybaczyć moją ciekawość, to paskudny nawyk, ale czy kiedykolwiek pomyślał pan o sprzedaży domu, skoro brakuje panu środków na jego utrzymanie?

— Ppan chce być moim doradcą finansowym?

Perlman zaśmiał się serdecznym tonem, jakby żartował sobie z kumplem przy piwie. — To ostatnia rzecz, jaką bym zrobił, Dorcusie... Chyba mogę tak do pana mówić?

— Proszę się nie krępować — odparł Dysart, choć wyraźnie bez przekonania.

Me ufa mi. Nie podoba mu się, że w jego domu jest gliniarz. Zresztą tak jak większości ludzi. Prawie każdy ma jakąś tajemnicę, którą wolałby zachować dla siebie. A co ty masz do ukrycia, Dorcus?

— W moim banku to na mój widok dyrektor oddziału zakłada sobie na głowę papierową torbę, udając, że go nie ma — orzekł Perlman.

Dysart wydał z siebie słaby chichot i przesunął opuszkami palców po ostro zaprasowanych kantach spodni. Ładne ręce, pomyślał Perlman. Wrażliwe palce jak u muzyka. Paznokcie wypolerowane i opiłowane. I to całdem świeżo. Nie miał czasu ich zaniedbać. Nie przywykł do noszenia krawatu, ma świeżo zrobiony manildur, a do tego porządny blezer i flanelowe spodnie, zaprasowane cienko jak ostrza, plus czarne, praktyczne, starannie zasznurowane buty o wytrzymałości dłuższej niż liniowce oceaniczne — czy Dysart wystroił się do wyjścia, czy może na kogoś czeka? Strasznie uciążliwe te pytania. Oto umysł policjanta: pochłania każdy szczegół. Detektyw sierżant Gąbkogłowy, bardzo mi miło.

— Czy to już wszystko? — spytał Dysart.

— Mniej więcej. Pozwolisz? — I Perlman niespodziewanie pociągnął za sznurek przy roletach, które błyskawicznie podskoczyły w górę, odsła-

niając okno, a za nim zarośnięty ogród i dachy bloków. Zapraǳnął kontaktu ze światem zewnętrznym. Przygnębiająca atmosfera tego domu zaczynała mu ciążyć.

— Mmówiłem już, że nigdy nie oodslaniam okien. — Dysart zamruǳał kilkakrotnie, wstał z krzesła i szybko wyszedł do przedpokoju.

— Przepraszam — rzucił Perlman i ruszył w krok za nim — ale przy odrobinie światła po prostu lepiej widzę. Nie ma sprawy, możemy rozmawiać tutaj.

— Mmyślałem, że już skończyliśmy...

— Tylko dwie minuty, przysięgam. A więc nie masz zamiaru sprzedawać domu. Stare, rodzinne gniazdo, więzi uczuciowe. Rozumiem. Ale to miejsce to jedna wielka skarbonka, a skoro pieniądze ze spadku nie starczą, to przypuszczam, że gdzieś jednak pracujesz. Zatrudniasz się dorywczo tu i tam, robisz to i owo.

— Nna życie starcza mi pieniędzy, ale nna te wszystkie naprawy już nnie. Kontaktowałem się z Narodowym Funduszem na rzecz Renowacji Zabytków, ooni często finansują takie przedsięwzięcia.

— Czekaǳą cię jeszcze urzędnicy i mnóstwo papierkowej roboty. To jak studnia bez dna.

— Oni bbyli bardzo optymistyczni.

— Podobno to czysta loteria. Mam nadzieję, że dopisze ci szczęście. — Perlman zajrzał do pokoju, z którego właśnie wyszli. Za oknem deszcz bił o porośniętą trawą ziemię, nagiął gałęzie drzew i zacinał nad blokami tak, że aż trzęsły się anteny satelitarne. — A czy Jackie pomaga i dorzuca czasem trochę grosza?

— Jackie? — Dysart zrobił minę, jakby chciał się wyprzeć, że nie zna nikogo o takim imieniu. — Nnigdy jej o nic nie proszę.

— Pomyślałem sobie, że skoro przyjaźnicie się od tak dawna, to może zechciałaby cię wesprzeć. Zdaje się, że w klubie Triangle nieźle zarabia.

— Nie chcę być niegrzeczny, sierzancie, ale odpowiedziałem już na pańskie pytania, a rozmowa z oobcym na temat mmojej sytuacji ffinanso-wej i sspraw osobistych jakoś mmnie krępuje.

Perlman stłumił kaszel dłonią odzianą w rękawiczkę, po czym wyjął z kieszeni paczkę papierosów i wytrząsnął jednego. — Nie będzie przeszkadzać?

— Wwłaściwie to ttak. Ale pproszę zapalić, skoro już pan mmusi. Wszyscy palacze to egoiści.

— W takim razie nie zapalę, jeśli to ci przeszkadza.

— Nie, proszę bardzo. — Dysart podszedł do drzwi i schylił się po mokry płaszcz. — Ale gdyby miał pan silną wolę, toby pan rzucił.

— Gdyby, och, gdyby na wierzbie rosły grzyby. — Perlman zapalił papierosa i w ciszy podziwiał przez chwilę cieniowane kłęby unoszącego się dymu. — Masz popielniczkę?

— A na co mi popielniczka, skoro mnie palę?

— Bardzo słuszna uwaga, Dorcusie.

Tamten powiesił płaszcz na kołku w ścianie. — Zzdaje się, że zaraz przestanie padać.

Chce, żebym sobie poszedł, pomyślał Perlman. Jak Jackie Ace. Ona zachowywała się dokładnie tak samo. Jestem jak jakiś węzowaty gad, uznał. Gość w garniturze pełnym grzechotników.

— A czym się zajmowałeś w czasie praktyk w klinice Tartakowera, na które chodziliście z Jackie? Kroileś, wycinałeś i tym podobne?

— Tartakower... A więc to jest powód pana wizyty?

— Owszem, poszedłem trochę na okrętkę. Tylko bądź tak miły i nie zgrywaj mi tu zdziwionego. Po pierwsze, jesteś w tym do niczego. A po drugie, wiem, że Jackie mówiła ci o naszej rozmowie, w której padło nazwisko Tartakowera.

Dysart miał minę człowieka stale łudzącego się nadzieją, że jego występki z przeszłości zostały dawno puszczone w niepamięć. A tu nagle zjawia się ktoś i wyciąga je na światło dzienne. Takich frajerów jak on Perlman wolałby zostawić w spokoju, nie tylko z powodu jankania się, ale przede wszystkim dlatego, że emanował echem dawnego bólu; był dziwakiem, który pewnie stanowił przedmiot kpin bezmyślnych nauczycieli i okrutnych kolegów, a później bezdusznych pielęgniarek i surowych profesorów. Jak się musiał czuć, słysząc za plecami śmiech albo widząc, jak inni przedrzeźniają go z powodu jego ułomności?

— Nie interesuje mnie, co robiłeś u Tartakowera, Dorcus.

— Naprawdę?

— Jeśli o mnie chodzi, to było, minęło.

— Więc proo co pan tu przyszedł?

Zataczając powolnym krokiem małe kółka, Perlman cierpliwym tonem opowiedział mu o odciętej dłoni. Wyjaśnił, że sprawdza tylko pewne informacje i wcale nie przyszedł nikogo oskarżać ani aresztować — to tylko rutynowa czynność: typowa, stara jak świat próba wybawienia kogoś z opresji. Czy do Dysarta to dotarło?

Dysart tymczasem przez cały ten czas stał oparty o ścianę z kurczowo założonymi rękami i wzrokiem utkwionym w podłogę. Dopiero gdy Perl-

man skończył, podniósł głowę i spojrzał na niego. — A więc ta kobieta, której pan szuka, to tylko pretekst...

— Nie, faktycznie miałem takie doniesienie.

— Ale teraz mówi pan o całkiem innej sprawie. Nnie bardzo pana rozumiem. Nnigdy nie odciąłem nikomu dłoni. Nigdy nie zrobiłem niczego podobnego.

— A ja cię wcale nie oskarżam, Dorcus.

— Aale pewnie pan myśli, że to ja...

— Nie, skąd. Mówię przecież, że zbieram tylko informacje.

— Tartakower to wwariat. Nnie trzeba wierzyć w to, co mówi. Opowiada nniestworzone historie i... — Dysart zaciął się, jakby miał blokadę w mózgu.

To jąkanie strasznie męczyło Perlmana: a co ma powiedzieć Dysart, któremu własne urywane słowa odbijają się echem w uszach? Perlman zapragnął ścisnąć go za przepoń i wykonać na nim coś w rodzaju chwytu Heimlicha, żeby wypchnąć utkwione w gardle słowa. — Ale ja wcale nie mówię, że wierzę Tartakowerowi, Dorcus.

— I jak ja mam panu zzaufać? To trochę ddziwne, że przychodzi pan tu w jednej sprawie, a potem nagle wyjeżdża pan z czymś innym...

— Przepraszam, jeśli wyglądam ci na oszusta.

— Zzastawia pan pułapki. Oto ppańskie metody.

— Tak sądzisz? — Traper Lou, w śniegowcach, w kożuchu ze skóry karibu i z żoną Eskimoską o imieniu Nanda. Wypalił już papierosa i zastanawiał się, gdzie wrzucić niedopałek. Unosząc brwi, spojrzał na Dorcusa, który dobrze wiedział, o co Perlmanowi chodzi, ale nie zaproponował żadnego rozwiązania. — Trudno, obejdę się bez popielniczki — dodał Perlman. — Palacze to pomysłowi ludzie. Zaczekam, aż wypali się do końca i schowam go do kieszeni.

— To już wasz problem — odparł Dorcus.

— I to nie jedyny. — Perlman uśmiechnął się najszerzej, jak umiał, jak zawsze, kiedy przyznawał się do własnych słabości.

— Pomyślałby pan lepiej o swoich płucach.

— Robię to cały czas — odrzekł Perlman.

— Dajmy na to, rozedma płuc. Trzeba przy tym nnosić ze sobą aparat tlenowy. Mmówię to panu tylko dlatego, że jestem lekarzem.

— Doceniam twoją troskę. Czyli nie jesteś typem faceta, który dopuszcza się bezsensownych okrucieństw. Takich jak odcięcie dłoni...

— Aabsolutnie nie.

Perlman poczuł pod stopami ruchomą klepkę. Zaskrzypiały belki. Rozmowa o chorobach wywołanych paleniem papierosów sprawiła mu mętlik w głowie, odkrywając jego własne mroczne lęki. W ogóle cały ten dom budził w nim niepokój, jakby w innych pomieszczeniach kryli się jacyś ludzie, szepcząc sobie nawzajem jakieś sekrety. To było jak dziwny sen — człowiek słyszy szepty, wpada do pokoju, a tam ani żywego ducha, tylko krąg pustych krzeseł, jeszcze ciepłych od tego, kto na nich siedział. Nikogo ani śladu. To, co słyszał Perlman, to tylko stuki i odgłosy starego, podupadającego domu. Każdy sędziwy budynek ma własne nieuleczalne choroby, osobliwe jęki i westchnienia w obliczu wymarcia.

Osoby z portretów gromiły go wzrokiem. Po coś tu naprawdę przyszedł, Perlman? Chcesz zastraszyć nam syna? Kobieta zdawała się rozplýwać w nicości koloru lilaróż, w bładym fiolecie życia pozagrobowego.

— To rodzice? — spytał Perlman. Dorcus przytaknął.

Perlman przyjrzał się portretowi ojca Dysarta, jego jałowym, niebieskim oczom. Następnie przeszedł kawałek wzdłuż holu. W niejasnej szarości zamajaczyły schody.

— A w jakim stanie jest piętro?

— Nnie odpuści pan, póki tam pana nnie zaprowadzę, co?

— Prawdę mówiąc, chętnie bym się rozejrzał. Można? — Perlman wstrząsnął poręczą i, nie czekając na zgodę Dysarta, pokonał cztery czy pięć stopni. Schody zachwiały się, ale jeszcze nie groziły zawaleniem.

— Chwileczkę. — Dysart ruszył w krok za nim.

Widać, nie chce, żeby tam wchodził. A jednak — Perlman nie mógł się oprzeć niejasnemu wrażeniu, że z jakiegoś powodu Dysart próbuje go skłonić do przeszukania domu. Skąd te sprzeczne sygnały, jakby odbierał je jakiś rozregulowany radar? Atmosfera tego domu, złowrogi mrok, sztywny i skrępowany Dysart, jego dziwne zachowanie — cały ten splot czynników; kto wie, co się tu święci?

Perlman zatrzymał się na schodach, by przepuścić tamtego.

— Ale tu nnaprawdę nie ma nnie ciekawego — orzekł Dysart na samej górze, po czym ruszył długim holem, od którego odchodziło mnóstwo różnych drzwi.

— Można by tu zrobić kręgielnię — zauważył Perlman.

Dysart otworzył pierwsze drzwi z brzegu i pokazał Perlmanowi pokój, огоłocony, bez dywanu. Na ścianach widniały wyblakłe miejsca po lustrach czy obrazach.

— Ttu była sypialnia mojego ojca — oznajmił Dysart.

— A co z meblami? Oddałeś w zastaw?

— Nnie potrzebowałem ich...

— A dobrze ci się układało z ojcem?

— W sumie nnieźle. Był sędzią. — Dysart stawał się niespokojny. Kilkakrotnie bawił się węzłem przy krawacie, a potem zaczął poprawiać klamrę przy pasku.

— Lubisz ten pokój, Dorcus?

— Ppokój jak pokój, nnic takiego w nim nie ma.

Czyżby jakieś problemy z ojcem, zastanawiał się Perlman. Czy to słuszne tak przypuszczać? Portret na parterze przedstawiał wyniosłego, surowego mężczyznę, który pewnie nie miał czasu dla własnego dziecka. Na Boga, to chyba oczywiste, skoro był sędzią? Perlman nigdy nie spotkał sędziego, który dałby się polubić. Każdy z nich był jak odziany w czarne szaty bóg, rządzący własnym, małym, demonicznym światem.

Poszedł za Dysartem wzdłuż holu.

Dysart otworzył kolejne drzwi i pokazał mu pokój podobny do poprzedniego — pozbawiony mebli, o gołej podłodze i ścianach. W obu pomieszczeniach unosił się silny odór stęchlizny.

— Tu był pokój mmojej matki, a potem...

— Co potem?

— Zachorowała, nno i mmusieliśmy ją oddać ddo szpitala. Przykre wspomnienia związane z matką. Choroba i śmierć. Perlman

nie miał ochoty pozostać w tym pokoju ani chwili dłużej. Było mu zimno. Im głębiej zapuszczał się w ten dom, tym panował w nim coraz większy chłód. Poczul skądś przeciąg. Dyskretnie upuścił niedopałek na podłogę.

— Jak ty ogrzewasz ten dom?

— Mam centralne, nna olej, ttrzeba tylko wymienić bojler. Wystarczy trochę ttu pomieszkać, a człowiek przestaje czuć zimno.

Mógłbym tu przemieszkać całą wieczność, a i tak bym to czuł — pomyślał Perlman, wyszedł do holu i złapał za klamkę następnych drzwi, ale się nie otworzyły.

— O, te są zamknięte nna klucz, sierzancie.

— A co jest za nimi?

— Tylko ttrochę starych rzeczy.

— Może masz tu gdzieś klucz?

— Klucz... a tak, mam. — Dysart sięgnął do kieszeni i wyjął cały pęk. Wsunął jeden do zamka, przekręcił i pchnięciem otworzył drzwi.

— Ty pierwszy — powiedział Perlman.

Dysart wszedł do środka, gdzie przez białe, na wpół uchylone żaluzje wpadały smugi szarego, mdlawego światła. Perlmana od razu uderzyły dwa różne zapachy: przesłodzona woń perfumowanego odświeżacza, którym obficie spryskano powietrze, oraz lekki odór środka dezynfekującego, przywołującego w pamięci Perlmana pobyt w szpitalu po postrzale. Od razu rzuciły mu się w oczy gładkie, białe ściany, łóżko nakryte białą, koronkową kapą, zlew ze stali nierdzewnej, a nad nim krany z długimi wylewkami. Obok łóżka stała pomalowana na biało drewniana szafka. W połowie ściany, za parawanem z matowego szkła, zamontowano prysznic, którego drzwi były otwarte. W środku w ceramicznej mydelniczce leżała gąbka, kostka mydła Nivea w opakowaniu i pełna butelka szamponu Pantene.

Białe kafle na podłodze, mieszanina zapachów, nie rozpakowane mydło.

To miejsce mnie niepokoi. Coś tu jest nie tak. A może to tylko obecność Dysarta budziła w nim takie odczucia. Dysart miał w sobie coś, jakąś wybuchową mieszaninę, jakby w jego głowie wrzało jezioro lawy.

Perlman podniósł wzrok na sufit i dostrzegł dwa kable bez żarówek. Następnie odwrócił się i w kącie, obok małej, białej wanny nasiadowej, zobaczył złożony wózek inwalidzki.

Przez głowę przeszła mu myśl: ktoś tu umarł.

Spojrzał na Dysarta. — To wózek twojej matki? — spytał.

— Po powrocie z szpitala był tu jej pokój — odparł tamten. — Ojciec kazał go specjalnie wyposażyć. Nie chciał, żeby mama zmarła w szpitalu. Wynajęliśmy dla niej osobistą pielęgniarkę. Właściwie to od jej śmierci nic się tu nie zmieniło.

To niby było jasne; kto chciałby umierać w szpitalu? Perlman zerknął na szafkę przy łóżku. — Czy mógłbym do niej zajrzeć?

— Nie bardzo rozumiem po co, ale poproszę bardzo. Nnie zamykam jej na klucz.

Perlman otworzył szafkę. W środku leżało trochę rzeczy osobistych, prawdopodobnie należących niegdyś do świętej pamięci pani Dysart. Był tam srebrny, filigranowy zegarek, talia mocno sfatygowanych kart, jakiś spray w butelce opatrzonej etykietą z napisem „olejek różany” oraz książka pod tytułem „Elżbieta I. Biografia”. Gdzieś pomiędzy kartek wystawała dawno zwiędła róża, zasuszona jako zaldadka. Pani Dysart nie zdążyła przeczytać książki. Zresztą pewnie i tak już wiedziała, jak się skończy.

Dysart popatrzył na te wszystkie przedmioty. — Strasznie cierpiała. Aż żałoby było patrzeć.

— Wyobrażam to sobie. — Tak okrutna natura prowadzi do schyłku ludzkiego życia. Dzień po dniu śmierć wdiera się w komórki ciała, niszcząc wolę przetrwania.

— Nnie mogła oddychać. Ojciec przywoził dla niej butle z tlenem. Patrzyłem, jak pielęgniarka zakłada jej maskę na twarz. Wie pan, ona walczyła o życie. Ani myślała się poddać. Ojciec godzinami przesiadywał przy niej w tym pokoju. Czasami zasypiał, siedząc na krawędzi łóżka.

— Musiał być jej bardzo oddany.

— Bez reszty. Nnie chciał uwierzyć, że zmarła. Zawsze sądził, że można się z nią skontaktować. — Dorcus miał przerażoną minę, ugodzony bólem dawnych wspomnień. — Stale urządzał seanse w jadalni. Mnie nie wolno było przy tym być, ale zwykle się tam zakradałem.

Seanse. Kongregacja optymistów. — No i co tam widziałeś?

— Ludzie zapalali świece, trzymali się za ręce i odprawiali modły. Ojciec nie wiedział, że ich podglądam. Chcowałem się za zasłoną, byłem przerażony: wszyscy ci ludzie modlili się do świata zmarłych i wzywali moją matkę. A ojciec zakrywał głowę rękami i płakał. To było... koszmarne. Myślałem sobie, och, to przecież dorodzi, wiedzą, co robią, i wciąż czekałem, aż zjawi się moja matka. Popatrzyłem na cienie w świetle lampy i wyobrażałem sobie, że ją widzę, ale to nie była ona...

Mały chłopiec zakradający się na seanse spirytystyczne. Dziecko żyjące na krawędzi świata tajemniczych przeczuć, wśród migocących płomieni świec, oraz grupa dorosłych, którzy wierzą, że da się przeniknąć na drugą stronę. Jak takie przeżycie może wpłynąć na umysł chłopca?

— Ten pokój to smutne miejsce — orzekł Dysart.

— To czemu nic tu nie zmienisz?

Dysart wzruszył ramionami. — Żeby przypominał mi tamte dni.

— Powiem ci, co o tym myślę. Zmarłych należy pogrzebać i zachować w pamięci. Ale trzeba żyć dalej. Nie można stale trwać w przeszłości tak jak ty.

— Przecież nie przychodzę tu z nią rozmawiać czy wyczyniać podobne wariactwa. Właściwie to wcale tu nie przychodzę.

— Przecież musisz tu czasem zaglądać, skoro nie zatrudniasz sprzątaczkę. Nie widzę tu żadnych pajęczyn ani kurzu. Pewnie używasz też środków dezynfekujących. Domyślam się, Dorcus, że robiłeś to nawet cał-

kiem niedawno, a potem spryskałeś czymś powietrze, żeby zamaskować smród.

— Nno cóż, jasne, czasem wpadam tu pposprzątać.

— Ciekawe tylko, po co zużywasz tyle odświeżacza.

— Pamiętam, że zawsze ppachniało tu olejkiem różanym. Od niego robiło mmi się duszno. Po śmierci ojca zzacząłem używać różnych środków. Te do ddezynfekcji bywają czasem zbyt intensywne i dlatego neutralizuję je jakimś słodkim zapachem. Byle tylko nie różanym, za nnic w świecie.

Cały wachlarz zapachów. Perlman założył ręce na piersi i oparł się lekko o ścianę. — A przychodzisz tu czasem z Jackie?

— Nie.

Pickler twierdził, że tamtego wieczoru, gdy Jackie tu była, widział w tym pokoju zapalone światło. A może coś mu się przyśniło, czy miał zwiady. Tyle że wtedy akurat był trzeźwy.

W pokoju panował chłód, zupełnie jakby wchodziło się do zamrażarki. Perlman wyobraził sobie panią Dysart, leżącą w łóżku pod białą kołdrą. Tu powietrze było przesiąknięte śmiercią — najpierw zmarła matka, a potem seanse spirytystyczne, by porozumieć się z jej duszą, a do tego cały ten obumierający dom.

— A więc nie korzystasz z tego pokoju.

— Nie.

— A mimo to zamykasz go na klucz.

— Tak.

— Dlaczego? Co mogłoby stąd zginąć? A zresztą który złodziej dałby radę tym potężnym dobermanom?

— Taki zzawsze się znajdzie.

— Tę dziewczynę jednak tutaj przyprowadziłeś?

— Jką dziewczynę?

— Tę, która potem stąd uciekła, Dorcus.

— Nnie, nnikogo tu nie przyprowadzałem.

— Ale przyznajesz, że tu w ogóle była?

— Nnie, ttego nnie powiedziałem.

— A jednak ją tutaj widziano. Ktoś słyszał, jak krzyczała. — Perlman przerwał, kuszony podszeptem, by skłamać. A co mu tam: — Zresztą ona sama zeznała, że ją tu przyprowadziłeś.

— Nnie wierzę panu. Tu nnie było żadnej dziewczyny.

— Czemu wpadła w taki popłoch, Dorcus? Co takiego zrobiłeś, że się tak wystraszyła?

— Skoro ppan z nią rozmawiał, to czemu pan jej o to nnie spyta?

— Bo chcę to usłyszeć od ciebie, Dorcus. Przyznaj się, co zrobiłeś. Przyprowadziłeś ją tu, naopowiadałeś jakichś historii o duchach i napędziłeś jej stracha? Pewnie tak śmiertelnie się bała, że aż się trzęsła. A że jest naiwna, to wierzy w te twoje bajki...

— Nie, PPerlman, ile razy mam ppanu...

— No dobra, mogę się mylić, może to nie historie o duchach. Załóżmy, że trzymasz tu gdzieś stare narzędzia z praktyk u Tartakowera. Pokazałeś jej, a ona dostała cholernego pietra. Może nawet związałeś ją tu, na tym łóżku, i udawałeś, że to pacjentka w klinice Tartakowera. Nie mogłeś się powstrzymać, musiałeś wrócić w przeszłość, zatopić się we wspomnieniach starych, dobrych czasów u Tartakowera, co? Powiedziłeś jej, że to tylko zabawa. Swoje lśniące skalpele miałeś już gotowe, i może nawet chustkę nasączoną chloroformem. Powiedzmy, że dziewczyna była zbyt pijana, żeby się bronić. Tak ją skrepowałeś, że nie wyglądało jej to na zwykłą, niewinną zabawę.

— Ależ nnie, nie...

— Mów, Dorcusie. Opowiadaj.

— Nnie mam nic do powiedzenia...

Perlman spojrzał mu prosto w oczy. Co jeszcze w nich zobaczył? Strach? A może chorobę?

Stare narzędzia z kliniki Tartakowera.

Ta myśl tłukła i kołatała mu się po głowie. W podświadomości majaczyły mu złowieszczo jakieś pokracczne wizje. Znowu miał to samo wrażenie, którego doświadczał tysiące razy w swojej karierze i z którym nauczył się liczyć. Dawne narzędzia. Niekiedy wizje przybierały jakiś kształt, innym razem nie, a potem to wrażenie, przeczucie czy jak by tego nie nazwać, gdzieś znikalo.

Ale przynajmniej już miał jakiś trop. Co do tego nie było wątpliwości. Żałował tylko, że to jeszcze nic pewnego.

— Mmuszę nnakarmić psy, Perlman. To ich pora...

— Psy mogą poczekać. Odpowiedz mi na pytania.

— Ale ja naprawdę mmuszę je nakarmić.

Perlman nie mógł się otrząsnąć z zapachów tego pomieszczenia. Owionęły go całego i zaczynały dławić. Przypomniało mu się, jak leżał na szpitalnym oddziale z piekącym bólem w ramieniu, a po petydynie jego myśli jakby wypływały statkiem w kojący morski rejs. I ten zapach na oddziale. Pielęgniarki snujące się jak zjawy. Nagle Perlman doznał lśnienia, mgła rozproszyła się, wizje w jego głowie nabrały konkretnych form i wtedy zobaczył starannie pozszywane zwłoki Kirka McLatchie w kostnicy.

Łóżko. Skalpele. Zlew do spuszczenia krwi.

Popatrzył na prysznic i otoczoną kaflami umywalkę. Aby spuścić krew z leżących na łóżku zwłok, trzeba przymocować do kranu gumową rurkę. Ten pokój dałoby się przerobić w parę minut: wystarczyło do przewodów na suficie podłączyć halogeny, zdobyć łatwo przenośną pilę, starannie poukładane w skrzynkach narzędzia, no i mieć jeszcze kogoś, kto umie, a do tego jeszcze lubi ich używać.

Czy to tutaj przywieziono i zmasakrowano Kirka? Czy otumaniono go lekami i przywleczono do tego pomieszczenia, a następnie rozplątano i wycięto organy, by je dostarczyć jakimś zamożnym klientom, oczekującym na przeszczep? Czy to jego krew spływała gumowym węzem do zlewu? Me, to niemożliwe. A potem wywieziono ciało furgonetką i porzucono w miejscu, gdzie podczas spaceru znalazło je dwoje młodych, zakochanych ludzi? Me, nie tędy droga. Był roztrzęsiony, myśli szalały mu jak na wzburzonych falach: raz tu, raz tam, to z prądem, to pod prąd. Sięgnął szybko do wewnętrznej kieszeni marynarki, wyjął notes, otworzył w miejscu, gdzie trzymał zdjęcie Kirka, i podsunął Dysartowi pod nos.

— Widziałeś kiedyś tego człowieka?

— Nie.

— Przyjrzyj się dobrze.

Dysart zerknął. — Nigdy w życiu — odparł po chwili.

— Na pewno?

— Tak.

A co miał powiedzieć? Jasne, pokroiłem tego faceta, wyciąłem mu serce. Myśli mi skaczą, myślał Perlman, jak pieprzone pchły z jednego psa na drugiego, same nie wiedząc, po jaką cholere. A może Kirka McLatchie wcale tu nie było — przecież to szalone, chore, moja głowa wysyła mnie do zakazanych miejsc, w gąszcz absurdu, czujniki odbierają błędne sygnały.

Daj spokój. Zostaw to.

Słyszając, jak deszcz dudni o mury domu, przypomniał sobie o furgonetce.

— Chcę zobaczyć twój wóz.

— Nnie rozumiem, ppo co...

— Po prostu zrób to dla mnie, Dorcus.

Wyszli z pokoju i ruszyli schodami na dół. Dysart o krok przed Perl-manem.

— Wwóz stoi w g-g-g...

— No więc chodźmy tam.

Dysart poprowadził go wąskim korytarzem, na końcu którego znajdowała się wielka kuchnia, gdzie na stole w kryształowym wazonie stały pomysłowo ułożone świeże kwiaty, a w otwartych, szklanych naczyniach leżały mieszanki suszonych ziół, przesycając powietrze zapachem tymianku, rozmarynu i szaławii. Na parapecie, w starych słoikach po dżemie na wpół wypełnionych wodą, tkwiły nadziane na wykałaczki pestki awo-kado.

Widać tu kobiecą rękę, pomyślał Perlman. To ślady obecności Jackie Ace. Pewnie tu bywa — ciekawe tylko, jak często?

Dysart tymczasem zaprowadził go przez komórkę do jakichś drzwi i otworzył je. Zapalił lampkę, oświetlając garaż, gdzie stała zaparkowana furgonetka. Ogromną przestrzeń wypełniały pojemniki, narzędzia ogrodowe, kilka starych opon, złożone leżaki, sznurki, lampiony, sprzęt biwakowy i wielkie worki karmy dla psów.

Dysart otworzył furgonetkę.

Perlman zerknął na dwa przednie siedzenia. Były nieskazitelnie czyste. Nigdzie żadnych śmieci, skrawków papieru, zużytych ołówków czy długopisów.

— Pokaż, co jest z tyłu — nakazał. Dysart westchnął i otworzył tylne drzwi.

Pstryknęło światło. Perlman obejrzał wewnątrz; było równie czyste jak kabina pojazdu. Tylko jedna rzecz budziła pewne podejrzenia: przyspa-wany do podłogi łańcuch.

— A to po co?

— Czasem zzawożę psa do weterynarza. Pprzyczepiam mu wtedy łańcuch do obroży, żżeby mi nnie skakał po całym...

— A co, jeśli wiesz oba psy?

— O, to prosta sprawa. Łańcuch jest dość ddługi.

Perlman próbował sobie wyobrazić dwa dobermany przykute w furgonetce: jeden za obrożę, drugi z łańcuchem owiniętym wokół szyi — i zabezpieczonym kłódką? To by się dało zrobić. Łańcucha można użyć do różnych celów — aby unieruchomić zwierzę lub człowieka, na ten przykład.

Przez chwilę stał, oglądając wewnątrz wozu.

Łańcuch w furgonetce jeszcze o niczym nie świadczy. Pokój ku pamięci zmarłej osoby — jasne, może to nieco ekscentryczne, a wręcz trochę chore, ale do przestępstwa temu daleko. Perlman nie odrywał wzroku od łańcucha.

W ręce wciąż trzymał zdjęcie Kirka McLatchie. Podsunął je Dysartowi. — Przyjrzyj mu się jeszcze raz.

— Mówiłem już, że go nie znam. A resztą nie muszę się przyglądać, do cholery. Wy z policji myślicie, że wam wszystko wolno... Zadręcza pan Jackie, nachodzi ją w pracy i w domu. Ona przechodzi trudny okres, a pan...

Tu przerwał nagle, nękany blokadą mowy. Rozdziawił usta i patrzył na Perlmana z gniewną miną człowieka rozpaczliwie pragnącego przemówić, któremu język odmawia posłuszeństwa. Rumieniec oblał mu twarz, począwszy od szyi poprzez policzki aż po samo czoło.

— Dorcus, rozumiem, że jest jej trudno — odezwał się spokojnie Perlman. — I wcale jej nie zadręczam. Zadałem tylko parę pytań, które jej się nie spodobały, a jej odpowiedzi okazały się dla mnie niewystarczające.

— Zdemolował jej mieszkanie, temu pan nie zaprzeczy.

— Po prostu jestem niezdarny. Przykro mi.

— Wcale nie. Pan nas prześladowa. Nas.

Usłyszał to głośno i wyraźnie z ust rozżalonego Dysarta i wściekł się sam na siebie, że nie dostrzegł tego wcześniej. Tartakower był bliski prawdy. Tych dwoje łączy bliska więź. Nie dopowiedział jednak wszystkiego do końca. Nie użył słowa miłość.

Ace i Dorcus, spleceni sercami. No właśnie, miłość: ktoś potrafi to wytłumaczyć? W pewnym sensie wszyscy jesteśmy jej ofiarami, pomyślał. Chętnie oddajemy komuś serce, zupełnie nie zważając na następstwa; często nie liczymy nawet na wzajemność — wystarczy spojrzeć na mnie, miłość to frajerka. Ja jestem tego najlepszym przykładem.

— Nie interesuje mnie twoje życie prywatne, Dorcus.

— Pan tylko tak mówi, ale to nieprawda — buntował się Dysart. — Na każdym kroku czają się prześladowcy. Jak nie pan, to ktoś inny. I tak bez końca. A ja tak nie chcę, Perlman. Nie potrzebuję tego, do cholery.

Ani ja, pomyślał Perlman.

— Błagam, proszę nas zostawić w spokoju.

Perlman popatrzył na Dorcusa. Chwilowo nie miał do niego żadnych pytań. Może innym razem. — Mam zostawić cię w spokoju, proszę bardzo. W takim razie odprowadź mnie do bramy i dopilnuj, żeby twoje psy nie potraktowały mnie jak przekąskę.

— Pan się ich boi?

— Tak jak paru rzeczy — przyznał Perlman. A w tym własnej głowy, po której snują się zjawy, podszeptując pozornie dobre rady, a moje myśli niczym ława przysięgłych wydają werdykty. Już myślałem, że się udało: tak mi podpowiadały. Ale gdzieś to straciłem, cokolwiek to było, i jakie teraz mam dowody?

Na dworze wciąż padało. Czuć było zapach mokrej trawy i wilgotnych liści. Psy wypadły z jazgotem ze swej kryjówki, a Dysart, w pelerynie przeciwdeszczowej na głowie i ramionach, odpędził je krzykiem. Otworzył bramę i Perlman wyszedł na ulicę.

Obejrzał się jeszcze na Dysarta ryglującego bramę. Dało się słyszeć szczęk metalu, który po chwili ucichł. — Dzięki za to, że poświęciłeś mi swój czas, doktoru — powiedział.

— Nie ma sprawy — rzucił tamten. Poszło mu to gładko, bez zająknięcia.

Perlman poszedł do samochodu, usiadł za kierownicą i obserwował dobermanów, które otrząsnęły się energicznie z kropel deszczu i pobiegły za Dysartem, skacząc na niego ze szczęścia.

I psy też go kochają, pomyślał Perlman.

37

Mathieson zaparkował przy Świątyni.

Na tylnym siedzeniu Chuck wspominał wieczór w klubie Arta, kiedy po raz pierwszy spotkał Glori i od samego początku wiedział, że razem stworzą harmonię ciał. Ona była światłem w mroku, radością, która zjawiała się tak niespodziewanie...

Kiedy odnajdziesz radość, nie pozwól jej odejść.

— No, to jesteśmy na miejscu — oznajmił Mathieson. Wysiadł z jaguara, rozłożył parasol nad głową Chucka i odprowadził go schodami do wejścia. Ciężkie krople deszczu odbijały się od chodnika z hukiem spadających kamieni.

— Obdzwońnię jeszcze z komórki kilka hoteli — orzekł Mathieson.

— Jasne, zajmij się tym.

Chuck podszedł do drzwi, nie widząc jeszcze wetkniętej za szybą kartki. Dopiero gdy sięgał do klamki, jego uwagę przykuł napis: ZAMKNIĘTE DO ODWOŁANIA. Co to, do cholery, ma znaczyć — zamknięte?

Może Baba jest chory? A skądże znowu — przecież każdy guru prowadzi idealne życie, życie duchowe. Medytuje i odprawia modły. Żywi się orzechami i jagodami.

Rażony paniką Chuck przykleił nos do szyby, mimo że kartka przysłaniała mu widok. To, co tam dojrzał, wystarczyło mu w zupełności: zniknęły grube poduszki, zdjęto zasłony w głębi sali, nie było też gobelinów ani figurek.

Jakiś mężczyzna zamiatał podłogę.

Chuck zapukał w szybę, ale tamten nie zwrócił uwagi. Wyszperał w lideszeni monetę i mocno postukał nią w szkło. Mężczyzna odwrócił się, spojrzął na niego, poprawił aparat słuchowy, po czym otworzył drzwi.

Chuck wparował do środka. — Co tu się dzieje?

— Lokal do wynajęcia — odparł tamten.

— Że jak?

— No, na wynajem. Poprzedni lokator dał drapaka.

— A ty to kto, do jasnej cholery?

— Słuchaj pan, tylko mi tu nie kłąć — zachnął się mężczyzna. Chuck chwycił go za kołnierz niebieskiego kombinezonu. — Gdzie,

do kurwy nędzy, jest Baba?

— Panie, ja tu tylko sprzątam.

Chuck ścisnął go za wychudłą szyję. — Kiedy się stąd wyniósł?

— Wczoraj wieczorem — wycharczał mężczyzna. — Zapakował się do autobusu i kwita.

Chuck puścił go.

— Chryste, mało żeś mnie pan nie udusił. I po co to wszystko? Zapakował się do autobusu i wyjechał. Tak po prostu. Chuck zaczął przechadzać się po holu tam i z powrotem, jego kroki odbijały się donośnym echem. — A zostawił chociaż jakiś adres?

— Właściciel twierdzi, że nie. Zabrał te swoje zasłony i poduszki i zwiął autobusem. Nie rozliczył się z czynszu.

— Jak to, nie rozliczył się, do jasnej cholery? Przecież dostawał spore datki.

Mężczyzna wzruszył ramionami. — Mówię tylko, co wiem. Chuck syknął.

Ten sukinsyn wystrychnął mnie na dudka. Wydymał na całego. A do tego jeszcze zabrał autobus.

Chuck stanął pod witrażem z Chrystusem. Krople deszczu znów kapały do wiadra w miejscu, gdzie Farl, dekarz, miał naprawić dach. W głowie Chucka wybuchła łańcuchowa eksplozja — nie można ufać księżom ani guru ani dekarzom ani Teksasńczykom ani własnej babci ani...

— Po mojemu ten cały guru to zwyczajny oszust — odezwał się mężczyzna.

— A ciebie kto pytał?

— No wie pan, wyrażam tylko swoje zdanie.

— To się, kurwa, nim udław.

Chuck podszedł do drzwi i wyjrzał na deszcz.

Czy na tym bożym świecie jest jeszcze ktoś godny zaufania?

Po siedemnastu próbach Ron Mathieson wreszcie trafił na Glorianę. Zatrzymała się w hotelu St Jude przy Bath Street, gdzie figurowała jako A. Cormack. Poprosił, żeby go z nią połączono.

— Ładny masz pokój, Glori? — zagadnął.

— Ronnie... o cholera.

— Chuck wszędzie cię szuka...

— Och, na litość boską, błagam, tylko mu nie mów, że tu jestem. Proszę cię.

Mathieson zauważył, jak Chuck wychodzi ze Świątyni. — Myślisz, że zrobiłbym tu tę przyjemność?

— Przysięgnij na swoje życie — nakazała Glorianna.

— Przysięgam.

— Jesteś kochany, Ronnie.

— A ty zasługujesz na kogoś lepszego niż Chuck — odparł Mathieson, rozłączył się, podbiegł z parasolem do schodów i rozłożył go nad głową Chucka.

— Pieprzony Baba się ulotnił — oznajmił Chuck. — Cholerny gnojek. Kłamliwy, szczwany drań, zaszary dupek... — Chuck osunął się na tylne siedzenie jaguara, zastanawiając się nad kwestią zaufania. Skąd wiadomo, kogo nim obdarzyć? Czy da się ocenić człowieka po wyglądzie, czy może po sposobie mówienia? A może potrzeba do tego wrodzonego instynktu?

Jeśli tak, to jego instynkt był do kitu. Czuł się podle, jakby stoczył się w dół, w głąb ziemi, gdzie dżdżownice chowają swoje tyłki.

— No i jak, znalazłeś ją, Ron?

— Na razie obdzwoniłem dwadzieścia hoteli i nic, panie Chuck — odparł Mathieson.

— No dobra. Próbuuj dalej, Ron. Nie odpuszczaj. Glori, moja dziewczynko. Wróć do mnie.

38

Perlman wjechał na osiedle i zaparkował przy drucianym płocie, otaczającym wysoki budynek wieży ciśnień. Ucieszył się, że mógł wreszcie opuścić dom Dysarta. Rozejrzał się po deszczowych ulicach. Nigdzie nie było widać ludzi ani zmokniętych zwierząt: całe to miejsce sprawiało wrażenie opuszczonego. Tuż przed nim rozciągał się szereg sklepików — spożywczy, kiosk z gazetami i tytoniem, zakład fryzjerski pod nazwą „Strefa cięcia”, gdzie za szybą widać było rząd opustoszałych hełmowych suszarek. W taki deszcz nawet nie warto wybrać się do fryzjera.

Perlman wszedł do kiosku. Żelazna krata na całej długości lady oddzielała klientów od kasy i półek z papierosami. Dwie sprzedawczynie przyjrzały mu się uważnie zza lady. W ich oczach dostrzegł chłodną ciekawość. Nie był tu stałym klientem, nie należał do miejscowych. Od razu stał się obiektem zainteresowania.

Żadna z kobiet nie spytała nawet, co podać. Perlman popatrzył na stos puszek, wielkie słoiki ze słodyczami, lemoniadę w butelkach. Jakiś mężczyzna w długim deszczowcu i czapce z daszkiem wszedł do sklepu i zaczął przeglądać sterty gazet.

— Tu nie czytelnia, Charlie — rzuciła jedna ze sprzedawczyń.

— Dobra, dobra, spokojna głowa, zaraz coś kupię. Jezu — odparł mężczyzna.

— Zwykle bierzesz poranne wydanie Evening Times, Charlie.

— A może tym razem wezmę co innego — odparł stanowczo Charlie.

— Jasne. Prędzej księżyc spadnie z nieba — zauważyła jedna z kobiet.

Druga zaśmiała się i zaciągnęła papierosem, który przez cały czas żarzył się w popielniczce.

Charlie wziął egzemplarz Evening Times, zaniósł do lady i zapłacił. Perlman zauważył nagłówek: Czy to ofiara rzeźnika? Miał ochotę wyrwać gazetę Charliemu z ręki.

— Patrzcie — powiedział Charlie. — Następne zmasakrowane zwłoki. Znowu gdzieś znaleźli trupa. A gdzie policja?

— Myślisz, że coś zrobią, Charlie?

— Jak zwykle mają wszystko w dupie. — Charlie zakasłał. — Wezmę jeszcze jedno Senior Service.

Paczka papierosów powędrowała do niego pod metalową kratą. Charlie położył na ladzie parę monet, schował gazetę pod płaszcz i wyszedł.

Perlman wziął egzemplarz tej samej gazety i spojrzał na pierwszą stronę, kierując się do kasy. Oniemiał na widok oblicza Kirka, patrzącego na niego z prasowej fotografii. Jedna ze sprzedawczyń, z podłużnym, fioletowym znamieniem na pulchnej, okrągłej twarzy, nie spuszczała z niego wzroku. Druga, niska i tęga, przeglądała czasopismo Woman's Own, całkiem ignorując Perlmana.

— Szukam człowieka imieniem Pudge — odezwał się. Kobiety spojrzały na niego ponuro bez cienia zainteresowania. Sąsiedzka solidarność. — Podobno jeździ karawanem — dodał.

— A widział pan tu przed wejściem szyld z napisem zakład pogrzebowy? — spytała kobieta ze znamieniem na twarzy.

— Oszczędźcie mi tych bzdetów, bo się śpieszę — rzucił Perlman. Druga z kobiet powoli podniosła głowę znad czasopisma. — Tak jak

wszyscy w tych czasach.

Perlman zastanawiał się, czy nie pokazać im odznaki, ale uznał, że kobiety zdążyły już go przejrzeć. — No więc gdzie znajdę Pudge'a?

— Znasz jakiegoś Pudge'a, Margaret?

Ta podrapała się po znamieniu i rzuciła mu wyzywające spojrzenie. — A jeśli znam, to co?

Perlman wziął głęboki oddech. — Drogie panie, na dworze jest gówniana pogoda, od paru godzin nie miałem ani chwili spokoju, więc proszę ze mną nie zadzierać, do cholery.

— Ty, on nam chyba grozi — zauważyła ta druga. — To chyba jakiś wariat. A wcale po nim tego nie widać.

Perlman chwycił metalową kratę i potrząsnął nią, aż zabrzęczała. — Chcę tylko adres i zaraz znikam.

— Ta krata zaraz wyleci — ostrzegła Margaret.

' - «- Lepiej mu powiedz, Margaret, to będziemy miały go z głowy.

— Jak już pan wyjdzie, to pójdzie pan w pierwszą ulicę na lewo, a potem w pierwszą na prawo — wyjaśniła Margaret. — Karawan będzie stał zaparkowany przy krawężniku.

Perlman opuścił kiosk i szybko przeczytał wzmiankę w gazecie. Krople deszczu kapały na papier. Kirk McLatchie, wiek dwadzieścia pięć lat, domniemana ofiara nielegalnego zabiegu chirurgicznego. Policja odmawia potwierdzenia szczegółowych informacji, ale według reportera ofiara została pozbawiona nerek, wątroby i serca.

Ta wzmianka nie powinna była wyjść na światło dzienne w takiej formie. Ktoś z Pitt Street musiał dostarczyć ten temat — a jakiś wścibski dziennikarz słono mu za to zapłacił. To było nieuniknione. Na komendzie policji poufne informacje szybko wychodzą na jaw. To stowarzyszenie niedyskretnych gliniarzy.

Perlman nigdy przedtem nie widział zdjęcia, jakie zamieszczono w gazecie; przedstawiało Kirka w dniu ślubu, trzymającego żonę pod rękę, z lekkim uśmiechem na twarzy.

Zadzwonił do Betty. Długo czekał, zanim odebrała telefon.

— Widziałem — oznajmił.

— Och, Lou, i po co to wydrukowali? Po co dali zdjęcie Kirka na pierwszą stronę? Czy oni nie mają uczuć?

— Tu brak miejsca na uczucia, Betty. Jesteś tematem dla prasy.

— Od samego rana dziennikarze koczują mi pod domem. Dzwonek nie zamilkł ani na chwilę. Ani telefon. Nie wytrzymam tego, Lou. Po prostu tego nie zniosę. Czego oni ode mnie chcą? Dostali już swój temat. Mój syn nie żyje. Jeszcze im mało?

— Będą cię nękać aż do łez.

— Niech idą do diabła.

— W każdym razie lepiej się nie wychylaj. Nie odsłaniaj okien. Nie otwieraj drzwi i nie odbieraj telefonu. Ja będę dzwonił tak jak zwykle: najpierw dwa sygnały, rozłączam się i potem jeszcze jeden sygnał. Podobnie jak z dzwonkiem do drzwi.

— W porządku.

— Później do ciebie wpadnę. Chciałbym ci powiedzieć, o której dokładnie, ale sam nie wiem. A ty w międzyczasie rób tak, jak ci mówię.

Rozłączył się, poszedł do samochodu i rzucił gazetę na siedzenie pasażera. Biedna Betty, narażona na ataki tych sępów, tych natrętnych sukinsynów. Bezlitośni i nieubłagani, nie odpuszczają, póki nie wgryzą się okrutnie w czyjeś świeże rany.

Kioskarka wprowadziła go w błąd. Powinien był skręcić nie w pierwszą ulicę, tylko w drugą, a karawan zobaczył dopiero wtedy, gdy okrążył kilka bloków. Stał zaparkowany przed jednym z wieżowców: długi, czarny wóz, przeżarty rdzą, miał łyse opony, a na przedniej szybie cienką rysę — najwyraźniej służył jako karawan bardzo dawno temu.

Perlman wysiadł z samochodu, zamknął go i szybkim krokiem ruszył w deszczu do budynku. W korytarzu na podłodze zrobiły się kałuże. Po obu stronach mieściło się kilkoro drzwi, a naprzeciwko kamienne schody. Perlman zapukał do pierwszych drzwi z brzegu.

Otworzył mu młody, przystojny mężczyzna. Na głowie miał chustę, a w prawej dłoni plastikowy miecz.

— O co chodzi? — rzucił.

— Gdzie tu znajdę Pudge'a?

Z pokoju dobiegł go zapach haszyszu. W środku chichotały jakieś dziewczyny. Perlman słyszał, jak jedna z nich mówi: Me urodzę tego dziecka, bo będzie wyglądało jak dynia. Wyobrażacie sobie minę pielęgniarki na widok dyni między moimi nogami?

— Niech mi pan powie, tylko szczerze — zagadnął młody. — Czy pana zdaniem jestem podobny do Johnny'ego Deppa?

— Do Johnny'ego Deppa? No cóż, owszem, istnieje pewne podobieństwo. — Tak naprawdę Perlman nie znał żadnego Deppa, ale po co wdawać się w dyskusję?

Młody zaśmiał się. — A nie mówiłem, że jestem jego sobowtórem! — krzyknął do tych w pokoju, po czym odwrócił się z powrotem do Perlmana. — Pytał pan o Pudge'a? To na pierwszym piętrze, na lewo. — I zatrzasnął drzwi.

Wyobrażając sobie dyniogłowe dziecko, Perlman wszedł schodami na górę. Co za dziwny świat. Zatrzymał się przy drewnianych drzwiach, naznaczonych długimi zadrapaniami jakiegoś zwierzęcia. Skrzynka na listy wisiała przekrzywiona pod kątem. Perlman zapukał, ale nikt nie otworzył. Schylił się. — Jest tam kto? — zawołał przez otwór na listy.

Z mieszkania odezwał się głos: — Niczego nie kupię, nie potrzebuję ubezpieczycieli, nie dam żadnych pieniędzy na biednych, nie chcę żadnych szczotek, odkurzaczy ani innych takich, więc wynocha.

— Przyszedłem zobaczyć się z Pudge'em.

Długa cisza. U podnóża schodów zabrzmiały głośnie, powtarzane rytmy muzyki rap.

Drzwi się otworzyły i stanął w nich tęgi mężczyzna w białym, zaplamionym podkoszulku. Był nieogolony, szelki wisiały mu po bokach czarnych, błyszczących spodni. Na nagich ramionach miał kilka wyblakłych tatuaży w kształcie koniczyn.

— Pudge? — zapytał Perlman.

Tamten zmarszczył niechętnie brwi. — Może i tak. Albo jego brat Fudge.

— Dobra, niech więc będzie, że Pudge. Czy parę dni temu wieczorem odwoził pan stąd młodą kobietę? Tę, która uciekła z tego starego domu, od Dysarta...

— Cholera, każdy przy zdrowych zmysłach by stamtąd nawiał. A panu co do tego?

— Gdzie ją pan wysadził?

Pudge potarł podbródek. Na wierzchu dłoni miał wytatuowane maleńkie koniczynki. Zmierzył Perlmana wzrokiem, jakby oceniał jego status majątkowy. — To kosztuje — odparł.

— Jak to w interesach. — Perlman włożył rękę do kieszeni kurtki i wyszukał portfel. Wyjął dwudziestofuntówkę. Czuję się jak wór z pieniędzmi — najpierw Tartakower, potem Pickler, a teraz Pudge.

— Najlepiej to pięćdziesiąt. Za okrągłe pięć dych dostajesz pan psa razem z budą.

Patrząc, jak dwie dwudziestki i dziesiątka trafiają do wytatuowanych koniczynkami rąk Pudge'a, Perlman rozmyślał nad stanem swojego konta. Na urlopie zdrowotnym płacili mu tylko gołą pensję, z czego zostanie mu niewiele, jeśli tak dalej będzie szastał pieniędzmi na prawo i lewo.

— No więc zawiozłem ją na sam koniec Belmont Street — rzekł Pudge.

Belmont Street. Perlman poczuł, jak serce mu zatrzepotało. — Zostawił ją pan tam i odjechał?

— Nie, skąd. Poprosiła, żebym zaczekał. A mnie to było na rękę, taka z niej ślicznotka. Co prawda, bez poczucia humoru, bo moje kawały jakoś jej nie śmieszyły, ale przynajmniej było na co popatrzeć. Weszła do kamienicy i po paru minutach wróciła, przebrana, z mokrą głową. Miała ze sobą torbę.

— No i co dalej?

— Poprosiła, żebym ją odstawił na róg Bath Street i Campbell Street.

— A widział pan, dokąd stamtąd poszła?

— Chwilę obserwowałem ją w lusterku. Cofnęła się do skrzyżowania i wtedy ruszyłem. Spojrzałem jeszcze raz w tył, ale jej już nie było. Pewnie weszła do któregoś z budynków przy ulicy. Jest tam jeden hotel, w którym mogła się zatrzymać. Pewnie nie chciała, żebym ją wysadził z karawanu przed samym wejściem do hotelu. Na pewno. To mało elegancko jak na nią.

Perlman usiłował przypomnieć sobie hotele zlokalizowane w tej części Bath Street. — A czy wspomniała, dlaczego uciekła od Dysarta?

Pudge pokręcił głową. — Panie, ona odezwała się do mnie tylko dwa razy. Chciała po prostu uciec w cholerę. Po mojemu śmiertelnie się bała.

Perlman podziękował mu.

— Nie ma sprawy — rzucił Pudge.

Lou zszedł na dół i wrócił do samochodu. Przekręcił kluczyk w stacyjce i pomyślał o śmiertelnie wystraszonej Gloriannie, uciekającej tamtego wieczoru karawanem.

39

Mathieson jechał do Zalanego Cielaka, przez całą drogę wysłuchując, jak Chuck mruczy coś pod nosem na tylnym siedzeniu. Czasem ignorował go jak stację radiową puszczającą szkocką muzykę taneczną, której nie miał ochoty słuchać, a chwilami wyłapywał tylko ważniejsze słowa.

Przecież ona musi gdzieś być. Sprawdziliśmy już hotele, pytaliśmy taksówkarzy, skontaktowaliśmy się z jej znajomymi.

— Przeszukałem całe miasto, panie Chucku. Zastrany ważniaku.

Chuck przygryzł palce. — Znajdzie się. Na pewno się znajdzie. Niby gdzie ma się tu ukrywać, do cholery?

Są tysiące takich miejsc, pomyślał Mathieson. Wystarczy tylko jedno.

Chuck posmutniał. Żal i tęsknota, nieznośne brzemiona. Co takiego zrobił w poprzednim życiu, że sobie na to zasłużył?

Wjakim poprzednim życiu? No jasne. To ten pieprzony guru nagadał mu tych bzdur.

Fala deszczu przygnębiła go jeszcze bardziej. Glasgow zalała powódź. Spieniona woda mknęła rynsztokami, które nie nadążały z jej odprowadzaniem. W świetle ulicznych latarni krople deszczu połyskiwały jak rtęć. W taką pogodę jaguar powinien pójść na złom, a na jego miejsce przydałaby się jakaś pieprzona arka.

Chuck wysiadł z samochodu na swoim parkingu za restauracją Zalany Cielak i tylnymi drzwiami wszedł do swego biura. Mathieson ruszył za nim. Biuro Chucka było niewielkie; ściany pomalowane na żółtozielono, mahoniowe biurko, dwa kosztowne, czarne, skórzane fotele. Na ścianie naprzeciwko biurka wisiała elektroniczna mapa Glasgow.

Chuck usiadł. — I znowu ten cholerny czosnek. Czujesz to?

Ronnie Mathieson przytaknął i dodał, że zapach rzeczywiście jest dość intensywny. Tak naprawdę nic tu nie czuć, dodał w myślach, to Szefer ma nasrane we łbie.

— Wentylacja szwankuje, Ronnie. Ci partacze od instalacji nie trzymali się planu. Zapachy miały omijać moje biuro, ale gdzieś obluźowała się jakaś cholerna rura albo coś tam pękło, tyle że dziury nie widać go-

łym okiem. Sprowadź mi tu tych fuszerów, Ronnie, i dopilnuj, żeby to porządnie naprawili, choćbyś miał im przystawić do głowy pieprzoną spluwę.

I znowu narzekania, ciągle biadolenie Szefa. Chuck wyraźnie się gubi. Wyczuwanie nieistniejących zapachów to chyba znak, że mózgowica nieźle nawala, nie?

Szef kuchni, Pako Sg, przyniósł w misce rosół warzywny z makaronem i postawił na biurku Chucka. Ten spojrzał na jedzenie, a potem na Pako: mały człowieczek miał na sobie nieskazitelnie białą marynarkę i czarną czapkę z paskiem w czarno-białą kratkę.

— Ma być wołowina — rzekł. — Zabierz stąd ten kleik.

— Wołowina, panie Chuck? Naprawdę?

— Mój organizm domaga się wołowiny, i to jak najbardziej krwistej. Pako Sg uśmiechnął się i mrugnął oczami. Robił to bardzo często. Za

często, jak na gust Chucka. Ten, kto mruga, nie zawsze jest gwiazdą. Kto to powiedział? Konfucjusz czy może Świętobliwy Gnojek Baba?

— W takim razie usmażę panu wspaniałą polędwicę od Aberdeen Angus, z naturalnej hodowli, bez antybiotyków i hormonów. Prawdziwa doskonałość.

— No to dawaj, kucharzyku — rzucił Chuck. Przez chwilę milczał, zamyślony: przydałby się jeszcze jakiś drink dla ożywienia duszy, dla poprawienia humoru. — I dorzuć jeszcze butelkę ginu, Pako. A Ronniemu zrób jakąś kanapkę czy coś.

— Ginu? — Pako Sg próbował ukryć zdziwienie. Ukłonił się i zabrał miskę z zupą.

— A jak tam przygotowania do jutrzejszej kolacji, malutki?

— Wszystko pod kontrolą. Rezerwacja na siódmą wieczorem. Na pięćdziesiąt osób.

I Pako wyszedł w ukłonach, bez przerwy mrugając.

Chuck pomyślał o uroczystej kolacji, prywatnej imprezie, którą organizowano tu mniej więcej raz na miesiąc — zależy, jak wypadło. Zwykle przyciągała takich, co mieli szeroki gest. Ludzi, którzy nie liczyli się z pieniędzmi. Ludzi o ptasich mózdkach, którzy spali na forsie. Byli tacy, co jechali kawał drogi, żeby być na tej imprezie.

Chuck nacisnął guzik na pilocie, żeby włączyć mapę Glasgow. Zamigotały czerwone punkciki, sygnalizując tereny, które, okrężnie mówiąc, trafiły się Chuckowi. Z kolei żółte oznaczały nieruchomości, które zamierzał nabyć — legalnie, czyli zgodnie z zaleceniem swojego prawnika: nie wychylać się, siedzieć cicho i udzielać się charytatywnie.

Chuck wstał, podszedł do mapy. — Ronnie, a czy ty wiesz, że w Glasgow jest ponad osiemdziesiąt parków? Tyle przestrzeni marnuje się na grube baby z wózkami, chłopaków, co wałą konia w krzakach czy zramolanych kapcanów wyprowadzających swoje pieprzone psy.

— Osiemdziesiąt parków? Pierwsze słyszę.

— A tak. Tyle że to nie potrwa długo... — Chuck puścił oko. — Chcę wykupić kilka z nich. Na początek Elder Park, bo stamtąd bardzo blisko do tunelu Clyde. Poczekam jeszcze trochę, wystaram się o pozwolenie u tych kłamliwych cwaniaków z Urzędu Miasta i wybuduję małe osiedle: siedem czy osiem luksusowych budynków z apartamentami reprezentacyjnymi w części parku. Myślę, że użyję do tego stali, chromu i całego mnóstwa szkła, żeby nadać im nowoczesny wygląd. Tak właśnie... — Tu Chuck przerwał, pogrążony w swojej wizji. — Apartamenty parkowe, tak się to będzie nazywało. I jak ci się podoba?

— Bardzo.

— A potem kupię inny park i zrobię to samo. O, tu — postukał palcem w mapę. — Linndale Park, spora powierzchnia, przylegająca do Carmunnock Road, położona blisko King's Park, obok którego jest pole golfowe. Zagospodaruję te parki bardzo starannie i w dobrym stylu. Być może postawię w Linndale sześć ekskluzywnych bliźniaków, a w Elder jeszcze jedno małe osiedle, a na koniec kilka rezydencji w King's Park.

Rezydencje... — A czy miejskie parki w ogóle są na sprzedaż, panie Chuck? — spytał Mathieson po wysłuchaniu tych pomysłów.

— Wszystko jest na sprzedaż, do cholery.

— Myślałem, że parki to własność społeczna...

— Społeczna? Ho ho. Te męty na to nie zasługują. Chodzą do parku po to, żeby się rznąć, i niszczą zielen. Chryste, jeśli nawet wykupię pół tuzina parków, to i tak zostanie ich wystarczająco dużo, żeby ich psy miały się gdzie wysrać. Wszystko jest płynne, Ronnie. Kiedyś na Georgie Square postawię mi pomnik.

— No jasne — rzucił Mathieson. Pomnik Szefa. Z gołębimi odchodami na kamiennej głowie. Tyle że Chuck nie wykupi już żadnego parku, do jasnej cholery. On schodzi na psy. Zdaniem Mathiesona i tak zawsze brakowało mu jaj, żeby być Szefem. Jego brak pewności siebie było widać jak otwartą ranę. Bał się pustych klatek schodowych. Słyszał za plecami czyjeś szepty, choć nikogo tam nie było. Swoich wrogów zwalczał zaciekle i odważnie, czerpiąc siłę z Baby — i kogo on oszukuje?

A teraz Baba się ulotnił.

Chuck odsunął się od mapy. Wszysdde te ulice, linie kolejowe, parki, stawy, uczelnie i zabytki przez chwilę wydały mu się jakieś obce — gdzie w tym dziwnym, zagmatwanym mieście zaszyła się Glori?

Pako Sg wrócił z tacą i butelką ginu i postawił je na biurku. Cienko krojony stek z grilla dla Chucka i kanapka z szynką dla Mathiesona. Chuck naciął stek i na talerz wypłynęła gęsta, oleista krew. Kiedy człowiek traci wiarę, wraca do dawnych przyjemności, których odmawiał sobie przez własną głupotę.

Przyjemności takich jak seks czy alkohol.

Ten drań Baba puścił mnie kantem. Nie pozwolę sobie na to. Pako Sg czekał na komplementy.

Mięso rozpływało się w ustach Chucka. Smakowało wyśmienicie i było delikatne jak aksamit. Chuck miał błogi wyraz twarzy. — No, jakbym, kurwa, spożywał boskie ciało.

Urażony, Mathieson przeżuwał kanapkę z szynką.

— Miło mi, że pan Chuck zadowolony — powiedział Pako Sg.

— Czuję się jak w niebie, Pako.

— Jak w niebie, o, to dobrze, bardzo dobrze. — Pako uklonił się lekko i wyszedł.

Chuck zjadł stek, wytarł usta serwetką i pociągnął porządny łyk z butelki Gordon's. Od jak dawna już nie pił? Gin uderzył mu do głowy jak ję-zyk ognia. No, no, całkiem miłe uczucie. Tak strasznie mu brakowało tego rauszu i szumu.

— Ciągle mam w pamięci tego popaprańca. On chyba coś wie.

— O kim mowa? — wymamrotał Ronnie Mathieson z ustami pełnymi białego, suchego chleba, kawałków sałaty i tłustymi plastrami szynki. Kanapka z szynką, psia mać, wielkie dzięki. To ja się dla ciebie poświęcam, a ty nawet nie zaproponujesz mi drinka.

Chuck znowu wziął spory łyk z butelki i beknął lekko. — Siedzi mi w pamięci jak zapach jakichś perfum... słodki jak namydlona cipka. Pieprzony Dysart. Muszę coś z tym zrobić. — I spojrzał na Mathiesona swoim chłodnym, przesywającym wzrokiem, którym od czasu do czasu obrzucał ludzi. To było jak rentgen czy piła tarczowa. Zaraz potem uniósł butelkę z ginem do światła i podziwiał jego przejrzystość. — Po ginie smutek ginie. No to do dna. — I pociągnął kolejny sowity łyk.

— A może Dysart nic nie wie — zauważył Ronnie. — Może Glori wróci jeszcze dziś.

— Taa. I wymyśli jakąś bajeczkę. Będzie się długo i gęsto tłumaczyć. Ale przyznam szczerze, że ucieszyłbym się na jej widok. Gdybym tylko

mógł ją zobaczyć i upewnić się, że nic jej nie grozi. Bez żadnych pytań. A wiesz, Ronnie, że gin robi się z jagód?

— Tak, z jałowca.

— No racja, z jajowca — odrzekł Chuck. — Cholera, ale to mocne.

— Głowę daję, że Glorianna wróci — zapewnił Mathieson. Chuck klepnął go dłonią po ramieniu. — Przy niej napinam się jak

struna, Ronnie. Przysięgam na Boga. Nie spodziewałem się, że tak będzie. Czuję się jak jakiś szesnastolatek.

Mathieson, nieprzywykły do wysłuchiwanie jakichkolwiek zwierzeń Chucka, przyglądał się zarumienionej od alkoholu twarzy tamtego. W jego oczach dojrzał jakiś rozpaczliwy ból, którego nigdy przedtem nie widział. Niewiele brakowało, a zrobiłoby mu się go żal. O mały włos nie powiedział: wiem, gdzie ona jest; zaraz ci ją przywiozę, Szefie.

O mały włos.

Ale nie, nie zrobi mu tej przyjemności. Zerknął na zegarek. — To dokąd teraz, Szefie?

Chuck przytknął wargi do butelki, popił i roześmiał się, jakby wszystko było jednym wielkim żartem. — Muszę pogadać z O'Bluntem o kwitach z restauracji. Ale mówiąc między nami a murami, mam dziwne przeczucie, że on mi podkrada forszę. Tu dziesięć, tam pięćdziesiąt, i tak ziarno do ziarnka. W każdym razie chcę jeszcze zajrzeć do kuchni, czy wszystko gotowe na jutro. A później... odwiedzić Dorco.

Do peryferii miasta jest kawał drogi, pomyślał Mathieson.

Chuck łyknął ginu. Pił jak ktoś, kto chce zapomnieć o przeszłości. — I jeszcze jedno, Ronnie. Jeśli w przyszłości usłyszysz ode mnie, że szukam jakiegoś guru, to masz prawo mnie wykastrować. Zgoda?

Mathieson wydał z siebie obowiązkowy śmiech. Z przyjemnością ode-tnę cija.

— No dobra, o czym to ja mówiłem?

— O Dysarcie, Szefie. A tak. Przejedź się i zobacz, co u niego, jasne?

— Czemu nie. — Mathieson wyjął z kieszeni kluczyki do jaguara. — Niech pan tylko da znać, kiedy, Szefie.

— Czekaj. — Chuck zatoczył się lekko. — Oj...

Ten to zawsze miał słaby łeb do alkoholu, pomyślał Ronnie. Zawsze. Alkohol przelewał się przez niego jak siki przez sito.

— Najpierw do O'Blunta. Potem... coś tam jeszcze. Wyleciało mi z pamięci. Do diabła, Blunt może zaczekać. Przecież mi nie ucieknie. Najpierw do Dysarta. Dawaj kluczyki.

— Co takiego?

— A czyj to wóz, do kurwy nędzy?

Ronnie rzucił mu je, ale Chuck nie złapał. Śmiejąc się sam z siebie, schylił się po nie.

— Przecież ma pan nieważne prawo jazdy...

— Ten zasrany papier stracił ważność dopiero dziesięć miesięcy temu, a to wcale nie znaczy, że kiepski ze mnie kierowca. Nie czekaj na mnie, Ronnie.

— Szefie, może na wszelki wypadek jednak pojedę z panem?

— E, chrzań się. Dam sobie radę. — Pobrzękując kluczykami, Chuck śmiałym krokiem ruszył do drzwi. — Czy ten wóz to automat, Ronnie?

— Tak. A zna pan drogę?

— Żebyś wiedział, że znam. Trzeba na Cobble Drive. Mathieson wzruszył ramionami. W końcu to nie mój problem, pomyślał.

40

Perlman zaparkował przy Bath Street jak najbliżej miejsca, gdzie Pudge wysadził Glorianę. Lało, jakby było oberwanie chmury. Perlman pobiegł ulicą w płaszczu naciągniętym na głowę, po czym ociekając wodą, szybko wszedł do środka St Jude's. Budynek był istnym cackiem, wewnątrz mieściło się około tuzina pokoi i restauracja. Był to jedyny hotel przy tej ulicy. Tuż za drzwiami jadalni stali dwaj młodzi kelnerzy — mieli nastroszone włosy i kolczyki. Spojrzeli na Perlmana owiniętego bezkształtnym deszczowcem, jakby bali się, że w krok za nim przypałała się cała świta ulicznych obdartusów, by zebrać o pieniądze.

W recepcji stała szczupła, czarnoskóra dziewczyna. Miała na sobie czerwoną spódnicę mini i białą bluzkę. Posłała Perlmanowi sympatyczny uśmiech, co złagodziło nieco jego nerwowy nastrój. Był rozdrażniony z przeciążenia umysłu — dręczyła go pewna obawa o wynik badania DNA, ciągle wątpliwości co do Dysarta, no i, rzecz jasna, troska o Betty. Potrzebował skupienia, a tymczasem w jego głowie jakby taśma filmowa plątała się na chwytakach.

— W czym mogę panu pomóc?

— Podobno zatrzymał się u was ktoś, z kim chciałbym się zobaczyć.

— Nazwisko?

— Proszę szukać pod Cormack.

Dziewczyna spojrzała na ekran komputera. — Zadzwoń do jej pokoju.

— Najlepiej sam tam pójde.

— No cóż — odparła dziewczyna przeprasząco, ale stanowczo. — Na to potrzeba zgody gościa. Najpierw muszę zadzwonić. — Sięgnęła po telefon.

— Chwileczkę — rzekł Perlman i pokazał odznakę. Dziewczyna obejrzała ją uważnie. — A więc szykują się jakieś kłopoty? Czy to przypadkiem nie popsuje nam PR-u?

— Nie zamierzam wyprowadzić jej w kajdankach, jeśli tego się pani obawia — rzucił Perlman swobodnym tonem, ale dziewczyna zmarszczyła brwi w odpowiedzi.

— No dobrze... Pokój numer dwanaście.

Perlman ruszył na schody i wszedł na górę. Miał ochotę obejrzeć się i zawołać dla draki: mam za sobą cały oddział służb specjalnych, laleczko, z granatami i bazookami, skarbie.

Dotarł na piętro. Całe to popołudnie upłynęło mu na chodzeniu po schodach i wspinaniu się na górę.

Zapukał cicho do drzwi pokoju 12 i głośno się przedstawił.

Cisza. — A w jakiej sprawie? — padło po chwili.

— Zajmę ci tylko pięć minut.

Uchyliła lekko drzwi, by się upewnić, że przyszedł sam, po czym odpięła łańcuch.

Perlman wszedł do środka i Glorianna zamknęła za nim drzwi, z powrotem zabezpieczając je łańcuchem.

— Zacytana? — spytał, zerkając na stertę ilustrowanych czasopism na łóżku.

— Aleś ty spostrzegawczy. Nic dziwnego, że zostałeś policjantem. Czytam sobie tak dla zabicia czasu.

— Czekasz na kogoś?

Zapaliła papierosa i bosą podeszła do okna. Wsunęła zapalniczkę do kieszeni białego, frotowego szlafroka i odwróciła się do niego. Bez makijażu wyglądała jeszcze lepiej: atrakcyjniej niż tamtego dnia, kiedy spotkał ją na George Square. Nienaruszona, blada, z naturalnie świetlistą cerą.

— Mam do ciebie mówić Glorianna czy Annie? Wzruszyła ramionami: czy to nie wszystko jedno?

— Annie brzmi bardziej niewinnie — zauważył Perlman.

— Niewinnie? — powtórzyła, wypuszczając kółko z dymu. — Chyba nie przyszedłeś tu pieprzyć o bzdurach, co?

— Czemu ukrywasz się przed Chuckiem?

— A skąd ten pomysł, że się ukrywam?

— Inaczej by cię nie szukał.

Otworzyła minibarek i wyjęła małą butelkę piwa imbirowego, które zasyczało przy otwieraniu. — No dobra. Nie chcę już go widzieć.

— A czym sobie zasłużył na takiego kopa?

— A czy to twoja sprawa? — Pod maską bezczelności Perlman wyczuł skrywany niepokój i napięcie — to samo, które towarzyszyło jej wtedy w mieszkaniu Betty.

Wszędzie leżały porozrzucane jej ubrania. — Niezły bałagan — zauważył. — Zupełnie jak u ciebie w domu.

— Kiedy tam byłeś?

— Dzisiaj. I natknąłem się na twojego faceta.

Annie zapaliła drugiego papierosa od niedopałka. Ręka jej zadrżała, trudno jej było utrzymać peta w palcach. — A skąd tam się wziął mój

były?

— Mówiłem już, że cię szuka. Rozkleja się jak tani but.

— A ty? Co tam robiłeś?

— To samo co Chuck. Szukałem ciebie. Usiadła na łóżku. — Ale po co?

— Po prostu kręcę się tu i tam, Annie. Po tych paru latach na pewno wiesz coś niecoś o interesach Chucka...

— Musisz tak prosto z mostu? Myślisz, że skoro zerwałam z Chuckiem, to zaraz zacznę sypać? A tu niespodzianka: znalazłeś niewłaściwą osobę. Zresztą i tak nie mam pojęcia o sprawach Chucka, a nawet gdyby, to nikomu nie pisnęłabym słówka, a zwłaszcza facetowi z policji.

W sumie to twarda z niej sztuka, pomyślał Perlman. Otworzył mini-barek i wyjął butelkę wody mineralnej.

— Proszę bardzo, nie krępuj się — rzuciła.

— Z przyjemnością. Dzięki. — Napił się, po czym usiadł na krześle naprzeciwko niej.

— A jak tam Betty? — spytała.

— Jest załamana, żyje w ciągłym strachu.

— Zawsze ją lubiłam. Ona nie wie, że prowadzę drugie życie jako Glorianna. Nigdy jej o tym nie mówiłam.

— Tego zdążyłem się już domyślić.

— Podobasz jej się. Bóg jeden wie, dlaczego.

— Zdaje się, że się zaprzyjaźniliśmy — odparł Perlman.

— I nic poza tym?

— Nic. — Perlman zaszurał stopami. Nie przyszedł tu w sprawie Betty. Minęło parę godzin, odkąd z nią rozmawiał — pragnął ją zobaczyć i upewnić się, czy radzi sobie z padlinozercami z lokalnej prasy. Już niedługo, niedługo.

Annie spojrzała na zegarek na stoliku nocnym. — Twoje pięć minut dobiega końca.

Perlman upił łyk wody. — A jak tam się jechało karawanem?

— Skąd wiesz?

— Lepiej ty mi powiedz, co takiego zrobił Dysart, że cię tak wystraszył.

— Nie chcę rozmawiać o Dysarcie.

— Dlaczego nie?

— Bo nie.

— To żadna odpowiedź, Annie. Pojechałaś do niego... może na początek powiesz mi, po co? Trochę mnie dziwi, że w ogóle coś cię z nim łączy.

— Nic a nic. Możesz mi wierzyć.

— A jednak pojechałaś tam taki kawał drogi? Pewnie studiujesz architekturę starych domów. Albo pociąga cię nietypowy urok osiedlowych bloków.

— Taa, jasne. Są bardzo malownicze i eleganckie. Dookoła księgarnie, powietrze przesycone aromatem espresso.

— Wybiegłaś z domu z krzykiem, Annie.

— To nieprawda.

— Powtarzam tylko to, co słyszałem. Zdaje mi się, że Dysart ci groził.

— A proszę bardzo, niech ci się zdaje.

Perlman zamilkł, a po chwili zmienił taktykę. — To piekielnie upiorny dom, Annie. Mogłoby się здаwać, że w środku czyhają jakieś stwory. Miejscowi twierdzą nawet, że jest nawiedzony.

— Bzdura. Nic takiego nie zauważyłam.

Jak grochem o ścianę. Wręcz chyba ściana prędzej by reagowała. — I oprowadził cię po tym domu?

— Nie. Nawet go o to nie prosiłam. — Annie wysunęła szufladę, wyjęła pilnik i zajęła się swoimi paznokciami.

Perlman oparł się o ścianę. Przesiąknięty deszczem płaszcz zrobił się ciężki, wilgoć przenikała go na wskroś. Na pewno coś mnie dopadnie. — Zaczynam myśleć, że z jakiegoś powodu kryjesz Dysarta. A może osłaniasz Chucka?

— Po prostu muszę na siebie uważać, Perlman.

Zdjął płaszcz.

— Tylko nie próbuj się tu rozgościć — rzuciła.

— Zaraz sobie pójde, chcę tylko wysuszyć trochę płaszcz. — Perlman wyjął komórkę z mokrej kieszeni i położył płaszcz na kaloryferze. — Strasznie nie lubię tracić czasu, Annie. I głowę daję, że Chuck miewa podobne odczucia.

Annie wyciągnęła dłoń, obejrzała sobie paznokcie, po czym popatrzyła na Perlmana przez palce. — O jego odczuciach nie mam zielonego pojęcia.

— Chuck uważa, że szukanie ciebie zabiera mu cholernie dużo czasu, skarbie. Założę się, że teraz siedzi przy biurku i czeka na telefon.

Dostrzegła w jego dłoni komórkę i od razu połapała się w jego zamiarach. Gwałtownie podniosła głowę, a mięśnie na jej szyi stężały. — Nie zrobisz tego.

— Wolałbym nie, Annie.

— Proszę cię, Perlman, tylko do niego nie dzwoń.

— W takim razie porozmawiaj ze mną.

Patrzył, jak podeszła do minibarku i wyjęła opróżnioną już do połowy butelkę białego wina. Nalała trochę do kieliszka i usiadła na łóżku, krzyżując nogi. Zapaliła camela i przez chwilę milczała, rozważając w myślach, co dalej robić.

Wtedy odezwała się komórka Perlmana, wibrując mu w dłoni.

Annie podskoczyła. — Czy to Chuck?

Perlman sprawdził numer na ekranie: ktoś z komendy. Dał Annie znak, żeby się uciszyła, i odebrał telefon. — Perlman.

Annie, wciąż niespokojna, przygryzała kciuk. Czy to Chuck — spytała, bezgłośnie poruszając ustami.

Perlman zaprzeczył ruchem głowy.

— Cześć, Lou, tu mówi Jack Wren.

— Jack, ty stara pierdoło. Co, obracasz się jeszcze wśród znakomości miasta Glasgow?

— Zawsze niezawodny posterunkowy na służbie, Lou.

Perlman darzył Jacka Wrena wielką sympatią. Znali się od lat. — No, co tam, Jack?

— Masz się tu stawić punktualnie o szóstej. To polecenie z góry.

— Z samych wyżyn władzy, co? A nie wiesz przypadkiem, w czym rzecz?

— Prędeż zamienię się w żabę niż ci z góry wyjawią tym z dołu, o co chodzi. To do zobaczenia o szóstej, Lou. Trzymaj się.

Perlman się rozłączył. Punkt szósta w biurze Taya. Skoro nie chodzi o wyniki badań DNA, o których mieli go powiadomić, to po kiego go wzywają? Psiakrew, przecież nie po to, żeby powiedzieć mu coś na pocieszenie. Za nic nie wezwaliby go na kieliszek sherry i nie zaśpiewaliby mu „Sto lat”. A więc co? Co jeszcze go czeka? Tu nie chodzi o żadne wyniki DNA, pomyślał — tylko o oficjalne wymówienie albo reprimendę za pobicie Latty, albo...

Byle tylko nie martwić się na zapas.

Annie tymczasem sączyła wino. — Zawrzemy układ, Perlman. Opowiem ci, co zaszło w tym domu, na ile mi pamięć pozwoli, ale na pytania o interesy Chucka nie będę odpowiadać, co wcale nie znaczy, że wiem, jakimi on chadza ścieżkami. Zapamiętaj to sobie.

— W porządku.

— Musisz mi jeszcze obiecać, że nie powiesz Chuckowi, gdzie jestem. Przyrzeknij.

— Cóż za subtelne negocjacje — zauważył Perlman. — I co niby mam zrobić, Annie? Złożyć uroczystą przysięgę? No dobra, przyrzekam.

Annie popatrzyła na niego, jakby dostrzegła na jego twarzy odrobinę wiarygodności. — Zdaje się, że Betty leci na to twoje spojrzenie, bo wyglądasz jak półtora nieszczęścia. Sprawiasz wrażenie uczciwego. Mam nadzieję, że Betty dobrze cię rozgryzła, Perlman.

Jak półtora nieszczęścia. To chyba coś w stylu „jak z krzyża zdjęty” — może niektóre kobiety właśnie tak go postrzegały: jako zagubionego, zabiedzonego człowieczka, którego trzeba przygarnąć i nakarmić; szkoda, że niejako dandysa i lwa towarzyskiego.

— Dla pewności mogę to powtórzyć z ręką na sercu — zaproponował.

Ale Annie nie nalegała. Upiła trochę wina i zaczęła bawić się nóżką kieliszka. — Robię masaż, Perlman. Jestem w tym cholernie dobra. Raz na jakiś czas dzwonię po domach i chodzę prywatnie. Wiem, co sobie myślisz.

— Nic nie wiesz.

— Dobra, dobra. Każdy, komu to mówię, robi mi złośliwe uwagi: prywatny masaż równa się seks. Ciągłe słyszę: och, dodatkowe usługipewnie wliczone w cenę. Otóż nie, Perlman. Pojechałam do Dysarta tylko po to, żeby zrobić mu masaż. Bez żadnych zobowiązań i dodatkowych usług. Chcę, żebyś to wiedział.

Niewinna Annie. — Wierzę ci. A jak Dysart się z tobą skontaktował?

— To miała być przysługa.

— Dla kogo?

— A czy to ważne...

— Po prostu chciałbym wiedzieć.

— Jezu, aleś ty namolny. Nie cierpię takich. Pojechałam, bo Chuck poprosił mnie o porządny masaż dla Dysarta. A z Dysartem trzeba grzecznie, bo Chuck...

— Bo Chuck to co?

— No, on ma z nim jakiś układ, tylko proszę cię, nie pytaj o szczegóły. Niczego nie ukrywam, po prostu sama nie wiem.

W głowie Perlmana zabrzmiało coś, co przypominało wibrujący dźwięk kamertonu. A więc Dysarta i Chucka łączą interesy? Nie bardzo umiał sobie wyobrazić jakikolwiek „układ” między tymi dwoma. O czym by rozmawiali? Chuck ze swoim szczekliwym slangiem twarziela z Glasgow, z tym charakterystycznym nosowym brzmieniem, i nerwowo jękający się Dysart. Jak dwie niedopasowane skarpetki. Co takiego mogło ich łączyć?

— Dysart już na starcie był kłębkim nerwów — ciągnęła Annie. — Nie miał ochoty mnie widzieć. Ale skoro przysłał mnie Chuck, to Dysart nie chciał urazić Szefa. Podobnie jak inni. Mało kogo cieszy widok rozgniewanego Chucka... Nie raz masowałam spiętych ludzi, Perlman, ale tamten facet... zupełnie jakbym próbowała ożywić trupa, i to już mocno zeszywniałego. Myślę sobie: nie, szkoda czasu, spadam stąd. I już mam dzwonić po taksówkę, a wtedy on zaczyna się dziwnie zachowywać, wytrąca mi komórkę z ręki i rozwała o podłogę... Rzecz jasna, nie podoba mi się to. Myślę sobie: o kurczę, zaczyna się robić nieciekawie.

— Byliście wtedy na parterze czy na piętrze?

— Na parterze. W pokoju stała tylko kanapa i mały stolik. Było tam pełno wielkich, grubych książek medycznych, bo to lekarz. A przynajmniej tak twierdzi. Aha, i dorabia jako dostawca artykułów biurowych.

Dostawca? Dzyń dzyń. Dysart jakoś o tym nie wspomniał. Podobno cały jego dochód pochodzi ze spadku. Na życie starcza mi pieniędzy... Ten dom był jak wymagająca, stale niezaspokojona kochanka, której utrzymanie pochłaniało ogromne sumy pieniędzy. Dochody

z dostawy artykułów biurowych nie zdołałyby spełnić żądań tej chciwej sekretnicy, podobnie jak marne resztki spadku czy wsparcie Jackie — jeśli w ogóle miała coś do zaoferowania. Perlmanowi przyszedł też na myśl koszty jej operacji plastycznych. Zaczął zastanawiać się, skąd Jackie weźmie tyle pieniędzy. Z ubezpieczenia? A może ona też dostała spadek?

— Czy Dysart dostarcza te artykuły Chuckowi?

— Mówiłam już, że nie rozmawiam o interesach Chucka.

— Jasne, rozumiem.

— Ale nie wydaje mi się, bo wiem, skąd Chuck zamawia artykuły biurowe. I na pewno nie od tego doktora.

— No i co po tym, jak rozwalił ci telefon?

— Wtedy stało się coś dziwnego. Facet nagle zbladł i popędził na górę. Usłyszałam trzaśnięcie drzwi, a potem zaczął głośno wymiotować. Mówię serio, rzygał jak kot.

— A ty, korzystając z okazji, uciekłaś?

— Jak mogłam uciec, skoro Dysart miał klucze od bramy? Po prostu poszłam za nim.

Dzielna dziewczyna. Perlman trwał w oczekiwaniu. Jest nieco oszołomiona, zaskoczyło ją to koszmarnie zajście, daj jej trochę czasu.

— Pewnie brzmi to chaotycznie, ale taką wersję zdarzeń mam w pamięci... No więc idę po holu, pukam kolejno do wszystkich drzwi, a jego ani śladu. Mówię sobie: dobra, schodzę na dół. Nie myślałam wtedy logicznie, bo przecież nie miałam klucza; ubzdurałam sobie chyba, że przeleżę przez tę bramę. Cholerna idiotka, nie? Na parterze pomyliłam kierunki i znalazłam się w jakimś pokoju, gdzie po klawiszach pianina biegały myszy. Myszy. Przysięgam. Stał tam stary fotel-muszelka. Ktoś w nim siedział, a po chwili zaczął się podnosić... bardzo powoli.

— Jakiś mężczyzna?

— Chyba tak, chociaż twarzy nie widziałam. Możliwe, że to wszystko działo się tylko w mojej wyobraźni. Wtedy wpadłam w panikę, Perlman. Wybiegłam z pokoju, dotarłam do wyjścia, a kiedy już znalazłam się na zewnątrz, Dysart gonił mnie i coś wołał.. może i zaczęłam krzyczeć, nie pamiętam. W każdym razie on biegł za mną i wołał. Usłyszałam szczekanie psów, zgubiłam buty. Wystarczy spojrzeć na moje stopy. — Zrzuciła kapcie i pokazała mu pozaklejane plastrami podeszwy stóp. — Całe w pęcherzach.

— Fatalnie. A co on za tobą wołał?

— Coś, że mu przykro, że przeprasza, nie pamiętam dokładnie.

— No dobra, a dalej czekała cię zamknięta brama.

— Niech ją szlag. Jakieś dzieciaki rzuciły mi linę i przedostałam się górą.

— Dzieciaki?

— Tacy tam smarkacze. Wymyślili sobie akurat kretyński plan, żeby przejść przez bramę i otruć psy.

— I przypadkiem wybawili cię z opresji.

— Dzięki Bogu. Wspinałam się bez końca, ręce mnie bolały jak cholera. A potem te dzieciaki zaprowadziły mnie do faceta od karawanu.

Perlman miał wrażenie, jakby coś go ominęło. — Cofnijmy się na chwilę, Annie. A więc Dysart zniknął w jakimś pokoju i zwymiotował. I nie otworzył ci, jak pukałaś?

— Nie widziałam nawet, który to pokój. Nie mogłam go znaleźć.

— Na piętrze pukałaś do kilkorga drzwi. A on nie odpowiadał.

— Zgadza się... I pamiętam jeszcze ten zapach. — Zmarszczyła nos.

— Silnych środków do dezynfekcji?

— Wyjątkowo silnych... — Sięgnęła ręką do policzka i zamknęła oczy. Perlman zastanawiał się, dokąd odpłynęła.

— Czulaś ten zapach tylko na piętrze?

— Tak, no i na ubraniu Dysarta. Strasznie tym cuchnął. — Spojrzała na Perlmana: najwyraźniej coś ją gnębiło, bo chwyciła rąbek szlafroka i zaczęła owijać wokół palców.

— I co jeszcze pamiętasz?

— Był tam jeszcze inny pokój... Dochodził stamtąd jeszcze silniejszy odór...

— A czy był zamknięty na klucz?

— Nie... Po zapachu sądziłam, że zastanę tam Dysarta. Chciałam tylko klucz od bramy, Perlman. Musiałam zdobyć ten pieprzony klucz. Co ja sobie myślałam? Że Dysart da mi go, jakby nigdy nic? Masz, idź i otwórz sobie bramę... Tak sobie to wyobrażałam?

— Powoli, Annie, uspokój się.

— Tamten pokój różnił się od pozostałych.

— W jakim sensie?

— Goła podłoga, bez dywanu... Tylko kafle.

— Białe?

— Tak.

— I stało tam łóżko?

Pochyliła się nad kieliszkiem. Jej sylwetka skuliła się niezdarnie jak u paralityczki.

— Zlew... Pamiętam, że tam był. Wymacałam gdzieś włącznik światła, zapaliłam je i zobaczyłam metalowy zlew.

— I cojeszcze?

— Przy zlewie stała naga kobieta... Puszczala lekkim strumieniem gorącą wodę z kranu, zwilżała ściereczkę, myła ręce i całe ciało, a włosy opadały jej na ramiona... I wszędzie było pełno pary. — Wzięła gwałtowny oddech. — Ale kręci mi się w głowie.

— To od tego wina i dymu.

— A potem poczułam jakiś powiew i usłyszałam kroki na schodach, ale nikt się nie zjawił. I ten człowiek na fotelu... Wyglądał jakoś nierealnie, prawie przezroczysty, jak cień... Może ten dom naprawdę jest nawiedzony.

Perlman próbował skierować ją na właściwy tor. — Wróćmy do tego pokoju z wykafelkowaną podłogą, Annie. — Usiadł na łóżku. Dziewczyna cała drżała.

— Nie chcę do tego wracać, Perlman.

— Spróbuj.

— Łatwo ci mówić... — Zamrugnęła gwałtownie. — No więc tamta kobieta odwróciła się i chyba mnie zauważyła, bo z zaskoczenia upuściła ręcznik. I wtedy to zobaczyłam.

— Co takiego?

— Ta kobieta miała fiuta.

— Jesteś pewna?

— Nie do końca... Odwróciłam głowę, bo czułam się... no właśnie, jak ja się poczułam? Zawstydzona, zszokowana? Sama nie wiem, Perlman.

— I to wszystko trwało kilka sekund — dopowiedział.

— Myślisz, że patrzyłam na zegarek?

— A więc odkryłaś, że ta kobieta to facet, i szybko odwróciłaś głowę.

— Chyba tak... Na to wygląda...

— I wyszłaś z tego pokoju? Mów dalej, Annie. Próbuję sobie wyobrazić, co tam widziałaś.

— Odwróciłam głowę, żeby nie patrzeć i... pamiętaj, że pokój był cały zamglony, wszędzie mnóstwo pary... ale dostrzegłam jakieś łóżko czy coś w tym stylu.

Perlman siedział wyczekująco. Kobieta, która okazuje się mężczyzną. I łóżko.

— Na tym łóżku leżał jakiś tobół. Nie wiem, może pranie owinięte w prześcieradło czekało, żeby je stamtąd wynieść... I wtedy zrobiłam w tył zwrot i wybiegłam do holu.

— Zwinięte pranie? Czemu aż tak cię to wystraszyło?

— Ale mi się kręci, Lou. Trzymaj mnie, bo zaraz zemdleję.

Objął ją ramieniem. — Spokojnie, nie musisz się śpieszyć. — Mówił do niej przyciszonym głosem jak do przerażonego dziecka. — No i co z tym praniem?

— Myślałam, że to pranie. W każdym razie w ułamku sekundy przyszło mi to do głowy. Ale na tym białym prześcieradle widniały plamy krwi, ono było ogromne, a pod nim coś leżało. I wtedy do mnie dotarło, że nie, to wcale nie pranie, Perlman.

— A powiesz mi, co to było? — Perlman poczuł, jak narasta w nim napięcie.

Spojrzała na niego, otępiała. — Pod zakrwawionym prześcieradłem leżało ludzkie ciało.

— Ciało? Całe przykryte? Nie było widać twarzy?

— Osłonięte od stóp do głów prześcieradłem splamionym krwią! Perlman podniósł się z miejsca, podszedł do okna i popatrzył na

deszcz. Padało żałośnie: całe miasto było rozmyte. Przyszło mu na myśl zdjęcie Kirka McLatchie. Przypomniał sobie, jak Dysart pokazywał mu pokój chorej matki, twierdząc, że tam zmarła. Ilu innych ludzi straciło tam życie?

Zakrwawione prześcieradło. To już nie pozostałość po matce, nie jej łożo śmierci — to coś innego. Podszedł z powrotem do Annie i przez chwilę zobaczył w niej bezbronne dziecko z Drum, zagubione w niezrozumiałym dla niego świecie.

Spojrzała na niego. — I po co ten drań Chuck mnie tam wysłał? Jak mógł mi to zrobić? — Była zła, oburzona — a zarazem zmieszana. Doznała zawodu, jakby ktoś zostawił ją samą w jakimś koszmarnym śnie, a ona nie bardzo rozumiała, dlaczego.

W kącikach jej ust pojawiły się kropelki śliny. Odsunęła się od Perlmana. — Nie można tak po prostu kazać komuś jechać do faceta, o którym nic a nic się wie, do cholery. A tamten pokój, Chryste Panie... Tak bardzo chciałabym wierzyć, że to był tylko sen.

— Jasne, wiem — odparł Perlman, wsłuchany w dudnienie deszczu napierającego na okno.

41

Opuszczając hotel St Jude's, był już spóźniony. Nie bardzo uśmiechało mu się jechać na komendę, by wejść głównymi drzwiami, zobaczyć te twarze, kierujące ku niemu zaciekawiony wzrok, wyłapać ukradkowe uśmiešky i złośliwe szepty. Na Pitt Street wszyscy ciągle jeszcze mieli w pamięci proces Miriam i nadal żywili urazę do Perlmana za to, co zrobił. Miał tam niewielu przyjaciół.

Wśród nich był posterunkowy Jack Wren. Stał akurat przy recepcji, kiedy Perlman wszedł do budynku i zerknął na niego znad okularów. Jack zdążył już zgolić swoje sumiaste wąsy.

— Dobry wieczór, Lou — rzucił Wren.

— Znikam tylko na chwilę, a ty już masz nową twarz — zauważył Perlman.

Wren mrugnął okiem. — Pochlebstwami daleko zajedziesz.

— Mam taką nadzieję — odparł mu.

— Naprawdę sądzisz, że to działa?

— Co masz na myśli? Nadzieję czy pochlebstwa?

— Mój brak zarostu, Lou.

— Głowę daję, że wyglądasz młodziej o dziesięć lat — zapewnił go i ruszył na schody.

— Miło cię widzieć — rzucił Wren. — I mówię całkiem serio. Ciepło, jakie ogarnęło Perlmana na powitanie Wrena, zniknęło już na

stopniach, kiedy mijał sylwetki schodzących ludzi. Niektórzy okazywali mu jawną wrogość lub dawali znak lekkim skinieniem głowy, inni udawali, że są pochłonięci rozmową i wcale go nie widzą. Chrzanić ich.

Dotarł na górę i stanął na chwilę, żeby się uspokoić. Wsłuchiwał się w bicie swego serca i myślał o tym, co opowiedziała mu Annie. Czy to wystarczy, by prokuratura wydała nakaz przeszukania? Okolica domu Dy-sarta to rewir Adamskiego. Może ten uzna, że warto zbadać tę sprawę. Jeśli w domu są zwłoki, to Adamski na pewno ściągnie na miejsce zbrodni całą ekipę, zanim ktoś zdąży zniszczyć dowody. Zresztą i tak nie da się usunąć wszystkiego. Włosy, krew w szambie — zawsze zachowają się jakieś obciążające ślady.

Ale teraz czekał go Tay i nie było czasu na myślenie o niczym innym...

Ogarnął wzrokiem piętro i schody prowadzące do „orlego gniazda” Taya i poczuł nagły ból głowy. Dokuczały mu mdłości i zmęczenie; nie pamiętał nawet, kiedy ostatnio coś jadł.

Drzwi biura Taya były zamknięte. Perlman wyprostował plecy, zapukał i nie czekając na zaproszenie, wszedł do środka — tu i tak nikt nie spodziewał się po nim żadnej uprzejmości, więc po co się wysilać.

Pokój oświetlała tylko mała lampka na biurku.

Zupełnie jak na gestapo, pomyślał Perlman.

Tay siedział za biurkiem, dłonie miał splecione. W mroku Perlman widział tylko połowę jego twarzy — przypominała fragment skały oderwanej od klifu, której prądy morskie nadały impresjonistyczny ludzki

kształt. Jedno oko, jedno nozdrze, jedno ucho. Tay w wydaniu Picassa. Perlman powiódł wzrokiem w ciemności.

Był tam Latta w swoim najlepszym ubraniu — ciemnobrązowym, trzyczęściowym garniturze z serży i krawacie w paskudne żółte i czerwone paski. Latta siedział na krześle tuż przy biurku Taya, jakby liczył na to, że tamten rzuci mu jakiś ochłap swojej władzy. W kącie natomiast zaszył się milczący, brodaty, długoreki Tigge i spoglądał na Perlmana z niezadowolaniem. Przy każdym oddechu jego nozdrza poświstywały cichutko.

No proszę, cała paczka — pomyślał Perlman. A do tego wszyscy oni wiedzą coś, czego ja nie wiem. Poczul się pokrzywdzony, i o to właśnie im chodziło.

Tay ostentacyjnie spojrział na zegarek. Tylko patrzeć, jak zaraz strzyknie sarkazmem. Tay i rozczarowanie, skądże znowu. Phi. — Miło, że wreszcie tu trafiłeś, Perlman.

— Miałem sporo na głowie. — Perlman dostrzegł wolne krzesło, ale nie usiadł, mimo że miał na to wielką ochotę. Liczył, że na stojąco będzie sprawiał wrażenie bardziej pewnego siebie.

— Wierzmy ci na słowo. — Tay miał przed sobą jakiś folder, jedyny przedmiot na jego biurku, nie licząc lampy. Otworzył go powoli i koniuszkiem wskazującego palca postukał w złożone w środku papiery. — To wyniki badań zakładu medycyny sądowej, przeprowadzonych przez Sid-neya Linklatera — orzekł na wpół oficjalnym tonem. — Doktora medycyny— dodał, zupełnie niepotrzebnie zresztą.

Pochylił się nad papierami. Latta wysunął się nieco naprzód, jak najbliżej II Duce, zerknął przelotnie na Perlmana, no i proszę —już miał ten swój wredny błysk w oku, z odrobiną prowokacji: zobaczymy, jak się z tego wywiniesz, Perły. Lampa na biurku buczała dziwnie, pewnie przez jakieś zakłócenia w przepływie prądu.

Ta dłoń została brutalnie odcięta od ciała...

Perlman usłyszał, jak Tay wymawia imię Miriam, i wzdrygnął się. Poczul, jak dawny ból rozrywa mu rękę. Chryste Panie, nie, Miriam, nie, chyba coś źle usłyszał, odbierał błędne sygnały. Głos Taya brzmiał teraz jak pieśń żałobna, której słowa były fragmentami posępnego tonu, jak w jakimś marszu.

Ta dłoń... amputowana przed śmiercią...

Perlman zachwiał się. Wiedział, że musi utrzymać pion. Byle nie dać po sobie poznać, nie okazywać żadnych emocji. Inaczej tamci wypalą z grubej rury. Ty jesteś ranny i cierpisz, a oni zwęszyli krew...

Zaraz, wróć: skąd wiadomo, że próbka DNA pobrana z dłoni należy do Miriam? Skąd u nich ta pewność, do cholery? I co tak naprawdę chciał usłyszeć, przychodząc tutaj? Najwyżej to, że ta dłoń należała do kobiety lub do mężczyzny, i nic poza tym. Dopiero teraz zrozumiał, że bez sensu było tak myśleć; przecież w żadnym wypadku, za nic w świecie, nie wezwaliby go tylko po to, żeby przekazać mu tę zwykłą, banalną informację, a wręcz pozostawiliby go poza kręgiem zainteresowanych: „Perlman, eee, on jest nikim. Gównu musi wiedzieć...”

Ale nie, oni wezwali go tutaj z innego, okrutnego powodu.

Popatrzył na Lattę, który przybrał pozornie niewinną minę. — I coś ty, kurwa, odwalił za numer?

— Co? Jaki numer?

— Z tym pieprzonym DNA, Latta. Skoro to dłoń Miriam, to musiałeś dokonać porównania.

— Miałem włos z jej grzebienia — wyjaśnił Latta.

— I pewnie zwinąłeś go wtedy na poddaszu. Tamten nie odpowiedział.

Tay spojrzał na Perlmana tymi swoimi oczami, szarymi jak brudna woda od naczyń. — Kiedy ostatnio widziałeś Miriam?

Nie mógł sobie przypomnieć. Jakoś po tym, kiedy mewa roztrzaskała się o szybę dachowego okna — ale kiedy i gdzie, nie pamiętał. Jakby to wszystko nagle uleciało mu z pamięci. Jego głowa stała się pustym, samotnym domem, a on snuł się po jego korytarzach jak we śnie. Biuro Taya zamilkło, a wraz z nim reszta świata — w całym budynku ucichły wszystkie telefony, zamarł ruch uliczny na Pitt Street.

— A co to ma do rzeczy? — rzucił, przerywając tę nieznośną ciszę.

— Bardzo wiele — odparł Latta.

Wtedy odezwali się inni i Perlman nagle usłyszał jakieś dziwne odgłosy, które odbijały się echem. Dopadała go jakaś choroba: pewnie grypa. Nie, raczej był to stan groźnego wyobcowania. Ból rozsadał mu głowę. Tak bardzo pragnął zażyć swój środek przeciwbólowy, który zostawił w domu. — Nie, żebym wymigiwał się od odpowiedzi, Latta, ale moim zdaniem to po prostu nie twój zasrany interes, kiedy ostatnio ją widziałem.

Latta zerknął na Taya, jakby chciał powiedzieć: widzisz, z kim mamy tu do czynienia?

Tay złożył pulchne palce w piramidę. — Nie zachowuj się w ten sposób, Perlman. A przynajmniej nie tutaj. To dobre dla twoich kumpli z ulicy.

— Och, błagam, wybacz mi — rzekł Perlman potulnie, udając skruchę. — Czy, mówiąc o moich kumplach z ulicy, miałeś na myśli męty, żuli, frajerów i ofiary losu? Czy twoim zdaniem, szefie, tylko tacy wypełniają mój mały, żaloszny świat?

— Nie nadużywaj mojej cholernej cierpliwości — rzucił Tay i posłał mu mordercze spojrzenie. Czasem wyglądał jak seryjny zabójca z policyjnych zdjęć. — Wierz mi, zamiast tu siedzieć, wolałbym teraz być w domu, jak w każdy sobotni wieczór.

— Albo opychać się zarcie w Zalanym Cielaku — dodał Perlman.

— To miał być przytyk do mojego życia osobistego? Ostrzegam cię, Perlman...

— Ty mnie ostrzegasz? Rany boskie, no i co zrobisz, szefie? Wezwiesz ochronę, żeby wykopali mnie na bruk? Przecież już jestem na pieprzonym bruku, wysłałeś mnie tam kilka miesięcy temu.

— I tam jest twoje miejsce — zauważył Tay, rozczepiając splecione palce.

Perlman podszedł do biurka i obrzucił Lattę gniewnym spojrzeniem. — Ty sukinsynu, myślisz, że mnie wmanewrujesz? Latta uśmiechnął się. — Ja? Niby w co?

— W ten swój zatęchły światek intryg, pieprzonych durnych wymysłów i drobnych szykan. Jest w tobie coś jeszcze bardziej zepsutego niż te twoje zęby, Latta: twoja dusza.

Tay pokiwał Perlmanowi palcem. — Dosyć tego. Miałeś tylko odpowiedzieć na parę prostych pytań. Czemu, do jasnej cholery, zawsze traktujesz wszystko tak osobiście, Perlman?

— Psiakrew, bo to osobista sprawa. Mówimy o mojej szwagierce, a nie o jakiejś dzirze spod mostu...

Pal licha Taya. Facet jest obojętny, bezduszny i tępy. Tu chodziło o Perlmana i Lattę. A ściślej o to, że tego drugiego dręczy jakiś obłąd.

— Niech no zgadnę, Latta, co umieściłeś na liście życzeń do Świętego Mikołaja. Po pierwsze: niezbite dowody przestępstwa Miriam, po drugie: dowód na to, że byłem jej współnikiem, i po trzecie: skoro dłoń znalazła się w moim cholernym domu, to sam musiałem ją odciąć.

Latta zacisnął nos, jakby tłumiał wybuch śmiechu. — Na takie prezenty potrzeba będzie ogromnego worka.

— Niby po co wносиłeś o porównanie próbek DNA? Miałeś swoje chore podejrzenia, więc zwędziłeś z mieszkania Miriam szczotkę do włosów. Tak strasznie zależało ci, żeby to była jej dłoń, żeby mieć powód do

wytykania mnie swoimi włóchatymi palcami. Perlman to zrobił, skombi-nował jakąś piłę czy maczetę, tak, tak, to pomyłony rzeźnik...

— Nikt cię nie oskarża o odcięcie dłoni, Perlman — zapewnił Tay.

— Głowę daję, że Latta jest innego zdania. Prawda, George? Zrób to dla mnie, rozkrusz ten mały, suchy orzeszek, który nosisz zamiast serca, i wyduś z niego odrobinę prawdy.

— Nie, żebym miał się sprzeciwiać szefowi... — zaczął Latta.

— O, broń Boże...

— Ale zaniedbałbym swoje obowiązki, gdybym nie wziął cię pod uwagę jako potencjalnego sprawcy. Zaznaczam: potencjalnego. A zresztą miałeś motyw.

— No jasne: spadek. Aż się ślinię na samą myśl — rzucił Perlman.

— No i nadarzyła ci się okazja.

•— Miałem całą masę okazji, Latta. Tylko wyjaśnij mijedno, bo ze starości nie nadążam: po jaką cholere odciąłem jej dłoń? Co by mi to dało? Pewnie myślisz, że ukarałem Miriam barbarzyńską, średniowieczną metodą, bo próbowała wysiudać mnie z majątku, co? W takim razie powiedz mi, skąd miałem właściwe narzędzie i doświadczenie.

— Narzędzie mogłeś pożyczyć od swojego starego znajomego Benjamina Tartakowera — odparł Latta. — Ostatnio spędzasz w Govan sporo czasu.

A więc mnie śledzili, pomyślał Perlman. Niby nic w tym dziwnego, nie? Odźwierni, przechodnie, ludzie, na których nie zwraca się uwagi: szpiedzy tego miasta. — Cholera, Latta, skoro tak dobrze znasz mój każdy ruch, to czy zauważyłeś, żebym wychodził od Tartakowera z jakimś podejrzanym przedmiotem w ręce? A może wtedy akurat miałeś wolne? Czy ty w ogóle kiedykolwiek bywasz na urlopie?

— Dajmy na to, Perlman, że Tartakower poinstruował cię, co i jak. Pokazał ci, jak się obsługuje piłę chirurgiczną. Nie można tego wykluczyć.

— Jasne, podobnie jak tego, że któregoś dnia rano obudzimy się i zobaczymy, że rzeka Clyde płynie w odwrotnym kierunku.

— To po co te wizyty u Tartakowera? Co takiego łączy cię z tym bandziorem? — Latta wykrzywił ściśnięte wargi w uśmiech, nawet nie odsłaniając zębów.

Proszę bardzo, Latta, wieszaj na mnie psy. — Jestem jego duchowym terapeutą, do cholery.

— W takim razie nie wróżę mu dobrze. — Latta zerknął na Taya, a po chwili znów na Perlmana. — Domyślam się, że on ma też kontakty z gangami.

— Wybacz, że przymykam na to oko. Rzeczywiście, Tartakower trzyma sztamę z bandą gniewnych nastoletnich dresiarzy.

Rozdrażniony Latta zignorował tę uwagę. — No a ta sprzątaczką?

— A co ona ma z tym wspólnego?

— Pracuje u ciebie zaledwie od paru dni, a już znaleziono jej syna martwego, nie? Kolejna ofiara tak zwanych nielegalnych chirurgów.

— Sądysz, że maczałem w tym palce?

— Ja tylko badam różne wątki, Perlman.

— I wyciągasz przy tym kretyńskie wnioski.

— Nie nazwałbym tego wnioskami. Po prostu zwracam uwagę na pewne szczegóły, i tyle.

— W takim razie zapomniałeś jeszcze wspomnieć, że bywam w kasynach i kontaktuję się z różnymi podejrzanymi typami.

— Właśnie do tego zmierzałem...

Ale Perlman przerwał mu. — A jeśli to ja jestem tym podłym zbirem, który odciął jej dłoń, to co zrobiłem z resztą ciała?

Nikt nie odpowiedział. W pokoju znowu zapanowała cisza. Emanowała grozą, jak naładowane powietrze nad ziemią tuż przed nadejściem burzy. Perlman poczuł, że nagle zalewają go fale tłumionych emocji, a po chwili z ciszy wyłoniły się cichutkie odgłosy: świszczący oddech Tiggego i nieco teatralny ruch ręki Taya, kiedy podsunął folder Latcie, a tamten coś z niego wyjął.

Jestem wykluczony z ich tajnych, porozumiewawczych dźwięków.

— Spójrz na to — powiedział Latta.

Perlman sięgnął ręką. Była to fotografia w kolorze, przedstawiająca skrawek świeżo wykopanej ziemi, splątanych, powyrywanych korzeni i połamane źdźbła trawy. Ten widok zadziwił go przez chwilę.

Popatrz w sam środek. Popatrz, co wystaje spod rozkopanej ziemi.

Spójrz, po co tak naprawdę cię tu wezwali.

Zapatrzył się w zdjęcie, w jego powiększone piksele, żeby doszukać się w tym chaosie jakiegoś znaczenia. Próbował, choć wbrew swojej woli. Żarłoczne stworzenia, plądrujące na ślepo robactwo, cała ta pełzająca kotłowanina, która karmi się i pleni parę centymetrów pod ziemią.

— Wczoraj wieczorem jakieś dzieciaki znalazły ją przy wykopywaniu dżdżownic — oznajmił Tigge. — A dokładnie było to... hm. — Zajrzał do notatek. — W pobliżu cmentarza St Peter's, na jakimś pustkowiu zarośniętym trawą... Wstępne badanie zwłok wykazało, że śmierć nastąpiła jakieś dwa miesiące temu, a może jeszcze wcześniej. Przyczyny zgonu jeszcze nie ustalono.

— Cmentarz St Peter's — powtórzył Latta, jakby dopiero teraz uprzytomnił sobie ten obciążający fakt. — To przecież po drugiej stronie London Road, naprzeciwko Tollcross Park. Czy to nie twoja dzielnica?

Zdjęcie w dłoni Perlmana zadrzało. Siłą woli próbował usztywnić palce. Znowu ogarnęło go to samo uczucie, co przy grypie: wewnętrzne dreszcze. Mc rym gnojkom nie okazuj, nic a nic, ani odrobiny, ani krzty tego, co teraz przeżywasz, cokolwiek by to nie było. — A tożsamość się zgadza?

— Tak — odparł Tay.

— Cholera, a jak ustaliliście, że to ona?

— Zwłoki zostały pozbawione dłoni — wyjaśnił Tay. — Oczywiście, to nie jest wystarczający dowód, dlatego sprawdziliśmy też użębienie i ustaliliśmy ponad wszelką wątpliwość, że to zwłoki Miriam Perlman.

Lou ponownie spojrzął na zdjęcie, tym razem krótko. Zdążył jednak zauważyć zmatowiałe kłęby martwych włosów, zniszczoną twarz, kości, niektóre jeszcze okryte ciałem i bezładnie rozrzucone. Kto chciałby patrzeć na taki koszmar? Widok jak nie z tej ziemi. I to była kiedyś istota ludzka. Perlman rzucił zdjęcie do Latty, tamten je złapał.

A więc zwabili go w zasadzkę. Wezwali go, żeby zmusić do uległości: dłoń należy do Miriam, ale chwileczkę, to tylko tak na przystawkę, mamy dla ciebie coś więcej, otwórz niespodziankę, a znajdziesz trupa. Oto mistrzowie sztuki podłości. Doskonale wiedzą, pod jakim kątem wbić nóż w plecy.

— I przypadkiem znaleziono ją w mojej okolicy — zauważył cicho.

— Niesamowita sprawa — przyznał Latta.

— A więc jestem podejrzany — rzekł na pozór nonszalancko, zdziwiony, że udaje mu się wyciszyć gwar głosów, przyczajonych w zakamarkach jego podświadomości. To kwestia siły woli: trzeba drążyć dalej, Lou.

— Doskonale pasujesz do tej wersji zdarzeń — odparł Latta.

— To znaczy, że tylko ja?

— Na razie tak. Ale może z czasem znajdą się inni.

— A teraz pewnie mam się przyznać, żeby oszczędzić wam czasu. Mam wam opowiedzieć, skąd wzięłem narzędzie, czy podałem jej narkozę i wiedziałem, jak ją stosować.

I czy sprzęt kupiłem w hurtowni medycznej. Gdzie dokonałem amputacji i co tak naprawdę spowodowało zgon. I jak przewiozłem zwłoki. Jaką łopatą wykopałem jej grób. Ple-ple--ple. Musicie ustalić całą masę drobnych szczegółów. To przecież wasza praca.

— Dla własnego dobra najlepiej poradź się adwokata, Perlman — orzekł Tay.

Ale on ani myślał zamilknąć i posłuchać słów tego kretyna. Nie, będzie stawiał czoła całej tej burzy tak długo, jak tylko zdoła. — No, ale pomijając te wszystkie frapujące szczególiki, musimy jeszcze zbadać motyw, nie? Czy zrobiłem to, bo Miriam naprawdę była taką pazerną suką, jak twierdzi Latta, i kradła pieniądze? A może dlatego, że odrzuciła moje zaloty i złamała moje cierpliwe serce. Albo znalazła sobie kochanka, a ja doznałem szału morderczej zazdrości. Powodów jest na pewno wiele.

Tay pochylił się nad biurkiem. — Potrzebujesz adwokata, Perlman, i to dobrego.

Perlman nie mógł się powstrzymać. Milczenie było jego wrogiem. — Albo po prostu mnie aresztujcie. Patrzcie, jestem spokojny i uległy, pomagam wam zebrać pieprzone dowody na własną zgubę. Będę idealnym podejrzanym. Nie chcę się rzucać ani demolować biura. No i jak mi idzie, Latta? Sam przyznaj.

— Po mistrzowsku — rzucił tamten bez entuzjazmu.

Perlman czuł, że opuszcza go energia, ale nie dawał za wygraną. Wyciągnął ręce i podsunął Latcie swoje nadgarstki. — W takim razie zakuj mnie. No dalej, Georgie. Co to za posterunek, że nie macie tu pod ręką kajdanek? Skujcie mnie. No już, w czym problem, Latta? Zapomniałeś kajdanek? Zostawiłeś je w chacie, Latta?

Latta miał zmieszana minę. — Słuchaj, to nie tak...

— Tego się u nas nie robi, Perlman — przerwał mu Tay. — Sam dobrze o tym wiesz.

— Wiem tylko, że chcę być skuty. Mam do tego prawo. No a ty, Tay? Masz w biurku kajdanki? Wyjmij je, załóż mi na ręce, zamknij i wyrzuć kluczyk. Yoollloooo-a-hiii-hii. Idealny podejrany i wzorowy więzień, dwa w jednym. Czy ktoś tutaj ma te kajdanki?

Tay podniósł się z miejsca. — Radzę ci, pogadaj z adwokatem.

Perlman ruszył przesadnie powolnym krokiem w stronę Tiggego. — A ty, King Kong, gdzie masz swoje kajdanki? Proszę, podstawiam ci ręce. Pokaż, na co cię stać, Tigge. Wykaż się odwagą. Skuj mnie, no dalej, zrób to, do kurwy nędzy.

Zaczął kręcić się tam i z powrotem jak w jakimś szalonym tańcu, z wyciągniętymi rękami; podsunął je Tiggemu pod samą brodę, zawirował i podał je Latcie, któryje odepchnął. A na koniec zatrzymał się przed Tayem, zakasał rękawy płaszcza i odsłonił ręce. — No dalej, Tay, skuj mnie.

— Przestań rznąć głupka i jedź do domu — nakazał mu Tay. — We właściwym czasie zostaniesz pouczone o dalszym przebiegu śledztwa,

a jak tylko sprawa się ruszy, ciebie pierwszego powiadomimy. A teraz zejdź mi z oczu, do cholery.

Perlman podszedł do drzwi. — Czy aby na pewno odsyłacie mnie do domu?

— Tak, tak, idź już — ponaglił go Tay. — I skorzystaj z pomocy prawnika.

— Chyba raczej psychiatry — dorzucił Latta, szczerząc zęby w uśmiechu.

Perlman miał ochotę się na niego rzucić, ale się pohamował. Chwycił za klamkę i z trudem ją nacisnął. Łatwiej byłoby zostać tutaj, pomyślał. Tam, na zewnątrz, zostanie sam. Chryste Panie. Kto wie, co go tam czeka. Mimo to ruszył naprzód. Krew szumiała mu w głowie. Zamknął za sobą drzwi — i nagle jego życie zaczęło bezdźwięcznie się cofać: wracał tymi samymi schodami i korytarzem, mijając recepcję, gdzie Wren wypowiadał zdania od końca. Następnie znalazł się z powrotem na ulicy i deszcz zaciął mu w twarz, a on szedł do swojego samochodu i cały świat kręcił się do tyłu... wystarczy iść w tym kierunku, by cofnąć się przez te wszystkie lata aż do łona matki, gdzie był jeszcze małą drobinką, aż do nicości. Cofnięcie się do tej kryjówki, która chroniła przed okaleczeniem, budziło tęsknotę.

Doszedł do samochodu, zachwiał się, opadł na maskę. Przypomniawszy sobie, jak wtedy, tamtego wieczoru na poddaszu, mówił Miriam, że przez połowę życia jego serce było jak milcząca harfa, dopóki nie spotkał jej. A ona położyła mu palec na ustach i powiedziała tylko: Lou — z czułością, albo i nie; tego już się nigdy nie dowie.

Wiedział jedynie to, że kiedyś ją kochał, że marzył o niej przez wiele lat, dopóki nie zaczęła rozmywać się we mgle niczym postać majacząca na odległych krańcach jego pola widzenia. A potem nie widział już nic; ona stopniowo zniknęła, rozplywała się z każdym dniem, aż została z niej tylko samotna mgielka ludzkiego istnienia — a on czuł ją jakimś zmysłem, którego obecności nawet był świadom. Miłość ginie w niepamięci i niespełnionych pragnieniach. Właśnie jak Miriam. Stracił ją dwukrotnie — najpierw przez miłość, a potem przez śmierć.

Siedząc w samochodzie, przyłapał się na tym, że szlocha cicho.

Wytarł pięściami oczy i wtedy jak obuchem uderzyła go myśl: kto w takim razie przysyłał te cholerne pocztówki?

Rick Tosh siedział w holu hotelu Cameron House i wolno sączył Guines-sa. Spędził w Szkocji dwa tygodnie, czy też dwie niedziele, jak mawiali miejscowi, i piekielnie tęsknił za domem, ale za to zasmakował mu ten ciemny trunek. I choć Szkocja rzeczywiście była bardzo malownicza, a hotel dogodnie położony blisko Glasgow, to szare chmury nad Loch Lomond działały na niego cholernie przygnębiająco, no i ten deszcz, Chryste Panie, co za deszcz. Wyjeżdżał z samego rana. Wracił do Teksasu, do upałów, suchego powietrza i tego wszystkiego, co było mu dobrze znane. Czekał na kogoś i gdy zobaczył go wchodzącego do holu, uniósł rękę.

— Tutaj, Willie.

Willie Boyd, szczupły mężczyzna w niebieskich dżinsach i zmoczonej deszczem wiatrówce koloru khaki, podszedł do stolika Tosha.

— Może drinka, Willie?

Willie Boyd usiadł. — Odrobina Auchentoshan przyda się na rozgrzanie kości.

— To jakaś whisky?

— Słodowa z Lowland — wyjaśnił Boyd.

— Wy Szkoci i ta wasza whisky. — Rick Tosh przebiegł wzrokiem po sali, szukając kelnera, ale żadnego nie dostrzegł. — Do dupy z taką obsługą. — Wsunął dłoń do kieszeni i wyjął kopertę, którą podał Williemu Boy-dowi.

Boyd otworzył ją swymi szczupłymi, zwinnymi palcami i zajrzał do środka.

— Wszystko się zgadza — zapewnił Tosh. — Bilet lotniczy, przekaz bankowy na uzgodnioną kwotę, plus — uwaga — prawdziwa zielona karta.

Boyd sprawdził zawartość. — W porządku.

Tosh wciąż rozglądał się za kelnerem. — No, to jakie masz plany?

— Polecę do Nowego Jorku, a potem się zobaczy. — Boyd uśmiechnął się. — Ameryka to wielki kontynent, a Babę czeka nieskończona przyszłość.

— Taa, na to wygląda. — Tosh zaśmiał się bezgłośnie, kiwając głową, jak to miał w zwyczaju.

Boyd przewrócił oczami tak, że Tosh ujrzał same białka.

— Cholera, niezła sztuczka — zauważył Tosh.

— Łatwizna, to tylko część przedstawienia. Najcięższe w tym wszystkim jest pieprzenie bzdur i zmycie z gęby tego draństwa.

Tosh dostrzegł kelnera i wezwał go. — Poprosimy... jak to się nazywało, Willie?

— Auchentoshan — odparł Boyd.

— Już się robi — rzucił kelner, mężczyzna o wiewiórczej twarzy, i odszedł szybko.

— Moi ludzie są ci wdzięczni — orzekł Tosh.

— Przecież za to mi płacisz. A swoją drogą, prawdę mówiąc, Chuck traci kontakt z rzeczywistością. Na średnim szczeblu jeszcze jakoś się trzymał, miał pewne ambicje, ale jak tylko dostał zgodę na przejęcie władzy, zaczęły się zmiany. Ogromne rozterki co do zaufania, wątplenie w podwładnych. No i te nieskończone wielkie marzenia, które każdy tyran roi sobie na krótko przed swoją klęską—jak na przykład to, żeby na Georgie Square stanął pomnik na jego cześć. Pomnik, psia mać! Reuben Mussolini, na litość boską. Jeszcze trochę, a ziemia pod jego stopami rozstąpi się i nas pochłonie. A tego byś nie chciał.

Tosh wzruszył ramionami. — To przecież nie pierwszy słaby konik, na jakiego postawiliśmy. Trzeba się w porę wycofać i próbować dalej. A co z tą dziewczyną?

— Przestał ją kręcić cały ten bełkot guru, za to Chuck łyknął to jak młody pelikan. A po mojemu to znaczy, że dziewczyna jest od niego bystrzejsza, a przynajmniej nie taka naiwna.

— Czy ona może napytać nam biedy?

Willie Boyd ułożył w stos podstawki do piwa. — Po mojemu nie. A zresztą ona żyje swoimi marzeniami i planuje wyjechać z Glasgow...

Wtedy to Rickowi Tshowi zadzwoniła komórka. Tosh spojrział na wyświetlacz. — O wilku mowa.

— Chuck?

Tosh wyłączył telefon. — No cóż, żegnaj, Chuck.

Kelner przyniósł drinka do stolika. Boyd powąchał go i dopiero potem posmakował. — Miło się robi z tobą interesy, Rick.

— Cała przyjemność po mojej stronie.

Willie Boyd wychylił swoją whisky i wstał z miejsca. Uścisnął Rickowi dłoń. — Rozumiem, że zajmiesz się Chuckiem.

— Na to trzeba zgody zarządu — odparł Tosh. — Zobaczymy, co powiedzą w Dallas.

— W takim razie życzę dobrej karmy — powiedział Willie Boyd.

— I nawzajem.

Willie Boyd przeszedł parę kroków i odwrócił się. — Ronnie Mathieson ma głowę na karku. To tak dla ciekawości.

— Będę pamiętał.

Tosh odprowadził wzrodem Williego Boyda — niegdyś dziecięcą gwiazdę, a później konferansjera sesji motywacyjnych na temat „Jak rozwinąć w pełni swój ludzki potencjał” — jak właśnie wychodzi z holu i znika w mroku. Dobry aktor, pomyślał Tosh.

Szkoda tylko Chucka.

43

Deszcz ustał, kiedy Perlman wysiadł z samochodu przed domem Betty, gdzie przy krawężniku stały zaparkowane dwa wozy telewizyjne z antenami satelitarnymi. Tuzin lub więcej ciemnych sylwetek, część z nich z aparatami fotograficznymi w gotowości, otoczyło go, gdy ruszył do drzwi.

— Czy to nie Perlman? — zapytał ktoś.

— Albo jego sobowtór — zawtórował kurdupłowaty człowieczek w płaszczu w jodelkę.

— Dalej, ludziska, rozejść się — rzucił Perlman, przepychając się przez nich. — Do diabła, nie jestem w nastroju do użerania się z kłamliwymi gryzipiórkami. I zabierzcie stąd te cholerne furgonetki.

— Daj spokój, Lou, pomógłbyś trochę. Niektórzy z nas już od paru godzin czekają na wywiad — jęknął kurdupłowaty. — Wolna prasa, Lou, to podstawa demokratycznego społeczeństwa.

— Demokracja, tere-fere. Każdy z was to zasrana hiena, co do jednego. Proszę powiedzieć, co pani czuje w związku ze śmiercią syna, pani Mc-Latchie. A jak myślicie, co ona czuje? Tylu ludziom zatruliście już życie, pasożyty jedne, że możecie napisać sobie wszystko z głowy zamiast nas zadreć o jakiś wywiad.

— W każdej historii bije inne serce — zauważył któryś z dziennikarzy.

— Taki z ciebie specjalista od serc? — Perlman rozpoznał człowieka o siwych, falistych włosach, pracującego dla Sunday Mail. Widział go już na procesie Miriam. — No dalej, ruszcie stąd tyłki. Zostawcie tę kobietę w spokoju.

— A czy spotyka się pan z panią McLatchie w charakterze bliskiego przyjaciela czy policjanta? — drążył pismak z Sunday Mail.

Perlman zignorował to jako insynuację. Odwrócił się i sięgnął do dzwonka Betty na domofonie przy drzwiach.

— Powiedziałbyś coś niecoś o tym zamordowanym chłopaku, Lou. Przecież muszę coś napisać w sprawozdaniu. To będzie prawdziwy wyci-skacz łez. Całe Glasgow wzruszy się bez wyjątku.

Lou obejrzał się. — Myślicie, że nie znam tych waszych sztuczek? Wampiry i szarańcza, każdy, co do jednego.

— Chwileczkę, Lou — zaprotestował mały w płaszczu w jodełkę. — Skoro jesteś zwykłym obywatelem, a nie, jak podobno my, gryzipiórkim, to proszę bardzo: poinformuj mieszkańców Glasgow, co tu się dzieje, bo to nie pierwsze zwłoki...

— Bez komentarza, psiakrew. Możecie to wydrukować. Bylebyście tylko nie przekręcili mojego nazwiska. — Perlman odszukał dzwonek Betty i nacisnął go dwukrotnie. Podminowany, zczekał chwilę, po czym nacisnął go raz jeszcze, przytrzymując palec. Dziennikarze zebrali się wokół niego jak stado zgłodniałych mew nad trawlerem.

Jakiś mężczyzna włączył oślepiającą lampę kamery telewizyjnej, opartej na ramieniu, i przykucając, wysunął się naprzód, a jakaś kobieta, wystrojona w obszty futrem paszminowy szal, robiła próbę mikrofonu. Lou znał ją z lokalnych wiadomości. Uważała się za królową telewizji w Glasgow. W rubrykach towarzyskich wciąż pisywano o jej związkach z tym lub tamtym aktorem czy zamożnym piłkarzem. Ruszyła naprzód z zadufaną miną kogoś, kto żyje w centrum zainteresowania.

Zasypali go pytaniami. Proszę nam powiedzieć, co pan na ten temat wie. Czy nadal jest pan zawieszony w swoich obowiązkach? Krążą plotki, że to robota samotnego szaleńca: czy to prawda, czy mamy tu do czynienia z grupą przestępczą, mordującą dla handlu organami ludzkimi...

Betty uchyliła drzwi na tyle, żeby Lou mógł precyzyjnie się do środka — w tej samej chwili błysnął flesz aparatu, rozświetlając jej twarz.

— A niech to szlag — rzuciła, złapała Perlmana za ramię, wciągnęła do domu i trzasnęła drzwiami.

Zaprowadziła go do mieszkania i zamknęła drzwi na zamek i zasuwę.

— Trochę się spóźniłem... — zaczął Perlman.

— Nie mogę wyjść ani nawet odsunąć zasłon. Siedzę schowana w kuchni. Na okrągło dzwonią mi do drzwi. No i ten telefon. — Zasłoniła uszy dłońmi. — Jezu.

— To padlinożercy — odparł Perlman. — Tacy zżarliby nawet swoje własne młode.

W kuchni na stole stała przepełniona popielniczka, a obok dzbanek do herbaty i pół paczki czekoladowych herbatników McVitie's. Perlman wziął jednego i zjadł łączywie.

Zadzwonił telefon. Perlman podniósł słuchawkę. — Tu bar chiński Wy-Srai-Sie — rzucił i zamiast na widelki odłożył ją na bok.

Wyglądasz na zmęczonego, Lou. Usiądź, naleję ci herbaty.

Perlman opadł na krzesło. Betty napełniła filiżankę ciemnym płynem, podsunęła mu cukiernicę i dzbanek z mlekiem. Perlman chwycił następnego herbatnika i spałaszował.

— Głodny? No to mów, na co masz ochotę. Masz do wyboru tylko jajka. Gotowane, sadzone albo jajecznicą. Nie udało mi się wyjść na zakupy-

— Jajecznicą to niezła myśl. Jeśli to nie kłopot.

— Już się robi. — Betty szybko wbiła jajka do miski, wsypała sól i pieprz i wymieszała, po czym wylała na patelnię.

Dzwonek u drzwi nie milknął ani na chwilę.

— Niech im się wreszcie znudzi i się odchrzanią — rzuciła.

— Mowy nie ma. Tacy krwio pijcy mają niespożyta energię — odparł Perlman.

Betty postawiła przed nim jajecznicę. — Mam nadzieję, że ci zasmakuje.

Jadł jak człowiek uratowany z bezludnej wyspy po wielu latach spożywania surowego żółwiego mięsa. Skończył błyskawicznie, odłożył widelec i otarł wargi serwetką. — Dzięki. Wyśmienita.

Usiadła i zapaliła papierosa. Patrzyła na niego — nieco podejrzliwie, pomyślała. Jakby się nad czymś zastanawiała. A może wyczuła jego niepewność? Albo głęboki smutek? Niebieskie oczy miały jasny odcień, było w nich zaciekawienie. Nie ma mowy, nie będzie jej się zwierzał z tego, co spotkało Miriam. Może kiedyś, ale nie dzisiaj. Wprawdzie Betty nigdy nie poznała Miriam, ale słyszała, co mówiły ciotki. Te dwie urocze staruszki potrafiły nawijać o sprawach rodzinnych od świtu do zmierzchu, przerabiając na okrągło te same historie z cierpliwością, jakiej potrzeba przy robótkach ręcznych.

Ciotki byłyby zdruzgotane wieścią o Miriam, nawet jeśli nie darzyły jej szczególną sympatią. Kolejne morderstwo w rodzinie: najpierw Colin, a teraz jego żona. Wstyd i plotki w sąsiedztwie, skandal. Ludzie zaczepialiby je w sklepie, na ulicy, w parku i zadawaliby mnóstwo pytań. Rabin

Grossman przychodziłby podbudować je duchowo, a przy okazji dowiedzieć się najnowszych wieści.

Perlman wstał z miejsca i zaczął chodzić po kuchni.

— Masz stracha? — spytała Betty.

— Trochę mnie nosi — odparł. Świat go irytował. Te pocztówki, te miasta. Amsterdam, Kopenhaga, Florencja. Kto do niego pisał? Perlman oparł się o kuchenkę. Lodówka buczała. Znowu odezwał się dzwonek u drzwi. Coś zasyczało w popielniczce, pewnie nieugaszona zapalka. Chciał tu zostać, byle trzymać się z dala od tych kretynów przed domem, od całego świata. Pragnął wierzyć, że zidentyfikowanie zwłok Miriam było jedną wielką błędną interpretacją medycyny sądowej, pomyłką tak okrutną, że odpowiedzialny za nią dyletant powinien zostać ukrzyżowany.

— Zdaje się, że masz mokry płaszcz. — Betty spiesznie zerwała się na nogi i dotknęła materiału. — Lou, przecież cały ociekasz wodą. Powieszę go w suszarni. — Zanim pomogła mu się rozebrać, zdążył jeszcze wyjąć z kieszeni komórkę. Zaniósła płaszcz do drugiego pokoju i powiesiła we wnęce do suszenia.

— A jak tam buty? Pewnie też mokre?

— Trochę, ale to nic...

— Trzeba je wysuszyć — orzekła. — I skarpetki też. Nie chcę, żebyś mi się tu przeziębził.

Perlman schylił się posłusznie i zdjął buty. Ściągnął skarpetki, zauważając z ulgą, że dobrał je do pary. Betty zaniósła je do wnęki, gdzie wisiał płaszcz. Perlman rzucił okiem do środka — stał tam wielki, mosiężny bojler, a na półkach leżały starannie poskładane ręczniki i pościel.

Przeżycie Annie, pranie. Pokój śmierci. Wszystko nagle powróciło. Powinien zadzwonić do Adamskiego, żeby Joe i paru ekspertów od oględzin miejsca zbrodni zajęli się tą sprawą. Ile czasu minęło, odkąd Annie widziała zakrwawione prześcieradło? Co najmniej czterdzieści osiem godzin — a to oznacza, że Dysart i Ace spokojnie zdążyliby zrobić tam gruntowny porządek.

— Może drinka? Szkocka?

— Bardzo chętnie. — Perlman wstydził się nieco swoich białych, poprzecinanych niebieskimi żyłkami stóp i nadzwyczaj długich środkowych palców u nóg. Betty przyniosła mu szklankę szkockiej i postawiła na stole. Usiadła, trzymając w dłoni przechylony kieliszek wina. Podobała mu się w bordowej koszuli i błękitnych dżinsach — odrzuciła czerń, jakby chciała oderwać się od żałoby, chociaż na chwilę, jakkolwiek złudną i ulotną.

— Ostatni bosy facet, jakiego widziałam w tym mieszkaniu, był hiszpańskim akordeonistą o nazwisku Yglesias... w Sylwestra dziewięćdziesiątego dziewiątego roku.

Bosy Hiszpan z akordeonem. Barcekurwalona — wciąż nie mógł zapomnieć o miejscach, które miała odwiedzić Miriam podczas swych fikcyjnych wojaży. A tymczasem ona leżała bez ruchu, przysypana ziemią, tu, w Glasgow, niecałą milę od jego domu. A on wyobrażał sobie, że znalazła sobie kochanka, że miała wypadek i inne niestworzone rzeczy, które podpowiadał mu oszalały umysł...

Wypił szkocką w nieco za szybkim tempie.

Betty odsunęła się z krzesłem od stołu, wyciągnęła nogi i dotknęła go — jej kapcie spotkały się z jego bosymi stopami. Cofnął się, ona też. — Oj — rzuciła.

Ogarnęło go to samo miłe uczucie, co przedtem w jej towarzystwie — bliskość ich warg przed paroma dniami, kiedy omal nie doszło do pocałunku. Nieodpowiedni moment i wtedy, i teraz. Życie się skomplikowało. W Perlmanie piętrzyły się pytania bez odpowiedzi. A mimo to pociągały go jej współczujące spojrzenia i pełne wargi.

Tyle tylko, że wokół nich snuli się umarli. Czekali na ratunek.

Betty mówiła szybko, jakby lekceważąc znaczenie ich dotyku. — Wiesz, że to wielka frajda pracować u twoich ciotek, Lou? Czasem bywają bardzo zabawne...

— O tak, to dwie stare dziwaczki.

Słuchał, jak Betty opowiada o Marlenę, która miała zwyczaj pić w samo południe sok z cytryny, wzbogacony mielonymi goździkami i kieliszeczką porto. Podobało mu się, jak naśladowała Marlenę, wiernie oddając zmienny ton głosu staruszki oraz jej gesty.

Żyć, nie umierać — pomyślał Lou. Możemy tak przez cały wieczór rozmawiać o rodzinie. A mimo to jego myśli zbaczały na inny tor.

Zupełnie jakby w jego głowie działał podwójny umysł.

Ktoś wysyłał pocztówki. Ktoś zabił M. Jedna i ta sama osoba — a może dwie? Czy ktoś, kto dokonał zbrodni, miał współnika, podróżującego po Europie? Ale dlaczego przez cały ten czas wysyłał tylko trzy pocztówki? Czemu nie robił tego raz czy dwa w tygodniu?

Bo to wystarczyło, abyś uwierzył, że Miriam żyje. No jasne, a nieregu-larność, z jaką przychodziły, miała na celu coś innego — widać, że aż tak jej na tobie nie zależy, Lou. A te teksty, chłodne, pozbawione uczuć, miały sugerować, że Miriam nie była skora do wyjawienia swoich planów i emocji. Zresztą już za same widoki z przechadzającymi się ludźmi można było

się obrazić; takie pocztówki wybierało się w pośpiechu i wysyłało komuś, kto nic nie znaczył.

Komuś chodziło o to, by cię zranić. Ktoś uknuł to wszystko, by zadać ci ból. Ktoś o podłym sercu, ktoś taki jak Latta.

A może to właśnie on. Zabił Miriam, napisał fałszywe pocztówki, wyjechał parę razy za granicę i je wysyłał. Tyle że Latta, mimo swej podlej, przebiegłej natury i chęci pognębienia Lou, nie paliłby się do wyjazdów z Glasgow — po co miałby zostawiać to miasto i zaniedbywać swoją obsesję? Nie daj Boże, jeszcze coś by go ominęło. Jakiś ślad czy wskazówka co do współudziału Miriam i Perlmana. No i trzeba też mieć oko na to mieszkanie na poddaszu, bo chociaż opłacił informatora, to sam musiał trzymać się w pobliżu, żeby być łatwo osiągalny.

W porządku, założmy w takim razie, że Latta miał współnika, który wysyłał pocztówki...

Lou rozboleła głowa.

Betty tymczasem wciąż nawijała o jego ciotkach. Widocznie uznała ten temat za neutralny grunt, teren, po którym mogła się bezpiecznie poruszać. — Spytałam kiedyś Hildę, dlaczego nigdy nie wyszła za mąż. A ona na to, że nie spotkała właściwego mężczyzny. Przez jakiś czas „chodziła” z jakimś młodym facetem, nazywał się Barry Bernstein. Dłubacz w nosie. Zawsze zasłaniał się chustką i wpychał palec w nos tak głęboko, jak tylko się dało.

— Taki to na pewno podbiłby kobiece serce.

Betty uśmiechnęła się. — A po Dłubaczu był Flejtuch.

Perlman słuchał jej, ale myślami odpływał do Dysarta i Ace'a, zastanawiając się, czy to nie oni siłą porwali Miriam z ulicy, nafaszerowali prochami, wrzucili do furgonetki, przykuli łańcuchem, a potem... Bo jak inaczej wynajdywali swoje ofiary, jeśli nie porywając samotnie spacerujących mrocznymi, opustoszałymi ulicami ludzi? To zbyt ryzykowna robota, żeby brać się za nią za dnia. Mieli też narzędzia i sprzęt—jeśli wierzyć w wersję Annie. Tyle że rola Miriam nijak nie pasowała do ich planów, których celem według Perlmana były pieniądze i zyski z pracy — trzeba przecież pokryć koszty operacji Jackie i utrzymania domu, który nawet mimo fatalnego stanu pochłaniał ogromne pieniądze. A więc jakie korzyści finansowe miałoby z odcięcia dłoni?

Klik! A może to Latta zatrudnił Ace'a i Dysarta?

Ta myśl pchnęła go jeszcze głębiej w gąszcz powiązanych ze sobą faktów —jak się spotkali i co ustalili? I co Latta zyskał dzięki śmierci Miriam, skoro tak naprawdę chodziło mu tylko o to, żeby wkopać ją w przestęp-

stwo, a wraz z nią Perlmana? I wyjawić to publicznie, żeby mógł krzyknąć: od początku miałem rację.

Ale jeśli ofiara ginie, to nie ma szans na tę dziką satysfakcję.

— Hilda akurat niewiele o nim mówi — ciągnęła Betty.

Perlman zgubił wątek. — Masz na myśli tego Flejtucha? Nigdy o nim nie słyszałem.

— Podobno przy jedzeniu otwierał usta na szerokość tunelu nad rzeką Clyde. Tak się napychał, że żarcie spadało mu na kolana.

— Hilda zawsze dokonywała świetnych wyborów — zauważył. Znowu zadzwieczał dzwonek. Jakiś kretyn przed domem trzymał palec na przycisku. Perlman spytał, gdzie jest łazienka.

— Musisz przejść przez salon do przedpokoju. Pierwsze drzwi na prawo.

Łazienka mieściła się w ciasnym, sześciennym pomieszczeniu, które Betty ustroiła suszonymi kwiatami w wazonie i małymi grafikami przedstawiającymi Glasgow. Perlman załatwił się, spuścił wodę, umył ręce i wytarł je w ciemnozielony ręcznik, dopasowany kolorystycznie do seledynowych ścian. Spojrzał na swoje odbicie w owalnym lustrze: oj, czyja to twarz? Powieki napuchnięte, zarost na policzkach z dnia na dzień coraz ciemniejszy, zbolała mina.

Lata ci lecą, Perlman.

Odwrócił się od lustra i z kieszeni spodni wyjął komórkę. Wystukał numer Adamskiego. Sobota wieczór, a nuż się uda? Następuje przekierowanie połączenia, powiadomił automat. Perlman czekał.

— Halo — dal się słyszeć głos Adamskiego.

— Nie przeszkadzam? — zagadnął Perlman.

— Właśnie z nudów oglądam jakiś gówniany reality show. Perlman opowiedział mu o tym, co się przydarzyło Annie. — Czy

mógłbyś się postarać o nakaz przeszukania, Joe? — spytał.

— Naprawdę sądzisz, że to, co widziała, to były zwłoki, Lou?

— Coś tam zobaczyła. Jestem skłonny uwierzyć, że widziała trupa.

— Skłonny to za mało. Chciałbym porozmawiać z tą panią.

— Ona jest przerażona, Joe. Zależy jej, żeby pewien człowiek nie dowiedział się, gdzie przebywa.

— A kto ją tak przeraża?

— Reuben Chuck.

— To wcale się jej nie dziwię. I mam ci wierzyć na słowo, że zeznała to wszystko?

— Moje słowa są szczerze jak złoto.

Adamski milczał przez chwilę. — Upłynęło czterdzieści osiem godzin, odkąd ona widziała te zwłoki. Sam rozumiesz, Lou, że ciało już dawno zniknęło.

— No tak, ale dowiedziałem się o tym dopiero dzisiaj, a potem zatrzymały mnie inne sprawy. — Wciąż próbował odsunąć od siebie wspomnienie o nieszczęsnym spotkaniu w Teatrze Okrucieństwa Latty. Czasem nie ma innego wyjścia niż brnąć naprzód jak przez jakieś bagno.

— W takim razie muszę ściągnąć kogoś z prokuratury, no i sędziego okręgowego, któremu będzie się chciało ruszyć tyłek w sobotę i wydać ten nakaz. A potem porozglądam się trochę, może uda mi się wyciągnąć z nory paru ludzi z kryminalistyki.

Wyciągnąć z nory. Jak jakieś zwierzę, na przykład fretkę. Przypomniała mu się Issy. Szare, nędzne stworzenie o martwych oczach i matowym futerku. Komu potrzebna cholerna fretka? Ściszył głos na wypadek, gdyby Betty z jakiegoś powodu zjawiała się w przedpokoju: — Całkiem możliwe, choć to nic pewnego, że do tego domu trafił też Kirk McLatchie. Być może nawet tam go wypatroszyli. Powiedziałem: być może.

— To głos intuicji?

— A raczej przecucie, Joe.

— Czyli mam bazować na zeznaniu dziewczyny, która nawet ze mną nie pogada, plus na przecuciu Lou Perlmana. Aleja mam szczęście, że na mnie tak trafiło!

— Nie ma lekko — odparł Perlman. — A na koniec jeszcze jedno. Koło domu biegają dwa groźne dobermany.

— Naprawdę? A ja tak kocham psy — wyznał Adamski.

— Tych dwóch nie pokochasz. I dzięki, Joe.

— Podziękujesz mi, jak zdobędę nakaz — skwitował Adamski. — Tylko nie łudź się, że szybko mi się to uda.

Perlman rozłączył się.

W kuchni Betty zajrzała do suszarki sprawdzić, czy wyschnął mu płaszcz.

— Może jeszcze trochę szkockiej?

Perlman przemyślał propozycję, ale odmówił. W tej samej chwili zadzwoniła mu komórka. Perlman zerknął na wyświetlacz: Scullion.

— Przepraszam. — Odwrócił się bokiem do Betty. — No, co tam, Sandy? — rzucił do słuchawki.

— Właśnie się dowiedziałem o Miriam — rzekł Scullion. — Cholernie podła sprawa. Wierzyć mi się nie chce, że Tay i Latta tak cię załatwili...

— Dokopali leżącemu.

— Mnie to jakoś nie bawi — odparł Scullion.

— A czyja się śmieję?

— Cała ta sprawa jest diabelnie poważna, Lou.

Perlman spojrział na Betty, która wstała podlać kwiat na parapecie. — To prawdziwi mistrzowie finezji.

— Ten sukinsyn Latta nic tu nie wskóra. Sam dobrze wiesz. Robi tylko krzyk i raban, podgrzewając atmosferę z czystej złośliwości.

— Wierz mi, nie mam zamiaru gryźć się z powodu Latty.

— W końcu i tak dadzą sobie z tym spokój. Ale ty słono za to zapłacisz.

— Mam odejść z policji.

— I o to właśnie chodzi Tayowi.

— A Latta będzie górą.

— Jasne, uzna to za swój sukces... Słuchaj, wiem, że to niezręczne pytanie, ale jak się z tym czujesz?

— Jestem zmęczony, Sandy. A co tam u ciebie?

— Straciliśmy naszego bankowca. Kompletnie sfiksował. Wydało się, kiedy pokazaliśmy mu ze trzysta policyjnych zdjęć, a on wskazywał kolejno każdą z tych gęb, twierdząc, że to ten sukinsyn wtargnął do jego domu. A na pocieszenie: jeszcze dziś wieczorem przetrząśniemy biura prawników Chucka.

— To legalna akcja?

— A jak inaczej? Ci prawnicy to grube ryby. Nie da się ich podejść bez oficjalnych dokumentów. Chuck oddał Ragadzie darmowy autobus, a ten guru chciał go opylić jakiemuś dealerowi, który okazał się czujny... no i skapował się, że akt własności jest fałszywy. W sumie to była dobra robota, ale nabrać się nie dał. A guru od razu się zmył.

— I oto nadeszły czasy fałszywych proroków, Sandy — podsumował Perlman.

— Przekręć do mnie rano, Lou. Albo lepiej wpadnij około południa, to wypijemy po piwku.

Lou rozłączył się i przetaił oczy.

— Co to za gadka o odejściu? — zaciekawiała się Betty?

— E, takie tam intrygi biurowe.

— Czyli po prostu mam nie pytać.

Podniósł się z krzesła. Stopy miał tak zimne, że omal nie przymarzły mu do podłogi. — Zwykle policyjne dyrdymały, Betty. Nic przed tobą nie ukrywam. — W duchu wiedział jednak, że te ostatnie słowa mogą jeszcze zaciążyć na jego sumieniu.

— Masz kłopoty, Lou — stwierdziła, dotykając lekko jego ręki.

— To chyba nic nowego?

— Tak bardzo chciałabym ci pomóc.

— No cóż, na mnie już czas.

— Nie musisz jeszcze iść. Chyba, że masz jeszcze inne sprawy...

— I długą drogę przed sobą — dodał.

Zabrał płaszcz, buty i skarpetki. Płaszcz był ciepły, choć jeszcze nieco wilgotny, a skarpetki nadawały się już do włożenia. — Ale zanim odjadę, skopię tyłki tym przy drzwiach. Wyłączę też dzwonek. A ty odłóż słuchawkę na miejsce i odbieraj tylko po sygnale ode mnie.

Była wyraźnie przygaszona. Nie chciała zostać sama. Objął ją spieszenie, pocałował w policzek i ruszył do przedpokoju, gdzie zatrzymał się i sięgnął ręką do góry, by wyciągnąć wtyczkę dzwonka, po czym wyszedł na ulicę.

Dziennikarze wciąż kłębili się pod domem. Zajadły tłum, stado polujących hien. Głośno domagali się odpowiedzi. Trzeba zaintrygować czytelników i zadowolić widzów.

Perlman zwołał ich wszystkich razem. — Słuchajcie no, ludziska. Pani McLatchie jest pod wpływem środków uspokajających i właśnie zasnęła. Nie odbiera telefonów i ma wyłączony dzwonek, a więc nie będzie dziś żadnych oświadczeń ani wywiadów, chyba że wybijecie szybę i wejdziecie do niej przez okno, co — pozwolę sobie przypomnieć — jest poważnym wykroczeniem. Jasne? Zrozumiano? A teraz, panie i panowie, proszę ładnie się rozejść.

— Cholera jasna — zaklął ktoś.

Królowa Glasgow naburmuszyła się. Nagle straciła dykcję. — Mało sobie tyłka nie odmroziłam przez te parę godzin.

— Coś ci doradzę, skarbie. Jedź do domu i poczytaj jakąś dobrą książkę.

— Nie mów do mnie skarbie, Perlman — fuknęła. — Chcę właśnie napisać artykuł o tym, jak miejscowa policja gra na zwłokę, a ty będziesz główną postacią.

— Przecież on już nie służy w policji — oznajmił mężczyzna o falistych włosach.

Perlman rzucił mu zadziorne spojrzenie. — To tylko pieprzona plotka; wy, pacany, łykniecie wszystko. A teraz ruszać się, no dalej. Zostawcie tę kobietę w spokoju.

Hieny rozeszły się powoli, szemrząc coś pod nosem.

Perlman czekał, pobrzękując kluczykami do samochodu i drobnymi w kieszeni, aż rozejdą się ostatnie grupki i odjedzie wóz telewizyjny. Dopiero wtedy poszedł do samochodu i wsiadł za kierownicę, rozglądając się czujnie, czy któryś z nich przypadkiem nie zaryzykuje i nie zakradnie się z powrotem.

Nikt jednak nie wrócił.

W drodze do domu w milczeniu opłakiwał Miriam.

44

W kuchennym oknie Dorcus patrzył na oświetlone bloki. Ponura sobota na mrocznym, wilgotnym blokowisku. W sobotnie wieczory zza muru lądowało czasem ze sto i więcej pustych puszek i butelek po piwie. Sobota była w Glasgow pogańskim świętem: po południu piłka nożna, w kilka godzin po meczu pijani kibice zataczali się w drodze do domów, drąc się i rozrabiając bez względu na to, czy ich drużyna wygrała czy nie, tłukli kamieniami szyby samochodów i latarnie uliczne, a zawsze kończyło się to co najmniej jednym zabójstwem, zwykle od pchnięcia nożem, roztrzaskania głowy ciężkim przedmiotem czy cholernie porządnie skopania.

Dobermany wyły, jak zawsze w ten dzień tygodnia. W sobotę wpadały w szaf.

Jackie Ace w żółtym, szenilowym szlafroku nawijała na lokówkę długie pukle włosów. — Wiesz, jestem z ciebie bardzo dumna, że tak świetnie poradziłeś sobie z Perlmanem.

— Po prostu bronilem swego; powiedziałem mu, że z tym zdjęciem to pomyłka. — Dorcus zatęsknił za swoimi długimi włosami. Brakowało mu ich dotyku, kiedy opadały mu na policzki. Obserwował, jak zręcznie Jackie posługuje się lokówką.

— I o to chodzi. Broń swego i nie daj się.

Odłożyła lokówkę, wzięła Dorcusa za rękę i pogładziła jego dłoń. Chwilami pragnęła go tulić i nigdy nie wypuszczać z objęć.

— Wystarczy, że pokazałeś mu ten pokój na górze, a uwierzył w twoją wersję.

— A ty mi w tym pomogłaś...

— Och, przyniosłam tylko ze strychu stare rzeczy twojej matki.

— Świetnie ci poszło...

— Po prostu jestem genialna. — Zaśmiała się i otoczyła go ramionami. Czuła silną potrzebę, żeby go chronić. Pocałowała go w czoło, nie mogąc doczekać się dnia, w którym przestanie być tą wybrakowaną istotą.

Uniosła rękę i dotknęła dłonią jego policzka. — Ty możesz zrobić wszystko.

— Pod warunkiem, że ty jesteś przy mnie.

— Zawsze będę przy tobie. Czy kiedykolwiek cię zawiodłam? Dorcus nic takiego nie pamiętał. Odkąd pracowali u Tartakowera, aż

po dziś dzień, wiedział, że Jackie to ktoś na całe życie. Od początku strasznie zależało mu na przyjaźni z Jackiem, wszędzie za nim chodził, podawał narzędzia, przyglądał się jego operacjom. Obserwując Jackiego ze skalpelem w ręku, sporo się nauczył. Podziwiał zwinne ręce Jackiego. I te jego karciane sztuczki — Jackie umiał stworzyć złudzenia, które wywoływały śmiech i zdumienie. Karty znikwały bez śladu w chustce, piki zamieniały się w kara, trefle w kiery; niby przypadkowo opadały kaskadą w dół, a na koniec zawsze układały się w pewną kolejność; karty podpalone w jednym miejscu wyłaniały się gdzie indziej z popiołu...

Od razu pokochał Jackiego. No, może nie tak od razu, ale w bardzo krótkim czasie.

Któregoś wieczoru Jackie oświadczyła: chcę się poddać operacji; zrobię to dla siebie i dla ciebie.

Dorcusa ogarnęła radość na samo wspomnienie. Spojrzał jej w oczy. — Sprzedam dom — powiedział.

— Nawet o tym nie mówmy.

— Ktoś na pewno go kupi, choćby dla samej ziemi, a bbudynek się wyburzy...

— Nie. — Jackie zawsze obrażała się, kiedy to proponował. Widziała jego zapał, jego twarz rozpromienioną uczuciem i wielkodusznością.

— Słuchaj, to się nawet opłaci...

— Nie, skarbie, nie. Chcę osiągnąć swój cel własnymi siłami. — Dorcus otworzył usta, by zaprotestować, ale Jackie przerwała: — Mówię poważnie. To moja decyzja... Ale jest coś, co możesz dla mnie zrobić, kochanie: odwieź mnie potem do pracy.

— Przecież zawsze to robię — zauważył.

Jackie wpadła w radosny nastrój, pstryknęła palcami, zakołysała biodrami i roześmiała się na całe gardło. — Arriba arriba!

Dorcus uwielbiał, jak tańczyła. Cały dom tracił wtedy swą ponurą otoczkę i przez chwilę stawał się miejscem wolnym od przeszłości i ocalałym od zatracenia.

Reuben Chuck nie bardzo wiedział, ile czasu spędził za Iderownicą. Jedyne, czego był pewien, to fakt, że zgubił się w jakiejś dzielnicy Glasgow, gdzie bywał bardzo rzadko: na głębokiej prowincji Cathcart. To wcale nie jest wschodnia część miasta, coś tu jest nie tak. Trzeba było zabrać ze sobą Mathiesona; och, prędzej go szlag trafi, niż zadzwoni do Ronniego i spyta o drogę — wtedy całkiem straciłby twarz. A poza tym był cholernie narąbany.

Wycofując po pijanemu samochód w jakąś cichą, boczną uliczkę, wjechał na czyjś trawnik, przewrócił drewniane ogrodzenie i całą kolekcję krasnali ogrodowych. O kur, o kur, o kurczę blade. Pod wpływem impulsu, jakiego zwykle doznają ludzie pijani i wariaci, wysiadł, chwycił przetrąconą głowę krasnala, posadził w samochodzie na siedzeniu pasażera i przypiął pasem.

Potrzebował towarzysza. Mała, różowa, zadziorna buźka, wąsiska, czerwone wargi, spiczaste uszy.

Odjechał spiesznie. Przymocowana pasem główka krasnala tkwiła na siedzeniu, wpatrzona przed siebie.

— Jechałeś kiedyś jaguarem, mały? Nie? No to siedź tam i baw się dobrze. — Tu Chuck zapiszczał głosem brzuchomówcy: — Dzięki za przejażdżkę. Strasznie mi się nudziło w tym ogrodzie. To ci dopiero ciekawe życie, stać tak w jednym miejscu. Oj tak, kurewskie nudy, panie Chuck. Może chcesz trochę ginu? Rzuciłem picie, panie Chuck. I ja też, mały, i ja też. Tyle że bez tego było mi cholernie smutno. Mówię serio.

Nim dotarł do cmentarza Daldowie, zdążył już dopić resztę ginu i znowu zgubił drogę. To miasto składało się z samych obcych skrzyżowań. Przez chwilę zdawało mu się, że trafił do całkiem innego miasta, i to po raz pierwszy w życiu. Wjechał na stację benzynową, omal nie tratując dystrybutora, wszedł do środka i zapytał o drogę.

Młody, gburowaty człowiek z perlą w prawym, zabrudzonym od smaru uchu, liczył utarg, obserwując, jak taśma wysuwa się z sumatora.

— Szukam Cobble Street — oznajmił Chuck, pakując się prosto na automat z coca-colą. — Oj. Czy może Cobble Drive.

Młody nawet na niego nie spojrzał. — Zdecyduj się pan — mruknął tylko. — I trzymaj się pan z daleka, jasne? Czuć od pana wódą.

— Coś podobnego. Znaczy się, trochę wypilem. No i co? Nie twój interes.

— Mógłbym zadzwonić na policję i zgłosić, że grasuje tu pijany kierowca.

Chuck walnął w ladę. — Cobble Drive. Mityguj się trochę, synu.

— Och, bardzo przepraszam. — Miody uniósł głowę i posłał Chucko-wi niemiłosiernie wrogie spojrzenie. — A niby co mi pan zrobisz, hę? No co?

— A to. — Chuck sięgnął za ladę, złapał młodego za kolczyk, ściągnął w dół i przyparł twarzą do laminowanego blatu. Kapitalne ruchy, refleks i zwinność. Może i zalał się w trupa, a mimo to wciąż reagował szybko. Wyobraził sobie, że to Baba jest tym, którego trzymał twarzą przy ladzie. Weź tę swoją karmę i wsadź sobie gdzieś, ty przewrotny sukinsynu.

— Auuu—jęknął młody.

— Przez ciebie to miasto upada. Takich chamskich bydlaków i gnojków jak ty jest tu zdecydowanie za wielu. — Wykręcił kolczyk i z ucha tamtego popłynęła krew. — Mów, którędy mam jechać, to cię puszczę.

— Wyjedzie pan stąd i skręci w prawo — wymamrotał młody z ustami wciśniętymi w blat. — A stamtąd na M siedemdziesiąt trzy. Dojedzie pan aż do M osiem. A potem według znaków do Easterhouse... Tam pan się zatrzyma i popyta dalej.

— M siedemdziesiąt trzy, M osiem — powtórzył Chuck, bo tylko tyle zapamiętał. Jego mózg był jak klapnięty suflet. — A więc nie wiesz, gdzie dokładnie jest Cobble Drive.

— Nie wiem, ale to gdzieś w tamtej okolicy. Zapyta pan kogokolwiek.

Chuck cofnął się, wypuszczając z ręki kolczyk. — Trzeba było tak od razu, synku. Po co się nabzdyczać? Grzecznością człowiek daleko w życiu zajdzie. Wiem, co mówię.

— Skaleczył mnie pan w ucho — rzucił młody.

— A mogłem ci je oderwać od tej twojej zasranej gęby, palancie. Zapamiętaj to sobie. — Kopnął automat z colą i wyszedł. Przemierzył plac w oślepiająco jasnym świetle wysokich latarni.

Dotarł do wozu. Wsiadł, wyszperał sprzączkę pasa bezpieczeństwa i spojrzął na krasnalą. — Co za ludzie — mruknął. — Co niektórym krasnalom też brakuje kultury, panie Chuck. Ci źli dają się we znaki w każdej sferze życia — dodał, gwałtownie wciskając pedał gazu. Wielkie auto pędem ruszyło ze stacji i pomknęło w uliczny ruch, śmigając z piskiem opon przez światła wśród gniewnych dźwięków klaksonów — psiakrew, tyle rabanu o to, że wskoczył przed parę wozów. Wszędzie chamstwo. Krążył po M8, sunąc od uliczki do uliczki, gdy tylko naszła go ochota. W pewnej chwili zaczął głośno śpiewać: tenjaguar to szybkość i styl, przemierzę nim, kurwa, tysiące mil...

Kiedy już dotarł do osiedla, jeździł między blokami, mijając ludzi, którzy robili jakieś podejrzanе interesy w ciemnych kątach, oraz chłopaków i dziewczyny palących haszysz. Zahamował z piskiem opon, skręcił szybę i zagadnął jakichś nastolatków o drogę do Cobble Drive. Wyjaśnili mu, jak tam dojechać; okazało się, że droga jest całkiem prosta.

— Czy to głowa krasnala?

Chuck popatrzył na młodą dziewczynę, która zadała pytanie. Była ładna, ale niewyraźna w jego zaćmionych od ginu oczach, jakby pod wodą. Nad głową miała aureolę. Przypomniały mu się symbole religijne. I szastanie gotówką w kościele katolickim, i ten pederasta, ksiądz Skel-ton. Za to czeka cię nagroda w niebie, Reuben.

— Podejdz no tu bliżej, panienko. Powiedz mi jedną rzecz. Co jest, kurwa, z tymi wszystkimi facetami od religii, hę? — spytał.

— Że jak? — Dziewczyna wetknęła głowę przez otwarte okno samochodu i zrobiła balon z gumy do żucia. Chuck wyobraził sobie, że to koniuszek jej języka.

— Ci wszyscy księża i guru to jeden wielki kit — skwitował. — Kompletne sranie w banię! Wszyscy bez wyjątku.

— No racja — zachichotała dziewczyna. Jej koleżanki otoczyły ją kołem, grupa nastolatków o przekrwionych oczach.

— Księża, papież, cholerni biskupi — ciągnął Chuck. Czuł, że trzeba ostrzec te dziewczyny przed nieuchronnym złem tego świata, ale jego zapal runął jak domek z kart. — Miejcie oczy otwarte, panienci. Wiecie, co mam na myśli?

— A po co panu głowa krasnala?

Chuck poruszył wargami i zapiszczał: — Cześć, dziewczyno, jestem Gregory ijadę do Krasnoludkowa.

Naćpanym prochami dziewczętom niewiele trzeba było do śmiechu; zgięły się w pól, odrzuciły głowy do tyłu i wyły do nieba.

— Dobranoc, dziewczynki — pożegnał je krasnal.

Chuck ruszył i dotarł na Cobble Drive, gdzie dostrzegł oddalony od ulicy dom. Widać go jak pryszcz na nosie modelki, panie Chuck. W paru oknach paliło się światło. Zahamował, zmierzył wzrokiem wysoki mur i ogromną, żelazną bramę. Zamknięte na amen. Z krzaków wybiegły dwa wielkie psy, kipiące zwierzęcą energią, ociekające śliną. Chrzańć cholerne psy, pomyślał. Szarpnął za bramę.

Panie Dysart, ja do pana.

Brama zatrzęsła się, ale nie puściła. Chuck wymierzył jej kopniaka. No, dalej.

Sprawa była prosta. Wsiadł za kierownicę jaguara i wycofał go. Nakazał krasnalowi trzymać się mocno, wrzucił bieg, nadepnął na pedał gazu i uderzył wielkim wozem w bramę, która zachwiała się, ugięła, aż wreszcie puściła pod naporem mocy tyłu koni mechanicznych. Stłukł przy tym reflektor i roztrzaskał maskę, a mimo to nie zatrzymał się, tylko prze-pruł przez gąszcz krzaków, przejechał po trawiastych wertepach na ścieżkę wysypaną żwirem chrzęszczącym pod kołami, aż dotarł na miejsce — pod same drzwi wejściowe, swoim porysowanym i powgniatanym jaguarem z wygiętym błotnikiem; oba psy warczały na niego, a głowa krasnala, która stoczyła się z siedzenia pasażera, leżała na podłodze roztrzaskana na kawałki.

No, to straciłem już wszystkich przyjaciół, pomyślał Chuck. A na dodatek dziewczynę.

Skręcił szybę i popatrzył na ogromne psy. — Odchrzańcie się, bydlaki.

Chwiejnym ruchem wyjął ze schowka spluwę, wysiadł z wozu i wystrzelił w powietrze. Przerażone psy szybko umknęły. Chuck wszedł po schodach do drzwi frontowych, otworzył je kopnięciem i zaryczał: — Dorco! Ej, Dorco, gdzie jesteś?

Jackie dostrzegła go z okna gabinetu na piętrze. — Mamy gościa, Dorcus. Przyjechał jaguarem i ma pistolet.

Dorcus wyjrzał na zewnątrz. — O Bboże, to Chuck. No i co teraz?

Ale Jackie Ace już snuła w głowie pewien plan. Ścisnęła Dorcusa za rękę. — Zejdź na dół i go zagadaj.

— Ja mam go zagadać? Ty chyba żartujesz.

— Tylko na chwilę, Dorcus.

Dorcus zadrzał. Pistolet. Nigdy w życiu nie widział broni. — To mmi się chyba nnie uda, Jackie.

— Przestań się jąkać. Dasz radę. Nie pozwolę, żeby cokolwiek ci się stało. Obiecuję. Idź, zanim on przyjdzie tu na górę.

Dorcus poczuł chłód strachu, mimo że bezgranicznie ufał Jackie. A jeśli Chuck po prostu zastrzeli go bez słowa?

Z dołu dało się słyszeć wołanie Chucka: — Gdzie moja dziewczyna, Dorco? — Jego głęboki, donośny głos grzmiał echem po holu.

— Zatrzymaj go. Powiedz mu, że nic o niej nie wiesz — nakazała Jackie. — Bądź odważny, patrz mu prosto w oczy, do cholery.

— Oodważny?

— Tak jak z Perlmanem — wyjaśniła Jackie Ace.

— Perlman nie miał broni.

— Zrób to dla mnie, Dorcus. Pokaż, co potrafisz.

Dorcus wyszedł i ruszył w stronę schodów, jakby brnąć przez piach. Dzielny i odważny, właśnie: zapragnął udowodnić Jackie, na co go stać, chciał zachować się po męsku. Nikt nie będzie się wdzierał do tego domu i groził mi bronią. Zszedł na dół. Oblał go pot. Oczy miał jakby odrętwiałe. Czuł, że lada chwila zsika się w spodnie. Zdarzyło mu się to kiedyś, dawno temu, kiedy ukryty za zasłoną podglądał seans spirytystyczny; cała ta scena przyprawiała go o gęsią skórę.

Zszedł na półpiętro, spojrział w dół, zadrżał, usiłując zamaskować strach. Przecież Jackie obiecała.

Chuck, zawiany i czerwony na twarzy, podniósł na niego wzrok. — No i gdzie moja dziewczyna, Dorco? Coś ty zrobił z moją śliczną Glo-rian-ną?

— Tu jej nnie ma, panie Chuck. — Pęcherz mu napuchł. W gardle miał tak sucho, że wypływał słowa jak kulki waty. Me wytrzymam tego, Jackie.

Chuck wypalił ze spluwy w sufit, trafiając w żyrandol, z którego posypał się deszcz potłuczonego na drobne kawałki szkła. Dorcus wzdygnął się i zakrył dłońmi uszy. Bądź o-o-odważny.

— Gdzieś tyją zamknął, do cholery?

— Nniech pan nie strzela, panie Chuck. Już schodzę.

— Gadaj, gdzie moja dziewczyna, gnojku!

— Przecież ppowiedziałem... — Dorcus był w połowie schodów. Teraz trzeba zejść, nie wolno się zatrzymać. Dotarł na ostatni stopień. Nagle jakby wpadł w jakiś trans. Słyszał, jak matka prosi go o całusa, poczuł zapach róż, wyobraził sobie, że orszak duchów przyjdzie mu z pomocą...

— To powtórz mi jeszcze raz!

Chuck ruszył chwiejnie po holu i strzelił do dwóch olejnych obrazów, które działały mu na nerwy. Gapiły się z nich na niego jakieś dwie pieprzone brzydkie gęby. Obrazy zsunęły się ze ściany, drewniane ramy roztrzaskały się, uderzając o podłogę. Wtedy Chuck odwrócił się i poszedł za Dorcusem, który zaszył się w pokoju, gdzie światło lampy padało na pianino i fotel; jedno i drugie było przykryte białą płachtą.

— Gdzie moja dziewczyna, do kurwy nędzy? — Strzelił dwukrotnie w pianino, kule trafiły w płachtę i w klawisze, a płyta rezonansowa zawibrowała jak chór wiedźm, ćwiczących swoje wysuszone gardła. Chuck przewrócił kopnięciem fotel i z dziury w obiciu wypełzła mysz.

— Widzę, że mamy tu problem z gryzoniami — rzucił, mierząc do niej ze spluwy, ale chybił.

Jackie Ace dziarskim ruchem wrzuciła do wielkiej, niebieskiej, płóciennej torby parę rzeczy. Liczyła się każda sekunda. Trzeba działać szybko. Usłyszała odgłos strzału i podniesiony głos Chucka. Wybiegła na schody, zeszła na półpiętro i wyjrzała znad poręczy.

Chuck chwycił Dorcusa, przewrócił go siłą i przycisnął do podłogi, wbijając mu kolano w klatkę piersiową.

Przystawił mu spluwę do szyi. — Wpuściłeś ją w maliny, Dorco? Potraktowałeś ją skalpelem?

— Ależ sskąd, panie Chuck.

— Wyciąłeś jej serce i pokroiłeś to młode, śliczne ciało, co? Wrzuciłeś jej bebechy do chłodziarki i wywiozłeś na handel, nie? No i co? Gadaj, gdzie ona jest, cholerny pedale. Jeszcze chwila, a rozwalę ci tę pieprzoną rudere.

Dorcus czuł przyciśniętą do gardła lufę. W oczach Chucka ujrzał obłęd. Czemu duchy tego domu nie przyszły mu z pomocą? — Nnawet jej nnnie tknąłem, pppanie... pprzysięgam... aani razu...

— Zaszana kłamliwa ciota. Gadaj, jak było naprawdę, Dorco, bo następna kula wylądjuje — zgadnij gdzie, cwelu? Prosto między te twoje cholerne ślepie. — Chuck wpatrywał się w niego, ale wzrok miał tak rozmyty, że zdawał się gapić na lewe ucho Dorcusa.

— Nnie... poproszę... ppp... Chuck...

— Będziesz się sssmażył w piekle, Dorco. Albo skończysz jako sopran w niebiańskim chórze. — Chuck przyłożył mu spluwę do czoła. — Mówisz, że jej nie tknąłeś, co?

— Nie, nig... nnigdy...

— To twoja ostatnia szansa, Dorco. — Chuck mocno wcisnął mu spluwę w twardą kość czaszki między brwiami.

Dorcus zadrżał i zamknął oczy, czując, że lada chwila przeniesie się w to miejsce, gdzie byli już sędzia i matka; w tę zimną, tajemniczą próżnię, pełną przeciągów hulających w jakiejś dziwnej znowie i niewidzialnych postaci, snujących się bez końca po korytarzach...

Zwrócony plecami do drzwi Chuck nie wiedział nawet, że ktoś cicho zakrada się do pokoju. Wystarczyło się odwrócić, a pewnie by ją dojrzał, ale był zbyt zajęty dalszym losem Dorca, a przy tym miał otępiałe zmysły.

Czując na karku ukłucie, z początku myślał, że coś go użądliło: pszczoła, osa czy komar...

Zasłabł, zgiął się wpół, osuwając się, puścił Dorcusa, spluwa wypadła mu z ręki. Obrócił się twarzą do podłogi i leżał bez ruchu.

— A już mmyślałem, że nie przyjdiesz — odezwał się Dorcus.

— Przecież obiecałam. — Jackie Ace popatrzyła na niego przez chwilę. — Byłeś bardzo dzielny, Dorcus.

Dzielny. Cały się trząsał, blady jak świeżo wyprane prześcieradło. — Wiem, co ci chodzi po głowie.

— No, to chodźmy po wóz — rzuciła Jackie.

45

Perlman zrzucił płaszcz, ściągnął buty i skarpetki, opadł na sofę i przymknął oczy, pragnąc snu. Jednak po głowie, niczym natrętne krogulce, krążyły mu wspomnienia minionego dnia, nękając go bezustannie. Ciągłe słyszał szept Miriam. Usiadł, zapalił papierosa, palce mu drżały. Włączył telewizor; właśnie pokazywali najciekawsze momenty z popołudniowych meczów piłki nożnej: gracze truchtali po boisku i nie potrafili nawet podać piłki, a bramkarze machali rękami w powietrzu. Zupełnie jak ja, pomyślał.

Wyłączył telewizor i wszedł na górę. W łazience łyknął tabletkę przeciwbólową. Ulżyła mu i wprawiła go w senność. Och, tak bardzo pragnął zasnąć i zapomnieć. Dwie ostatnie tabletki we fiołce wyglądały jak rozbitkowie z załogi trzydziestu, niesionej na falach próżnych nadziei Perl-mana. Bał się, że dopadł go Nałóg. Być lekomanem, i to akurat w tym momencie życia. Zdjął spodnie i koszulę i położył się do łóżka w samych bokserkach, nakrywając się prześcieradłem i kołdrą. Nasłuchiwał, jak wiatr kołysze gałęziami w ogrodzie za domem.

Jeszcze niedawno moim Nałogiem była Miriam.

Zapadł w sen, jakby osuwając się po nachylonej powierzchni. Śnił mu się las, w którym gonił go niedźwiedź. Zawołał na pomoc ojca i nagle obudził się w panice, jakby czuł w sypialni obecność bestii, wilgoć jej futra i stęchły, cuchnący mięsem oddech. Uniósł głowę, spojrzął w ciemne okno i zdawało mu się, że widzi przemykający za szybą cień ogromnego zwierzęcia. Co za niedźwiedzie sny.

Komórka się rozdzwoniła. Która to godzina, dzień czy noc? Wstał z łóżka i słaniając się, zszedł na dół do pokoju. Chryste, co za ziąb. Odebrał telefon i usłyszał miarowe stukanie, jakby ktoś po drugiej stronie linii dzwonił do niego z jakiejś fabryki, gdzie rozbrzmiewa łomot maszyn.

— Kto mówi? Nie słyszę, proszę mówić głośniej. — Włączył pilotem telewizor i sprawdził godzinę na kanale SkyNews. 3:20 nad ranem. Co za nieludzka pora. Bez soczewek widział podwójnie zamazaną sylwetkę prezentera na ekranie.

— Przyjeżdżaj i ratuj mnie, Perlman. Jesteś mi to winien.

— Winien... — powtórzył, zastanawiając się, czy to nie dalszy ciąg jego snu: niedźwiedź wlaź do jakiejś fabryki, dorwał się do telefonu i gada ludzkim głosem.

— Wpadłem w kurewsko poważne kłopoty, i to dzięki tobie.

— Tartakower? Czy ty wiesz, która jest godzina?

— Nie mam czasu do stracenia. Wpakowałeś mnie w tarapaty.

— A nibyjak?

Tartakower prychnął. — Podałś im moje nazwisko, frajerze. Mówię ci coś w zaufaniu, a ty zaraz to rozgłaszasz i pakujesz mnie w niezłe łajno.

— Jak to, nie rozumiem...

— Ace i Dysart, kretynie! Chcesz, żeby mnie ukatrupili? Podałem ci ich nazwiska, bo chciałem ci pomóc, a ty tak mi odpłacasz? Dzięki bardzo, nie ma co. Boję się, Perlman.

— Nie zastrzegłeś sobie, żebym o tobie nie wspominał...

— Pewne rzeczy uważam za oczywiste; jedną z nich jest dyskrecja. Już się na mnie zasadzają, Perlman.

— Skąd ta pewność? Dzwonili do ciebie? A może już czają się na schodach?

— Właśnie tu byli; walili do drzwi i rzucali groźby.

— To znaczy, że masz ich teraz za drzwiami?

— Perlman, bądź choć raz mężczyzną, pomóż, ratuj mnie. Znowu dało się słyszeć stukanie, jakby w drzwi Tartakowera tłukły

raz po raz jakieś młoty. — Umieram ze strachu, Perlman.

— Dzwon po gliny z Govan, oni mają bliżej.

— Myślisz, że policja przyjedzie na pomoc takiemu staremu bandycie jak ja?

— Spróbuj. No a gdzie ten twój gang?

W słuchawce usłyszał krzyk Tartakowera: — Spieprzajcie stąd, dajcie mi spokój, nie chcę mieć przez was kłopotów, o Chryste, Perlman, błagam, przyjeżdżaj...

Połączenie się urwało. Perlman sprawdził numer, z którego dzwonił Tartakower, i natychmiast go wybrał. Usłyszał jednostajny świst, a po chwili nastała cisza.

Jakim cudem Dysart i Ace namierzyli Tartakowera? Nieważne zresztą. Jakoś do niego dotarli. Nie bardzo wierzył, że chcieli dać mu nauczkę — był stary, biedny i całkiem nieszkodliwy. Nie był też pewien co do Tartakowera, na którego słowach niezbyt można było polegać. Raz jeszcze wybrał numer: znowu cisza. Wtedy przypomniało mu się, że Joe Adamski miał poprosić o nakaz przeszukania — jeśli mu go wydali, a on go doręczył, to może zdążył już zatrzymać Ace i Dysarta w areszcie na przesłuchanie.

A to by znaczyło, że Tartakower znowu wciska mu jakąś zakichaną bajeczkę.

Zatelefonował do Adamskiego. — Co jest? — rzucił tamten szorstko.

— Dostałeś ten nakaz, Joe?

— W końcu tak.

— I doręczyłeś im?

— Bardzo bym chciał, ale Dysart i Ace zniknęli bez śladu. A do tego jeszcze ktoś rozwalił bramę przed domem. Wjechał w nią jaguarem.

— Jaguarem?

— Dziwna sprawa, co? Wóz jest zarejestrowany na niejakiego Reu-bena Chucka. Tyle tylko, że po nim też ślad zaginął. A wóz rozkradli. Zniknęły opony, kołpaki, głośniki. Miejscowi żule uznali rozwaloną bramę za zaproszenie, wtargnęli do środka i wzięli, co chcieli. Moja ekipa właśnie przeszukuje teren. Oddzwonię w wolnej chwili.

— Czekaj, a widzieliście tam białą furgonetkę?

— Nie. — Adamski się rozłączył.

Perlman uznał, że Chuck musiał się tam wybrać w poszukiwaniu Glo-rianny albo przynajmniej chciał o nią wypytać — inaczej chyba by się tam nie fatygował? Ale co było potem? Rozwścieczony Chuck sforsował bramę, i co dalej? Został pusty dom, bo Dysart i Ace zniknęli? I dokąd się wtedy udał? A może między nim a parą kochanków doszło do starcia? Perlman snuł w głowie różne scenariusze, a wśród nich co najmniej jeden w wersji makabrycznej. Ponownie wybrał numer Tartakowera, ale po drugiej stronie nadal trwała ta sama cisza.

Przetarł powieki, czując na swoich barkach pewien ciężar. I co jesteś winien temu staremu dziadowi? On twierdzi, że go zdradziłeś. A teraz żyje w strachu. Może nie bardzo za nim przepadasz, ale nie miałeś zamiaru zrujnować mu życia i nawet do głowy ci nie przyszło, że twoje pytania mogłyby narazić go na niebezpieczeństwo. Trzeba było to przewidzieć, przystopować trochę i nie ujawniać jego nazwiska; ale nie, o nie, ty paliłeś się do tego, żeby wejść w dawny tryb życia.

A teraz ty ponosisz za to winę. Wszyscy jesteśmy niewolnikami własnych czynów.

Wbiegł po schodach, ubrał się spieszenie, założył soczewki. Zszedł na dół, wciągnął skarpetki i buty, chwycił płaszcz i wsiadł do samochodu. Auto ruszyło opornie, ale na Wellshot Road nabrało prędkości i nim Perlman dotarł do Gallowgate, sunęło już gładko.

Glasgow, niedziela, 4:00 rano. Niedobitki balangowiczów sobotniej nocy rozglądały się za taksówkami. Na High Street roilo się od grupek młodzieży w eleganckich, wyzywających strojach, wysypujących się chwiejnie z nocnego klubu, rozkrzyczanych i wstawionych.

Przejechał przez rzekę, poczucie winy kłuło gdzieś uporczywie jak ostrze igły. Zgoda, miał wobec Tartakowera dług, w porządku — wystarczy. Przyznaję, że jestem mu coś winien. Wiem, zachowałem się bezmyślnie, chociaż zupełnie niechcący, ale jednak. Minął ratusz i wjechał w Govan Road, ulicę biegnącą równoległe do rzeki Clyde. Zaparkował samochód w wąskiej, ospalej uliczce, przy której stała osmalona kamienica, i zablokował zamek. Wokół żadnego ruchu. Ani śladu dresiarzy z gangu Tartakowera.

Gdzie oni się podzieli, kiedy Tartakower jest w potrzebie?

Dotarł do wejścia na podwórze. Przed nim rozciągała się gęsta ciemność. Chyba nawet ślepy widzi lepiej. Śwąd niedawnego pożaru chwytał za gardło i przyprawiał o mdłości.

Jeśli czerń ma jakiś zapach, to pewnie właśnie taki.

Szybciej. Szybciej. Cholera, jak tu się śpieszyć, skoro nic nie widać? Przypomniał sobie, że ma zapalki, i zaczął szperać w kieszeni płaszcz, szukając pudełka. Potrząsnął nim — na słuch zdawało się, że zostało ich zaledwie kilka. Otworzył je i sięgnął do środka. Trzy cholerne zapalki, tylko trzy. Zapalił jedną, ale od razu zgasła. Z wolna podszedł do schodów i potarł kolejną, która zapłonęła na chwilę, i wreszcie mógł ogarnąć wzrokiem kamienne schody. Ale kiedy pokonał kilka z nich, ogień sparzył mu palce i Perlman rzucił zapalkę. Znowu zapanowała ciemność, tylko gdzieś pod powiekami majaczył mu jeszcze widok płomienia. Została mu jedna zapalka.

Ile schodów prowadzi na górę? Wyleciało mu z pamięci. Umykały mu takie szczegóły. Był wyczerpany całym tym dniem — a mimo to znalazł się tutaj, nie ustając ani na chwilę, byleby tylko uwolnić się od ciężaru odpowiedzialności, który wziął na swoje barki.

Poczuł na karku lekki powiew strachu. Brrr. Najlepiej zrobić w tył zwrot i uciekać. Cały ten otaczający go mrok, nie wiedzieć czemu, przy-

prawiał go o dreszcze. To wspinanie się po kamiennych schodach, szukanie poręczy po omacku, brzęk potłuczonych butelek pod stopami, szelest podartych gazet, kilka metalowych puszek, które wytaczały się spod jego butów, dźwięcząc niczym cymbałki. I oto brnę przez śmieci tego miasta. Oddałem mu całe swoje życie. Jak mogłem się ludzić, że Miriam kiedykolwiek znajdzie swoje miejsce w moim świecie, gdzie wciąż stykam się z brudami i mam do czynienia z ludźmi nieuleczalnie złymi, pokrzywdzonymi, czy wręcz martwymi?

Czy długo dręczy człowieka wspomnienie miłości, która obróciła się w proch? Czy może trwa to tylko chwilę, jak błysk w oku?

Z góry dobiegły go jakieś dźwięki. Wycie, zawroźnienie zwierzęcia czy człowieka — nie bardzo wiedział. Na półpiętrze zawahał się. Zapalił ostatnią zapałkę. Przed nim ciągnęły się kolejne schody. Widział, jak wznoszą się ich kanciaste cienie. Rzucił zapałkę, żeby ogień znowu nie przypalił mu palców. Ciemność zgęstniała: w tak głębokim mroku człowiek zapomina, co to wschód słońca.

Piął się do góry z wyciągniętą ręką, aby wyczuć niewidzialne przeszkody. Oddech mu się rwał. Powietrze było fatalne, w ustach miał posmak spalonego drewna. Zakasłał, słysząc echo własnego głosu. W jednej chwili ujrzał jasność —jakiś słaby blask, od którego dzieliło go zaledwie parę schodów. Światelko zbladło, a następnie rozbłysnęło cienkim, oleistym płomieniem. Poczuł swąd parafiny. Ruszył do źródła światła: do uchylonych drzwi, gdzie zapach był jeszcze silniejszy, wręcz żrący.

Pchnął drzwi i wszedł do pokoju oświetlonego przestarzałą, szklaną lampą olejną. Rozpoznał ten sam wgnieciony, metalowy czajnik, który stał tu na stole, kiedy ostatnio odwiedził Tartakowera. W tym świetle wszystko przypominało jakąś narkotyczną wizję. Zdawało się, że czajnik się topi. Krzesła były powywracane, przy jednym brakowało nogi. Wywrócony na bok telewizor miał powyginaną antenę.

Perlman znowu usłyszał jęk, który wydobywał się spod zabitego deskami okna. Tartakower leżał twarzą do podłogi z bezwładnie rozłożonymi rękami.

Perlman wziął lampę i podsunął do Tartakowera, który wyszeptał: — Nie... Zostawcie, proszę...

— To ja, Perlman.

— Perlman? A więc przyjechałeś. — Głos miał drżący, chrapliwy. Perlman pochylił się i zauważył w pobliżu tekturowy karton z fretką.

— Mocno cię boli? Złamałeś coś?

— Czyja wiem... — szepnął Tartakower.

Perlman zbliżył się. Tartakower uniósł nieco głowę i spiesznie wessał powietrze, jakby przełykając ból. Perlman przysunął lampę jeszcze bliżej. Na podłodze obok głowy Tartakowera widniała krew. Trzeba z nim do szpitala, ktoś musi się nim zająć, Bóg jeden wie, co mu jest. Stare, porowate kości łamią się jak suche gałęzie.

Perlman dotknął ramienia starca. Tartakower podniósł głowę parę centymetrów nad podłogą i wygiął szyję, żeby go widzieć.

— Gdzie cię boli? — spytał Perlman.

— Spytaj raczej, gdzie mnie nie boli.

— Potrzebujesz pomocy. Wezwę karetkę.

Na brodzie miał czerwone plamy. Z kącika ust ciekła mu strużka krwi. — Myślisz, że w ogóle mogę się ruszyć?

— Zabiorą cię na noszach.

— A po drodze potłuką mi głowę o schody, patalachy jedne. O Chryste, co za ból. — Tartakower bardzo powoli uniósł ramię i chwycił Perlmana za rękaw, po czym jego ręka bezwładnie opadła z powrotem na podłogę. — Ace i Dysart... Wtargnęli tu, skopali mnie po jajach. Naprali mnie po głowie sam nie wiem, czym. A wszystko przez ciebie, Perlman.

— Mam cię błagać o wybaczenie?

— Za późno.

Perlman odstawił lampę na podłogę i wsłuchiwał się w jękliwy oddech Tartakowera. Brzmiało to jak odgłos żelaznych płuc. — Jasne, rozumiem, nie zasługuję na rozgrzeszenie. Ale lepiej będzie, jak zadzwonię do szpitala. Dla twojego dobra. — I zaczął szperać po kieszeniach płaszcza w poszukiwaniu komórki.

— Szkoda czasu — wysapał Tartakower, dźwignął rękę, dotknął brody i spojrzał spod zmrużonych powiek na pomazane krwią opuszki palców.

Perlman wyjął telefon. Bateria była na wyczerpaniu. Obserwował, jak fretka poruszyła się i w jej lśniącym futerku odbił się płomień. Dzieciaki musiały ją niedawno kąpać. Tartakower drgnął, stęknął i bardzo powoli obrócił się na plecy. Podniósł dłoń i musnął telefon Perlmana, zostawiając na nim ślady krwi.

— Nigdzie nie dzwoń, Perlman.

Ale ten go zignorował i zaczął wystukiwać numer pogotowia. Plastikowa obudowa lepiała się od krwi, klawisze były wilgotne. Dłoń Tartakowera zacisnęła się na nadgarstku Perlmana.

— Czyś ty oślepl i ogłuchl?

Coś nie dawało Perlmanowi spokoju. Nie bardzo wiedział, co. Coś nie pasowało mu z tym telefonem. Chyba się starzeję od tych cholernych tabletek. Pieprzone środki przeciwbólowe spowolniają moje odruchy. Zerknął na telefon, a potem na Tartakowera. — Zaraz, czyja ci podałem swój numer?

— Przecież jest w książce.

— Chodzi mi o komórkę. Nie podałem, a jednak jakoś się do mnie dodzwoniłeś.

— Eee, numer komórki łatwo zdobyć, wystarczy tylko poszukać, gdzie trzeba. Pamiętaj, że to, co widzisz, nie zawsze jest prawdą.

— Co ty wygadujesz?

— Miewamy złudzenia, Perlman.

— I po to mnie tu sprowadziłeś, żeby...

— O nie. Ty sam tu przyjechałeś, Perlman.

Zdawało mu się, że gdzieś na dole coś się poruszyło. Ale tak naprawdę słyszał tylko oddech Tartakowera, fretkę liżącą łapki i jęk w swojej głowie. Jak to się nazywa? Szum uszny — choroba, która dotyka perkusistów i ludzi słuchających przez słuchawki zbyt głośnej muzyki? Za długo wsłuchiwałem się w chaotyczną symfonię tego miasta: Glasgow-fonię.

Tartakower zlizął z palców krew i jakby się uśmiechnął, chociaż w nędznym świetle i przez tę jego gęstą brodę niewiele było widać. — Krew ma słodki smak — oświadczył. — To nasze więzy rodzinne.

— O czym ty mówisz?

— Możesz mnie uznać za czarnoksiężnika, Perlman. Albo za nekro-mantę.

— Chyba zaczyna ci odbijać.

— Nawet Łazarz tak prędko nie ozdrowiał, co? — Tartakower zerwał się na równe nogi. Coś mu strzeliło w kolanie, ale poruszał się swobodnie.

Pewnie leżę w łóżku i śni mi się coś dziwnego, a ten niedźwiedź to Tartakower, pomyślał Perlman. — Widzę, że nie jest z tobą tak źle i niepotrzebna ci pomoc. Pewnie wcale cię nie pobili, co? Nikogo tu nie było, nikt ci nie dokopał.

Tartakower, którego sylwetka rzuciła na ścianę wielki, groźny cień, puścił tę uwagę mimo uszu. — Twoja ciotka, Święta Hilda Zawsze Dziewica, puściła mnie kantem.

— Cholera, kazałeś mi tu przyjechać, żebym wysłuchiwał jakichś historii z zamierzchłych czasów?

— Wcale nie takich zamierzchłych. Czyżbyś nie wiedział o tym, że twoja ciotka dała mi kosza?

— Nie, nigdy o rym nie słyszałem — przyznał Perlman. Hilda i Tartakower, co za dziwna para; w ogóle to jakiś poroniony pomysł.

— Uznała, że jestem nieodpowiedni. Chciała takiego, co lubi porządek. Porządek! — Tartakower zatoczył ręką dookoła, wskazując pokój i cały swój żalony dobytek. — Miałem swoje ambicje, ale dla niej to za mało. No i ożeniłem się z inną, cholerną bałaganiarą — i myślisz, że to wzbudziło zazdrość w sercu Hildy?

Była w nim niespodziewana dzikość, oczy mu zabłyśły, broda lśniła, ręce przecinały powietrze.

— Widocznie Hildzie nie podobało się twoje zachowanie przy stole — orzekł Perlman. — Cholera, szkoda mojego czasu. Wracam do domu się wyspać. — I ruszył do drzwi.

— Tak cię wystraszyłem, że się zmywasz, Perlman?

— Nie, po prostu miałem kurewsko zły dzień i nie jestem w najlepszej formie.

Tartakower skubał brodę. — A ja liczyłem na twoje współczucie i chyba się pomyliłem. Jedno nas łączy: obaj dostaliśmy kosza. Mamy złamane serca.

— Nie wiem, jak tam z twoim sercem, Tartakower...

— A pogrzeb Colina?

— Nie rozumiem.

— Byłem tam wtedy.

— Nie wierzę. Nie widziałem cię.

— To dlatego, że nie widziałeś świata poza tą śliczną wdówką i trzymałeś ją pod rękę nad grobem. Tak się wzruszyłem, że aż musiałem sięgnąć po chustkę. To moje cenne wspomnienie. Lou Perlman, do szaleństwa zakochany we wdowie...

Perlman odsunął się o krok przed kolejnymi kłębami czarnego dymu. Nawet nie chciał sobie wyobrazić Tartakowera na pogrzebie Colina, nieproszonego gościa na przespiegach. Tamtego fatalnego dnia wokół kręciła się policja, by rozpedzić hordy podstępnych gapiów, zwabionych ciekawością obejrzenia pogrzebu zabitego gangstera, o którego występkach tak głośno rozpisywały się wszystkie lokalne szmatławce. Możliwe, że Tartakower stał gdzieś dalej, w tłumie otoczonym kordonem policji. Z samego pogrzebu Perlman pamiętał niewiele: tylko pobladłą twarz Miriam, jej czarny płaszcz i dół w ziemi, w którym pochowano jego brata.

— Złamane serca — powtórzył Tartakower i wydał z siebie westchnienie.

— No dobra — przyznał Lou. — Obaj przeżywamy tragedię. I co z tego? — Zrobił następnych parę kroków w stronę drzwi.

Tartakower uśmiechnął się. — Myślisz, że nie czytałem w gazetach o jej procesie i nie widziałem, jak Lou Perlman dokopał swoim ludziom? Dopiąłeś swego, Perlman. Zrobiłeś z siebie niezłe widowisko. I co z tego, że koledzy traktują cię jak zdrajcę, skoro nietykalna Miriam wyszła na wolność i zgarnęła cały szmal.

— To były jej pieniądze — zauważył Perlman. Powoli wzbierała w nim złość, choć nawet nie miał siły się wściekać. Dał się wyciągnąć z łóżka, zjawił się tu jak najszybciej pod wpływem jakiegoś odruchu litości. A wszystko tylko po to, by popatrzeć na życie przez pryzmat krzywd starego człowieka?

— Zakochani widzą świat inaczej. To piękny stan. — Tartakower wciągnął nosem powietrze z miną kogoś, kto delektuje się zapachem wyśmienitego wina. — Czy to słodkie uczucie rozkwitło? Czy ona zechciała zostać panią Perlman po raz drugi?

W pytaniu Tartakowera zabrzmiał ciężki sarkazm. A nawet coś więcej: jakaś uszczypliwa nuta, arogancja, złośliwa satysfakcja.

— Chcesz mi robić przytyki z powodu Miriam? Nie życzę sobie. Spadam stąd.

— Miriam opowiadała mi o swoich ulubionych miejscach. Twierdziła, że najbardziej na świecie podoba jej się Florencja. Jest, jak to mówiła, pełna finezji. Taka pretensjonalna i wielkopańska. We Florencji moja dusza czuje się wolna, oto słowa Miriam.

— Ona ci to powiedziała? Kiedy?

— Tamtego dnia, kiedy rozmawialiśmy.

— Ty rozmawiałeś z Miriam? A ja pewnie przypląnałem rzeką na lili wodnej. — Podsycany parafiną płomień zachwiał się i omal nie zgasł, a po chwili znowu zapłonął, puszczając smugę czarnego dymu, która buchnęła wylotem lampy.

— Miriam, taka śliczna, ale niestety, serce miała z lodu. — Tartakower pochylił się i pogładził fretkę po łebku. — Issy, Issy. — Wyciągnął naprzód ręce, rozprostował palce. — Widzisz, już się tak nie trzęsę. Czasem mi się to zdarza, ale nie zawsze.

— Jestem pod wrażeniem. — Perlman znowu usłyszał jakiś odgłos, coś jak szurnięcie, jakby coś poruszało się po kamienicy. Przytłaczał go ten pokój i cały ten budynek, a mimo to nie ruszał się stamtąd, bo Tartakower próbował go na coś naprowadzić; najwyraźniej miał do powiedzenia jakąś historię, która rozwija się w powolnym, starczym tempie.

Tartakower patrzył na niego z tak ogromną odrazą, że zdawała się nabierać kształtów, i z wrogością tak potężną, że omal się nie zmaterializowała, aby wypełnić przestrzeń dookoła. — Któregoś dnia zajrzałem w głąb siebie i zobaczyłem prawdę: ci cholerni Perlmanowie rzucili na mnie klątwę. Jedna z was złamała mi serce, a drugi wsadził mnie do paki. Wasza rodzina jest jak toksyczna chmura nad moją przeszłością. Perlmanowie to wysłannicy ciemności.

— Co za pieprzone bzdury. A jeśli chodzi o twoje spotkanie z Miriam, to nie kupuję tego...

— Włożyłem najlepszy garnitur. Pewnie dziwisz się, że w ogóle taki miałem? Poszliśmy do herbaciarni Wierzbowej. Bardzo ładne miejsce. Ona zamówiła zieloną herbatę i maleńką kanapkę. Podgryzała ją, zostawiła skórki od chleba, cóż za delikatna kobieta, ta twoja wielka miłość, obiekt twoich namiętnych uczuć.

— Jak ją namówiłeś na to spotkanie? Nabrałeś ją, że potrzebujesz pomocy?

— To, co działa na ciebie, jej nie ruszało. Zadzwoiłem... Mówię, że muszę się z nią zobaczyć w ważnej sprawie, ale odmówiła. Kobiety pokroju Miriam zawsze odmawiają, Perlman. Ale ja wiem, jak ją skusić. Oświadczam, że mam informacje o pieniądzach Colina i że to dla niej ważne. Wtedy od razu nabrała ochoty na spotkanie. I nagle stała się bardzo miła.

Miriam i Tartakower w Wierzbowej. Scena, której Perlman nie potrafił sobie wyobrazić.
— No i co potem?

— Chcesz posłuchać dalej? Oj, Perlman. No więc roztaczam przed nią wizje, od których aż błyszczą jej oczy. Przekupna z niej kobietka. Mówię jej, że Colin poprosił mnie o ukrycie sporej sumy pieniędzy. Tak wielkiej, że nie chciałbym nawet liczyć. Czuję się trochę nieswojo, Miriam, nie chcę mieć tego na głowie. A ona nie pyta, dlaczego jej mąż wybrał właśnie mnie; w ogóle nie zadaje żadnych rzeczowych pytań, ani jednego; chciwość zawładnęła jej całym zdrowym rozsądkiem. Pieniądze — oto co potrafią uczynić z zachłannym człowiekiem. Była taka rozpromieniona, Perlman. Pewnie też ją taką widziałeś. Aż płonęła z podniecenia.

— Jakoś sobie nie przypominam, żebym widział ją w takim stanie — stwierdził Perlman. A może jednak, tyle że nie chciał się przed sobą do tego przyznać. Miłość jest ślepa. To, co opowiadał mu Tartakower, zaczęło nabierać gwałtownego tempa; Perlman czuł się jak przerażony szczur lądowy na statku podczas straszliwego sztormu.

— Kiedy wyszliśmy z Wierzbowej, zaprowadziłem ją w pewne miejsce — ciągnął Tartakower. — Tam, gdzie niby ukryłem gotówkę. Udawałem, jak strasznie mnie to mierzi. Ona była w siódmym niebie. Poszła za mną jak w dym.

— I dokąd ją zabrałeś?

— Nieważne. — Tartakower otworzył szafkę, w której drzwiach brakowało uchwyty, i sięgnął do środka.

Wyjął czarną skrzynkę, mniej więcej wielkości dyplomantki, może nieco szerszą, i postawił na stole, odsuwając niemyte filiżanki, miskę z resztkami płatków śniadaniowych i brudne sztućce. Otworzył ją.

— Oto masz przed sobą atrybuty czarnoksiężnika.

Perlman ujrzał aksamitną wyściółkę, a w niej szereg przegródek, każda określonego kształtu. Tartakower wsunął dłoń do środka i wyjął jakieś metalowe narzędzie, którego srebrny połysk w świetle dziennym w poświacie lampy miał żółtawy odcień. — To moje piękne pamiątki. Spójrz tylko. — Obrócił ostrze w dłoni. — Poznajesz już? Precyzyjny nóż typu skalpel.

Siłą woli Perlman zajrzał do skrzynki — leżały w niej skalpele różnych rozmiarów i kształtów. I jeszcze coś.

Tartakower wyjął ów dziwny przyrząd. — A oto królowa wśród narzędzi — orzekł.

Wzrok Perlmana padł na piłę ręczną; miała jakieś trzydzieści centymetrów długości, stalowe ostrze, gładkie, budzące grozę. Perlman poczuł chorobliwą chęć dotknięcia narzędzia, ale Tartakower okazał się nieco szybszy i zdążył podsunąć mu je bliżej.

— Oto stalowa sprawiedliwość. Do przywrócenia równowagi. Przywraca porządek na tym podłym świecie.

— Opowiadasz straszne bzdury. — Zaniepokojony widokiem narzędzia, Perlman znów usłyszał jakieś odgłosy dobiegające z korytarza, coś jakby szuranie butów i szepty.

— Taki z ciebie sceptyk, Perlman. I w te pocztówki też pewnie nie wierzysz?

Pocztówki.

Perlman poczuł, jak w atomowej strukturze jego świata coś drgnęło, jakby kosmos zawirował wokół własnej osi. Nagle znalazł się w rzeczywistości wywróconej do góry nogami. Piła, stalowa sprawiedliwość, pocztówki, których Miriam nigdy nie napisała.

— Zakładałem swój porządny garnitur i wyjeżdżałem na krótkie wycieczki. Wystarczy zarezerwować samolot w odpowiednim czasie, żeby

tanio i szybko kupić bilet. Miałem odłożonych trochę pieniędzy. I klucz do jej mieszkania na poddaszu. Dokładnie poznałem jej charakter pisma, no a poza tym wziąłem jej rękę. Wybacz mi to makabryczne poczucie humoru. Jeszcze mi nie wierzysz? Myślisz, Perlman, że po naszej rozmowie obudzisz się jutro w swoim łóżku, gdzie będzie ci ciepło i bezpiecznie? Tyle tu starych gazet, a to grozi pożarem. — Tartakower zaśmiał się i machnął piłą w powietrzu. — Jej cierpienie to nic w porównaniu z moim. Może to cię pocieszy?

Perlman dostał mdłości, oleisty dym wdzierał mu się przez gardło aż do żołądka, jakby opił się tą substancją. Nasłuchiwał zbliżających się odgłosów w budynku, a po chwili dobiegł go cichy, chłopiący śmiech.

— Sceptycy zawsze chcą dowodu. — Tartakower sięgnął ręką, delikatnie pogładził fretkę po karku, wyszeptał jej imię, a po chwili z obojętną miną zadziwiająco zręcznie przesunął ostrzem po gardle zwierzęcia.

— Chryste Panie — krzyknął Perlman.

Zwierzę zapiszczało, usiłując się wyrwać, ale drugi ruch ostrza rozciął mu tchawicę; krew trysnęła obficie, a fretka patrzyła na Tartakowera wzrokiem, w którym Perlman dopatrywał się jakiegoś niezrozumiałego współczucia. Już miał wyrwać Tartakowerowi piłę, ale wtedy na górę wtargnęli oni; było ich z piętnastu, a może i więcej; skąd zresztą miał wiedzieć przy tak koszmarnym świetle? Mieli na głowach kaptury, emanowała z nich groza bezbożnego zakonu, który odstąpił od nauk prawdziwego kościoła, by pobratać się ze starszym sprzymierzeńcem. Powłócząc nogami, weszli do pokoju i zobaczyli, jak Tartakower wyjmuje z kartonu zdychającą fretkę, trzymając ją za strzępek poderżniętego gardła. Krew z rany ciekła mu na palce i ręce.

— Issy. Jezu Chryste, ja pierdołę — rzucił jeden z chłopaków przejętym tonem.

— Coś ty, do kurwy nędzy, zrobił? — spytał inny.

Perlman obserwował Tartakowera: jego wyraz twarzy zmienił się teraz z euforii w popłoch, jak u człowieka, któremu pokrzyżowano plany; zrobił w stronę dzieciaków w kapturach niewyraźny gest. — Ten policjant zmusił mnie, żebym zabił Issy, chłopcy.

— Zmusił cię? Niby jak? Przystawił ci spluwę do głowy? Ty pieprzony stary ćwoku. Sam widziałem, poderżnąłeś jej gardło.

Cała gromada zdawała się mieć jeden głos i jedną twarz. Tłumnie ruszyli przez pokój, gnani wzbierającą w nich wściekłością. Wysoki chłopak, który kilka dni temu stawiał się Perlmanowi, pochwycił z rąk Tarta-

kowera fretkę, magiczny symbol wolności, i pchnął starca na zabite deską okno z taką siłą, że puściło kilka gwoździ.

— Tylko spokojnie, chłopcy. — Tartakower wskazał palcem na Perlmana. — Ten facet jest z policji, nazywa się Perlman, to on mi kazał zarznąć piłą biedną Issy. On jest waszym wrogiem. Ta piła to narzędzie. A ten policjant, mówiłem wam, co mi zrobił...

Zwierzę wykrwawiało się na śmierć na rękach chłopaka, całe w drgawkach. Chłopak tulił je, zawodząc Issy, Issy, a Tartakower głądził jak jakiś mówca przed pełną niedowierzania publicznością — to ten policjant, Perlman, jest winien okrutnej śmierci ukochanego pupila, dorwicie go i zróbcie z nim, co trzeba, no dalej, do dzieła.

Perlman usiłował wcisnąć się między Tartakowera a zakapturzone dzieciaki, ale była ich cała chmara. Pod ich naporem odsunął się na bok, stracił równowagę i potknął się o leżący na podłodze telewizor. Głową uderzył o ścianę — tu chwycił go nagły ból — a po chwili znowu rzucił się w wir walki, próbując ratować Tartakowera przed zgrają dresiarzy, którzy już dopadli starca i okładali pięściami, kopali, targali za brodę na wszystkie strony i dźgali palcami w oczy — nie, Perlman z przerażeniem zdał sobie sprawę, że to wcale nie palce, a ostre, stalowe druty. Tartakower wrzeszczał nieustannie. Perlman znów chciał się przedrzeć przez tę hordę dzieciaków z nadzieją, że zdoła ocalić Tartakowera, który osłaniał twarz przed ciosami, pokłute oczy krwawiły mu, a jego sylwetka kurczyła się pod naciskiem ich brutalnej siły. Ktoś wyważył kopniakiem deskę w oknie i pokój wypełnił chłód i zapach od rzeki. Zaraz potem Tartakower, wołając Perlmana na pomoc, został wypchnięty przez ciemną dziurę.

Zniknął w czarnej otchłani. Perlman rzucił się, by go chwycić, ale na próżno: chłopcy zablokowali mu drogę, a siła grawitacji, jak to zawsze bywa, okazała się szybsza. Usłyszał jeszcze krzyk spadającego na ziemię Tartakowera, który ucichł w chwili, gdy jego ciało upadło na składowisko rozbitych okien na podwórzu. Szkło trzasnęło jak drewno trawione przez ogień.

Przerażony Perlman odsunął się od otwartego okna.

— A ty, gliniarzu, spieprzaj stąd — rzucił jeden z chłopaków.

— Właśnie, spieprzaj — zawtórował ten, który trzymał Issy.

— Wiemy, jak się grzebie trupy — dorzucił inny.

— Odkopywać też umiemy.

— Przymknij się — zganił go ten z fretką.

Pogrzebać trupy, odkopywać. — Zabiliście go — odezwał się Perlman.

— Kurwa, sam wyleciał. To był pieprzony wypadek. A zresztą skąd wiesz, że nie żyje?

— No właśnie, skąd? — dopytywał się inny.

— Lepiej stąd spieprzaj, bo jeszcze tobie się coś przytrafi — rzucił duży. — Niech nas tylko spytają, co się stało, a powiemy, żeś go wypchnął. Jesteśmy świadkami. Jasne?

O tak, byli świadkami. A do tego sprawcami śmierci, którzy dokonywali pochówku i ekshumacji.

Perlman czuł pustkę i odrętwienie.

Patrzył, jak dłoń chłopaka gładzi czerwone, wilgotne futerko martwego zwierzęcia. To było jak jakiś ponury trans.

Przecież jestem z policji, reprezentuję prawo i ład, powinienem się odezwać, coś powiedzieć, zadziałać.

Spojrzeli na niego. Punkt zapalny: wystarczyłoby parę obraźliwych uwag, by te zakapturzone dzieciaki wybuchły. Z wieloletniego przyzwyczajenia miał ochotę oznajmić im, że przyjdzie taki dzień, gdy będą musieli złożyć zeznania i dojdzie do śledztwa. A jednak nic nie powiedział.

Przyszła mu do głowy myśl, że powinien przynajmniej wyjaśnić im, jak działa prawo — i wtedy zrozumiał, że podobnie jak te dzieciaki, niewiele wie na ten temat. I właśnie w tej chwili prawdopodobnie myślał to samo co one — że ma to gdzieś.

Lepiej zmykam, zanim się na mnie rzuca.

Kilku chłopców posmarowało sobie twarze krwią Issy. Jeden rzucił w Perlmana stalowym drutem. Metal trafił go w policzek i spadł na podłogę. Po chwili kolejny drut musnął go w podbródek.

Nie zwlekając, wyszedł na schody i przyśpieszonym krokiem zszedł na dół, przedzierając się przez ten sam mrok co przedtem, gdy wchodził na górę — niby ten sam, a jednak inny: coś jakby dobiegło końca, dokonała się jakaś smutna sprawiedliwość, a serce tajemnicy zostało przebite.

46

Dysart wytaszczył z tyłu furgonetki dwa pojemniki z lodem.

Podał je Azjacie. — W wozie jest krew — zauważył tamten. — Pracuje pan po drodze? Jak to się nazywa, chirurg na kółkach?

Dysart zatrzasnął tylne drzwi.

— A ta pani na przednim siedzeniu to kto?

— Moja pielęgniarka — odparł Dysart.

Azjata zaniósł pojemniki do swojego samochodu.

Krew w wozie, pomyślał Dorcus. Wszystko zrobione w pośpiechu, byle jak. Trzeba znowu zawieźć wóz na myjnię. Wypłukać, wyszorować do czysta. Zastanawiał się, co się stało z psami. Pewnie uciekły. Pomyślał o staranowanej bramie. Wyobrażał sobie, jak Betonowcy plądrują mu dom, demolują, okradają. Zabiorą też jaguara albo ograbią i zostawią tylko sam szkielet.

Azjata wrócił z kopertą, podał ją Dorcusowi, a ten wsunął ją do tylnej kieszeni.

— Ten towar jest bardzo potrzebny — zauważył Azjata.

— Ludziom trzeba części — przyznał Dorcus.

Azjata popatrzył na niego przez chwilę. — Co? Ano tak, jasne. Części, bardzo zabawne. A to ci numer. Części. — Roześmiany, wsiadł do swojego samochodu i zamknął drzwi.

Po raz pierwszy Dorcus słyszał jego śmiech. Zachodził w głowę, co go tak rozbawiło w tych częściach.

Nie chciał już dłużej krążyć po okolicy. Niebo jaśniało, blade słońce wschodziło nad Glasgow, a upiorny półksiężyc z wolna zanikał. Gdzieś w dali rozbrzmiały kościelne dzwony, pewnie na poranną mszę. Dorcus wsiadł do wozu za kierownicę, a Jackie wyciągnęła rękę po jego dłoń.

— Wiesz, że nie możemy tam wrócić — powiedziała.

— Wiem.

— Za żadne skarby, Dorcus.

— Tak — zgodził się.

— Musimy odstawić gdzieś ten wóz, gdy tylko nadarzy się okazja. Jak sądzisz, ilu ludzi słyszało od Chucka, że wybierał się do ciebie z wizytą? Nie mamy pojęcia, prawda? Ale jednego jestem pewna: ktoś na pewno zacznie go szukać. I nas też.

Dorcus wytoczył furgonetkę z podwórza. — No i co?

— Minie kawał czasu, zanim cokolwiek znajdą — odparła Jackie

Ace.

Dorcus minął starą rzeźnię.

— Chodzi mi po głowie Londyn, Dorcus.

Dysart znowu wrócił myślami do psów. Ktoś na pewno je znajdzie, zabierze do schroniska i w końcu trafią do dobrego domu.

— Dokąd tylko sobie życzysz, siostró.

47

Zaraz po południu Perlman zjawił się w domu Sculliona w Drum-beck, na krańcu Bellahouston Park. Sandy, ubrany swobodnie w niebieskie dzinsy i luźny sweter z dekoltem w szpic, zaprowadził go do szklanej oranżerii. Pomieszczenie było przestronne i wygodne, fotele zdobione jasnym, kwiecistym wzorem. Wychodziło na zadbane trawnik, dziecięcą huśtawkę i dmuchany brodzik.

Sandy zabrał z krzesła egzemplarz Sunday Herald i gestem zachęcił Lou, żeby usiadł.

— A gdzie Maddie i dzieciaki? — zagadnął Perlman.

— W kościele.

— Nie poszedłeś z nimi?

— Moja wiara wykracza poza ramy kościoła. Kiedyś ci o tym opowiem.

I znowu ta jego wiara: Perlman postanowił poprosić go któregoś dnia, żeby mu to wyjaśnił.
— Mogę zapalić?

— Mnie tam wszystko jedno, ale Maddie nie cierpi zapachu dymu.

— Domowe zasady, trzeba ich przestrzegać — orzekł Perlman. Palenie wzbronione: wiedział więc już, że nie zabawi tu długo. Nie usiadł na krześle, które wskazał mu Scullion, tylko podszedł do szklanej ściany i wyjrzał na zewnątrz, zastanawiając się, czy byłby szczęśliwy, gdyby prowadził takie życie: żona, dzieci, utrzymanie, obowiązki. Nie tęsknił za tym, bo nigdy tego nie miał. Żadnego żalu, pragnienia czy poczucia straconej szansy na spłodzenie małych Perlmanów.

— Ładnie tu — przyznał, patrząc na oświetlony słońcem trawnik. Rzeczywiście, ładnie, zwłaszcza dla kogoś, kto lubi podmiejski styl. — No i jak się udała akcja?

— Wytaszczyliśmy spory stos dokumentów z działalności gospodarczej Reubena Chucka. Ale mnie się zdaje, że to jeszcze nie wszystko. Coś czuję, że resztę trzyma gdzieś w jakiejś kryjówce. Ci prawnicy to cwane sztuki. A w międzyczasie gruba ryba gdzieś zniknęła.

I może już nigdy się nie znajdzie, pomyślał Perlman.

— Lepiej mów, co tam u ciebie, Perlman.

Wzruszył ramionami, po czym spokojnie opowiedział mu o wizycie u Tartakowera i o tym, co tam widział; patrząc na to z perspektywy czasu, zdawało mu się, że to nie on, a kto inny był tego świadkiem —jakiś inny

Perlman w innym wymiarze. Pamiętał cuchnącą spalenizną ciemność i Tartakowera wypadającego z okna, a wszystko było jakby złudzeniem. Przypomnił sobie chłopaków w kapturach i ich zamęczoną na śmierć fretkę. Krew Issy była dla nich świętością. Ciekawe, czy wypchają martwe zwierzę — czy obedną ze skóry i zrobią z niej kurtkę dla swojego wodza?

— Czy Tartakower się przyznał? — zagadnął Scullion.

— Czy się przyznał? Niezupełnie. Dał mi tylko do zrozumienia. On uwielbiał niejednoznaczne sformułowania. Jego słowa nie byłyby wiarygodne dla sądu, ale ja jestem pewien, że ta odcięta dłoń to jego sprawka. — Mówiąc to, świadomie odpędzał od siebie tę wizję. — Rzecz jasna, równie dobrze mógł sobie to wszystko zmyślić, dodając parę realistycznych szczegółów. Może po prostu chciał się poczuć ważny, popisać się przed swoim gangiem nastolatków... Nie wątpię, że mówił prawdę o swoich odczuciach względem mojej rodziny ani w to, że życzył mi śmierci. No i co mi z tego zostało — cała masa niewyjaśnionych wątków.

— Jasne, mogło się wydawać, że to koniec, a tu nagle otwierają się kolejne drzwi i cholera wie, dokąd one prowadzą.

Koniec. Perlman sądził, że tak naprawdę koniec następuje w chwili śmierci — ale może jednak nie. Tartakower nie żyje. Chuck na razie uznany za zaginionego. A Dysart i Ace, kto wie? Nawet się nimi nie przejmował — prędzej czy później i tak się znajdą, gdzieś w innym mieście, w Anglii czy za granicą. Z tego, co wyraźnie znużony Adamski twierdził wcześniej przez telefon, jego ekipa rozstawiła reflektory i po całonocnej pracy odkryła tkanki ludzkie w kanalizacji, a w piwnicy zwoje zbutwiałych, zakrwawionych ręczników, upchniętych w nieczynnym piecu, który nie nadawał się do niszczenia dowodów. Widocznie Dysart zamierzał wezwać kogoś do naprawy, ale zwlekał z tym z powodu braku pieniędzy albo nie bardzo chciał, żeby ktoś buszował mu po piwnicy — a potem było już za późno.

Czeka ich niezły kawał roboty, stwierdził Adamski, i to cholernie paskudnej.

— Potrzebne nam coś, czym można by pomachać Latcie przed nosem — oświadczył Scullion.

— I zdobędziemy to, o ile te dzieciaki zeznają, że Miriam została zakopana, i opowiedzą, co zaszło przedtem i potem. Ale one nie puszczą pary z ust, chyba żeby połamać je kołem i zmiażdżyć im palce. Być mądrym po szkodzie to skaranie boskie — mogłem zachować przytomność umysłu, wyrwać mu tę piłę i zabrać ze sobą; to by pomogło Sidowi Linklaterowi w ekspertyzie sądowej, pod warunkiem że to ta sama piłą, którą Tarta-

kower odciął dłoń Miriam. Ale ja chciałem stamtąd wiać, Sandy. Myślałem tylko o jednym: uciekać, uciekać.

Scullion przechadzał się po oranżerii typowym dla domownika pewnym krokiem. — A może jednak uda nam się zdobyć tę piłę.

— Wjaki sposób?

Scullion uśmiechnął się. — Paru twardzieli z okolicy jest mi winnych przysługę.

— Zdziwiasz mnie, Sandy. Obracasz się w groźnych kręgach.

— Nauczyłem się tego od ciebie.

— Uznam to za pochwałę. Ale czy ci twardziele zechcą wziąć w obroty tę bandę małych dresiarzy?

— Żartujesz? Oni zrobią to z wielką rozkoszą.

Perlman spostrzegł, jak promień słońca błysnął odbity od powierzchni wody w brodziku. — Warto by się dowiedzieć, gdzie Tartakower dokonał amputacji. Linklaterowi pewnie byłoby na rękę powęszyć tam za dowodami.

— Zostaw to mnie. Może napiłbyś się piwa?

Perlman poklepał się po brzuchu, dając do zrozumienia, że żołądek mu szwankuje. — Chyba jednak nie.

— A swoją drogą na pewno coś znajdziemy, żeby przygasić tego sukinsyna Lattę. Dowalimy mu raz a dobrze.

— Nie wątpię — przyznał Perlman, ucieszony okazją do skompromitowania i zrujnowania Latty. — I nie odchodzę z policji. Zostaję, choćby nie wiem co. Chrzanić Taya. I Lattę też.

— Na pewno nie chcesz piwa?

— Na sto procent.

Scullion poklepał go po plecach. — No, to może następnym razem. Maddie mówi, że w tym tygodniu będziesz na kolacji.

— Jasne, że będę. — Zupełnie o tym zapomniał.

Perlman wybrał się do mieszkania Betty przy London Road. Nie było tam śladu dziennikarzy, którzy wcześniej tłoczyli się pod domem. Informacje szybko tracą ważność, gorące tematy stygną, świat karmi się tylko najświeższymi makabrycznymi skandalami. Wyjął telefon i zadzwonił do Hildy.

— No proszę, nasz marnotrawny — odezwała się.

— Wieczny Tułacz — dodał Perlman.

— To niech ten tułacz zajrzy kiedyś w nasze strony.

No i zaczyna się wytykanie winy. Zapytał o zdrowie jej i Marlenę. To było dość ryzykowne, bo nieraz wywoływało cała litanię narzekań. Ulżyło mu, kiedy usłyszał tylko, że Marlenę wydalili w nocy kamień żółciowy, co obyło się bez silnego bólu, sprawiając jedynie niewielki dyskomfort. I na tym koniec nowinek.

Nie chciał mówić Hildzie o Miriam przez telefon. Taką wiadomość trzeba przekazać osobiście.

— Zadzwoń, bo... chciałeś się przywitać?

— Pomyślałem sobie, że zajrzę do was dziś wieczorem.

— Powtórz te słowa.

— Przecież słyszałaś, Hildo.

— A więc mam się brać za ciasto?

— Nie rób sobie kłopotu, sam coś przywiozę. — Popatrzył na osnute zasłonami okno Betty. Śpi już czyjesz czy nie? — Chcę cię tylko o coś spytać. Pamiętasz tego faceta, z którym kiedyś się spotykałaś... nazywałaś go Flejtuch.

— Skąd wiesz?

— Czy to nie był przypadkiem Ben Tartakower?

— Nie masz prawa wypytywać mnie o takie rzeczy — rzuciła Hilda szorstkim tonem.

— Oświadczył ci się? Tak czy nie?

— Ciach, zamykam ten temat.

— Po prostu byłem ciekaw.

— A ja wcale nie zamierzam zaspokajać twojej ciekawości.

— To mogę być o ósmej?

— Jasne. I nie zapomnij kupić sernika, Louis — dodała i się rozłączyła.

Jej unikanie tematu mówiło samo za siebie. Perlman odłożył telefon.

Wysiadł z samochodu. Betty stała na chodniku, witając go ciepłym uśmiechem. Wszedł za nią w zaułek prowadzący do jej mieszkania. W środku cicho grała muzyka. Rozpoznał te dźwięki, stary Credence Clearwater.

— Właśnie zaparzyłam kawę.

Poszła do kuchni, a po chwili przyniosła dzbanek, filiżanki, spodki i talerz z mieszanką herbatników na tacy. Nalała mu kawy, wypił łyk, a ona czekała, co powie na kawę.

Oświadczył, że jest dobra i mocna, taka, jaką lubi. Drobne pochwały sprawiały jej przyjemność. I to mu się w niej podobało, jak zresztą wiele innych rzeczy.

— Świetnie wyglądasz — zauważył.

— To chyba pierwszy komplement, jaki od ciebie usłyszałam. No, może poza tym, że ładnie wysprzątałam ci dom.

— Cóż za niedbalstwo z mojej strony.

— A raczej nawał spraw na głowie.

— I jeszcze jedno: podoba mi się twoja suknia. — Perlman nie był przyzwyczajony do prawienia komplementów.

— Mam ją na sobie pierwszy raz — przyznała.

— Bardzo ci w niej do twarzy — orzekł. I się nie mylił: suknia była świetnie skrojona, ciemnoniebieska i sięgała jej do kolan. Betty zrobiła też coś z włosami, inaczej je uczesała, tu i ówdzie podcięła, a zresztą sam do końca nie był pewien, co się w nich zmieniło. Miała też delikatny makijaż, stonowaną szminkę, kontury oczu ledwie muśnięte kredką. Tak niewiele potrzeba było, żeby jej twarz nabrała zupełnie innego wyrazu, a oczy rozbliły nowym blaskiem.

Usiadła przy nim na sofie, opierając filiżankę o kolana. — A przy okazji, dzisiaj rano dostałam telefon. Od Annie. Pamiętasz ją? Zrobiła na tobie spore wrażenie.

— No i co takiego mówiła?

— Zadzwoiła się pożegnać. Wyjeżdża do Ameryki.

— I dobrze.

— Ma wielkie plany — przyznała Betty. — Nie przeszkadza ci muzyka?

— Przypomina mi dawne czasy.

— Dlatego właśnie ją lubię. Tamte czasy były lepsze. — Popiła kawę i poczęstowała go herbatnikiem. Wybrał smak czekolady i bourbona.

— Jak byłem dzieckiem, to zawsze obgryzałem je dookoła, a czekoladowy środek zostawiałem sobie na koniec — powiedział.

— A czy można inaczej?

Dziewczyna tańcząca boso w blasku księżyca. Wsłuchał się w muzykę, wyobrażając sobie Betty jako hippiskę za dawnych lat, tańczącą boso jak ta dziewczyna w piosence. Dotknął grzbietu jej dłoni, a po chwili cofnął rękę, nękany wątpliwościami.

— Aleś ty nieśmiały, co, Lou? — zauważyła.

— Chyba raczej niezdecydowany. A może jedno i drugie po równo. Zaśmiała się. — Mówił ci ktoś, że jesteś zabawny?

— Prawdziwy komediant — skwitował.

— Czasem, zanim się odezwiesz, słyszę twoje myśli... Słyszę, jak roztrząsas w głowie różne sprawy, próbując ważyć słowa.

— To tylko tak na pokaz. Zwykle gadam, co mi ślina na język przyniesie, zupełnie bez zastanowienia.

— Jakoś nie bardzo w to wierzę.

— Nie wyglądam ci na kogoś, kto miewa szalone impulsy?

— Może i miewasz impulsy, ale czy szalone, tego nie jestem pewna. Wyciągnął rękę i położył jej dłoń na karku. Westchnęła i odchyliła

głowę, rozkoszując się jego dotykiem.

— Czy to przypadkiem nie szalony impuls? — spytał.

— Och, żebyś wiedział, Lou...

Delikatnie odgarnął kosmyk jej włosów i pocałował jej ucho.

Pochyliła się naprzód, odstawiając filiżankę na stoliku, odwróciła głowę i spojrzała na niego. Dostrzegł to w jej oczach — oczekiwanie i niepewność. Odwlekamy coś, co i tak nieuchronnie nas czeka, pomyślał. Jak to się dzieje, które nagłace szepty serca podpowiadają, że czas już zrzucić szatę smutku i żałoby, bo nim się spostrzeżecie, zostaniecie kochankami?

Mocno ujęła dłońmi jego ręce. Rozumiał doskonale. Trzeba uszanować zmarłych poprzez swoje czyny. Mimo to pocałował ją raz jeszcze, ona uległa przez chwilę i wtedy uświadomił sobie, jak łatwo, a zarazem trudno będzie odejść od zmarłych.

W kieszeni zadzwonił mu telefon; miał ochotę go zignorować, ale Betty odsunęła się lekko, najwyraźniej pochłonięta swymi własnymi obawami, więc odebrał.

W słuchawce odezwał się Pickler. — O ile jeszcze to pana interesuje, panie Perlman, to mam chyba jakiś ślad w sprawie tego bezgłowego klauna...